

Carlton Harold

Cena namiętności tom 2

W pewne majowe popołudnie, kiedy słońce lśniło złoto, wylądowały w Palmie. Z okna samolotu Marcella zwróciła uwagę na to, iż morze ma kolor intensywnej akwamaryny, a niekiedy błękitu pruskiego. Natychmiast po wyjściu z samolotu poczuły aromat spieczonych słońcem sosen zmieszany ze słonym zapachem morza.

Nieskazitelnie czysty samochód hotelowy już czekał. Szofer trzymał tabliczkę z nazwiskami.

- Winton i Jagger? - przeczytała Amy, wsiadając. - Brzmi jak jakaś cholerna firma prawnicza.

Samochód wspinał się powoli na wzgórze, wysokie prawie jak góra, ku luksusowemu hotelowi, który przycupnął pośród rozległych lasów sosnowych. W dole, w mieście, katedra lśniła złoto w słońcu. Kiedy wysiadły, żeby chłonąć widok i odetchnąć świeżym powietrzem, Marcella rozłożyła z radością ramiona.

- Dwa tygodnie na niczym, ale dla mnie to w sam raz! - zaśmiała się.

- To bajka, prawda? - zgodziła się Amy.

Pobiegła przez taras pełen stolików i krzeseł, walcząc po parkiecie pod gołym niebem, a Marcella za nią.

Zatrzymały się przed niskim murkiem, ponad którym rozciągał się wspaniały widok na wybrzeże w dole.

Po jednej stronie morze leżało daleko pod nimi, migoczące i przejrzyste. Hotel wznosił się tak wysoko nad miastem, że hałas przesiany przez tysiące sosen, zanim docierał do uszu gości Son Vida, stawał się przytłumionym szumem.

Oparły się o balustradę, a Marcella odwróciła się do przyjaciółki z roziskrzonymi oczami.

- Ubóstwiam to - powiedziała.

Po wpisaniu się na listę hotelowych gości spotkały się na tarasie na drinka. Goście zachowywali się wyniośle, lecz w najlepszym stylu: bogate rodziny, trochę Arabów, starsze pary, kilku dyskretnych, grzecznych Brytyjczyków. Zanim Amy zeszła na dół, Marcella zdążyła obejrzeć luksusowy hotel, przyjrzeć się chudej, wysokiej, brzydkiej kobiecie oglądającej wystawę sklepu jubilera w małej uliczce pełnej sklepików w podziemiach hotelu. Kobieta miała na sobie wytworną suknię - od Ungaro lub Lacroix - z dużym, barwnym wzorem i monstrualnymi, bufiastymi rękawami. Wyraz pożądania, z jakim patrzyła na biżuterię w zamkniętym sklepie, sprawił, że Marcellę przeszedł dreszcz. Odwróciła się, słysząc stukot obcasów Amy o posadzkę.

- Dziś wieczorem jest na tarasie pokaz flamenco - powiedziała Amy. - Chcesz pójść?

Marcella skinęła głową z zapalem.

Kolację postanowiły zjeść w bufecie na świeżym powietrzu, bo można tam było wracać ciągle do grilla, gdzie kucharze w białych czapach przewracali na ogniu wielkie świeże krewetki. Wypiły butelkę hiszpańskiego wina owocowego.

- Żadnych wolnych mężczyzn! - stwierdziła Marcella, rozglądając się po brytyjskich, francuskich i włoskich parach.

- Oczywiście, że nie. - Amy nie zadała sobie nawet trudu, by pójść za jej spojrzeniem. - Oni czekają na nas tam, w dole! - wskazała na światła Palmy lśniące poniżej. Noc była granatowa, a gwiazdy zdumiewająco białe.

Pokaz flamenco rozpoczął się o jedenastej, kiedy większość gości przystąpiła do jedzenia posiłku. Tancerka usiadła na krześle prosto i nieruchomo, a reflektor punktowy wydobył z mroku jej pofałdowaną suknię, czystą i białą jak łabędź. Powoli wygięła ciało, wyprostowała się i wstała. Marcella była zahipnotyzowana pewnością siebie bijącą od tej kobiety. Stopy tancerki zaczęły się poruszać, a ona sama odegrała małą scenkę mimiczną, mającą wyrażać zdziwienie tym, co robiły. Twarz pozostała harda, lecz stopy zdawały się żyć własnym życiem. Tak jak moje - pomyślała Marcella. - Górna połowa mego ciała nie wie, co robi dolna, udaje, że

nie jest odpowiedzialna. W umyśle mignęła jej sala kinowa w klubie Członkowie i usiłowała wyliczyć tuzin mężczyzn, którzy ją pieścili. Potem do kobiety przyłączył się tancerz i we dwoje odegrali stylizowany, dowcipny, zmysłowy rytuał uwodzenia mężczyzny przez kobietę, droczenia się kobiety z mężczyzną; oboje wiedzieli doskonale, co robili.

- Hiszpanie wiedzą, co? - szepnęła Amy.

Marcella i Amy poszły spać o pierwszej, po pokazie tańca; obie skonane po podróży, cudownie zmęczone oddychały sosnowym powietrzem.

O jedenastej następnego dnia Marcella siedziała przy basenie, wystawiając plecy do piekącego słońca. Gdy wyszła Amy, rzuciła jej koszulkę.

- Nie opalaj się za bardzo, Marcello - ostrzegła. - Chcesz wyglądać blado i interesująco dziś wieczorem, prawda? Skąd mają wiedzieć, że jesteś świeża, jeśli opalisz się jak cała reszta?

Przed lunchem zaprowadziła Marcellę do swego pokoju.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała, przywołując przyjaciółkę gestem. - Mały pokaz z okazji naszego pierwszego dnia tutaj. - Sięgnęła do walizki stojącej na podłodze i wyjęła pudełko obite szarą skórą jaszczurczą, pełne szklanych słoiczków i butelek. - Ode mnie. - Wręczyła pudełko Marcelli. - Sporządzone w Paryżu przez wyjątkowo elegancką i wyjątkowo pieprzoną węgierską księżniczkę wyłącznie do tej części twego ciała, której, modłę się o to, zaczniesz znowu używać tej nocy!

Pięknie opakowane emulsje, kremy i płyny zostały wyprodukowane z olejków i innych naturalnych składników, a ich przeznaczeniem było czyszczenie, mycie i wzmacnianie rejonu pochwy.

- Ona pozwala używać tych maleństw tylko najdroższym dziwkom i europejskim damom z towarzystwa... - Amy kapnęła perłę emulsji na grzbiet dłoni Marcelli i rozsmarowała. - Kupowałam od niej takie ilości, że zaczęła mi dawać zniżkę na sprzedaż hurtową.

- I to naprawdę działa? - spytała Marcella, wachając dłoń.

- Zapytaj go o to jutro - odparła Amy.

Wyruszyły do miasta o czwartej. Od ostatniego pobytu Amy na Majorce minęło pięć lat, toteż potrzebowała rekomendacji i wiadomości o najnowszych interesujących miejscach.

- Fryzjerzy wiedzą wszystko! - oznajmiła.

Droga taksówką do centrum miasta zajęła im piętnaście minut: kłębawisko długich, wąskich uliczek pełnych sklepów, zadrzewiony bulwar centralny z fontanną i ogromnym straganem z gazetami. Wystawy sklepowe obwieszono były galanterią skórzaną i grubą, złotą biżuterią. Na najbardziej eleganckiej ulicy, Jaime III, Marcella i Amy zamówiły na tarasie pod gołym niebem kawę i posypane cukrem *ensaima-das*. Eksplorację miasta zaczęły od ekskluzywnego salonu fryzjerskiego; stanęły przed witryną, wpatrując się w olbrzymią fotografię królowej Hiszpanii.

- Jeśli to miejsce jest dostatecznie przyzwoite dla niej, to i dla mnie! - stwierdziła bystro Amy, wchodząc do salonu. W kilka minut później, kiedy po myciu włosów została przydzielona Romanowi, Marcella poznała swego pierwszego Romańskiego Kochanka. Powitał ją grzecznym skinieniem głowy i słuchał, jak opisywała mu lekko układającą się fryzurę, jaką zazwyczaj nosiła. Gdyby wcześniej starała sobie wyobrazić stereotyp urody romańskiej, Roman byłby jego idealnym przykładem. Nabrylantynowane czarne włosy i dumny profil składały się na typ amanta filmowego z lat czterdziestych. Godności ujmował mu jedynie wzrost; fryzjer był niski, ale muskularny. Gdy cesał i suszył jej włosy, zaledwie muskał skórę za uszami, lecz przywarł ciałem do ciała Marcelli. Ilekroć przychodziło jej na myśl, że mógłby z nią flirtować, zerkła na jego poważną minę i pomysł ulatniał się sam.

Na sąsiednim krześle Amy powierzyła włosy fryzjerce.

- Co ty na to, Amy? - zawołała cicho Marcella. - On nie mówi zbyt wiele po angielsku.

Amy zmarszczyła brwi, taksując fryzjera wzrokiem.

- Trudno poznać po fryzjerach. Może działa na dwa fronty?

- Prosie! - przemówił nagle Roman, ponownie prostując głowę Marcelli.

Amy zachichotała.

Roman nie zareagował, dalej gładził szyję Marcelli. Co przyprawiało ją o dreszcz pożądania. Kiedy zakończył tę drobiazgową pracę, Marcella ujrzała, że ma na głowie fryzurę Mary Tyler Moore mniej więcej z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego.

- Dasz wiarę? - szepnęła do Amy, chwając się swymi natapirowanymi lokami. - Zmyję to zaraz po powrocie do hotelu!

- A ja wyglądam jak skrzyżowanie utopionego szczura ze starszą siostrą Florence Henderson! - poskarżyła się Amy, przyglądając się swym czerwonym kosmykom. - Dobrze...

- Wręczyła fryzjerce hojny napiwek. - Marcello, mówisz trochę po hiszpańsku, prawda? Zapytaj tego Rudolpha Valentino, gdzie dwie kobiety mogą się rozerwać wieczorem.

Marcella zaczęła wypytywać poważnego Romana łamanym hiszpańskim, suto przetykanym włoskim. Fryzjer zmarszczył brwi, zniknął, po czym wrócił z małym kawałkiem papieru, na którym napisał „Omar”.

- Klub. - Wzruszył ramionami. - Ale nie iść przed północą!

Zapłaciły, a Marcella zdążyła jeszcze dostrzec, że bursztynowe oczy fryzjera zalśniły wrednie pod niewiarygodnie długimi rzęsami. Zanim przyjął napiwek wysokości pięciuset peset, skłonił się sztywno, niemal strzelił obcasami i odprowadził obie kobiety do wyjścia.

- Pokaż! - Na ulicy Amy wyrwała Marcelli skrawek papieru i przeczytała nazwę klubu. - Nawet nie napisał adresu. Przypuszczam, że każdy taksówkarz zna to miejsce...

- Spojrzała na Marcellę i wzruszyła ramionami. - Chyba warto spróbować, co?

Pół godziny po północy dwie kobiety minęły przeszkłone drzwi klubu Omar, w okolicy Plaža Gomilla, centrum życia nocnego Palmy. Omar miał być w zamyśle niewątpliwie rosyjskim lokalem. Szkarłatne ściany ozdobiło plakatami i fotosami z filmu *Doktor Żiwago*, a krzesła obito czerwonym pluszem.

- To bezsprzecznie nieco sprośne miejsce! - stwierdziła Amy, z aprobatą rozglądając się po lokalu.

Roman kręcił się tuż przy wejściu. Powitał Marcellę jak

starą znajomą. Szybkim, pełnym urazy spojrzeniem obrzucił jej włosy, którym, dzięki szamponowi i ogromnej ilości pianki, udało jej się przywrócić dawną linię. Roman przyprował przyjaciel, swego rodzaju kopię jego samego - niskiego, krępego, silnego, dumnego bruneta.

- Ten musi być dla mnie! - stwierdziła z uśmiechem Amy. Roman przedstawił ich niezwykle oficjalnie, pochylając głowę ku Amy, by dosłyszeć jej imię. W zadymionym klubie panował tiok i upał. Kobiety siedziały przy oddzielnych stolikach, zabawiając się pićm drinków. Wokół sali biegł długi, zakręcony kontuar, przy którym niespokojni, polujący na zdobycz mężczyźni wypijali czasem szklaneczkę. Była to niewątpliwie majorkańska wersja baru dla samotnych.

- Klasa, co? - Amy mrugnęła do Marcelli i uśmiechnęła się na widok zatroskanej twarzy przyjaciółki. - Och, daj spokój kochanie, bawmy się! W końcu w Nowym Jorku nie możemy liczyć na takie miejsce!

- Nie? - spytała Marcella.

- Jeśli masz na myśli Członków, muszę ci donieść, że karta wstępu kosztuje tam więcej niż ktokolwiek tutaj zarabia w ciągu...

Wciąż mówiła, kiedy przyjaciel Romana pociągnął Amy na parkiet. Orkiestra łomotała nieprzerwaną składankę popularnych melodii. Roman poprowadził Marcellę do tańca, obejmując ją mocnym ramieniem. Została momentalnie przeniesiona w sam środek jakiegoś męskiego, hiszpańskiego filmu, melodramatu, w którym mężczyźni i kobiety zadurzają się beznadziejnie i robią to, co im się każe. Roman poddał się rytmowi. Marcella obserwowała go, zdumiona. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby mężczyzna nosił się z taką dumą, żeby tak bardzo ta duma go rozpierała. Było to tak absurdalne, że niemal poruszające. Ustępował jej wzrostem o około dwóch centymetrów i to obudziło w Marcelli nieznane uczucie. Roman oderwał się od niej, żeby zatoczyć pełen obrót, niczym nakręcana lalka. Usiłowała dotrzymać mu kroku, posługując się mieszanką samby, rumbi i czaczy. Nie opuszczali żadnego tańca, dopóki muzycy nie zamilkli nagle, nie odłożyli instrumentów i nie ruszyli do baru. Z głośników popłynęła stłumiona melodia rockowa, a par-

kiet szybko opustoszał. Kiedy Roman poprowadził Marcellę do stolika, uzmysłowiła sobie, że jeszcze nigdy nie czuła takiego pragnienia. Wychyliła rum z colą natychmiast, kiedy go podano. Kostki lodu topiły się już w ustach. Roman próbował prowadzić rozmowę swym kulawym angielskim, który, wraz z hiszpańsko-włoskim Marcelli, pozwolił im ustalić, że Roman pochodzi z Andaluzji i ma dwanaścioro rodzeństwa. Wkrótce hałas panujący w klubie zmusił ich do poniechania konwersacji. Marcella miała na sobie krótką czarną sukienkę, a ramiona, dzięki półgodzinnemu opalaniu na balkonie po lunchu mimo zakazu Amy, pozłociły się od słońca. Choć czuła się głupio, po prysznicu tego wieczoru namaściła się emulsjami węgierskiej księżniczki. Teraz, napotykając roziskrzony wzrok Romana, wiedziała, że emulsje spełnią swe zadanie jeszcze tej nocy. Delikatnie położył Marcelli dłoń na ramieniu i poczuła żar. Z aprobatą rzucał jej ukośne spojrzenia spod długich rzęs. Miał zwilżone, zaczesane do tyłu włosy, które lśniły i upodabniały go do amanta ze starych filmów. Nie miała pewności, czy to przebranie było celowe, jak w przypadku nowojorskich dzieciaków ubierających się w stylu lat czterdziestych, czy też całkowicie nieświadome. Nagle Roman nachylił się ku Marcelli i przycisnął pełne usta do jej warg. Pocałowali się i poczuła, jak język Hiszpana niezwłocznie wkracza do akcji. Otworzył oczy, ruchem głowy i uniesionymi brwiami wskazując na drzwi. - A co z moją przyjaciółką? - spytała. Odpowiedział wzruszeniem ramion. Tani rum uderzył jej do głowy i wybijał własny, zmysłowy rytm. Odnalazła Amy na parkiecie i krzyknęła, że wychodzą. - Do jutra! - Amy mrugnęła.

Na ulicy panował cudowny chłód. Znajdowali się w taniej, turystycznej części miasta; minęli kilka budek z hamburgerami i pizzą, a także imitację niemieckiej piwiarni, zanim dotarli do małego, czarnego samochodu. Roman rzucił jej pożądliwe spojrzenie, po czym zawiózł Marcellę do swego mieszkania w centrum, o kilka przecznic od salonu fryzjerskiego. Było to uwiedzenie wyłącznie przez łóżko, bez krztyny flirtu, zaledwie o punkt wyżej od seksu

w wydaniu klubu Członkowie. Natychmiast po wejściu do ciemnego, skąpo umeblowanego mieszkania, rozebrali się i przyłgnęli do siebie. Czyste, opalone ciało Romana pachniało słońcem; gorliwie lizał twarz Marcelli jak mały szczeniak, wsuwał jej język do ucha, co przyprawiało ją o dreszcz. Potem kucnął w nogach łóżka, ujął jej stopę i ucałował kolejno wszystkie palce, powoli przesunął językiem w górę nóg, wreszcie zanurzył w niej twarz, przesunął językiem po najwrażliwszej części jej ciała, trącał pączek, jęcząc i warcząc przy tym z pożądania. O ileż przyjemniej jest w łóżku! - pomyślała. Podobał jej się nawet nieco szorstki pośpiech Romana, kiedy chwycił ją za kostki, przyciągnął do siebie, posadził na krawędzi łóżka. Sam usiadł na podłodze, przesuwając twarz to w jedną, to w drugą stronę wewnątrz jej ud. Rozpłomienił tym Marcelłę do tego stopnia, że chwyciła go pod pachy i uniosła ku sobie. Przekręcił się na plecy, pociągnął za sobą, by położyć się na nim. Ujął ją pod pachami i z wielką siłą unióś, ułożył się pod nią, a następnie delikatnie opuścił Marcelłę, tak że ich ciała dotykały się ciasno. Czowała szorstkość grubych ud, atlasową gładkość żeber, jego męskość wyginającą się co chwila na jej brzuchu, szybkie ruchy języka w swoich ustach. Potem znowu zmienił pozycję i położył się na Marcelli całym ciałem. Jak cudownie było czuć na sobie mężczyznę, który nie przygniatał swoim ciężarem! Zamknęła oczy, kiedy przesunął palcami po jej sutkach, by stwardniały; wsunął dłoń i lekko musnął szparę. Im więcej rzeczy jej robił, tym większe ogarniało go podniecenie; nagle zaczął poruszać się tak szybko, pieścił Marcelłę, lizał, gryzł w tyle różnych miejsc, że miała wrażenie, jakby otaczało ją kilku mężczyzn zadających jej gwałt.

Kiedy wszedł w nią pewnie, gładko i mocno, grubym, twardym członkiem, otworzyła oczy. Czarne włosy Romana opadły mu w nieładzie na twarz. Ściągnął wargi, wślizgując się w nią; jego usta z rozdrażnieniem domagały się ust Marcelli. Kiedy wszedł w nią w pełni, ich wargi się zetknęły; wsunął język i zaczął nim naśladować ruchy podbrzusza. Bezlitosne, gładkie ruchy miały w sobie coś mechanicznego, niezmordowanego, więc Marcelłę szybko przeszył spazm rozkoszy. Zatkęła. Spojrzała na Romana i zobaczyła wykrzy-

wioną, niemal gniewną twarz, wpatrzone w nią czarne oczy. Otworzył usta, wywrócił do góry oczy i ryknął głośno. Czuli w sobie jego dreszcze rozkoszy, rozkosz zawładnęła nią całkowicie, otoczyła, zmuszając do dania słodkiego, długiego nura w omdlenie seksualnego spełnienia. Zamarli na jedną cudowną chwilę. Potem poruszyli się lekko, a rozkosz się dopełniła, wyrываяc ze splecionych ciał ostatnie, uroczne doznanie.

Roman zasnął prawie natychmiast i wkrótce zachrapał. Marcelli udało się go zsunąć, ale nadal obejmował ją ramionami jak rozpieszczony mały chłopiec. Rozejrzała się po nagim pokoju, mimowolnie wyobrażając sobie drobne ulepszenia, jakie mogłaby tu wprowadzić. Zasłony z dobrego materiału, kilka przyzwoitych foteli.

Wyobraziła sobie intensywny seksualny związek bez wielu rozmów. Jak powiedziałyby ludziom, że jej kochanek jest fryzjerem? - pytała siebie.

- Cóż, to dobra, uczciwa praca, która daje pewnie przyzwoite zarobki. Zapadła w sen w męskich ramionach.

Obudziła się z pulsującym bólem głowy, czując na oczach blask słońca. Obróciła się i dotknęła Romana. Leżał twarzą w dół niczym umarły. Oboje byli nadzy; nie skrywało ich nawet prześcieradło. W pokoju panował upał i zaduch

- okna pozostały zamknięte na głucho.

Nachyliła się nad kochankiem. Nawet we śnie wysuwał z rozdrażnieniem dolną wargę, a długie czarne rzęsy nadały jego zmysłowej twarzy rys dziecięcej niewinności. Musiała przyznać, że był piękny. Pomyślała, że fotografia jego profilu, takiego, jakim go teraz widziała, mogłaby doskonale pojawić się na reklamie wody kolońskiej.

W łazience panował mrok nawet po zapaleniu maleńkiej żółtej żarówki. Wypłukała usta i umyła twarz, zwracając uwagę na brak tych wszystkich rzeczy, o jakich samotny mężczyzna zapominał - ładnych ręczników, maty. Czy pozwoliłby jej kupić kilka drobiazgów, które dodałyby mieszkaniu nieco koloru i ciepła? Wyobraziła sobie, jak kursuje między Majorką a Nowym Jorkiem, robi zakupy u Macy'ego i Bloomingdale'a, żeby uczynić życie Romana nieco bardziej wygodnym. Czasami przyjeżdżałby do Nowego

Jorku na tydzień lub dwa. Kiedy dwoje ludzi łączył tak cudowny seks, musiał istnieć sposób na wspólne życie. Wróciła chyłkiem do sypialni i spróbowała otworzyć okno, żeby wpuścić nieco powietrza. Okno się zacięło, ale w końcu ustąpiło z głośnym trzaskiem, który obudził śpiącego. Roman usiadł natychmiast na łóżku, popatrzył na Marcelłę jak na intruza. Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką.

- *Buenos dias*, Roman! - zaszcebiotała.

Prychnął i odwrócił się na bok. Gdy do pokoju wpłynęło świeże powietrze, wślizgnęła się do łóżka i przytuliła do Romana. Włosy pachniały mu zwietrzałym dymem tytoniowym i miał kwaśny oddech. Marcella znowu zapadła w sen. Kiedy obudzili się po godzinie, wszedł na nią, na poły śpiąc. Tym razem był mniej delikatny, ale doprowadził Marcelłę do szybkiego, wydajnego orgazmu; zaborczy sposób, w jaki cieszył się jej ciałem, działał jak swego rodzaju stymulator.

Poszedł do łazienki, głośno zamykając za sobą drzwi, po czym usłyszała szum prysznic. W końcu wyszedł z włosami mokrymi, lśniąco i zaczesanymi do tyłu. Poszedł do kuchni, by zaparzyć mocnej kawy, postawić na stole paczkę krakersów i masło, wszystko to robił z powagą starego angielskiego służącego. Do śniadania Marcella ubrała się w szlafrok znaleziony w łazience. Roman siedział w spodniach od piżamy. Zanim zdążyła go powstrzymać, nalał gorącego mleka do jej kawy. Mleko cuchnęło spalenizną. Było wpół do dwunastej. Roman nie odezwał się ani słowem. Kawa miała gorzki smak, ale Marcella zmusiła się do wypicia. Roman zapalił papierosa i wstał, żeby zmyć naczynia, gestem odrzucając ofertę pomocy. Marcella stała przez chwilę, już miała pogłodzić szerokie, opalone ramiona, ale poczuła, że nie byłoby to właściwe. Zdecydowała, że lepiej wyjść.

Ubrała się w to, co miała na sobie zeszłego wieczoru, zrobiła makijaż, znalazła w torebce okulary słoneczne. Po powrocie do kuchni zobaczyła Romana metodycznie wycierającego naczynia w przerwach między pociągnięciami papierosa. Poczula falę irytacji. Czyżby tak bardzo się pomyliła?

- *Adiós* - spróbowała. Odwrócił się.

- *Adiós* - zgodził się Roman.

W drzwiach się zawahała. Czy zachowywała się głupio?

- Czy spotkamy się znowu?

Wykonał gest nakręcania numeru telefonicznego.

- Telefon - powiedział. - Do salonu.

- Czy zechciałbyś pójść dziś wieczorem na kolację? - spytała z uśmiechem.

- Jestem zajęty. - Niecierpliwie potrząsnął głową. - Zadzwoń do mnie!

- Mam lepszy pomysł - odparła, sięgając po wizytówkę salonu fryzjerskiego, którą jej wręczył. Na odwrocie napisała swoje imię, numer pokoju, nazwę hotelu i oddała wizytówkę Romanowi. - Ty zadzwoń do mnie.

Nachyliła się, żeby pocałować go w usta. Mogła przysiąc, że łączą ich wyjątkowe zmysłowe fluidy. Spojrzała na nagie mieszkanie. Chyba jednak będzie musiało dać sobie radę bez jej ręki.

Poszła do windy i nacisnęła guzik. Kiedy odwróciła się, żeby się pożegnać, usłyszała trzask zamykanych drzwi i łoskot zasuw.

- A więc, *adiós* - powiedziała, zdziwiona.

W windzie usiłowała zachować spokój, poczuć odrobinę triumfu. Dostała to, czego chciała, prawda? Jednak znalazłszy się na rozpalonej, opustoszałej niedzielnej ulicy, przy której wszystkie sklepy były pozamykane, poczuła gniew i upokorzenie. Pomyślała, że Roman może ją obserwować z okna balkonowego, więc próbowała iść beztrąsko w skwarnym słońcu, jak gdyby często przechadzała się w południe w czarnej sukience wieczorowej po pustej ulicy na Majorce.

Spodziewałaś się może, że się w tobie zakocha? - zaśmiała się Amy.

Tego samego dnia siedziały nad basenem hotelowym, w cieniu dużego pomarańczowego parasola, popijając świeży sok grejpfrutowy.

- Nie wiem, czego się spodziewałam - odparła Marcella z kwaśną miną. - Może trochę więcej, niż dostałam.

- Cóż, dostałaś więcej niż większość kobiet ostatniej nocy na Manhattanie! - zauważyła Amy.

Marcella odstawiła szklankę.

- Byłoby miło, gdyby zechciał się ze mną znowu spotkać, to wszystko!

Amy przyjrzała się przyjaciółce.

- Jedyne poważne pytanie, jakie powinnaś sobie zadać, to czy potrzebujesz go znowu do ułożenia ci włosów - zachotała.

- Tylko, jeśli naprawdę wrócą tapirowane loki z lat sześćdziesiątych! - mruknęła Marcella, kręcąc głową.

- Dzielna dziewczyna! - stwierdziła z aprobatą Amy. - Nigdy nie zapominaj o poczuciu humoru. Przyjechałaś tu, żeby się rozerwać, a nie martwić jakimś fryzjerem! Tutejsi mężczyźni są lepsi, kiedy ograniczasz się do jednej nocy. Teraz posłuchaj o Juanie...

Po pięciu kolejnych nocach i pięciu kolejnych mężczyznach, wspomnienia Marcelli zaczęły się zacierać. Dlaczego to robię? - zadawała sobie pytanie. - Dlaczego redukuję się do tego śmiesznego poziomu?

Bardzo młody, cudownie przystojny chłopiec usiadł obok niej w barze otwartym do późnych godzin nocnych. Wyraz jego twarzy dobitnie mówił, że omdlewa z pożądania. To przedstawienie wzburzyło zmysły Marcelli. Zaciągnął ją do swego dusznego mieszkania niemal drzwi w drzwi przy barze, jak gdyby zasadzał się na kobiety niczym pajak w pajęczynie. Rozebrał się do naga, wskoczył do obskurnego łóżka i usiadł czekając, aż Marcella pójdzie w jego ślady. Później przeklinała się za taką uległość. Jeśli rozbiera się dla mężczyzny w godzinę po zawarciu znajomości, nie powinna spodziewać się wielkiego szacunku!

Inny mężczyzna, którego poznała, był od niej niższy o blisko dziesięć centymetrów, brodaty, nieprzystojny, ale obdarzony obezwładniająco miłym dotykiem. Emanował wibracją, która wydała się Marcelli nieodparcie zmysłowa. Jechali na drugą stronę wyspy, a Marcella miała wrażenie, że podróż ciągnie się godzinami. W sypialni zaciągnął dużą szafę na środek pokoju, żeby kochając się, mogli się oglądać w lustrze wiszącym na drzwiach. Chłopak zerkał ukradkiem na ich odbicie, jakby oglądał film pornograficzny. Kiedy Marcella opowiedziała o tym następnego dnia przy śniadaniu, Amy omal nie spadła z krzesła.

- Chcesz wykorzystać to w swojej książce, czy ja mogę to zrobić? - błagała.

Marcella nie ośmieliła się wyznać, że wcisnęła małemu brodaczkowi swój numer telefonu, praktycznie błagając go o telefon. Kiedy następnego dnia nie zadzwonił, czuła wielki zawód. Co jej dolegało? Zachowywała się jak nastolatka! Czy dlatego, że, z wyjątkiem Harry'ego, nigdy nie umawiała się na randki? Czy nie potrafiła sobie poradzić z najprostszym związkiem? Przypomniała sobie, że to tylko wygodniejsza wersja seksu z klubu Członkowie; tutaj łóżko zastępowało pluszowy fotel.

Szóstego dnia Marcella urwała się Amy, porzucając wytworny hotel na rzecz krętych, brukowanych uliczek Starego Miasta Palmy. Tutaj, w cieniu olbrzymiej katedry, znajdowali się prawdziwi ludzie i prawdziwe twarze, nie tylko spaleni słońcem turyści. Tutejsi mieszkańcy patrzyli na nią, uśmiechali się. Spacerowała szczęśliwa, ciesząc się europejskimi zapachami mocnego tytoniu, rynsztoków, kawy, nasłonecznionych ścian i ociekających wilgocią zaułków pełnych dzikich kotów. Kobiety odbierały dzieci ze szkoły. Starzy mężczyźni czytali gazety porozkładane na kawiarnianych stolikach. Wirowała mieszanina języków - hiszpańskiego, niemieckiego, angielskiego, francuskiego. Ta podróż dostarczyła jej przynajmniej pomysłu na nową książkę: dwie kobiety polują na wakacjach na mężczyzn. Jedna z nich znajdowałaby w tym samą przyjemność (Amy), podczas gdy druga wpadałaby w coraz większe przygnębienie, sypiając, z kim popadnie (ona). Oczywiście zamaskuje ich postacie, dając im inne zawody. Będą dwiema sekretarkami, które przez dwa lata odkładały pieniądze na tę podróż. Postanowiła zamieścić ironiczne, ale ociekające zmysłowością relacje z romansów, oparte na doświadczeniach z poznаныmi przez siebie mężczyznami. Rozsądniejsza z dwóch bohaterek dojdzie do wniosku, że potrzebuje mężczyzny nie tylko do uprawiania seksu, ale po to, by robić z nim różne rzeczy, na przykład rozmawiać. Och, jak bardzo tęskniła za mężczyzną, z którym mogłaby gawędzić, jadać kolacje, dyskutować, spacerować, prowadzić cywilizowane życie, dzielić się najprostszymi przyjemnościami.

Wyobrażała sobie te wakacje z ukochanym u boku; dzieliłaby się z nim odkryciami w poranek taki jak ten, oglądałaby razem z nim wystawy sklepowe pełne najdziwniejszych mieszanek towarów. Pokazałaby mu ten sklepik, gdzie sprzedawano tylko mydło i damską bieliznę, jakby te dwie rzeczy coś łączyło. A także sklep z artykułami gospodarstwa domowego wystawiający paczki środków czyszczących i szczotek w czystym oknie, każdy przedmiot otoczony wystarczającą przestrzenią, by nadać mu ważność cennego klejnotu. Chciała kogoś szturchnąć i pokazać sklepiki skryte w mroku, gdzie zakurzona żółta żarówka zapalała się tylko wtedy, gdy ktoś wchodził.

Kupiła kilka kolorowych koszulek dla Marka, bo kupując dla niego, zbliżała się do syna na kilka chwil. Trąciła, jak bolący ząb, swoje niepowodzenie z Sonią, dzielącą je obcość, i obiecała sobie, że po powrocie do Nowego Jorku włoży więcej wysiłku w tę sprawę. Czy mogłaby z nią szczerze porozmawiać o tym, dlaczego chodziła do Członków, wytłumaczyć córce popędy, których nawet sama Marcella w pełni nie pojmowała?

I wtedy, idąc ulicą oblaną ukośnymi promieniami słońca, postanowiła, że podczas tego pobytu nie prześpi się już z żadnym mężczyzną. Żadnych obcych łóżek. Te kilka godzin intymności sprawiało tylko, że czuła się potem jeszcze gorzej. Dzięki powzięciu tej decyzji zrobiło jej się znacznie lepiej, jakby wspięła się na jakiś nowy, spokojniejszy poziom. Niech Amy robi sobie, na co ma ochotę, ona miała zamiar zostawać wieczorami w hotelu, czytać przywiezione książki albo robić notatki do nowej powieści. Będzie pisać o miłości, zamiast jej głupio szukać. Poza tym pisanie było o wiele łatwiejsze niż życie.

Dotarła do końca wąskiej ulicy. Podniosła wzrok i ujrzała balkon zastawiony palmami w donicach; słońce ślizgało się po wierzchołkach najwyższych roślin. W klatce skrzeknęła papuga. Pranie suszyło się na sznurach rozwieszonych nad ulicą jak w malowanej scenografii do operetki. Marcella uwieczniła te szczegóły w notatkach, żeby później wykorzystać je w powieści. W tle wznosiły się wysoko miodowe mury katedry, lśniąc w słońcu. Poczwała nagle pragnienie,

żeby wejść tam i zapalić świeczkę za ojca, tu, na Majorce, gdzie nigdy nie był.

Podejście brukowaną ulicą było strome; do masywnej, obramowanej drewnem bramy wejściowej wiodły imponujące schody. Głęboka płaskorzeźba na drzwiach przedstawiała tuziny aniołów. Po wejściu do katedry Marcella przez chwilę nic nie widziała, oślepiona kontrastem między nasłonecznioną ulicą a mrokiem świątyni. Ostrożnie ruszyła ku blaskowi świec stojących w połowie nawy, na podeście z kutego żelaza. Na kamiennej posadzce lśniły łaty czerwieni, królewskiego błękitu i żółci, wywołane słońcem wlewającym się przez potężne okrągłe witraże.

Wzrok Marcelli powoli wyodrębnił z mroku sylwetki czarno odzianych kobiet, klęczących lub siedzących na wytartych drewnianych ławkach; pochylone głowy, poruszające się usta.

Świeczki sprzedawano po dwadzieścia pięć peset. Marcella nabyła dwie, wrzucając monety do drewnianej skrzynki. Odpaliła od innych, po czym włożyła w metalowe uchwyty. Dla ciebie, tato - pomyślała. - Czy czuwasz nade mną? Na myśl, że jest przy niej w tym momencie, poczuła cudowną ulgę. Jeśli jednak chciała czerpać pociechę z tej myśli, musiała wierzyć, że ojciec obserwuje ją nie tylko we dnie, ale i w nocy. Pomyślała o Nowym Jorku, skierowała maleńki teleskop na Manhattan i widziała własną, małą postać zmierzającą ku Dziewiątej alei w celu nasycenia pragnień. Z tej odległości nie rozumiała, dlaczego jej noga powstała kiedykolwiek w klubie Członkowie. Zarówno tamte przygody, jak ostatnie noce na Majorce wydały się nagle Marcelli niewiarygodnie obskurne i niegodne. Przeglądając w myślach minione pięć wieczorów, w bezlitosnych szczegółach ujrzała własne uległe ciało, swoją nadzieję, że któryś mężczyzna okaże się może po prostu miły i troskliwy, utwierdzi ją w przekonaniu o własnej wartości. Zrozumiała jasno, jak głupią drogę obrała. To, czego pragnęła, wiązało się z czymś znacznie większym niż seks. Był to wizerunek siebie samej jako osoby, kobiety, która ofiaruje miłość i pragnie jej w zamian. Pragnie jej w zamian! Jak mogła sobie wyobrażać, że w tych warunkach otrzyma w zamian miłość? I dlaczego tak bardzo tego pragnęła? Jej ojciec

ją kochał. Syn ją kochał. Nie musiała wpadać w panikę i chwycić się ślepo wszystkiego, co przechodziło obok. Przez kilka minut siedziała w spokojnej, majestatycznej katedrze, czując przypływ nowej mocy. Dotarła do nowego rozdziału w swoim życiu: witała go z radością! Przez chwilę pozostawała w półmroku, puszczając wodze umysłu, ciesząc się nowym spokojem własnych myśli. Potem, ukojona i odświeżona, wstała i ruszyła ku dużym, rzeźbionym drzwiom, którymi weszła.

Kilka rzędów od niej siedział mężczyzna. Noce w klubie Członkowie zaostrzyły jej wzrok w ciemności, a ten mężczyzna byłby wyjątkowy, zarówno w sali kinowej jak w kościele. Bardzo przystojny, z poważną, pełną uroku twarzą i wyrazistymi oczyma, które obserwowały zbliżającą się Marcellę. Szła wolno między rzędami ławek, próbując nie oglądać się za siebie. Czy dopiero co nie ślubowała, że przestaje się spotykać z mężczyznami? Ale on naprawdę był przystojny, około czterdziestki. Miał pełne, zmysłowe wargi i ostre, dramatyczne rysy, a takie zawsze przyciągały uwagę Marcelli. Mijając go, odwróciła wzrok. Powstrzymała się przed tym, by się obejrzeć, by sprawdzić, czy za nią patrzy. Kościół nie był miejscem na podryw, choćby duchowy. Na zewnątrz blask słońca ją oślepił. Wyjawszy okulary, usiadła na jednej z ławek przy wejściu. Czy pójdzie za nią? Czy kobieta wychodząca z katedry po złożeniu ślubów, że przestanie się oglądać za mężczyznami, mogła znaleźć tego jedyne przy wyjściu?

Ujrzała, jak stanął w drzwiach i zmrużył oczy od blasku tak samo jak ona. Kiedy rozejrzał się, ich oczy się spotkały. Patrzyli na siebie z zażyłością, jak gdyby już kiedyś się poznali. Wyglądał na Włocha, może Hiszpana; miał duże czarne oczy pełne smutku. Ubiór zamożnego Europejczyka: wyprasowane szare spodnie, czyste czarne mokasyny ze skóry. Patrzyli na siebie ciekawie, przykuwając nawzajem swój wzrok tak długo, jak tylko mężczyzna i kobieta mogą patrzeć na siebie, nie śmiejąc się i nie rozmawiając. Nie mogła wykonać pierwszego ruchu: klóciłoby się to ze wszystkim, co obiecała sobie w katedrze. Nie uśmiechnęli się nawet. Mężczyzna rozchylił nieco usta i zmarszczył brwi.

Marcella odczekała kilka chwil. Potem odwrócili się do siebie plecami i odeszli, każde w swoją stronę. Cholera! - zakląła idąc; nowy, spokojny nastrój prysnął. Czowała zawód, jakby straciła wieloletniego kochanka. Dokładnie takiego mężczyznę miała na myśli, kiedy zgodziła się na podróż do Europy; wyobrażała sobie zawsze, że w takim właśnie człowieku się zakochuje. Ta poważna, przystojna twarz gwarantowała trwałość romansu. Taki mężczyzna nie zatrząsał drzwi i nie zamykał ich na klucz, zanim weszłaś do windy!

Szła dalej w zamyśleniu. W pewnym sensie, dobrze było wiedzieć, że taki mężczyzna w ogóle istnieje - zbyt grzeczny i poważny, by zagadywać kobietę na ulicy, zwłaszcza jeśli oboje dopiero co wyszli z katedry. Minęła dwie ulice i odwróciła się, na wypadek gdyby za nią szedł, ale zniknął bez śladu. Marcella znalazła pocztę, gdzie stanęła w kolejce, żeby kupić znaczki. Potem wstąpiła do perfumerii i kupiła prezent dla Nancy Warner. Na zadrzewionej *avenida* o nazwie Es Borne postanowiła napić się kawy. Dochodziła pierwsza: sklepy miano wkrótce pozamykać na trzygodzinną sjestę.

Wybrała najbardziej staroświecką kawiarnię, szczycącą się wciąż oryginalnymi oknami i żyrandolami w stylu art nouveau, starymi kelnerami w eleganckich białych marynarkach. Usiadła przy zacienionym stoliku i zamówiła *café eon leche*.

„Kochany Marku - napisała na pocztówce. - Jest tu tak pięknie, że...”

Ktoś usiadł przy sąsiednim stoliku. Nie podnosząc wzroku, wiedziała kto. Jego obecność zdawała się emanować ciepłem, które docierało aż do Marcelli. Podniosła wzrok i znowu spojrzała w ciemne oczy, tak znajome, że z pełną naturalnością uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dzień dobry.
- Dzień dobry. Pani jest Angielką? - spytał cicho, z obcym akcentem.
- Nie. Amerykanką.
- Nie wierzę! - zawołał.
- Amerykanką włoskiego pochodzenia.

- A! Tak. To możliwe - zgodził się nieznajomy i wstał.

- Czy mogę panią zaprosić?

Zwinnym ruchem wziął rachunek Marcelli spod małego spodka.

- Dziękuję - odparła.

Usiadł przy jej stoliku. Z bliska okazał się nadzwyczaj przystojny, miał opaloną, pięknie rzeźbioną twarz. Głębokie spojrzenie ciemnych oczu nadawało mu wyjątkowy wygląd, a długie rzęsy - przydawały wyrazu nieśmiałości. Zachowywał się pewnie, a jego obecność działała na Marcellę uspokajająco. Zamówił kawę u kelnera. Zanim jeszcze spojrzała na dłonie nieznajomego, wiedziała, jakie są: szczupłe, brązowe palce o krótkich, mocnych paznokciach. Szerokie, sprawne dłonie. Znane ręce. Miał pełne usta, a białe zęby były nieco wystające, lecz w uroczy sposób. W Ameryce wyprostowano by mu je za pomocą aparatu w wieku lat nastu. Tutaj pozostawiono zęby w ich naturalnym stanie, a za każdym razem, kiedy się uśmiechał, bez powodzenia usiłował trzymać wargi razem, przez co uśmiech stawał się nieśmiały.

- Dobrze zna pani Majorkę? - zapytał. - Czy przyjechała pani na wakacje?

- Tak. Pierwszy raz. A pan?

- Mieszkam tu przez część roku i często przyjeżdżam. Sprzedaję obrazy ludziom, którzy chcą je kupować. Nie umiem sprzedawać tym, którzy nie chcą kupować, dlatego nie zarabiam dużo pieniędzy!

- Mówi pan bardzo dobrze po angielsku.

- Oglądam dużo amerykańskich filmów!

Podano mu kawę, do której wsypał torebkę cukru, mieszając wolno i przyglądając się Marcelli.

- Wybacz mi pani, że nie mogłem uwierzyć, iż jest pani Amerykanką. Zawsze myślę o Amerykanach jako o niebieskookich blondynach, a pani ma taki śródziemnomorski wygląd.

- Rzeczywiście czuję się tu jak w domu - potwierdziła.

- Mój ojciec był Włochem. Może to dlatego.

- Czy zwiedziła pani wyspę? Potwierdziła skinieniem głowy.

- Jest taka piękna. Zatrzymałam się w Son Vida. Widok stamtąd jest bajkowy!

- Ale... - Zmarszczył czoło. - Oczywiście widziała pani inne miejsca? Valldemossa? Deya?
- Nie - odparła Marcella. - Tylko Palmę. Dzisiaj zwiedzałam na własną rękę okolice katedry...
- Czy pozwoli pani, żebym pokazał moją wyspę? - Nachylił się żarliwie. - To najpiękniejsze, zaczarowane miejsce. Jedna z naszych pieśni nazywa ją *isla misteriosa*. Majorka jest pełna niespodzianek. Byłoby bardzo smutne myśleć, że ktoś taki jak pani odwiedził Majorkę i nie zobaczył jej dokładnie.
- Popatrzyła w jego poważne oczy. Był inny niż wszyscy mężczyźni, których dotąd spotkała. Zabawne, że nie miało większego znaczenia, o czym rozmawiała z nieznajomym. Pod powierzchnią słów zdawał się płynąć jakiś ukryty prąd.
- Nazywam się Santiago Roca. - Wyciągnął rękę i ujął dłoń Marcelli w ciepłym uścisku. - Rodzina i przyjaciele nazywają mnie Santi.
- Santi. - Niemal szepnęła. Puścił jej dłoń z uśmiechem.
- A pani?
- Przepraszam. Marcella Winton.
- Winton to włoskie nazwisko?
- To nazwisko po mężu. Nazywam się Marcella Balducci Winton.
- Skinął głową.
- W Hiszpanii też zachowujemy dwa nazwiska. Naprawdę nazywam się Santiago Roca Grimalt.
- Powiedział to z taką dumą, że mimowolnie się uśmiechnęła.
- Marcella... - wypowiedział jej imię powoli, pieszcząc je miękim akcentem, przeciągając dźwięcznie „r”. - Pani jest mężatką?
- Rozwódką.
- Ja też się rozwiodłem. - Uśmiechnął się smutno. -Dawno temu.
- Powiedział pan, że mieszka tu przez część roku. A przez resztę?
- W Barcelonie. Przyjeżdżam tu w interesach i żeby zobaczyć swój dom. Moja matka pochodzi z Majorki. Jej siostra zostawiła mi swój dom. Mój ojciec pochodzi z Barcelony, więc mam w sobie obie połowy.

- Obie połowy? - Marcella zmarszczyła brwi.
- Majorkańską i hiszpańską!
- Myślałam, że Majorka jest hiszpańska?
- Nie, różnią się bardzo. - Otworzył szeroko oczy. - Oczywiście, oficjalnie Majorka jest hiszpańska, ale ludzie, zwyczajnie... - Zrobił gest, jakby się poddawał. - Będę musiał pani pokazać. To łatwiejsze niż mówienie! Ja... - Urwał, marszcząc brwi. - Kiedy widziałem panią wcześniej, przed katedrą... - Przesunął palcami po rękawie jej sukienki, kiwnął głową. - Proszę mi wybaczyć. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie zrobiłem. Przerazają mnie mężczyźni, którzy przysiadają się w kawiarniach do pięknych kobiet i próbują... - Znowu urwał. - Musiałem z panią pomówić, bo... - Przerwał, podnosząc na nią wzrok. - Czułem, że musimy się znać. Ze znaliśmy się nawet przed dzisiejszym dniem.
- W innym życiu? - podsunęła Marcella ze śmiechem. Przytaknął, a miejsce zmarszczek powagi zajął uśmiech, który wywarł na Marcelli piorunujące wrażenie. - Czy wierzy pani w... - Ściągnął usta, szperając w pamięci. - Shirley MacLaine?
- Zaczynam wierzyć - odparła ze śmiechem. - Bo pan też wydaje mi się znajomy. No, ale oto jesteśmy, przedstawiliśmy się sobie. Jestem pisarką. Piszę powieści. Mieszkam w Nowym Jorku i...
- Marcello! - Przerwał jej prawie urażony. Nigdy wcześniej nie widziała na męskiej twarzy takiego wyrazu półzdumienia, półsmutku. - Może pomyśli pani, że jestem szalony, ale czuję, że spędzimy razem resztę życia. Może się pani śmiać, ale to właśnie chciałem pani powiedzieć.
Zaśmiała się, ale śmiech uwiązał jej w gardle. Serce zamarło, przypomniała sobie o obietnicy złożonej w katedrze, więc szybko obróciła wszystko w żart.
- Niewątpliwie! - zawołała. Postanowiła podjąć grę. - Nie tylko resztę tego życia, ale i następnego, kiedy wrócimy w postaci kotów czy ryb!
Spojrzał na nią z lekkim niepokojem, jakby zawiodła jego oczekiwania.
- Przed katedrą - ciągnął - nie miałem odwagi, żeby się do pani odezwać, odszedłem i, jak to się mówi: wrzuciłem sobie?

- Zarzucałem - poprawiła.

- Tak! Zarzucałem sobie, że się nie odezwałem. Pomyślałem: „To mała wyspa. Zobaczę ją znowu. Jeśli los tak chce...”

- I ja tak myślę - przyznała.

Los! Tak, miło było w to wierzyć, ale obiecała też sobie, że weźmie życie we własne ręce.

- Dlatego teraz... - Santi spojrział na nią radośnie, pozwalając, by słowa odpłynęły. Upił łyk kawy. - Teraz nie pozostało już nic do powiedzenia.

Pozwolił, by milczenie opadło na nich, a było kojące, spokojne, co jest niezwykłym milczeniem między dwojgiem obcych ludzi. Spojrzała na profil Santiiego. Był albo szaleńcem, albo najbardziej romantycznym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Co by powiedziała Amy? Marcella słyszała jej głos: „Ty i twoje romanse, Marcello! Daję temu trzy dni!”

- Jestem tu z przyjaciółką - powiedziała nagle Marcella.

- Obiecałam, że wrócę na lunch.

Był taki piękny, miły; chciała odejść i myśleć o nim. Niemożliwe, że należał do rzeczywistości - to zbyt wiele jak na ten jeden dziwny poranek.

- Oczywiście! - Wstał uprzejmie, kiedy zbierała torby z zakupami. - Ale pozwoli pani, żebym pokazał jej wyspę?

- Ja... - Wepchnęła pocztówki do torebki i wyrzała na ulicę w poszukiwaniu taksówki. - Oczywiście, z przyjemnością, ale...

- Dziś wieczorem? - spytał. - Mógłbym po panią przyjechać o ósmej. Mielibyśmy jeszcze czas, żeby zobaczyć Vall-demossa, zanim zapadnie zmrok!

Zawahała się, tracąc na chwilę głowę.

- Dobrze! - powiedziała wreszcie. - Dziękuję. Ale nie powinien pan się przejmować moją przyjaciółką - ostrzegła.

- Jest bardzo ciekawska i zada panu mnóstwo pytań! Zaśmiał się, kładąc pieniądze na stole. Potem przywołał dla niej taksówkę.

- Nie mam nic przeciwko pytaniom. Ciebie też chcę o wiele rzeczy zapytać, Marcello!

Pomógł jej wsiąść do taksówki i zamknął drzwiczki.

- Dziękuję za kawę - powiedziała przez okno.

- Proszę - odparł z lekceważącym gestem. - Hotel Son

Vida, *por favor* - powiedział kierowcy i pomachał Marcelli na pożegnanie.

Taksówka ruszyła szybko, a Marcella obejrzała się za siebie, żeby upewnić się, czy Santiago jej się nie przyśnił.

Dobrze, że cię widzę! - wybuchnęła Amy, kiedy Marcella znalazła ją w bufecie na tarasie, gdzie Amy nakładała sobie na talerz stertę sałatki. - Właśnie zorganizowałam dla nas podwójną randkę na dzisiejszy wieczór. Zielonoocy Hiszpanie! Najdłuższe rzęsy, jakie kiedykolwiek widziałas. A te ciała! Przyjdą po nas o dziewiątej. Co to jest, krab?

- Wepchnęła Marcelli talerz do rąk.

- Co z tobą? Wyglądasz dziwnie?

MarceUa trzymała talerz, patrząc na przyjaciółkę. Na twarzy Amy widziała zmysłową determinację. Sypiałaś z tyloma mężczyznami, z tyloma obcymi, ponieważ nie udało ci się nawiązać jednego zadowalającego związku z jednym mężczyzną! Dlaczego zrozumienie czegoś tak prostego zajęło mi tyle lat? - myślała. Amy nałożyła jej sałatki i MarceUa poszła za nią do stolika, skąd rozciągał się widok na Zatokę Palmy w dole. Amy miała na sobie różowe spodnie matadora, a duże ciemne okulary zsunęły jej się na nos, kiedy obróciła się na krześle, żeby spojrzeć na Marcellę.

- Nigdy cię takiej nie widziałam! - stwierdziła. - Co się stało?

Marcella zaśmiała się, kładąc serwetę na kolanach, kiedy kelner nalewał jej wina.

- Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam dziś rano, było pójście do katedry. Cudownie!

Amy zmarszczyła brwi i włożyła do ust widelec sałatki.

- Potem się modUłam, Amy. Widelec Amy zamarł.

- Nie miałam pojęcia dlaczego - stwierdziła, patrząc na przyjaciółkę. - Zazwyczaj nie jestem zbyt reUgijna, ale dzisiaj potrzebowałam pomocy.

- Sądziłam, że bawisz się świetnie! - krzyknęła Amy. - Dlaczego nie zapukałaś do mnie, żebym ci dała valium?

Marcella dotknęła jej ręki.

- Proszę cię, Amy, nie bierz tego do siebie. Nagle zniena-

widziałam wszystko, co tu robiłam. Nie tylko tu, także w Nowym Jorku. Tak cię cieszę, że weszłam do tej katedry. Zapaliłam świeczkę za ojca, przyjrzałam się dokładnie swemu życiu i pomodliłam się.

- Sądząc po twoim wyglądzie, jeszcze nigdy nie odpowiedziano szybko na czyjaś modlitwę - stwierdziła ze zdumieniem Amy. - Co się stało? Zobaczyłaś swoją książkę na wystawie?

Marcella wybuchnęła śmiechem. Zdała krótkie sprawozdanie ze spotkania z Santim. Amy słuchała jej, patrząc na Marcellę z twarzą, która nie wyrażała nic poza zdumieniem. Kiedy Marcella skończyła, Amy sięgnęła po jej talerz.

- Nie zjesz nawet kęsa tej sałatki, co? - Zamieniła talerze i jadła dalej.

- Nie wierzysz mi, tak? - krzyknęła Marcella. - A w twoich powieściach aż roi się od kobiet, które spotykają cudownych mężczyzn!

- To fikcja literacka! - oświadczyła zdecydowanie Amy. - Pamiętasz, jak cię zranił ten głupi fryzjerszyk? Nie chcę patrzeć, jak rozsypujesz się po każdym drobnym romansie. Nie trwoń serca, Marcello. To, co mi opowiedziałaś, brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe!

- Co mam do stracenia, skoro on chce mi tylko pokazać trochę pięknych widoków na wyspie? - spytała Marcella.

- Właśnie ci powiedziałam. Serce!

Po lunchu Marcella poszła do swego pokoju. Nie zakochuj się w nim jeszcze przed pierwszą randką - upominała się. A jednak samo wspomnienie spojrzenia oczu Santiago mówiło jej, że mogła mu zaufać. To uczucie było wspaniałe, bezpieczne, przekonujące. Wyobrażała je sobie dawniej, pisała o nim, ale nigdy nie przeżyła. To uczucie, kiedy poznajesz kogoś i przez cały dzień cieszysz się na spotkanie. Kiedy wciąż jest w tobie coś nieznanego, świeżego, tajemniczego. Gdyby tylko mogła dokładnie przelać to uczucie na papier! Ale życie już wyprzedzało jej talent; opisywanie tych odczuć nie oddałoby im sprawiedliwości. Po raz pierwszy, a w każdym razie dzisiaj, życie było lepsze niż pisanie!

Dwie minuty przed ósmą Santi podjechał pod hotel małym, pomarańczowym samochodem. Marcella obserwowała go, stojąc przy recepcji. Zobaczyła, jak parkuje ostrożnie, a potem zerka we wsteczne lusterko, żeby wygładzić włosy zwilżone i zaczesane do tyłu, przez co ciemne oczy zdawały się jeszcze większe. Kiedy wysiadł z samochodu, Marcella wróciła biegiem do Amy, siedzącej z butelką mrożonego szampana na przesadnie wypchanej kanapie.

- Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona - wyznała Marcella, upijając łyk szampana. - Nie zapomnisz słowa-klucza?

Ustały, że jeśli Amy wspomni o Coca-Coli, będzie to oznaczało, że według niej Marcella i Santi to „poważna sprawa”.

- Myślisz, że nas zauważy? - spytała Marcella, nachylając się tak, by widzieć drzwi obrotowe.

- Spokojnie! - Zaśmiała się Amy. - Znajdzie cię!

Santi wszedł do hallu, a Marcella wstała i pomachała w stronę jego wysokiej, rozglądającej się niepewnie postaci. Miał na sobie blezer, szare spodnie i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Ona założyła zielony lniany kostium i zamszowe czółenka na niskim obcasie. Podeszła do niego szybko, a Santi ujął jej dłoń i pocałował. Potem zaprowadziła go do Amy.

- To moja bardzo bliska przyjaciółka, Amy Jagger. A to mój nowy przyjaciel, Santi Roca.

- Czy może krewny Almonda? - spytała Amy. Santi musnął jej dłoń ustami.

- Słucham?

Amy poklepała go uspokajająco.

- Nie przejmuj się mną. Stale robię dowcipy!

- Czytałem kilka z nich - oznajmił. - W twoich *Suwakach*. Bardzo ciekawe, zabawne i bardzo dobrze napisane.

Amy otworzyła szeroko oczy.

- Wiedziałam, że przetłumaczono je na hiszpański, ale nie sądziłam, że ktokolwiek je czyta. - Spojrzała na Marcelę.

- Zamówmy Coca-Colę! - zaproponowała.

- Mamy szampana! - odparła Marcella, a potem zamilkła, uśmiechnęła się, ujmując Santię pod ramię i wymieniła spojrzenia z Amy.

- Czytałeś książkę Marcelli? - spytała Amy.

- Ta przyjemność ciągle jest przede mną.

Amy zawahała się, czy opowiedzieć kolejny dowcip, ale Marcella dała jej wzrokiem znak, żeby tego nie robiła.

Usiedli na kanapie, a Amy naląła im po kieliszku szampana.

- Wypijmy więc za dzisiejszą noc! - wzniosła toast, unosząc wysoko kieliszek.

Spojrzała na Marcellę i przewróciła oczami, jak gdyby nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

Pożegnali się z Amy. Samochód Santię okazał się skromny, ale właściciel utrzymywał go w takiej czystości i zapiął jej pas z taką uwagą, że miała wrażenie, iż wyrusza w zaczarowaną podróż.

Kiedy jechali krętą szosą biegnącą w dół od hotelu, Santi powiedział:

- Pojedziemy do Yalldemossy. Chopin zatrzymał się tu zimą tysiąc osiemset trzydziestego siódmego roku. Niestety wybrał bardzo złą zimę i jego gruźlica się rozwinęła. George Sand była jego kochanką i mieszkała tu razem z nim.

Chociaż był chory, napisał tu niektóre z najlepszych utworów.

- Mój syn uczy się gry na fortepianie - powiedziała Marcella. - Będzie zachwycony, kiedy mu o tym opowiem.

- Masz więcej dzieci? - spytał Santi.

- Sonię, która ma siedemnaście lat, a Mark osiemnaście.

- Mieszkają z tobą?

- Tak - odparła, po chwili wahania.

Zbyt trudno byłoby rnu wytłumaczyć, dlaczego Sonia się wyprowadziła.

Jechali przez równinę, mijając gaje oliwne, aż zaczęli wspinać się na kolejne wzgórze. Była ósma piętnaście, a zachód słońca przeszedł w barwę różano-złotą. Słońce przeświecało przez dym ognisk, w których palono suche gałęzie, co przesłaniało krajobraz lawendową mgiełką.

- Dojeżdżamy do Yalladosy - ogłosił Santi, kiedy wzięli zakręt, a ich oczom ukazała się wioska położona wysoko nad nimi.

W tym świetle i pod tym kątem wydawała się wisieć na niebie.

- Mój Boże! - wykrztusiła Marcella. - Nie miałam pojęcia! Uliczki, stare, pięknie zachowane domy i kościoły, układały

się jak warstwy tortu weselnego; najwyższe budynki szczyły się iglicami lub dzwonicami malowniczo wycelowanymi w niebo. Małe cyprysy podkreślały urodę budynków swymi kształtami przypominającymi cygara, a domy zbudowano z tego samego różowego kamienia, który dominował w okolicznych górach. Wszystkie zabudowania chełpiły się takimi samymi dachami, pokrytymi wytartą różową dachówką.

Wieczór nadal spowijała fiołkoworóżowa mgiełka. Sanu' zaparkował samochód przy klasztorze i poszli przez krużganki do różanego ogrodu, gdzie kiedyś spacerował Chopin. Kręciło się tam kilku samotnych turystów, ale Marcella i Santi mieli to miejsce dla siebie. Ponad murem okalającym ogród spojrzeli na rozciągającą się pod nimi dolinę.

Aromat dymu z ognisk mieszał się z zapachem róż i sosen. Marcella odetchnęła głęboko i zamknęła powieki. Nigdy nie chcę zapomnieć tego zapachu - powiedziała sobie. - Ani tej chwili. Otworzyła oczy i napotkała wzrok Santiego.

- To najpiękniejszy widok, jaki widziałam w życiu - wyznała. - I jak cudownie tu pachnie! Nigdy bym tego nie zobaczyła, gdybyś mnie tu nie przywiózł. Dziękuję.

Jego uśmiech powiedział jej, jak bardzo był dumny ze swej wyspy. Przeszli się po sennej, małej wiosce, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, a grupki ludzi ustawiały

krzesła przed domami, by siedzieć na ulicy i cieszyć się wieczornym chłodem.

- Większość odwiedzających Majorkę uważa, że wyspa składa się głównie z hoteli, restauracji i dyskotek - powiedział Santi. - W latach sześćdziesiątych boom turystyczny faktycznie zepsuł część wybrzeża, ale ocaliliśmy połowę wyspy dla siebie i właśnie ją ci pokażę!

Uliczki były brukowane, strome i wyszlizgane wieloletnim użytkowaniem. Marcella poślizgnęła się w nowych pantoflach, a Santi delikatnie wysunął pomocną dłoń. Na łokciu czuła ciepło jego dłoni, spokojny, równomierny żar, tak odmienny od dłoni mężczyzn, jakich знаła.

Ściemniło się, a Santi zaprowadził Marcellę do małego staromodnego baru z drewnianą boazerią, okrągłymi stolikami o marmurowych blatach i gazetami rozłożonymi dla gości.

- Czy próbowałaś wódki Pało? - spytał, kiedy usiedli. - Można ją dostać tylko na Majorce. To dziwny napój. Przybysze albo ją bardzo lubią, albo nie cierpią. Jeśli okaże się, że jej nie cierpisz, ja wypiję! - zapewnił ją.

Kiedy podano drinki, Santi wznosił swoją znacznie większą szklankę w toastie.

- Dlaczego ty masz lód i cytrynę? - spytała Marcella.

- Ponieważ istnieją dwa sposoby picia Palo. Powinnaś spróbować obu.

Zaczerpnęła łyk z maleńkiej szklanki. Płyn był gęsty, ciemnoczerwony, ognisty i słodki. Rozlewał się w żołądku falą ciepła.

- Mmm, dobra - powiedziała. - Ale bardzo mocna. Podsunął jej swoją mieszankę.

- Teraz spróbuj moją!

- Wolę twoją! - przyznała. - Jest mniej słodka i nie tak gęsta.

Santi promieniał.

- To prawdziwy sposób majorkański.

Skinął głową, zadowolony, jakby Marcella zdała swego rodzaju egzamin. Oddał jej szklankę kelnerowi, z instrukcjami, jak poprawić drinka.

Oparła się na stole, przyglądając się jego surowej, przystojnej twarzy. Mogła godzinami patrzeć na zmieniające się miny wyrażające naiwność i gorliwość dziecka połączone z powagą dorosłego.

- Dlaczego tak cię cieszą rzeczy związane z Majorką?

- spytała.

- Myślę, że jestem bardziej Majorkańczykiem niż Hiszpanem - odparł z uśmiechem. - Może dlatego, że moja matka pochodziła z Majorki i spędzaliśmy tu wiele czasu... całe lato, Wielkanoc, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Majorka stała się dla mnie symbolem magii.

- A co tak bardzo ją różni od Hiszpanii? Wykrzywił twarz w grymasie.

- Bardzo trudno to wytłumaczyć, nie uderzając w tony zarozumiałstwa czy wyższości - zaczął. Zmarszczył czoło, bawiąc się czerwonym trunkiem, obracając go to w tę, to w tamtą stronę. - Jesteśmy wyspiarzami. Sądzę, że jesteśmy spokojniejsi, bardziej cisi i opanowani niż Hiszpanie. Zawsze byliśmy bardziej liberalni, nieco ich w tym wyprzedzamy. Majorkański styl życia cechuje duża tolerancja i dyskrecja.

- Tak - powiedziała. - Zauważyłam, jak mili są Major-kańczycy. Kelnerzy w moim hotelu zawsze...

- To nie są Majorkańczycy! - sprostował szybko Santi.

- Jestem pewien, że pierwszy Majorkańczyk, którego poznałaś, to ja!

- Skąd wiesz? - spytała, marszcząc brwi.

- Ponieważ w przemyśle turystycznym zatrudnieni są głównie Hiszpanie. Majorkańczyków nie tak łatwo rozpoznać. Mogłaś ich widzieć w sklepach. Ale większość z nich to inteligencja pracująca w bankach i urzędach, albo jako lekarze czy prawnicy. Kiedy trzydzieści lat temu zaczął się boom turystyczny, rodziny sprzedawały ziemię. Ale zawsze zachowują dla siebie dom i sad, gdzie żyją cicho i spokojnie.

Po dziesiątej ruszyli w drogę powrotną do Palmy.

- Jesteś głodna?

- Ani trochę.

Po przyjeździe do miasta zaparkował w cichej dzielnicy

mieszkalnej. Wprowadził Marcelłę przez wejście małego nowoczesnego budynku do hallu z białego marmuru. W windzie stał blisko, ale jej nie dotykał. Wyszli na najwyższym piętrze.

- Mam tu dwa mieszkania - wyjaśnił, otwierając drzwi. - Mój dom w Deya został zamknięty na zimę. Chcę, żebyś go zobaczyła, ale w dzień. Tutaj zatrzymuję się, kiedy przyjeżdżam w interesach.

Weszli, a ich kroki rozbrzmiały echem po białych kaflach. Rozejrzała się dokoła z ciekawością. Wyobrażała sobie, że mieszkanie Santiago przypomina inne obskurne pokoje, w których sypiała w tym tygodniu, może okaże się nieco czystsze. Toteż kiedy zapalił światło, krzyknęła cicho ze zdziwienia. Mieszkanie zdradzało smak i dobre wychowanie, które rozwiązywały ostatnie niepokoje Marcelli. Oto człowiek, od którego mogła się uczyć, razem z którym mogła się doskonalić. Przełknęła kulę, która nagle pojawiła się w gardle. Santi rozsunał białe zasłony, otworzył drzwi balkonowe, zapalając zewnętrzne światło, które wydobyło z mroku trzcinowe krzesła i stoły. Wyszli na balkon i wyjrżeli na Palmę. W oddali, na skraju czarnego morza wznosiła się podświetlona katedra, której wieże jaśniały na tle ciemnego nieba.

- Pomyśleć, że poznaliśmy się dziś rano w tym małym budynku - powiedziała Marcella, wskazując ręką.

Santi zniknął w kuchni, po chwili rozległo się dzwonienie kieliszków i butelek. Wrócił z tacą oliwek, orzechów i schłodzoną butelką wina. Kiedy wyciągał korek, zajrzała do pokoju. Pomieszczenie wyglądało prosto i bezpretensjonalnie. Dominujący akcent stanowiły ogromne obrazy wiszące lub oparte o ściany. Większość była czystymi abstrakcjami, chociaż Marcella zauważyła gdzieś peizaż namalowany w wolnym stylu i jedno piękne płótno przedstawiające palmę kołysaną przez wiatr, oddaną w żywej purpurze i czerni.

Długa kanapa, parę foteli, szklany stolik do kawy i dwie lampy tworzyły umeblowanie tego nieco ascetycznego wnętrza. Półki na jednej ścianie wypełniała wyszukana kolekcja małych rzeźb, muszli, wypolerowanych kamieni i skamielin.

Na drugiej półce ugięła się pod ciężarem książek o sztuce i powieści.

- Czy to te prace sprzedajesz? - spytała, wskazując na obrazy.

- Większość z nich, tak. Podobają ci się? Przyglądała się uważnie obrazom, a Santi nalewał wino.

Przeszli do pokoju, z kieliszkami w dłoniach.

- Wszystkie mi się podobają! - Zaśmiała się. - Masz dobry gust. Dlaczego postanowiłeś zajmować się sztuką? Santi uśmiechnął się.

- Miałem wybór: sztuka albo religia. Co byś wybrała? Ja zdecydowałem, że sztuka jest bardziej religijna, bardziej duchowa niż Kościół!

- Naprawdę poważnie myślałeś o karierze duchownego? Skinął twierdząco głową.

- W czasach, kiedy dorastałem, bardzo modne było mieć w rodzinie kapłana. Mój ojciec pracował we władzach lokalnych w Barcelonie. Myślę, że matka widziała mnie jako biskupa, ale ja chciałem zostać artystą. Nie mieliśmy pieniędzy na studia artystyczne, więc wmówiłem sobie, że Kościół to właściwy wybór. Właśnie kiedy miałem wstąpić do nowicjatu, umarła moja ciotka i zapisała mi ziemię jako jedynemu siostrzeńcowi. Sprzedałem ziemię, zachowując tylko dom w Deya, i nagle mogłem sobie pozwolić na studiowanie sztuki na uniwersytecie.

- Cudowne! - Marcella klasnęła w dłonie.

- Potem, po studiach, zdecydowałem, że nie jestem artystą. Chciałem się jednak trzymać blisko świata sztuki, więc otworzyłem galerię.

- Gdzie? W Barcelonie?

Potwierdził skinieniem głowy i upił łyk wina.

- W najmniej modnej części miasta. - Zaśmiał się. - Za to jest jasna i przestronna. Trudno było ją otworzyć, ale dla mnie i tak sztuka jest lepsza niż religia. Nie ma nic bardziej podniecającego niż odkrywanie nowych dobrych artystów i pomaganie im w karierze.

- W jaki sposób to robisz?

- Och, kiedy wierzę w artystę, potrafię być całkiem prze-

konujący - odparł z uśmiechem. - Widzisz, w Hiszpanii też mamy zamożnych młodych intelektualistów. Zaczynają kolekcjonować sztukę. Tu, na Majorce, odwiedzam hotele, banki, restauracje... wszystkie miejsca, które mogą potrzebować obrazów. Poza tym wystawiam na targach sztuki w Madrycie.

Usiadł przy Marcelli na sofie, ujmując jej rękę.

- Chcę teraz posłuchać o twoim życiu! Oparła się na poduszce, nie cofnąwszy dłoni.

- O Boże, Santi, jak mam to podsumować? Czasem wydaje mi się, że żyję w jednej ze swoich powieści...

A jednak mu opowiedziała. O małżeństwie. O Harrym i dzieciach. O walce, by znaleźć czas na napisanie pierwszej powieści i o tym niewiarygodnym momencie, kiedy zaproponowano jej umowę. Nie wspomniała o milionie dolarów, nie chcąc go przestraszyć. Słuchał z uwagą. Ścisnął dłoń Marceli, kiedy coś tłumaczyła, a gdy opowiadała, jak Harry zabrał dzieci, jego twarz wyrażała ból. Jeszcze nigdy nie rozmawiała jej się z mężczyzną tak łatwo.

Konwersacja z gośćmi Amy przypominała raczej próbę sił, sprowadzała się do wykonywania właściwych posunięć. Marcella usiłowała wytłumaczyć Santiemu różnicę między amerykańskimi mężczyznami a Europejczykami. Potem rozmawiali o plusach życia w Nowym Jorku, Barcelonie i na Majorce, jakby już postanowili żyć razem.

- MarceUo - powiedział, podnosząc jej palce do ust. - Nie mogę sobie wyobrazić, co do dzisiaj robiłaś na Majorce.

Dokąd chodziłaś? Jak spędzałaś czas? Na przykład, wczoraj?

Nachylił się, a MarceUa zmarszczyła brwi, udając, że próbuje sobie przypomnieć.

- Ja, och... - zająknęła się. - Do diabła, Santi, dobrze, mogę ci powiedzieć. Poszliśmy do klubu o nazwie Omar. Znasz go?

Uśmiechnął się, zdziwiony.

- Czy to nie jest miejsce, gdzie mężczyźni podrywają kobiety?

Skinęła głową.

- Amy chciała tam pójść, więc... - Urwała, patrząc mu prosto w oczy. - Ja tam chciałam pójść.
- Czemu chciałaś chodzić w takie miejsca? - spytał, patrząc jej w oczy.
- Może sądziłam, że ciebie tam spotkam - odparła po prostu.
- Ale ja nigdy tam nie byłem! - powiedział ze śmiechem.
- Już prędzej można mnie znaleźć w katedrze w Palmie!
- To znaczy, że religia wciąż wiele dla ciebie znaczy? Wzruszył ramionami.
- Jak większość ludzi w chwili nieszczęścia zwracam się do Boga o pomoc!
- Tak jak ja! - zaśmiała się Marcella. - W takim razie, dlaczego byłeś dziś nieszczęśliwy?

Santi nagle spoważniał.

- A ty, dlaczego byłaś dziś nieszczęśliwa? Wczoraj wieczorem poszłaś do Omara, a następnego ranka do katedry?
- Pewnie dlatego, że tak fatalnie się czułam u Omara!
- odparła ze śmiechem. Poznała po wyrazie twarzy Santiiego, że to nie moment na żarty. - Dobrze, powiem ci, ale ty pierwszy.

Nalał im wina i upił łyk.

- Nie boję się samotności, Marcello... - zaczął. - Mam dobrych przyjaciół. Dla niektórych młodych artystów jestem jak ojciec. Potrafię się cieszyć czytaniem czy słuchaniem muzyki...
- Ja też - potwierdziła - ale zmęczyło mnie robienie tych rzeczy w samotności!
- W ciągu tych ostatnich lat - ciągnął - przyjeżdżam na Majorkę głównie wiosną i latem... - Urwał, patrząc na nią.
- Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś pozwolę się sobie zakochać - mówił cicho i poważnie. - Rozwód bardzo mnie rozbił. Bardzo kochałem żonę. Była piękną kobietą, wewnątrz i zewnątrz. Widzę, że podobnie jak ty!
- Santi! - zaprotestowała.
- Nie! Ja czuję takie rzeczy! - Dotknął swego serca.
- Tutaj. - Zrobił lekceważący gest. - Rozwiodłem się kilka lat temu. Czas zapomnieć, prawda?

Skinęła głową, a on z miłością ujął jej twarz w dłonie.

- Dlaczego szukałaś mężczyzny wczorajszej nocy? Taka piękna, inteligentna kobieta jak ty...

- Nie mów tak! - przerwała mu. - Dziś rano uświadomiłam sobie, że całe moje życie było niewłaściwe. Próbowałam to zrozumieć w katedrze, kiedy ujrzałam ciebie. Poczulałam taki wstyd...

- Nie! - Objął ją. - Nie wstydz się! Teraz jesteśmy razem i już nigdy więcej nie musisz czuć wstydu, rozpaczy ani samotności. Nieważne, w jaki sposób się spotkaliśmy... może Bóg nam pomógł? Byłem zbyt dumny, żeby chodzić do barów czy dyskotek, to nie mój styl. Poza tym, mamy w Hiszpanii powiedzenie: „Nie możesz szukać miłości, bo miłość znajduje ciebie!”

Przysunął się i pocałował ją delikatnie. Zamknęła mocno oczy pod wpływem jego czułego dotyku, przed łzami, które nagle w niej wezbrały. Chciała pozostać na zawsze wtulona w jego ramiona, ale zaczęła gwałtownie drżeć i szcząć zębami, jak w gorączce.

- Już dobrze - szepnął Santi uspokajająco. - Odnaleźliśmy się, Marcello...

Tulił ją, aż dreszcze ustały, aż przełknęła łzy i zniknął ten wulkan żalu, który groził wybuchem.

- Jest bardzo późno - powiedział Santi, wstając. - Twoja przyjaciółka będzie się niepokoić.

Podał MarcelU dłoń i pomógł jej wstać. Patrzyła oszołomiona, jak zamyka drzwi balkonowe i podnosi kluczyki do samochodu.

- Chcesz mnie odwiedzić do hotelu? - spytała głupio. Nie przyszło jej na myśl, że mogą zrobić cokolwiek innego, niż pójść do sypialni i się kochać. Ciało MarcelU było na to gotowe, toteż poczuła niemal zawód. Odwiózł ją do hotelu w milczeniu. Już była chora z niepokoju, że, jak wszyscy mężczyźni, których dotąd poznała, nie zadzwoni do niej nazajutrz. Przyrzekła sobie, że jeśli nie zadzwoni, będzie ostatnim mężczyzną, z którym próbowała nawiązać kontakt. Zadowolili się przygodnym seksem i zapomni, że mężczyźni i kobiety zazwyczaj dzielą życie.

- Jutro przyjadę po ciebie o dziesiątej - oznajmił, przerywając jej myśli. - Mam ci mnóstwo do pokazania Proszę bądź gotowa!

- Tak - odparła. - Będę gotowa.

Kiedy się zatrzymali, wysiadł z samochodu, żeby odprowadzić ją na hotelowe schody. Tam pocałował ją nieśpiesznie w usta. Miał miękkie, wrażliwe wargi, a ten czysty pocałunek stanowił dla Marcelli nowe, nieznane doświadczenie. Chciała poczuć w sobie jego język, ale Santi nie śpieszył się inaczej niż wszyscy jej poprzedni mężczyźni. Osłabła, wyobrażając sobie, jak wreszcie powoli będzie się z nią kochał. Sama myśl o uprawianiu z nim seksu zdawała się nieco niewłaściwa, tak bardzo spowijał ich relację welon romantycznej miłości; a jednak pod nim krył się silny pociąg seksualny. Santi odsunął się od Marcelli, patrząc jej w twarz ciemnymi, żarliwymi oczyma.

- Spakuj rzeczy do nocowania - powiedział. - Na wypadek, gdybyśmy się zatrzymali w Deya. Mam nadzieję, że zakochasz się w tym miejscu tak samo jak ja...

- Dziękuję, Santi, za pokazanie mi tej magicznej wioski. Przeżyłam jeden z najpiękniejszych wieczorów w moim życiu

To była prawda. W pokoju przebrała się automatycznie w podkoszulek, w którym sypiała, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie zasnie. Spod drzwi Amy nie dobiegało światło, więc Marcella powiesiła na drzwiach wywieszkę NIE PRZESZKADZĄĆ, na wypadek, gdyby Amy przyszło do głowy zapukać o czwartej nad ranem z pytaniem jak się udał wieczór. Było to dla niej typowe, a Marcella zrozumiała nagle, że nie ma ochoty wysłuchiwać więcej cynicznych drwiących rad Amy na temat mężczyzn, miłości czy seksu. Wszystko, co się jej teraz przydarzyło, miało związek z Amy z jej wiarą w Marcellę, dlatego starała się nie winić przyjaciółki za negatywne aspekty swego życia. Ale dzisiaj przerosła Amy i zobaczyła jej styl życia jako coś, czego nie miała ochoty naśladować. Zapaliła światło i położyła się na łóżku na wznak. Umysł Marcelli nie przestał wirować, dopóki świt nie wstał nad górami i miastem; wtedy zapadła w nieświadomość pełną tajemnic i przygód.

Santi zadzwonił o dziewiątej, budząc ją z głębokiego snu.

- Chciałem się tylko upewnić, że wstałaś.

- Dobrze, że dzwonisz. - Ziewnęła sennie. - Zaraz się zacznę zbierać...

Żeby uniknąć pytającego wzroku Amy, zamówiła kawę u służby hotelowej. Uśmiechnęła się do siebie, wyobrażając sobie, co powiedziałyby Amy o mężczyźnie, który za pierwszym razem nie zaciągnął jej do łóżka. Później, spakowawszy rzeczy na noc, wsunęła pod drzwi Amy kartkę z zawiadomieniem, że może nie wrócić przez kilka dni.

Santi podjechał pod hotel o dziesiątej. Wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł spod prysznic. Wskoczył z samochodu, żeby ją objąć, i wiedziała, że nie przeceniła tego, co wydarzyło się minionej nocy: był tym jedynym!

Mężczyznę, którego zawsze miała nadzieję spotkać.

- Chciałabyś zobaczyć mój dom? - zapytał. - Jedziemy do Deya?

- Tak! - Objęła go. - Tak, proszę!

Deya przycupnęła na szczycie góry otoczonej wyższymi wzniesieniami. Wioska była stara; jedyny hotel mieścił się w wiekowym domu wiejskim zamienionym na luksusowy zajazd. Ani śladu wysokich budynków, reklam, neonów; osadę zachowano starannie i, gdyby nie nowoczesne twarze niemieckich i angielskich turystów, człowiek mógł łatwo uwierzyć, że cofa się o dwieście lub trzysta lat.

- Moja matka się tu urodziła - mówił Santi. - Było to ciche miejsce, dopóki w czterdziestych latach grupa angielskich pisarzy i artystów nie odkryła tej wsi. Zamienili Deya w swego rodzaju kolonię artystyczną i stała się całkiem elegancka. Jak wasza Greenwich Village! Dzisiaj mój dom nabrał wartości, ale nigdy bym go nie sprzedał.

Aby dotrzeć do domu, wjechali na krętą drogę, pnącą się wysoko na tyłach wsi; z góry widzieli wyblakłe dachówki domów. W słońcu południa mocny aromat kwiatów pomarańczowych mieszał się przepysznie z zapachem sosen.

Dom był otoczony ogrodem wysadzonym bujnymi drzewami.

- Figi, migdały, pomarańcze, cytryny, klementyny! wskazywał z dumą Santi.

Stary zardzewiały dzwonek zadzwonił, kiedy właściciel pchnął bramę i zaprosił Marcellę do środka. Otworzył drzwi i zadrżał. Pomimo ciepłego dnia wewnątrz panował lodowaty chłód. Santi szybko podniósł żaluzje, by wpuścić ciepłe powietrze. Zatarł dłonie.

- Te grube kamienne ściany chronią przed upałem - wyjaśnił. - Rozpalę ogień.

Rozejrzała się oczarowana. Panował tu wilgotny zapach, przywodzący jej na myśl dzieciństwo - mieszkanie ciotki w Brooklinie. Pokoje miały oryginalną kamienną posadzkę i pobielone ściany. Pod nimi stały intarsjowane komody i skrzynie, a pod kątem wisiały wielkie lustra w grubych mahoniowych ramach, odbijając podłogę w wiekowych, posrebrzanych powierzchniach. Oto wiejski wystrój, który chcą uzyskać setki amerykańskich dekoratorów - pomyślała Marcella z uśmiechem. - Ale mogą stworzyć go tylko ukochane rodzinne przedmioty.

Santi jak podniecony chłopiec zaciągał ją do kolejnych pokoi.

- Spójrz na kuchnię! - Wziął Marcellę za rękę i wprowadził do środka. - To oryginalny piec, żadnego gazu.

Wystarczy podłożyć drewno i rozpalić. Co by na to powiedzieli w Ameryce, Marcello?

- Pokochaliby to.

Uświadomiła sobie, że to dobry smak Santiago sprawił, że dom wyglądał tak pięknie; kilka współczesnych sof i foteli wybrano starannie, żeby nie kłóciły się z resztą, okryto je neutralnymi tkaninami, tak że stały się niemal niewidoczne, podkreślając stare meble i drewniane stropy. Santi wziął z kuchni butelkę oliwy z oliwek i zaciągnął Marcellę bocznymi drzwiami do ogrodu. Zatrzymał się przy pierwszym figowcu, wylewając na dłoń nieco oliwy. ^

- W ten sposób otrzymujemy tłuste figi - powiedział, wcierając oliwę w zielony, niedojrzały owoc. - Masz. - Podał jej butelkę. - Ty też to zrób!

Wylała na dłoń trochę oliwy i natarła figę. Rozbawiło ją to, więc zachichotała.

- Musisz natrzeć wszystkie! - ponaglił Santi ze śmiechem.

Poddała się po pięciu figach, a Santi dał jej ręcznik do wytarcia rąk. Potem oprowadził Marcelłę po ogrodzie, opowiadając o wszystkich drzewach. Był tam uroczy, zarośnięty staw, niemal basen. Na brzegu rosło wielkie drzewo, wokół którego zbudowano surowy drewniany stół. Wokół niego stały krzesła z kutego żelaza i dekoracyjna stara lampa, mająca dawać światło podczas wieczornych posiłków.

- Santi! Santi! - zwołał cichy głos, a Marcella odwróciła się, chcąc zobaczyć, kto ich znalazł.

- O, to moja sąsiadka - wyjaśnił Santi, biegnąc ku drodze, skąd machała maleńka, przygarbiona staruszka o twarzy pomarszczonej jak włoski orzech.

Przywołał Marcelłę gestem i przedstawił ją sąsiadce. Staruszka mocno ujęła ją za rękę i przyjrzała się Marcelli badawczo. Jej twarz rozjaśniła się w bezzębny uśmiech. Powiedziała coś Santiemu bardzo szybko po hiszpańsku, gdacząc jak dobra mała czarownica.

- Zna mnie przez całe życie - wyjaśnił Santi.

Staruszka wyrzuciła z siebie kolejny rwący potok hiszpańskiego, wskazując na Marcelłę, a Santi zaśmiał się i zarumienił. Objął Marcelłę obronnym gestem i zaprowadził z powrotem do domu.

- Co ona powiedziała? - spytała.

- Że wyglądamy, jakbyśmy zostali dla siebie stworzeni - odparł, odwracając wzrok i marszcząc brwi.

- Myślę, że tak jest - powiedziała Marcella, przytulając go mocno.

Ogień, który Santi rozpałił z suchych gałęzi oliwnych i sosnowych szyszek, wkrótce ogrzał salon. W pozostałych pokojach Santi włączył grzejniki elektryczne. Marcella wdychała aromat żarzących się gałązek, pomagając Santiemu wrzucać szyszki do ognia.

- Chciałabyś tu spędzić noc? - spytał, unosząc brwi. Powiedział to tak niewinnie, iż wiedziała, że gdyby poprosiła o oddzielny pokój, Santi by na to przystał. Ale nie chciała o to prosić. Tej nocy będą należeli do siebie. Tej nocy Santi będzie się z nią kochał, a Marcella utwierdzi się w przekonaniu, które już w niej żyło: byli sobie przeznaczeni.

- Chciałabym tu spędzić noc. - Z uśmiechem skinęła głową.

Dokładając do ognia, obejrzał się na nią.

- Tutejsze życie jest bardzo proste, Marcello - powiedział ostrzegawczo.

- Tak - zgodziła się. - Proste i piękne.

Zabrał ją do sennej wioski, mniejszej nawet niż Valde-mossa. Miała tylko jedną główną ulicę, przy której umieszczono kilka sklepów i dwie galerie. Zjedli lunch w typowej restauracji, gdzie stare kobiety i bardzo młodzi chłopcy przynieśli im miski z grubymi pajdami chleba i zupą jarzynową.

- To *sopas mallorquinas*, zupa biedaków - wyjaśnił San-ti, patrząc, jak Marcella je. - Składniki są tanie, ale według mnie to jedna z najpyszniejszych potraw na świecie. Jeśli masz trochę pieniędzy, możesz wbić do niej jajko! -

Zaśmiała się. - Teraz znowu stała się modna!

Wiejskie jedzenie wzbudziło w Marcelli tęsknotę za rodzinnymi włoskimi potrawami. Santi przyglądał się z uśmiechem, jak próbuje zjeść całą olbrzymią miskę zupy. Na deser podano kawałek białego sera polanego górkim miodem, zaś potem małą filiżankę mocnej, czarnej kawy. Rozmawiali, a Marcella obserwowała twarz Santiiego. Tyle mieli sobie do powiedzenia: historie z dzieciństwa, z pierwszego małżeństwa, o przyjaciółach i rodzicach.

Po południu pojechali dalej wzdłuż wybrzeża, do niezwykle okazałej posiadłości wzniesionej przez austriackiego księcia przed stu pięćdziesięcioma laty. Rozciągał się stamtąd widok na piękne, nieskalane wybrzeże i ciemnoniebieskie morze. W ogrodzie znajdowało się małe, zwieńczone kopułą „szaleństwo” z białego marmuru, pod którym stali przez kilka chwil przed zwiedzaniem eleganckiej posiadłości.

- Lubisz gotować? - spytał, kiedy wracali do Deya wczesnym wieczorem.

- Oczywiście! - odparła. - Co ugotujemy? Świetnie wychodzą mi wszelkie potrawy z makaronu!

- Co powiesz na kurczaka?

- Bez gazu? - zaśmiała się. - Co mamy z nim zrobić? Upiec na ruszcie?

- Oczywiście - powiedział. - Kupię w Deya kurczaka i ziemniaki do pieczenia. I wino. Co ty na to?

Spojrzała mu w oczy, zanim znowu przeniósł wzrok na drogę.

- To boski pomysł - odpowiedziała.

O dziewiątej Santi rozpałił ognisko na poczeriałym kawałku ziemi przy domu, rozłożył na grillu kawałki kurczaka natartego czosnkiem, solą i oliwą. Marcella opłukała sałatę, obrała awokado i przyrządziła sałatkę, możliwie zbliżoną do tradycyjnej włoskiej. Santi zapalił lampę i położył poduszki na dwóch żelaznych krzesłach. Wino chłodziło się w zamrażalniku obok butelki szampana. Na deser przygotowali miskę jasnoczerwonych wiśni. Po kolacji popijali jabłkowy sznaps, wpatrując się w płomienie. Zapach węgla drzewnego mieszał się z aromatem kwiatów pomarańczowych, który wzmagał się nocą jak zapach jaśminu.

- Zostaniemy tu na noc? - Santi spojrzał na nią pytająco. Marcella prawie się zaśmiała, bo nie miał zielonego pojęcia o flirtowaniu. Spojrzała na zegarek.

- Cóż, jest po pierwszej. To samo pytanie zadałeś mi dziś po południu. Wtedy powiedziałam „tak”!

- Już się ze mnie śmiejesz? - spytał żałośnie. Popatrzył na Marcellę z taką miłością, że wstała, podeszła i pocałowała go w usta.

- Nigdy, najdroższy.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie, po czym weszła do domu i zdjęła narzutę z łóżka, które posłał po południu.

Rozebrała się, skropiła ciało perfumami i położyła się na lekko wilgotnej pościeli, czekając na Santiago. Była to noc poślubna, którą zawsze sobie wyobrażała, chociaż w nieco innej scenerii! Słyszała, jak Santi zdeptuje w ogrodzie ogień i opuszcza żaluzje.

Wszedł do sypialni, usiadł na łóżku i spojrzał na Marcellę z taką słodyczą, że oczy niemal natychmiast wypełniły się jej łzami. Zdjął ubranie i wślizgnął się do łóżka. Kiedy wziął ją w ramiona, ich ciała po prostu stopiły się w jedno. Nic w jego ciele nie było dla niej obce, jakby kochali się już

wcześniej wiele razy. Mogła wreszcie doświadczyć seksu połączonego z miłością.

- Szukałem cię przez całe życie, Marcello - szepnął.

- A ja, gdybym opisała mój ideał mężczyzny, nie byłby tak cudowny jak ty - odparła.

Blask księżyca, sączący się przez żaluzje, oświetlał oczy Santiago. A więc tak się to dzieje - pomyślała. - Właśnie kiedy się poddawałaś, rezygnowałaś z mężczyzn i seksu, spotkałaś kogoś takiego jak Santi. Seks nie był czymś pilnym, co trzeba chwycić żarłocznie; mogła tak leżeć przez resztę nocy w jego ramionach. Ilekroć patrzyła w te lśniące oczy, ilekroć brała w dłonie jego głowę, jak niewidoma ucząca się na pamięć kształtów, do oczu Marcelli napływały łzy. Trzymał ją, jakby była najcenniejszą, najbardziej pożądaną kobietą na świecie, jakby dostał nagrodę, na którą nie liczył. Aby czuć się cenną, wystarczył jej tylko jeden taki mężczyzna.

Kochali się tak, jakby przyszli na świat na przeciwległych jego krańcach i właśnie w tej chwili się połączyli. Jej przeciągana w czasie, zawieszana rozkosz przekraczała wszystko, co Marcella przeżyła wcześniej, niemal zbyt intensywna, by się nią cieszyć; musiała ją przesączać przez czas, przez tę nową miłość, przez swoje godzenie się z faktem, że go odnalazła.

Wszystkie emocje, jakie więziła w sobie przez ostatnie lata, zdawały się wzbierać i żądać uwolnienia. Przypomniła sobie, jak w dzieciństwie rozciąła w szkole kolano i jak dzielnie się zachowywała aż do przyjścia ojca. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego twarz i wybuchnęła płaczem. Tak samo czuła się teraz z Santim; płakała z ulgi.

- Nigdy nie pozwolisz mi odejść? - Usłyszała własne pytanie zadane przez łzy, gdy tuliła się do niego.

Pogłaskał ją po plecach ciepłą dłonią.

- Nie pozwolimy sobie nawzajem odejść - zapewnił ją niskim głosem.

Łkała długo w jego ramionach, aż zapytał:

- Ale powiedz mi, Marcello, kochanie, dlaczego płaczesz?

Roześmiała się, kręcąc głową.

- Nie wiem! - przyznała.

Płakała jeszcze przez godzinę, aż w końcu uspokoiła się i zasnęła.

Budziła się w ciągu nocy z cudownym uczuciem: Santi obejmował ją od tyłu, z ustami przyciśniętymi do jej pleców, ogrzewając oddechem ramiona Marcelli. Za każdym razem myślała: znalazłam go! I zalewała ją fala szczęścia.

Odwróciła się sennie, żeby go objąć, wdychać słoneczny zapach ich ciał. Znalazła mężczyznę, który miał w sobie dość czułości, żeby pieścić ją godzinami, a jego dotyk przypominał Marcelli słodko o ojcowskich pieszczotach w dzieciństwie.

Rano obudziła się świeża i lekka, jakby zdjęto z niej ogromny ciężar. Słyszała pianie kogutów i szczekanie psów. Santi spał głęboko. Naciągnęła szlafrok i wyszła do mokrego od rosy ogrodu, rozmyślając o przyszłości, o tym, jak dopasuje się do życia Santiiego, albo on do jej zajęć. Nowe życie stanęło przed nią otworem. Tak, widziała siebie w tej spokojnej okolicy idącą codziennie do wsi po chleb, pomidory i jajka, piszącą kolejną książkę, której akcja rozgrywała się na Majorce; powieść o trzydziestopięcioletniej kobiecie, która spotyka mężczyznę w rodzaju Santiiego, zakochuje się w nim i jego wyspie.

Wdychając górskie powietrze poranka, w sąsiednim ogrodzie ujrzała zgarbioną staruszkę dogładającą swych roślin. Za nią podążało kilka zaciekawionych kotów. Kobieta uniosła wzrok, pomachała Marcelli, błyskając bezzębnym uśmiechem, i powróciła do swych zajęć.

O ósmej Marcella zaparzyła Santiemu kawy, zaniiosła ją do łóżka. Przez chwilę przyglądała się, jak śpi, zanim obudziła go delikatnie.

- Zostań ze mną na zawsze - powiedział natychmiast. - Kocham cię.

- Och, kochanie, mogłabym. - Odstawiła na bok tacę ze śniadaniem i przytuliła się do Santiiego. - Ale na zawsze to długi czas...

- Może. - Pocałował ją. - Ale dla nas na zawsze zaczyna się tej nocy!

Delikatnie ucałował jej szyję i twarz, a Marcella zamknęła oczy przed łzami, które znowu groziły powodzią. Na zawsze zaczyna się tej nocy! Tylko człowiek nie mówiący perfekcyjnie po angielsku, mógł powiedzieć coś tak pięknego - myślała. Już w chwili, kiedy wymówił te słowa, wiedziała, że staną się tytułem jej nowej powieści, najbardziej romantycznej z dotychczasowych! Opuściły ją resztki niepokoju i powściągliwości. A więc to jednak istnieje - myślała w zdumieniu - ten świat, który, jak mi się zdawało, wymyśliłam! Teraz naprawdę w nim żyję! Przylgnęła do Santiago, kiedy rozwiązał jej szlafrok i wiedziała, że po raz pierwszy w życiu oddaje mężczyźnie nie tylko ciało ale całą siebie.

Santi okazał się cudownym przewodnikiem. Pojechali z powrotem do hotelu po garderobę Marcelli. Marcella zapewniła Amy, że znajduje się w bezpiecznych rękach, a potem, w ciągu trzech następnych dni, Santi ożywił dla niej wyspę.

Pokazał jej zabawną turystyczną kolejkę elektryczną, której tory wiły się przez góry od Palmy do kipiącego życiem portu Soller po drugiej stronie wyspy. W Pollensa wspięli się na schody jak ze snu, liczące trzysta sześćdziesiąt pięć stopni - jeden na każdy dzień roku - i wdrapali się na klifowe wybrzeże, skąd rozciągał się widok na błękitne morze wokół przylądka Fermentor.

Rzadko dotykał jej w miejscach publicznych, ale kiedy stali sami na szczycie stromego klifu, w tym opuszczonym, pięknym zakątku wyspy, objął ją ramieniem. Wszędzie! dokąd szli, kwiaty pomarańczy przepelniały powietrze aromatem, a drzewa oliwne i migdałowce z aprobatą przyglądały się zakochanym.

- Nie jestem przyzwyczajona do takiego szczęścia - mówiła Marcella. - Ciągłe myślę, że się obudzę!

Wrócili do Deya jeszcze na trzy noce. Zastanawiała się, czy mogłaby przedłużyć pobyt. Santi miał jakąś sprawę do załatwienia w Palmie, a Marcella wykorzystała to jako pretekst, by wrócić do hotelu i zobaczyć się z Amy. Zawiózł ją do Son Vida. Ustalili że o wpół do trzeciej spotkają się na lunchu w kawiarni w Palmie, gdzie się poznali.

W swojej przegródce w recepcji znalazła wiadomość od Marka, który prosił, żeby zadzwoniła do niego do Nowego Jorku. Poczowała ukłucie winy: po raz pierwszy od jego urodzenia nie myślała o synu. Zastanawiała się, czy byłby bardzo zawiedziony, gdyby postanowiła zostać jeszcze na jeden tydzień. Zamówiła rozmowę na drugą, żeby w Nowym Jorku była ósma. Mogła się przez to trochę spóźnić na lunch z Santim. Rzeczywistość upominała się o Marcellę. Amy siedziała w niedbalej pozie przy basenie, skupiona na flirtowaniu z sześćdziesięcioletnim Brazylijczykiem, noszącym pierścionek z różowym brylantem. Słabo mówił po angielsku i Amy porozumiewała się z nim z trudem.

- Sądziłam, że zawarłyśmy umowę: żadnych różowych pierścieni? - powiedziała Marcella, zaskakując przyjaciółkę.

- Marcella! - Amy zerwała się na równe nogi i uściskała ją. - Boże, ale za tobą tęskniłam! Ramon Ramirez, to moja droga przyjaciółka, Marcella Winton. Czy było cudownie? Tak, że można umrzeć? - pytała, z oczami otwartymi szeroko z ciekawości.

- Bawiłam się świetnie, dopóki nie dostałam tego. - Pokazała przyjaciółce wiadomość od syna.

- Pewnie chce się dowiedzieć, gdzie ma czyste skarpetki

- stwierdziła Amy.

Czas do drugiej ciągnął się w nieskończoność. Marcella zapełniła te dwie godziny opowiadaniem o Deya, o tym, jak nacierali figi oliwą, o staruszce na drodze i wilgotnym łóżku. Amy słuchała z charakterystycznym dla siebie szklistym spojrzeniem, jakby Marcella opisywała jej życie na Księżycu.

- Zabierał cię do dobrych restauracji? Klubów nocnych?

- nagliła.

Marcella potrząsnęła przecząco głową.

- Cieszyliśmy się po prostu jego domem i bardzo skromnymi majorkańskimi restauracjami, gdzie podają tradycyjne potrawy. Bardzo proste i przyjemne.

Amy wzruszyła ramionami.

- Ten Santi to prawdziwe znalezisko - powiedziała w końcu.

Wciąż przyglądała się przyjaciółce wyczekująco z pytają-

cym wyrazem twarzy. Marcella powstrzymała się od śmiechu. Wiedziała, że Amy pragnie usłyszeć o seksie, ale jakoś nie potrafiła otwarcie o to zapytać. Gdyby to zrobiła, Marcella nie miałaby wiele do powiedzenia. Uwielbiała kochać się z Santim, leżeć w jego objęciach, dawać mu się całować. Jednak po pierwszym cudownym razie, kiedy rozkosz była niemal zbyt wielka, by mogła się nią cieszyć, wyrosła pewna bariera - sama ją wzniosła - i odgrodziła Marcellę od najwyższej przyjemności, utrzymywała ją okrutnie poza jej zasięgiem. Marcella przeprosiła Amy i, by uniknąć jej pytających oczu, poszła do pokoju spakować nową torbę rzeczy na noc. Była zbyt przestraszona tym, co się działo, by zacząć dzielić się z Amy swoim lękiem, że może wizyty w klubie Członkowie pozbawiły ją zdolności cieszenia się seksem połączonym z miłością.

Stała na balkonie, wyglądając na zatokę Palmy, niebieską i przejrzystą w słońcu południa. W tym słonecznym blasku jej lęki wydały się Marcelli groteskowe i śmieszne.

O drugiej telefonistka hotelowa połączyła ją z Nowym Jorkiem.

- Mamo? - rozległ się w słuchawce podniecony głos Marka. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Dobrze się bawisz?

- To jest raj, Marku! - zawołała - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz Majorkę! Zwiedziliśmy klasztor, w którym Chopin skomponował niektóre swoje utwory. Jego fortepian wciąż tam stoi i naprawdę można wyczuć obecność Chopina!

- Ho, ho! Chciałbym tam z wami być. Ucałuj ode mnie Amy.

- Zrobię to. Wszystko w porządku, kochanie? - spytała. - Dlaczego dzwoniłeś? Tylko żeby się przywitać?

- Nie, chciałem ci przekazać nowiny. Nie spodobają ci się, ale spróbuj cieszyć się tak jak ja. Za tydzień przejmuję występy Cole'a w Carlyle! Cole zorganizował dla mnie przesłuchanie i spodobałem się im! Tylko na parę tygodni, kiedy będzie z matką w Palm Springs. Nie chciałem, żebyś myślała, że zrobiłem to za twoimi plecami, bo...

- Nie, to cudowne, Marku. Niewiarygodne.

Może jeśli okaże mu zrozumienie, Mark okaże nieco zrozumienia Santiemu. Zastanowiła się, z jakiego powodu czuje, że musi usprawiedliwiać swoją znajomość z Santim.

- Zaczynam trzy dni po twoim powrocie! - powiedział Mark. - Sonia obiecała przyprowadzić jakichś ludzi od mody, a pomyślałem, że ty i Amy mogłybyście przywlec kilku literatów. No wiesz, żeby krzyczeli: „brawo!” i „bis!”.

- Naturalnie! - zawołała, a jej serce zamarło, kiedy zrozumiała, że nie uda jej się przedłużyć pobytu. - Natychmiast każę Amy zadzwonić do Normana Mailera! Czy jesteś bardzo podniecony, kochanie?

- Sparaliżowany! - zaśmiał się Mark. - Może dzięki temu opanuję treść?

- Nie wyobrażam sobie, jak w białej muszce i fraku zawodzisz Gershwin, Mark, ale za nic w świecie nie chciałabym stracić takiej okazji, żeby zobaczyć to na własne oczy!

Pożegnali się i odłożyła słuchawkę, z dziwnym poczuciem winy.

Ostatnie dni z Santim przeżywała z jeszcze głębszą rozkoszą. Prawie nie wspominali o przyszłości, a kiedy to robili, panowało między nimi niepisane porozumienie, że kiedyś będą żyli razem. Zgodził się zmienić nieco harmonogram zajęć, żeby przyjechać do Nowego Jorku za trzy tygodnie. Postanowili improwizować. Wyobrażała sobie niejasno, jak spędza lato w Deya, pisząc nową książkę, jesienią wraca z Santim do Nowego Jorku, a potem kursuje między Europą a Nowym Jorkiem, jak czyniło to wielu innych ludzi. Tak przynajmniej uważała.

Ostatnie dwie noce spędzili w jego miejskim mieszkaniu. Przyglądała się, jak każdego ranka Santi wychodzi na balkon, by podlać kwiaty albo obejrzeć nowy liść, jak wraca potem do mieszkania, parzy kawę, albo zbiega do piekarni po świeże *ensaimadas*. Każdą jego czynność cechowała gracia. Obserwowała go, jak obserwuje się kota lub tancerza, dla czystej przyjemności oglądania ruchów. Ubóstwiała sposób, w jaki wkładał głowę pod zimną wodę, kiedy mu było gorąco, potem otrząsał się niczym pies, przeczesując palcami kruczoczarne włosy, rozśmieszając Marcellę kilkuminuto-

wym podobieństwem do Rudolpha Valentino, dopóki włosy nie wyschły.

Szperała w jego kolekcji płyt, ucieszyła się, kiedy natrafiła na album, który sama kupiła jako nastolatka. Miał też muzykę balijską, indyjską i japońską. Sterty powieści zdradzały zainteresowanie poważnymi europejskimi pisarzami,

o których Marcella nie słyszała. Mieszkając z Santim, zachwycała się spokojnym, nieśpiesznym tempem, w jakim wykonywał wszystkie czynności, niezależnie czy nakrywał do stołu, czy ubierał się do wyjścia.

- Hiszpańskie poczucie czasu - zauważyła ze śmiechem.

- Nie - poprawił ją delikatnie. - To majorkańskie poczucie spokoju. Tę wyspę nazywają także *isla de la calma*.

Gdyby Amerykanin był tak dumny ze swego kraju, wydałoby się to Marcelli nieco staromodne, nawet irytujące, ale dumę Santiago odbierała jako coś pięknego i naturalnego. Zrozumiała ją lepiej, kiedy pewnego wieczoru zaprosił majorkańskich przyjaciół, żeby poznali Marcellę. Podał drinki na balkonie. Przyjaciele Santiago nosili się godnie, z rezerwą

i raczej dość sztywno. Ich dziadkowie zostawili im ziemię, którą oni sprzedali przed wieloma laty, zostawiając sobie tylko nad morzem albo w górach dom, zwany *finca*. Każdy miał swój *finca*, gdzie wypoczywał w weekendy i spędzał gorące letnie miesiące. Większość majorkańskich przyjaciół Santiago była właścicielami galerii lub artystami, pojawiło się też kilku bankierów i lekarzy. Marcelli podobała się ich rezerwa i dyskrecja, ale szczególnie ujęli ją tym, jak łatwo ją zaakceptowali. Rozmawiali z nią łamaną angielszczyzną, usiłowali zrozumieć jej hiszpańsko-włoski. Była przyjaciółką Santiago, a skoro Santi ją wybrał, im także się podobała. U jego boku czuła się dumna, pomagała podawać drinki z poczuciem, że stanowi część pary.

Ich ostatni wspólny dzień nadszedł tak szybko, że zaskoczył oboje. Przy śniadaniu, na balkonie, Santi zapytał, co chciałyby robić.

- Pożegnajmy się z Deya - zaproponowała. - Chciałabym ci zrobić zdjęcie w ogrodzie, zjeść lunch w tej małej restauracyjce, sprawdzić figi, zobaczyć staruszkę...

Zaśmiał się, szczęśliwy, że i ona zakochała się w Deya.

- Zgoda. Daj mi parę godzin na załatwienie spraw w mieście. Pojedziemy w południe.

Dzień był przepiękny; zmierzali ku górą pod bezchmurnym niebem. Santi pojechał okreśną drogą, żeby pokazać Marcelli niedostępny klasztor na wzgórzu, kilka mil za miastem.

- Przyjmują gości, ludzi, którzy pragną wybrać odosobnienie - powiedział, pokazując jej klasztor. - Tam właśnie się udam, kiedy mnie porzucisz.

Spojrzała na niego, niepewna, czy tylko żartuje.

- Nie zwracaj sobie głowy robieniem wcześniejszej rezerwacji - zaśmiała się, całując go. - Nie mam zamiaru cię porzucać!

Spędzili kolejny bajkowy dzień. Santi porządkował ogród, a Marcella wpychała suche liście i gałęzie do plastikowych toreb, które mieli zabrać śmieciarze. Pożegnali się z dobrą małą czarownicą z sąsiedztwa. Wrócili do Palmy, a w nocy Marcella zaczęła odczuwać nieznane dotąd emocje. Zaskoczyły ją te zwiastuny tęsknoty za Santim, uświadamiając jej, jak bardzo uzależniła się uczuciowo od mężczyzny, którego znała niewiele ponad tydzień.

- To tak jakbyś zawsze stanowił część mego życia - szepnęła, leżąc w jego ramionach. - Poczułam to, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy w katedrze, Santi. Jakbyśmy byli jakoś spokrewnieni, jakbyś należał do rodziny!

- Czuję to samo - przyznał niskim głosem.

- Nie wiem, jak przeżyję trzy tygodnie bez ciebie. Czy będziemy codziennie rozmawiać?

- Może tylko minutę każdej nocy - zaproponował. - Rozmowy z Ameryką są bardzo drogie.

Chciała mu powiedzieć, że rozmawiałaby z nim godzinę każdego ranka i wieczoru, ale pilnowała, żeby nie narzucać mu się ze swoim bogactwem. Rozumiała jego dumę i już się zastanawiała, jak zbagatelizować fakt, że posiadała Rolisa z szoferem i apartament w Central Park South.

Ostatniej nocy w Palmie uścisk Santiiego był tak przepełniony miłością, tak ciepły i bezpieczny, że nagle seks wydał się

Marcelli nie na miejscu. Czują, że Santi usiłuje za wszelką cenę ją zadowolić, jego wysiłki niemal ją wyczerpały.

- Przepraszam, kochanie - musiała w końcu szepnąć. - Kocham cię za bardzo i tak mi smutno, że wyjeżdżam.

Przestałam nagle dbać o seks.

Osiągnął rozkosz, kiedy go do tego ponagliła; dyszał cicho w jej twarz, całował z wdzięcznością.

- Będiesz ze mnie zadowolona, Marcello - obiecał jej później. - Moje ciało to wie. Tak bardzo do siebie pasujemy.

Seks między nami jeszcze się nie rozpoczął... prawdziwy seks! Ktoś tak wrażliwy jak ty potrzebuje czasu na przyzwyczajenie się do mężczyzny.

- Tak - mruknęła, głaszcząc go po głowie, aż zasnął. Gdybyś tylko wiedział, ile czasu zazwyczaj potrzebuje

- myślała. - Całe dwie minuty na przyzwyczajenie się do obcego. Próbowała wyobrazić sobie salę kinową w klubie Członkowie i cieszyła się, że już nigdy nie będzie musiała tam chodzić. Nie chciała martwić się ich seksem; wiedziała, że będzie dobrze. Uspokoila się, wsłuchana w bicie serca Santiago. Kiedy w przyszłym miesiącu przyjedzie do Nowego Jorku, ona będzie gotowa, jej ciało spragnione seksu. Po prostu stopią się w jedno jak za pierwszym razem, kiedy wzniosła tę śmieszna barierę, tę obronę przed miłością tak silną, że groziła jakiejś części jej istoty.

Następnego dnia rano leżała obok Santiago, wsłuchując się w odgłosy budzącej się Palmy. Zapiał kogut, zawtórowało mu szczekanie psa. Rozdzwoniły się kościelne dzwony, a potem nagle zamilkły. Ulicą pędziły hałaśliwe motorowery, a matki wołały do dzieci, że czas do szkoły. Ósma. Wylatywały z Amy o pierwszej. Marcella wyslizgnęła się z łóżka, okrywając prześcieradłem ramiona śpiącego Santiago.

Wyszła na mały balkon i zmrużyła oczy na słońcu. Widziała strzelistą katedrę wyłaniającą się z porannej mgiełki.

Kiedy się odwróciła, ujrzała purpurowe góry i otaczające je wzgórza znaczone *fincas* i sosnami. W małej kawiarence w dole hałaśliwie podciągano żaluzje, a Marcella wiedziała, że za godzinę lub dwie starcy zasiądą przy stolikach na zewnątrz, by czytać gazety, pić *café eon leche* i grać w do-

mino. Pożegnała się z tym wszystkim, a słońce wzeszło wyżej, ciepłe i żółte, obiecując ciepły dzień. Czy tęsknię za Manhattanem? - zastanawiała się. - Nie, ani trochę. Za to już tęskniła za Santim; mdłości przypomniały o zbliżającym się rozstaniu. Przyjedzie do Nowego Jorku - pocieszała się

- za trzy tygodnie. Pozna dzieci i podbije ich serca. Ten punkt okazał się dla Marcelli nieco niejasny. Oczywiście, aprobatą Marka była niezbędna - zdecydowała o tym na samym początku; ale i on na pewno pokocha Santiago. Któż mógłby go nie kochać? - pomyślała, kiedy Santi podkradł się do niej od tyłu na palcach, zamykając Marcelłę w ciepłych, sennych ramionach.

Na lotnisku palmańskim miała ochotę płakać jak dziecko. Opanowała się tylko dzięki myśli, że za trzy tygodnie mieli zobaczyć się znowu. Zmusiła się do śmiechu, kiedy Santi podarował im olbrzymi *ensaimada*, z rodzaju tych, jakie sprzedają na lotniskach w tekturowych kartonach, a wszyscy turyści zabierają je do domu.

Wymienili najdłuższy pocałunek - usta Marcelli lgnęły do warg Santiago, szukały zapewnienia, że wszystko potoczy się zgodnie z ich planami i marzeniami. Nie wyobrażała sobie, by katastrofy lotnicze czy wypadki samochodowe mogły zniszczyć ich historię miłosną.

- Dobrze, gołąbeczki, naprawdę musicie się pożegnać!

- ponagliła Amy, kiedy ogłoszono ich lot.

Santi opornie wypuścił z ramion Marcelłę, a Amy pociągnęła ją do kontroli paszportowej. Marcella odwróciła się, by pocałować go w ucho po raz ostatni. Oderwała się wreszcie od niego, a Santi patrzył na nią zza barierki.

- Trzy tygodnie! - zawołała. - Tylko trzy tygodnie, kochany!

- Dobrze, naprawdę musimy wchodzić na pokład! - Amy szarpnęła ją znowu.

Marcella rzuciła Santiemu ostatnie spojrzenie, a łzy popłynęły jej po twarzy. Pomachała mu i pozwoliła prowadzić się Amy przez wyłożony dywanem rękaw prowadzący do samolotu.

Amy rzuciła na półkę bagaż podręczny, a kamizelkę z bia-

lej angory ułożyła na fotelu, by móc się wtulić w nią jak kot. Marcella otarła twarz.

- Zamówimy szampana, kiedy tylko otworzą bar - obiecała Amy, przecisnąwszy się na swoje miejsce.

- Amy, jesteś niewiarygodna! - Marcella zaśmiała się, zapinając pas. - Wierzysz, że wszystkie problemy można rozwiązać przez picie, jedzenie albo seks.

- No, musisz przyznać, że zacierają ostre kanty! - odparła Amy.

- Nie chcę zacierać ostrych kantów - powiedziała Marcella. - Chcę pamiętać każdy szczegół tego pobytu z krystaliczną wyrazistością. Nawet smutek wyjazdu!

Praktycznie nie słyszała paplaniny Amy podczas lotu do Madrytu, oczekiwania na samolot do Nowego Jorku, lotu na lotnisko Kennedy'ego. Próbowała sobie wyobrazić, co Santi robi w tej chwili, co je w swoim mieszkanku, z kim się spotyka na mieście. Dzięki Bogu, wzięła tuziny jego zdjęć. Teraz należał do niej i zazdrościła wszystkiego, co mu się przytrafiało bez niej. Godzinę lotu spędziła na pisaniu do niego długiego listu, który zamierzała wysłać natychmiast po wylądowaniu. To pierwszy miłosny list w moim życiu - uzmysłowiła sobie zdumiona. Adresując kopertę, zastanawiała się, co mu pokaże na Manhattanie. Czy zwiedzą atrakcje turystyczne, w rodzaju Empire State Building? Czy całe dnie będą spędzać w domu, kochając się i rozmawiając? Nie - pomyślała - to zbyt niezręczne. Mark wchodziłby i wychodził. Będzie musiała zameldować Santię w hotelu na tej samej ulicy, żeby mieli trochę intymności.

- Tak jak ja to widzę - powiedziała Amy, czytając w jej myślach, w trakcie opróżniania paczki fistaszków. - Twój jedyny problem w tej chwili, to Mark!

Wszystkie oczy w Carlyle Lounge były skierowane na oświetlonego reflektorem piosenkarza. Mark siedział przy białym fortepianie w smokingu ze spiczastym kołnierzykiem i wyglądał na więcej niż swoje osiemnaście lat. Melodyjnym tenorem, który zahipnotyzował elegancką publiczność, śpiewał piosenki Gershwina. Marcella z trudem mogła uwierzyć w tę przemianę. Mark okazał się urodzonym artystą estradowym. Regularnie rzeźbiona twarz, prosty nos, pełne usta, zaczesane do tyłu włosy i zrównoważony sposób bycia zwiastowały tajemniczą nową gwiazdę. Przybyli gratulowali sobie obecności na debiutanckim występie otwierającym karierę, która narobi szumu w interesie. Oglądali narodziny gwiazdy. Piosenki Gershwina w interpretacji Marka nabierały nieco neurotycznego charakteru, który z pewnością nie był intencją kompozytora. Niewinne emocje lat trzydziestych wywoływały uśmiechy na twarzach słuchaczy. Publiczność nagradzała gromkimi brawami wszystkie piosenki, a zwłaszcza *Dziewczyną, którą kocham*, o której wszyscy wiedzieli, że w oryginale nosiła tytuł *Mężczyzna, którego kocham*. Proste wykonanie Marka oddało autentyczność uczucia.

Marcella była najbardziej oczarowana. Dzieliła eksponowany stolik z Sonią. W ten wyjątkowy wieczór twarz Marcelli jaśniała miłością do Santiiego, Marka i całej ludzkości; dzięki temu wyglądała jeszcze piękniej. Wcześniej postanowiła wysiedzieć na koncercie i o nim zapomnieć, ale talent Marka wzbudził jej podziw. Patrzyła i słuchała piosenek miłosnych ze szczególną namiętnością w oczach. Santi miał

przyjechać za osiemnaście dni, toteż Marcella interpretowała wszystkie teksty przez pryzmat tego właśnie przyjazdu.

- Gdzie on znalazł ten strój? - szepnęła Sonia. - U Cha-rivariego?

- Cole Ferrer pożyczył mu wszystko, włącznie z muzyką - odparła Marcella. - A ty przyprowadziłaś publiczność!

Dziękuję ci, kochanie.

Sonia wzruszyła lekceważąco ramionami. Miała na sobie długą, obcisłą czarną suknię, która podkreślała jej młody wiek, gdyż była dla niej zbyt dorosła. Sonia zachowywała się w sposób sztuczny i zmanierowany, a Marcella, po tym wszystkim, co się wydarzyło, czuła się niezręcznie, siedząc obok córki. Po raz pierwszy zastanawiała się, czy wyzywające zachowanie Soni mogło być wynikiem zażycia kilku działek kokainy. Patrzyła, jak córka bawi się z zakłopotaniem długą firką. Czemu Sonia miałyby się różnić od innych przebojowych osób z jej świata?

Spełniła obietnicę przyprowadzenia sporej grupy modelek, fotografów i dziennikarzy ubranych w różnych stylach elegancji. Porozsadzani po sali cocktailowej, dodawali modnego poloni, niezbędnego dla tego rodzaju debiutu.

Mimo to przeważali ludzie z branży muzycznej, którzy przyglądali się Marcelli, usiłując ją zaklasyfikować, zaintrygowani jej promiennym wyglądem. Z majorkańską opalenizną było jej do twarzy. Santi przywrócił jej ciało do życia swoją miłością. Przyjemnie zaokrąglona, z idealnie proporcjonalnymi pełnymi biodrami i łonem, zachowywała się z nową zmysłową pewnością. Kochał ją mężczyzna, piękny mężczyzna, a ten fakt uczynił dla Marcelli więcej niż kosmetyczne zabiegi fundowane jej przez Amy. Na ten wieczór włożyła obcisłą suknię od Chanel w kolorze ciemnoczerwonym. Drobną biżuteria stanowiła odpowiednią dekorację uszu, przegubów i szyi. Marcella nie spuszczała wzroku z Marka, koncentrując się na najdrobniejszym szczególe występu. Zakończył gorzko-słodką składankę Cole'a Portera, a oczy Marcelli lśniły, jakby odpływała w sen.

Publiczność zaczęła bić brawo, Marcella otrząsnęła się z zadumy i przyłączyła się do owacji. Mark wstał, by przyjmować wiwaty. Sonia zerwała się na nogi, a jej znajomi

poszli w jej ślady, jak na komendę. Uniosła ręce nad głowę, a znajomi za nią. Wkrótce cała sala na stojąco nagradzała Marka owacją.

Uśmiechał się szczerym, efektownym uśmiechem dziecka. Zasługiwał na sukces. Stojąc twarzą do publiczności, promieniał urodą gwiazdy filmowej, podkreślaną przez oczy, które w świetle reflektora lśniły szafirowym blaskiem. Złożył głęboki ukłon, dziękując słuchaczom, a potem ruszył wolno przez tłum. Zatrzymywały go dłonie, pragnące go dotknąć, uścisnąć mu rękę, poklepać po plecach. Co kilka kroków przypadała do niego dziewczyna, obejmowała go, a jakaś kobieta krzyknęła:

- Cole byłby taki dumny! Jesteś jego godnym spadkobiercą! Sonia usiadła z westchnieniem, rzucając matce triumfalne spojrzenie.

- Myślę, że możemy spokojnie powiedzieć, że Mark został odbity nudnym klasykiem - obwieściła.

- Ach, rozumiem... - Marcella skinęła głową. - To dlatego byłaś taka pomocna! Sądziłaś, że mnie to dotknie. Ale spóźniłaś się trochę, kochanie. Mark obiecał mi solennie, że zrobi wszystko, by dostać włoskie stypendium Gianniego.

Sonia wykrzywiła twarz w grymasie.

- Mark powinien grać to, co mu sprawia przyjemność, to wszystko. - Wzruszyła ramionami. Odwróciła pustą butelkę po szampanie do góry dnem w kubek z lodem, co stanowiło sygnał dla kelnera. - Zamówmy jeszcze jedną - powiedziała promiennie.

Marcella spojrzała na nią z uśmiechem.

- Soniu, jestem dzisiaj zbyt szczęśliwa, żeby dać się sprowokować czymkolwiek, co powiesz albo zrobisz. Zawsze chciałam, żebyśmy się przyjaźniły. Jeśli nie możesz tego zaakceptować, to twój problem!

Sonia przyjrzała się matce z uwagą.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że się zakochałaś?

- Skąd ci to przyszło na myśl? - spytała Marcella ze śmiechem.

Sonia jęknęła.

- Bo znam te wszystkie głupie oznaki. Mój charakterza-

tor zakochuje się codziennie. On też robi taką minę. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

- Masz dopiero siedemnaście lat, kochanie - zauważyła Marcella.

Patrzyła, jak piękna blondynka obejmuje Marka i całuje go mocno w usta. Wyglądało na to, że Mark jej nie zna.

- Poznamy tego faceta, czy wstydzisz się swoich dzieci? - spytała Sonia.

- Nazywa się Santi Roca i przyjedzie tu za trzy tygodnie. Bardzo bym chciała, żebyś go poznała, jeśli znajdziesz trochę czasu.

- Jasne! - Soni zaświeciły się oczy. - A co na to mały Mareczek?

- Jeszcze mu nie powiedziałam... - Marcella odwróciła wzrok od świdrujących liliowych oczu córki. - Chciałam poczekać, aż to się skończy, żeby...

Sonia wybuchnęła śmiechem.

- Żeby nie dostał ataku zazdrości! - krzyknęła.

- Soniu - powiedziała ostrzegawczo Marcella. - Masz na punkcie Marka...

Urwała. Mark podszedł do ich stolika z twarzą wyrażającą dumę połączoną ze zmęczeniem. Miał przekrzywiony smoking i zmierzwione włosy.

- Nie byłem zbyt beznadziejny, co? - spytał roześmiany. Schylił się, żeby pocałować matkę, a Marcella otoczyła go ramieniem.

- Mark, byłeś absolutnie cudowny. Walczyłam z tym przez cały czas, ale musiałam się poddać - odparła.

- Wcale nieźle, Mareczku.

Sonia pocałowała go szybko w policzek, a potem owinęła sobie perły wokół szyi jak podfruwajka. Kelner przyniósł następną butelkę szampana, którą otworzył głośno, kiedy Mark siadał.

- Za twoją muzykę i talent. - Marcella uniosła kieliszek. Sonia wypła szybko i wstała.

- Muszę skoczyć do centrum - powiedziała. - Duszę się w nadmiarze powietrza Upper East Side.

- Soniu. - Mark wstał, żeby pocałować siostrę. - Dzięki za przyrowadzenie towarzystwa. Doceniam to.

- Zanim zaczniemy komukolwiek dziękować, zobaczymy najpierw, co napiszą - odparła ze śmiechem. Ciao! - Zaczęła przeciskać się przez tłum, wołając: - Francesca? Jason? Leonide?

Zbierała ludzi, których niekonwencjonalne stroje świadczyły o ich przynależności do jednej grupy. Dziewczyny wyglądały jak wampy lub baletnice w siatkach i cekinach. Mężczyźni nosili brokatowe fezy lub mieli zawiązane na głowach barwne chustki.

- Kim oni są? - spytała Marka Marcella. Skrzywił się, pijąc szampana.

- Dziennikarze, pieczeniarze: frymuśna mała klika, która znajduje frajdę w decydowaniu, kto jest na wozie, a kto pod. Problem w tym, że wielu ludzi im wierzy!

Opróżnił kieliszek i dolał sobie szampana. Mężczyzna z dużą ilością złotych pierścieni i migoczącymi spinkami do mankietów stanął za Markiem i klepnął go w ramię.

- Możemy pomówić? - zahuczał, przedrzeźniając Joan Rivers i mrugając do Marcelli.

Mark spojrzał na matkę.

- Mamo, muszę spędzić trochę czasu ze znajomymi Cole'a. Zostaniesz tu?

- Nie, skoro oboje moich dzieci mnie opuściło - odparła, zdejmując marynarkę z oparcia krzesła. - Donald czeka na mnie. Odprowadź mnie, proszę, do samochodu.

Na chodniku, kiedy pocałował ją na dobranoc, przytuliła go na chwilę i powiedziała:

- Jestem z ciebie bardzo, bardzo dumna, kochanie. Nazajutrz wstała o dziesiątej, kiedy Mark jeszcze spał, i zeszła po świeże francuskie rogaliki i „Post”. Po powrocie do kuchni parzyła kawę, czytając plotki na szóstej stronie. Znajdowali się w pierwszym akapicie, pod nagłówkiem *Dzieci warte milion dolarów*.

Marcella Balducci Winton, autorka bestsellerów sprzedawanych za milion dolarów, specjalizuje się w wychowywaniu genialnych dzieci. Nie tylko jej córka Sonia jest wziętą nową modelką, ale zeszłej nocy jej syn Mark (18) zachwycił

wybredną publiczność Carlyle Lounge, występując w zastępstwie swego nauczyciela, Cole'a Ferrera. Uczeń Akademii Muzycznej Jacinthe, Mark, śpiewał Gershwina i Portera w stylu zapierającym paniom dech w piersiach. Łowcy talentów z kilku firm płytowych rywalizują o podpisanie umowy, ale Mark postanowił ubiegać się o stypendium czołowego włoskiego pianisty, Franco Gianniego. Matka Marcello, siedząca razem z oszalałą Sonią, wyglądała na odpowiednio dumną. Kiedy pół godziny później Mark wgramolił się do kuchni, z mętными oczami i rozczochny, Marcella podniosła wzrok znad gazety.

- Kto zawiadomił łowców talentów? - spytała, kiedy nalewał sobie sok pomarańczowy.

- Chyba Cole... - Spojrzał z ukosa na gazetę, którą mu podsunęła. - Położyłem się dopiero o czwartej! Boże, to chyba mój pierwszy kac!

Opadł na krzesło, a Marcella podała mu talerz francuskich rogalików.

- Cole ma ogromne ambicje związane z moją osobą - powiedział, rozdierając croissanta.

- Nawet nie myśl jeszcze o umowach nagraniowych, Mark - ostrzegła go. - Nie jesteś przygotowany na zostanie jakąś niedowarzoną gwiazdą muzyki pop.

- Za późno - wyznał, pijąc kawę. - Wczoraj w nocy zgodziłem się nagrać płytę.

- Mark! - krzyknęła. - Nie pytając mnie wcześniej? Wzruszył ramionami.

- To nic wielkiego. Cole nagrywa dla tej wytwórni. To specjaliści. Chodzi im tylko o trochę nagrań broadwayo-wskich. Nawet nie pójde do studia. Wykorzystamy moje nagrania na żywo z ostatnich dwóch tygodni.

- Cholera. - Westchnęła. - Chciałabym, żebyś to jeszcze przemyślał, Mark.

- Słuchaj, pewnie nikt tego nigdy nie usłyszy - przepowiedział. - To taki rodzaj kultowych płyt, jakie specjalistyczne sklepy muzyczne w Village trzymają na półkach, po-

kryte plastikiem i kurzem! A poza tym, niby dlaczego to takie cholernie ważne, żebym się trzymał klasyki? Jesteś jakąś strażniczką ognia czy co?

Marcella przysunęła krzesło i usiadła przy stole naprzeciwko syna.

- Po prostu zawsze czułam, że to znacznie większe dokonanie być wielkim pianistą klasycznym, Mark. Tylu ludzi potrafi grać muzykę pop. Ilu muzyków umie jak ty oddać sprawiedliwość Chopinowi? Chcesz przecież, żebym była z ciebie dumna, prawda? - Mark skinął głową. - A twój dziadek był taki dumny, że nasza rodzina jest muzycznie uzdolniona. Wiesz, że płacił za twoje lekcje gry na fortepianie. To pewnie głupota z mojej strony, ale z radością myślę o tym, jak bardzo by się cieszył, wiedząc, że grasz dobrze.

Mark wstał, stanął za nią i położył dłonie na ramionach Marcelh.

- A kim będę, jeśli się zgodzę? - spytał. Obróciła się i podniosła wzrok na syna.

- Zawsze będziesz światłem mego życia, kochanie. Wiesz o tym.

Pocałował ją w głowę i usiadł. Patrzyła jak zanurza croissanta w kawie.

Zaczerpnęła tchu i wypowiedziała słowa, których za wszelką cenę starała się nie wypróbować zawczasu.

- Mark, podczas pobytu na Majorce poznałam cudownego mężczyznę. Chciałam ci o tym powiedzieć zaraz po zakończeniu koncertu...

- Tak? - Podniósł wzrok znad pieczywa. - Wiedziałem, że jakoś się zmieniłaś po powrocie. Myślałem, że to moja muzyka!

Wytrzymała jego wzrok.

- Nazywa się Santiago Roca. Wszyscy mówią na niego Santi. Jest marszandem w Barcelonie, ale pracuje też na Majorce, gdzie ma dwa mieszkania. Przylatuje do Nowego Jorku za dwa i pół tygodnia. Myślę, Mark, że bardzo go polubisz.

- Brzmi wspaniale! - powiedział z uśmiechem i uściskał jej dłoń.

Maleńki nerw pod okiem zawsze drżał, kiedy się czymś

martwił, a teraz patrzyła, jak drży, podczas gdy Mark rozglądał się z roztargnieniem po pokoju. Czekala, aż znowu na nią spojrzy.

- To musiało się kiedyś stać, Mark. On jest dla mnie bardzo ważny i...

- Sądziłem, że dopiero go poznałaś - przerwał jej.

- To prawda. Ale ja to wiem, Mark. Oboje mamy ten psychiczny dar, prawda? Momentalnie rozpoznajemy ludzi.

Widzisz, kiedy tylko poznałam Santiago, wiedziałam, że to ten. On też wiedział. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie mi powiedział, to to, że będziemy razem przez resztę życia!

Mark uśmiechnął się krzywo.

- Niezła kwestia jak na początek! - zażartował. Wstał od stołu. - Lepiej zadzwonię do Cole'a, póki nie dotrą do niego jakieś plotki i nie rzucą cienia na moją owację na stojąco!

Zanim wyszedł, nachylił się nad Marcellą i szepnął jej na ucho:

- Zaczynasz wierzyć we własne powieści, mamó. Urażona, zmarszczyła brwi.

- Ja w nie wierzę! - zawołała za nim.

Wierzyła znacznie bardziej niż kiedykolwiek, teraz, kiedy zaczęła pisać *Na zawsze zaczyna się tej nocy*, powieść o dwóch kobietach na Majorce, z których jedna poznaje mężczyznę bardzo podobnego do Santiago.

Co noc, zanim kładła się spać, dzwonił Santi. W Barcelonie była wtedy ósma rano. Mówił, że może sobie pozwolić tylko na trzyminutową rozmowę, więc dzwonił, żeby powiedzieć, że kocha. Jego głos stanowił cudowne zapewnienie, że Santi naprawdę istnieje. Teraz, po powrocie do Nowego Jorku, jakże łatwo mogło jej się wydać, że był tylko snem. Nowy Jork stał się teraz zupełnie inny. Mark wychodził co noc występować w Carlyle, a Marcella nie czuła już potrzeby chodzenia do Członków. Jak nawrócona alkoholiczka myślała o dawnej przypadłości z przerażeniem. Wołała nową Marcellę, łagodną, romantyczną Marcellę, czekającą, aż miłość jej życia odwiedzi ją w rodzinnym mieście.

Jeszcze dwa razy poszła na występ Marka w Carlyle, pojechała odwiedzić matkę i nagle przyjazd Santiago miał

nastąpić nazajutrz. Zarezerwowała dla niego mały apartament w hotelu przy swojej ulicy. W dzień przylotu poszła go sprawdzić i ozdobić bukietami kwiatów. Przed wyjazdem na lotnisko spojrzała na swe czyste łóżko. Jej potrzeba prywatności oraz obawa przed sprawieniem Markowi przykrości spowodowały, że mieli się kochać z Santim w anonimowym pokoju hotelowym zamiast w jej domu. Może kiedy Mark będzie w szkole, uda jej się tu kiedyś przemycić Santiago

- myślała. Tylko po to, żeby mogła wiedzieć, że Santi spał w jej łóżku, że dzielił je z nią. Zanim Donald zabrał ją na lotnisko Kennedy'ego, pod wpływem impulsu chwyciła czerwoną różę z wazonu w salonie.

Kiedy Santi z uśmiechem przeszedł przez kontrolę celną, padli sobie w objęcia i uściskali się gorąco. Jego słoneczny majorkański zapach przeniósł natychmiast Marcellę myślą do idyllicznego tygodnia spędzonego na wyspie, a spod jej mocno zaciśniętych powiek trysnęły łzy. Stłumiła łkanie, odsunęła się i przyjrzała się Santiemu. Wcześniej zastanawiała się, jak będzie tu wyglądał, wyrwany ze swego żywiołu, pośród dużych, gładkich Amerykanów. Teraz widziała, że pozostał sobą. Wyglądał nieco egzotycznie, bezsprzecznie europejsko, bardziej pociągająco niż kiedykolwiek. A co najważniejsze, jego oczy były przepelnione miłością.

- Och, witaj w Nowym Jorku, kochany! Witaj! Wręczyła mu różę, trzymając go za rękę. Miał małą walizkę i okrągły karton zawierający świeży *ensaimada* z Palmy dla Marcelli. Kiedy dotarli do samochodu, spojrział na niego z podziwem.

- Wynajęłaś go specjalnie dla mnie?

Zaśmiała się, kiedy Donald wysiadł, wziął walizkę Santiago, schował do bagażnika i otworzył im drzwiczki.

- Jest mój, Santi - wyznała wstydliwie, kiedy wsiedli.

- Ale to moja jedyna ekstrawagancja!

- Rozumiem... - powiedział, siadając obok Marcelli na tylnym siedzeniu. - Kiedy powiedziałaś, że jesteś pisarką, nie zrobiło to na mnie takiego wrażenia! Większość pisarzy w Hiszpanii klepie biedę. Przypuszczam, że musisz sprzedawać dużo książek?

- Miliony! - odparła, całując go. - Czy nie mam szczęścia, Santi?

Mocno ścisnęła jego dłonie, a on nachylił się i pokrył jej twarz małymi pocałunkami.

- Teraz znowu żyję - oświadczył. - Odkąd wyjechałaś, chodziłem jak kukła. Nic nie miało smaku, nic mnie nie śmieszyło. Mogłem myśleć tylko o tej chwili!

- Ja tak samo! - przyznała.

- Jeszcze nigdy nie dostałem róży od kobiety - powiedział, ostrożnie kładąc kwiat na półeczce.

Dojeżdżali do miasta. W obecności Santiego Nowy Jork prezentował się zupełnie inaczej. Słońce zachodziło na różo-woczerwono, a w domach zapalały się światła. Nigdy dotąd miasto nie wydawało się Marcelli tak poetyckie.

- Spójrz! - Wskazała na linię zabudowań Manhattanu.

- Zupełnie jak na filmach - stwierdził Santi. - Czy Nowy Jork naprawdę jest tak niebezpieczny i szalony?

- Nie dla nas, kochany - szepnęła. - Dla nas to miasto miesiąca miodowego, przytulne i pełne miłości.

Zafascynowany, wyglądał przez okno, pytał o każdą dzielnicę, przez którą przejeżdżali, kiedy przekraczali most prowadzący na Manhattan, ścisnął Marcelłę za rękę.

W hotelu ruszyli za chłopcem niosącym walizkę Santiego jak para zawstydzonych nowożeńców. Gdy tylko chłopiec wyszedł, Santi pociągnął Marcelłę na łóżko i zamknął ją w objęciach.

- Kocham cię - powiedział. - Kocham cię.

Oddała się luksusowi leżenia w jego ramionach; pozwoliła, by ją rozebrał, całując każdą część ciała, jaka się wyłamała. Potem sam zdjął ubranie, ukazało się jego brązowe, sprawne i silne ciało. Czuli się przy nim absurdalnie rubensowsko.

Znowu stopili się w jedno. Jego dotyk był przyjemniejszy, niż pamiętała, gładki, jedwabisty; Santi tulił ją tak mocno, że stali się jedną osobą. Kochał się z nią pośpiesznie, więc wiedziała, że od rozstania nie zaznał seksu w żadnej postaci. Podobnie jak ona. Znowu cieszyła się wszystkim, co robił, jego ustami, dłońmi, a mimo to w decydującej chwili, kiedy oczekiwała, że utonie w rozkoszy, zdekoncentrowała się.

Zaraz potem usłyszała jęki Santiago, który wypuścił na wolność całą miłość i żądzę, jaką oszczędzał. Był zbyt upojony, żeby zwrócić uwagę na rozczarowanie Marcelli. Niebawem zasnął w jej ramionach. Usiadła w nogach łóżka i patrzyła, jak śpi. Przykryła go kocem.

Później rozpakowała jego rzeczy, powiesiła w szafie spodnie i marynarki, ułożyła w łazience przybory toaletowe, dotykając z miłością wszystkich przedmiotów, ponieważ należały do Santiago. Obudził się pół godziny później, wypoczęty, więc Marcella zamówiła kawę u służby hotelowej. Potem wzięła Santiago za rękę, wyszli z hotelu i poszli Piątą aleją, mijając Tiffany'ego, Tramp Tower i Rockefeller Center. Santi wyciągał szyję jak na turystę przystało, mówił Marcelli, że bardzo podoba mu się Nowy Jork, wpatrywał się ze zdumieniem w elegancko ubranych ludzi, pytał, gdzie są wszyscy bandyci.

- Och, kochany! - śmiała się Marcella. - Jesteś taki europejski! Będziesz uwielbiał Nowy Jork, a ja będę uwielbiała oprowadzanie cię po mieście!

Zrobiło się wpół do dwunastej. Santi przypomniał Marcelli, że dla niego jest to piąta trzydzieści nad ranem, a poprzedniej nocy też prawie nie spał. Odprowadziła go więc do hotelu, gdzie przebrał się w kremową piżamę i położył do łóżka. Pocałowała go delikatnie, a Santi momentalnie zasnął. Wróciła do siebie, uśmiechając się do wszystkich portierów, których znała. Jak cudownie było wiedzieć, że kilkaset metrów dalej śpi mężczyzna, na którego czekała całe życie, i że zobaczy go rano.

Santi zadzwonił o wpół do dziesiątej następnego ranka.

- Spałem prawie dwanaście godzin! - zaśmiał się. - Teraz chcę zjeść z tobą śniadanie u Tiffany'ego!

- Czy zgodzisz się na hotelową kawiarnię? - spytała.

- Spotkamy się tam za pół godziny.

Znalazła go przy stoliku, gdy żarłocznie pochłaniał grzanekę i jajka na chrupkim boczku. Wstał, żeby ją pocałować. Marcella zamówiła tylko kawę.

- To takie inne niż jedzenie majorkańskie - powiedział.

- Bardzo mi smakuje.

Patrzyła, jak je, szczęśliwa, że ma taki świetny apetyt.

- Kochanie - zaczęła. - czy zastanawiałeś się, dlaczego zamieszkałeś w hotelu, zamiast u mnie w domu, chociaż tak właśnie bym wolała?

Uniósł brwi nad filiżanką z kawą.

- Dzieci? - podsunął. - Może nie życzą sobie widzieć cudzoziemca sypiającego w łóżku ich matki?

Marcella zaśmiała się.

- Posłuchaj... - Ujęła dłoń Santiago i zaczęła się bawić jego palcami. - Mówiłam ci, jak bardzo Mark i ja jesteśmy sobie bliscy, prawda? Musiałabym ci tłumaczyć cały dzień, jak to się na nas odbiło, że mój mąż zabrał kiedyś dzieci. Mark doznałby szoku, gdyby po prostu znalazł cię w moim łóżku. Czy to rozumiesz, kochanie?

- Tak, oczywiście. - Uścisnął jej dłoń. - Ale musiał widywać innych mężczyzn.

- Nie - odparła, kręcąc głową.

- Przez wszystkie te lata nie zapraszałaś mężczyzn do domu?

- Nie - powiedziała po prostu.

- Może za bardzo chroniłaś syna, Marcello? - zasugerował. - A co z Sonią?

- Sonia ma własne życie - odpowiedziała beztrąsko. - Ona nie stanowi problemu. - Poderwała Santiago z krzesła. - A teraz weź swój aparat, kochanie. Idziemy zwiedzać miasto.

Donald czekał na nich przed jej domem. Chciała pokazać Santiemu swoje miasto: mieszaninę starego i nowego, rzeczy, które trzeba zobaczyć, typu Empire State Building, a także nieoczekiwane miejsca w rodzaju Cloisters i restauracji nad jeziorkiem w Central Parku. Nie chciała myśleć o niczym poza przyjemnościami i wrażeniami Santiago, całkowicie oddając się roli jego przewodniczki.

Santi poznał jej dzieci podczas swojego drugiego wieczoru w Nowym Jorku, a wypadło to tak niezręcznie, jak tylko Marcella mogła sobie wyobrazić. Kilkakrotnie dzwoniła do Soni, przypominając jej o wieczorze, chowała dumę do kieszeni, ponieważ chciała popisać się przed Santim oboj-

giem dzieci. Postanowiła, że musi nieco okreśną drogą wyjaśnić Santiemu, dlaczego Sonia mieszka osobno i dlaczego ma z córką taki słaby kontakt. Fakt, że angielski Santiago był daleki od doskonałości, nie pomógł. Rozmowa toczyła się w nowojorskim slangu, poza tym oboje czuli się zmęczeni całodzienną wędrówką po mieście. Mark zachowywał się uprzejmie. Czekał na Sonię, prowadził z Santim niezobowiązującą rozmowę.

Wpadła spóźniona o godzinę, w czarnym męskim meloniku na ściągniętych do tyłu włosach, w przezroczystej, czarnej, siatkowanej spódnicy przypominającej halkę, czarnych pończochach i szpilkach. Czarna jedwabna bluzka, mnóstwo quasi-religijnych medalików i krzyżyków na łańcuszkach oraz czarne koronkowe mitenki dopełniały całości. Gdyby nie była wysoka, piękna i nie nosiła się prosto, wyglądałaby komicznie - pomyślała Marcella. A jednak Sonia prezentowała się niepokojuco seksownie i modnie.

- Brałaś coś? - szepnęła Marcella, kiedy Sonia stanęła w hallu wdziecząc się przed lustrem.

- Trochę wina i coś tam do wężania, kochanie - odparła beztrosko, chichocząc. - Gdzie on jest?

- Soniu... - Marcella powstrzymała córkę. - Narkotyki to szaleństwo, zwłaszcza w twoim zawodzie!

- Chyba żartujesz! - prychnęła Sonia. - W każdym razie, świętowałam moje drugie zdjęcie na okładkę „Vogue”! Kolejny krok bliżej celu, mamó, kochanie!

Kiedy weszły do pokoju, Santi wstał, promieniejąc swym szczerym uśmiechem. Jeśli był zdziwiony wyglądem Soni, grzeczność nie pozwoliła mu tego okazać. Podał jej dłoń, a Marcella dokonała prezentacji.

- Moja córka, Sonia, Santi Roca - powiedziała, a Santi pocałował Sonię w rękę.

Spojrzała na niego, bardziej zaskoczona Santim niż on nią. Marcella przyglądała się Markowi z radością, czując ulgę, że jest tak czarujący, jak tylko potrafił. Sonia poszła w ślady brata.

- Witamy w Nowym Jorku! - powiedziała, uśmiechając się promiennie do Santiago. - Co myślisz o Manhattanie? Chodź, zobacz widok!

Wzięła go za rękę i zaciągnęła na mały balkon wychodzący na Central Park.

Marcella wręczyła Markowi kubelek na lód.

- Czy możesz to napełnić, kochanie? I wyjmij szampana z zamrażalnika, zanim wybuchnie. Przygotowałam coś do przegryzienia, przyniosę...

Zajęła się jedzeniem, drinkami i kieliszkami, nie mogąc się zdobyć na odwagę, by spojrzeć na twarz syna i zobaczyć wyrok.

- Wszędzie widzę twoje zdjęcia! - komplementował Sonię Santi. - Na lotnisku, w aptekach, twoja matka pokazała mi magazyny z modą. Jesteś bardzo piękna.

- Tak, kiedy nałożą mi na twarz całą tapetę, może być... - zgodziła się, wracając z Santim do pokoju.

Rozpięła jedwabną bluzkę, pokazując fragment silikonowego dekoltu.

- „Tapeta” oznacza makijaż - wyjaśniła Marcella, stawiając na fortepianie duże talerze z krakersami i kawiozem.

- Całe góry makijażu! - stwierdziła Sonia, atakując kawior. - Czasem po prostu zastanawiam się, kurczę, gdzie jestem ja pod tym wszystkim? Więc co robisz w Hiszpanii? Mama mówiła mi, że coś ze sztuką...

- Sprzedaję dzieła sztuki - odparł Santi z powagą. - Obrazy. Ludzie w Barcelonie dopiero zaczynają kupować prace młodych artystów. Dawniej...

- Znam Leo Castellego - przerwała mu Sonia. - Oszczędzam pieniądze, żeby kupić od niego litografię Warhola.

Marilyn Monroe. To podobno dobra inwestycja. Czy mogłam słyszeć o którymś z twoich artystów?

'- Oni jeszcze nie są sławni w Ameryce - wyjaśnił Santi przepaszająco.

Marcella przyglądała się im, powstrzymując się od bronienia Santiiego przed ostrym, cynicznym żargonem Soni.

Mark wrócił z kuchni z szampanem, otworzył go z głośnym hukiem i ostrożnie napełnił cztery kieliszki. Marcella wręczyła po jednym Soni i Santiemu, czekając, żeby wznieść toast. Sonia paplała.

- Wierzę w teraz! - oświadczyła Santiemu, stając na

środku pokoju na rozstawionych szeroko nogach. - Dlatego śpieszę się, żeby osiągnąć jak najwięcej, dopóki jestem naprawdę młoda! Kto wie, kiedy ktoś nas zastrzeli, albo jakiś świr na ulicy potnie mi twarz? Śnią mi się koszmary, że widzę nagłówek w „Post”: *Odnaleziono modelką bez głowy*, a potem przekonuję się, że chodzi o mnie! Mark wybuchnął śmiechem.

- Ty miewasz koszmary, że czytasz „Post” i nie znajdujesz tam swego nazwiska - powiedział.

Santi uśmiechnął się, patrząc to na jedno to na drugie, nie zupełnie rozumiejąc. Marcella przerwała dzieciom.

- Oboje gadacie od rzeczy i nie możecie oczekiwać, że Santi cokolwiek zrozumie. „Post” to gazeta drukująca plotki - wyjaśniła, a on skinął głową.

- A ty, Mark - spytał go Santi. - Czy żyjesz swoją muzyką?

Mark wzruszył ramionami.

- Dopóki nie znajdę lepszego celu w życiu...

- Wypijmy za to! - zawołała Sonia, unosząc kieliszek. Tak mocno trąciła nim kieliszek Santiiego, że niemal go stłukła. Potem wypila zawartość swojego jednym haustem i ponownie go napełniła. Marcella też piła szybko, zdenerwowana tą konfrontacją osobowości w jej salonie; tak bardzo chciała, żeby bliskie jej osoby przypadły sobie do gustu, że musiała się powstrzymać od zarzucenia rak dzieci na szyję kochanka. Czuła się niezręcznie. Santi pomyśli, że wychowała dwoje rozpuszczonych bachorów. Spojrzała na ukochanego mężczyznę i na dzieci. Dwie różne siły w jej życiu, ciągnące ją w różne strony. Santi uśmiechał się swym promiennym uśmiechem, nie nadążając w pełni za żartami i docinkami fruującymi między rodzeństwem. Czy nie widzicie, kim on jest? - chciała krzyknąć Marcella. - Nie widzicie, jaki jest cudowny? Dlaczego się oboje nie zamkniecie i nie pozwolicie mówić Santiemu?

- Jutro pracuję jako modelka dla Billa Blassa. Dziś muszą wziąć miarę, więc nie mogę dłużej zostać - trąkotała Sonia.

- Czy chcesz jeszcze trochę szampana? - zaproponował Santi.

- *Claw que si!* - krzyknęła Sonia.
- O, mówisz trochę po hiszpańsku? - spytał zachwycony Santi.
- Mam portorykańską sprzątaczkę - skrzywiła się Sonia. - Na nic innego nie możesz tu liczyć. Potrafię jej wytłumaczyć, co ma sprzątać.

Wszystkie kanapki zostały nerwowo zjedzone.

- Pomóż mi dorobić - poprosiła Marcella Sonię.

W kuchni szybko posmarowała krakersy kawiozem, wyciskając na nie cytrynę.

- Zapytaj go o jego życie, Soniu - powiedziała Marcella. Sonia zajrzała do lodówki.

- Próbuję, mam, kochanie, ale wiesz, on niezupełnie zna język potoczny. Czy następnym razem mogłabyś wybrać Anglika albo Amerykanina?

- Nie będzie następnego razu - odparła Marcella. - Postaraj się nie używać żargonu. Rozumie wszystko, kiedy mówisz wyraźnie i nie używasz slangu.

- Słuchaj! - Sonia wyciągnęła z lodówki łodygę selera, którą wetknęła do ust. - Nie proś mnie dziś wieczorem, żebym mówiła wyraźnie! Masz szczęście, że w ogóle tu jestem po dniu, jaki miałam!

Marcella pośpieszyła do salonu, gdzie Santi prosił Marka, żeby zagrał na fortepianie. Poczęstowała ich kanapkami, a nadąsany Mark otworzył fortepian. Widziała, że jest rozdarty między chęcią zaimponowania Santiemu a pragnieniem, by okazać obojętność. Sonia rzuciła się na kanapę, przekładając nogę przez poręcz. Piła szampana, głośno zagryzając selerem. Mark zagrał kilka akordów gershwinowskich. Santi posłał Marcelli miłosne spojrzenie i przyzwał ją gestem do siebie. Oparł się o fortepian. Usiłowała nie czuć się głupio, kiedy trzymał ją za rękę, podczas gdy Mark grał. Oparła się o Santiago niezręcznie, mówiąc sobie, że liczy się tylko miłość do tego mężczyzny, a nie wrażenie, jakie wywierał na jej dzieciach.

Mark zaśpiewał *Embraceable You* pięknym, czystym tenorem, wyciskając z piosenki każdą uncję romantyczności. Przez chwilę zdawało się, że wspiera ich miłość, a Marcelli

mignął w umyśle nieprawdopodobny obraz nowej, zjednoczonej rodziny, w której dzieci się cieszą, że znalazła kochającego ją mężczyznę. Obserwowała Marka i zobaczyła, że nie potrafi się oprzeć okazji zaprezentowania swego niezwykle wdzięk i talentu, nawet jeśli chodziło o mężczyznę, którego nie chciał lubić. Po zakończeniu piosenki szybko nalał sobie szampana, a Santi i Sonia nagrodzili go brawami.

- Teraz rozumiem, dlaczego twoja matka była taka dumna, kiedy mi ciebie opisywała - powiedział Santi do Marka. - Bardzo kocham Gershwin.

- Czy grają go dużo w Hiszpanii? - spytał Mark zdziwiony.

- Oczywiście. To prawda, że pozostajemy w tyle za Ameryką, ale Gershwin jest u nas znany od sześćdziesięciu lat!

- Santi uwielbia muzykę - powiedziała Marcella.

- Jaką? - spytał Mark, improwizując na wysokich tonach.

- Ravela - odparł Santi. - Poza tym Chopina, Debussy'ego, Satie'ego.

- Upodobania intelektualisty, co?

Mark zagrał kilka taktów *Clair de Lune*. Marcella patrzyła, jak wdzięk syna walczy o to, by się wydostać na wolność. Wiedziała, że gdyby tylko przestał się dystansować, on i Santi mogliby zostać wielkimi przyjaciółmi. Łączyła ich muzyka. I ona. Uśmiechnęła się smutno: w tym właśnie kłopot!

- Muszę lecieć! - Sonia zerwała się z kanapy i pośpiesznie pocałowała wszystkich na pożegnanie. Zarzuciła Santiemu ręce na szyję. - Życzę ci cudownego pobytu, Santi. Jestem pewna, że moja droga mama okaże się najwspanialszą przewodniczką. Mark? Do zobaczenia.

Marcella odprowadziła córkę do hallu. Obserwowała, jak Sonia sprawdza w lustrze twarz i kapelusz.

- Czy zjesz z nami w piątek kolację, Soniu? Przyjdzie Amy, bardzo chciałaby cię zobaczyć.

- Nie mogę - odparła Sonia. - Kupiłam konia, którego trzymam na polu przyjaciółki na Long Island. Jeżdżę na nim w każdy weekend i to jest jak wielka miłość mego życia!

- Czyli jednak wierzysz w miłość? - spytała Marcella z uśmiechem.

Sonia wzruszyła ramionami, wkładając kapelusz.

- Jeśli to koń, absolutnie tak! - Nacisnęła guzik windy i pocałowała Marcellę w policzek. - Dzięki za drinki! - Winda przyjechała, Sonia wsiadła, odwracając się do matki. - Powodzenia z twoimi dwoma mężczyznami. Ja apróbuję, nawet jeśli Mark nie. - Wcisnęła guzik parteru. - Te trójkąty potrafią być takie nudne, kochanie! - Uśmiechnęła się złośliwie. - Muszę przyznać, że twój jest całkiem wyjątkowy!

Drzwi się zamknęły, zasłaniając wyraz jej twarzy.

Mark wyszedł kilka minut później na kolację z Cole'em. Wreszcie zostali sami, a Marcella naląła im po czystej szkockiej.

- Potrzebujemy tego - stwierdziła, wręczając mu szklanę. - Wybaczysz im, kochanie? - Opadła na sofę, zrzucając buty. - Dziś zrozumiałam, jakie to rozpuszczone bachory!

- Rozpuszczone? - Santi zmarszczył brwi. - Bachory? Marcella wypła łyk szkockiej.

- Kiedy dajesz dzieciom za dużo - wyjaśniła. - Kiedy za bardzo je kochasz.

- Nie... - Nachylił się i pocałował ją w czoło. - To cudowne dzieci. Mark jest geniuszem muzycznym, a Sonia jest taka piękna. Powinnaś być z nich bardzo dumna.

Marcella się skrzywiła. Usiadł obok niej.

- To oczywiste, że się niepokoją, kiedy przedstawiasz im obcego. Jeśli się pobierzemy, będę ich ojcem. To bardzo ważne. Szczególnie, jeśli ich prawdziwy ojciec żyje, a one muszą go bardzo kochać.

Jęknęła w duszy. Nie powiedziała jeszcze Santiemu, że Harry siedzi w więzieniu. Nie chciała dostarczać mu zbyt wielkiej ilości wrażeń na raz. Wzięła go za rękę.

- W twoich ustach wszystko brzmi tak prosto, kochanie.

- Bo to jest proste, kiedy dwoje ludzi się kocha! - zaśmiał się Santi.

Zjedli kolację w towarzystwie Amy. Wykorzystali jej sławne nazwisko, by dostać dobry stół w tajskiej restauracji SoHo. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku Marcella była związana z miastem relacją miłości i nienawiści. Przyznawała, że spacer o zmierzchu Piątą aleją to wspa-

niale przeżycie, podobnie jak widok Manhattanu ze statku w ciągu dnia. Jednak tego wieczoru, w gwarnej, modnej restauracji pełnej ekshibicjonistów, kiedy grubiańscy kelnerzy żonglowali drogimi, miniaturowymi porcyjkami, nagle zobaczyła wszystko oczami Santiago i wydało jej się to śmieszne. W Palmie nie było takich restauracji. Można było wybrać z tuzina nabrzeżnych knajpek, gdzie podawano pyszne świeże ryby bez szumu i wielkiego halo. Marcella patrzyła na Santiago, pogrążonego w rozmowie z Amy i pragnęła znaleźć się z nim sam na sam. Kiedy grubo po północy kolacja dobiegła wreszcie końca, szofer Amy odwiózł ich z powrotem do Central Park South. Kochali się w pokoju Santiago, a Marcella leżała w jego ramionach, szczęśliwa, promieniejąca ciepłem ich miłości. Rozkosz znowu jej się wymknęła, ale Marcella zaczęła się uczyć to lekceważyć; po prostu cieszyła się pieszczotami Santiago, napawała się wszystkim, co z nią robił, jakby seks nie musiał koniecznie prowadzić do orgazmu. Miała nadzieję, że jej ciało przywyknie wreszcie do tego luksusu miłości, seksu i czasu, nauczy się je łączyć tak, by mogła doznawać pełni.

- Co my zrobimy, Santi? - spytała, przerywając w końcu milczenie.

- Pobierzemy się i zawsze będziemy razem - szepnął jej na ucho.

- Jak nasze życia mogą się dopasować? Poczula, że lekko wzruszył ramionami.

- Nasze życia odnajdą drogę. Jak nasze ciała. Pozwoliła sobie na jeszcze kilka minut w jego ramionach, a potem zmusiła się do tego, by usiąść. Dochodziła druga nad ranem.

- Lepiej już pójdę, kochanie.

Wyśliznęła się z łóżka i po omacku zaczęła szukać ubrania.

- Dlaczego nie spędzisz ze mną całej nocy? - spytał Santi, zapalając światło. Podparł się na łokciu i przyglądał się Marcelli. - Myślisz, że Mark nie wie, że żyjemy ze sobą?

Włożyła sukienkę.

- Po prostu czuję, że musi nas zaakceptować krok po kroku - wyjaśniła. - Gdybym nagle nie wróciła na noc...

Urwała.

Santi nie odpowiedział, ale widziała, że czuje się dotknięty.

Po powrocie do domu zobaczyła w szparze pod drzwiami pokoju Marka, że wciąż pali się u niego światło. Weszła do łóżka, ale nagle poczuła się całkiem rozbudzona, więc wstała i zaczęła poprawiać najnowszą wersję *Muzyki miłości*.

Dwadzieścia minut później Mark zapukał cicho do drzwi.

- Wejść - zawołała.

Zajrzał, a potem wszedł powoli do pokoju. Miał na sobie szlafrok.

- Mark... - powiedziała ostrzegawczo.

Zrobił krok w stronę łóżka, patrząc na nią błagalnie.

- Co o nim sądzisz? Zmusiła się, żeby o to zapytać.

Usiadł w nogach łóżka, patrząc Marcelli w oczy.

- Uwważaj na to, co powiesz, Mark - ostrzegła. - Pamiętaj, to jest moje życie!

Sięgnął po jej dłoń. Po raz pierwszy w życiu nie chciała, żeby jej dotykał. Przesunął jej palcami po swych wargach.

Potem rzucił się na łóżko obok Marcelli, próbując ją przytulić.

- Nie! - krzyknęła.

Nie mogła na to pozwolić. Nie teraz, kiedy wciąż czuła dotyk Santiego, jego zapach wciąż unosił się na jej skórze.

- Nie rób mi tego! - powiedział Mark, wtulając twarz w szyję matki.

Usiadła na łóżku, siłą odrywając się od niego.

- To ty mi tego nie rób! - krzyknęła. - Nie waż się mnie wpędzać w poczucie winy za to, że pokochałam tak cudownego człowieka jak Santi! Właśnie teraz możesz dowieść, że naprawdę mnie kochasz, tak jak mówisz! Gdybyś mnie faktycznie kochał, byłbyś szczęśliwy, Mark! Santi to najlepsze, co mnie spotkało, od kiedy urodziłam ciebie.

Ty miałeś osiemnaście lat mojej niepodzielnej uwagi...

- A teraz jego kolej? - dokończył za nią Mark, wykrzywiając usta w gorzkim grymasie.

- Tak, Mark. Teraz jego kolej. Usiadł, patrząc na nią groźnie.

- Ale ty nie jesteś jakąś... rzeczą, która się dzieli i po kolei rozdaje ludziom! Jesteś moją matką i to ty uczyniłaś ten świat właśnie takim! To ty sprawiłaś, że byliśmy tylko my dwoje, a teraz nie masz prawa mnie wyrzucać tylko dlatego, że znalazłaś jakiegoś faceta, który...

- Ja ciebie nie wyrzucam! - Poglądziła syna po karku, a on położył głowę na jej kolanach. - Oboje wiedzieliśmy, że pewnego dnia albo ja, albo ty kogoś spotkasz...

Podniósł na nią błyszczące, niebieskie oczy.

- Ale ja nikogo nie znalazłem i nigdy nie znajdę!

- Nie bądź głuptasem - pocieszyła go. - Masz dopiero osiemnaście lat. Oczywiście, że kogoś spotkasz. Po twoim występie tuziny pięknych dziewczyn rzucały ci się na szyję!

- To bzdury!

Usiadł, kładąc sobie dłonie Marcelli na ramionach. Patrząc w jego ciemnoniebieskie oczy, czuła wszystko, co myślał, czuła jego siłę, surową, pierwotną potrzebę dziecka.

- Och, Mark, co ja ci zrobiłam? - wyszeptała z przestachem. - Czego właściwie chcesz? Żebym nigdy nie patrzyła na żadnego mężczyznę? Nigdy się nie zakochała?

- Tak bardzo cię potrzebuję - szepnął przez zaciśnięte zęby. - Nie poradzę sobie z życiem. Znam tylko swoją muzykę. Ludzie mają na mnie taki wpływ, że nie daję sobie rady z ich żądaniami! Jesteś jedyną osobą, która...

- To niedobrze! - przerwała mu. - Matka nie może być jedynym człowiekiem, któremu ufasz i którego kochasz...

- Ale obiecałaś, że zawsze będę światłem twojego życia!

- zawołał.

- Będiesz! Ale to nie oznacza, że nie potrzebuję mężczyzny, który będzie mnie kochał i opiekował się mną.

- A co jest złego w mojej miłości dla ciebie, w mojej trosce? - spytał.

Pogłaskała go po czole.

- Mark, ty nie rozumiesz. Miłość synowska nie jest substytutem miłości męża. Kobiety mają takie same potrzeby jak mężczyźni...

- Amy też ma potrzeby, a jakoś daje sobie z nimi radę!

- powiedział wyzywająco.

- Ja nie jestem Amy - odparła, patrząc mu w oczy.

- I nie jest to temat, na który matka powinna rozmawiać z synem, Mark. Gdybym chciała, wyszłabym za Santiago w przyszłym tygodniu, ale ponieważ jesteś mi bliski, zależy mi na tym, żebyś go pokochał. Zaakceptuj go jako starszego brata albo dobrego przyjaciela. Jeśli dasz mu się poznać tak jak mnie, on także cię pokocha.

- Nie chcę, żeby on mnie kochał! - krzyknął Mark. - Nie potrzebuję jego miłości. Tylko twojej! Całej twojej miłości.

- Zeskoczył z łóżka. - O, Boże! - wykrztusił, przyciskając dłonie do ust, robiąc kilka niepewnych kroków w stronę łazienki.

Nagle zachłysnął się, zgiał się w pół i zwymiotował. Leżał na dywanie, dysząc.

- Mark!

Marcella pobiegła do łazienki po ręcznik, wyczyściła dywan, a Mark leżał na boku i jęczał. Nalała mu szklankę wody. Wypił, podpierając się na łokciu.

- Przepraszam - powtarzał. - Przepraszam.

Otarła mu brwi ręcznikiem zamoczonym w wodzie kolońskiej; odświeżający zapach ukoił ich oboje.

- Chciałem ci dobrze życzyć - powiedział. - Chciałem cieszyć się twoim szczęściem, ale po prostu... - Zmusił się, do spojrzenia jej w oczy. - Bez ciebie chyba nie dam sobie rady.

Poczuła, że zamiera jej serce. Zapaliła papierosa. Mark wkrótce zasnął na dywanie, a Marcella wyglądała przez okno na granatowe niebo i nieliczne okna, w których jeszcze paliło się światło.

Poszła do łóżka, po chwili zasnęła z wyczerpania. O szóstej rano, kiedy świt rozjaśnił niebo, Mark położył się do jej łóżka. Wymamrotał coś i wkrótce oddychał ciężko u jej boku. Marcella przylgnęła do jego pleców, przypominając sobie, że ten dorosły mężczyzna wyszedł z jej ciała i był kiedyś tak mały, że mogła go utrzymać w jednej ręce.

Następny dzień był ich dniem Statuy Wolności. Marcella ukryła niewyspanie pod mistrzowskim makijażem, którego nauczyła ją Amy przed porannymi występami w telewizji.

Płynąc promem z Battery Park otrząsnęła się z ponurych myśli. Obserwowała radość Santiago, gdy robił jej tuziny zdjęć, kiedy wiatr rozwiewał jej włosy. Uśmiechała się do aparatu, wyobrażając sobie, jak Santi będzie je oglądał przed zaśnięciem w mieszkaniu w Barcelonie. Wszystko się ułoży

- obiecała sobie.

Później, na Wall Street, starała się nie wspominać czasów, kiedy odwiedzała tu Harry'ego. To inne życie zdawało się odległe o wiele dziesięcioleci. Donald czekał z samochodem przed SoHo, a Marcella i Santi zwiedzali galerię. W drodze powrotnej do centrum minęli Członków, czarny budynek opustoszały w dzień. Marcella lekko zadrżała, zwróciła do Santiago uśmiechniętą twarz, przytuliła się do jego ramienia. Już nigdy nie będzie potrzebowała tego okropnego miejsca.

W pokoju hotelowym Marcella położyła się na łóżku, a Santi wziął prysznic. Rozglądała się dokoła. Zauważyła, że starannie poukładał swoje rzeczy, pudełka z wywołanymi filmami obok przewodników. Santi śpiewał pod prysznicem, jego niski, szczęśliwy głos rozdzierał serce Marcelli. Wiedziała, że będzie szalona, jeśli nie wyjdzie z tego człowieka, że nikt taki już nigdy nie pojawi się w jej życiu. Nagle znalazł się przy niej, wilgotny i pachnący czystością po prysznicu i przytulił Marcellę mocno.

- Kochasz mnie? - spytała.

- A jak myślisz? - droczył się.

- Myślę, że bardzo mnie kochasz, ale nie tak, jak ja ciebie.

- Jak możesz to mówić, Marcello - odparł z irytacją.

- To ja powiedziałem, że zawsze będziemy razem, wtedy w kawiarni, kiedy się poznaliśmy! Nie zwróciłabyś nawet na mnie uwagi!

Uśmiechnęła się z zachwytem.

- Nie spierajmy się, kto kogo bardziej kocha - zaproponowała.

Droczyli się jeszcze trochę, potem pocałowali się na zgodę. Wreszcie Marcella oderwała się od Santiago.

- Muszę iść do domu, żeby się przebrać, kochanie. Może urządzisz sobie krótką sjęstę? Dziś wieczorem pódziemmy na

romantyczną kolację. Dokądkolwiek. Żadnych rezerwacji... po prostu gdzieś wejdziemy, zgoda?

- Wszystkie nasze kolacje są romantyczne - uśmiechnął się sennie Santi.

Kiedy wróciła do domu, nie zastała nikogo; korespondencja leżała na biurku, tam, gdzie zawsze zostawiał ją Mark. Były wiadomości od Amy i Scotta dotyczące książek i promocji. Marcella wzięła prysznic i przebrała się. Czekwała na windę. Gdy podjechała, wysiadł z niej Mark. Wciągnęła go do mieszkania, podjąwszy nagłą decyzję.

- Nalej nam po drinku, kochanie - poprosiła syna.

Napełnił winem dwa kieliszki. Jego twarz wyrażała ciekawość, ale i zmartwienie. Marcella przysunęła do Marka krzesło, po czym upiła łyk wina.

- Wychodzę za niego, Mark - oznajmiła. - Jesteś pierwszym człowiekiem, któremu o tym mówię. Nie powiedziałam jeszcze nawet Santiemu! A ty to zrozumiesz i będziesz się cieszył naszym szczęściem!

- Rozumiem... - Pił wino, a jego twarz zrobiła się nagle pusta. - Co wpłynęło na twoją decyzję? - Jąkał się lekko, spuszczać wzrok przed spojrzeniem matki. - Wiesz, co mi tym zrobisz!

- Nic ci tym nie zrobię, Mark - odparła. - Świat nie kręci się wokół ciebie. Mój błąd polegał na tym, że wychowałam cię tak, jakby się kręcił! Tu chodzi o moje życie... moje i Santiago! To kwestia wiecznego szczęścia dwojga osób przeciwko twojemu okresowemu nieszczęściu. Prosta matematyka!

- Moje uczucia nie są matematyką! - krzyknął oskarżycielsko.

- Nie będziesz aż tak samolubny - powiedziała łagodnie. - Pozwolisz mi kochać was obu!

- A jeśli się nie zgodzę? - Zerknął na matkę. Nachyliła się, pocałowała go delikatnie i wstała.

- Musisz się cieszyć naszym szczęściem, Mark - powiedziała, poprawiając włosy przed lustrem. - Nie chciałbyś, żebym skończyła jak Amy. Wiem, że wydaje ci się niezwykle

ośniewająca, bo osiąga sukcesy, ale dla mnie jej życie jest jałowe. Muszę iść, kochanie. Santi na mnie czeka. Poszła szybko do hotelu i otworzyła swoim kluczem drzwi pokoju Santiago. Spał tak spokojnie, że nie miała serca go budzić. Siedziała, obserwując go przez kilka minut, pogodzona ze sobą i światem. Jej życie dopiero się zaczynało, teraz gdy miała trzydzieści siedem lat! O dziewiątej obudziła Santiago pocałunkiem. Poszli ulicami centrum, zachodząc do księgarń, gdzie Marcella pokazywała mu swoje książki. W Village przekąsili coś we francuskiej restauracji przy Szóstej alei. Było to małe pomieszczenie ozdobione setkami lampek. W drodze powrotnej do domu Marcella kazała taksówkarzowi stanąć przy Rainbow Room i zaciągnęła Santiago do restauracji. Maitre znał ją z kilku kolacji, które jadła tam z ludźmi z Volumes.

- Tylko butelkę szampana, Henri - powiedziała na powitanie.

Podano im szampana do stolika przy oknie, skąd mogli oglądać Manhattan rozciągający się sześćdziesiąt pięć pięter pod nimi.

- To ma być najbardziej romantyczny lokal w mieście - powiedziała Santiemu, kiedy tręcili się kieliszkami.

-Chciałam tu przyjść, bo jestem gotowa usłyszeć pytanie, które chcesz mi zadać, Santi!

- Wyjdiesz za mnie? - spytał, dotykając jej dłoni, a w oczach zabłyśło mu światło.

- Tak, tak, kochanie! - Ścisnęła dłoń Santiago. - Chcę z tobą żyć, spać, starzeć się!

- Zamieszkasz ze mną w Barcelonie i na Majorce?

- Podzielmy rok! - zaproponowała. - Sześć miesięcy w Hiszpanii, a sześć w Nowym Jorku. - Znowu uniosła kieliszek. - Nasze zdrowie!

Wypili szampana i objęli się, a ludzie dyskretnie odwrócili wzrok.

Wracali do domu po północy, oszołomieni szampanem i szczęściem, tuląc się do siebie. Ulice były niemal puste, a Marcella odniosła wrażenie, że miasto zachowało ten moment specjalnie dla niej, jako nagrodę za wszystkie samotne lata.

Muszę znaleźć obrączkę - mówił Santi. - Jakaś stara, prawda? Muszę zadzwonić do rodziców i do jednego albo dwóch przyjaciół. Myślę też, że dzisiejszej nocy zasługuję na dzielenie z tobą łóżka!

Spojrzała na niego, ściskając go za rękę.

- Czy myślisz, że to rozsądne?

- Tak! Nie możesz mnie dłużej ukrywać, skoro mam zostać twoim mężem. Musimy żyć razem.

- Dobrze, ale będziemy musieli zamknąć drzwi sypialni na klucz. Mark ma zwyczaj wchodzenia bez zapowiedzi.

- A Sonia? - spytał. - Czy ona jest bardziej wyrozumiała niż Mark?

Marcella zawahała się i w końcu odpowiedziała:

- Sonia nie mieszka z nami. Ma własne mieszkanie.

- W wieku siedemnastu lat? - spytał Santi, unosząc brwi.

- Wiem, że to brzmi nieco szaleńczo - odparła Marcella, kręcąc głową - ale musisz zrozumieć, że jesteśmy nieco zwarioną rodziną. Gdybym opowiedziała ci całą tę historię, uważałbyś, że zmyślam, Santi. Ojciec Soni odebrał mi ją, kiedy miała dwanaście lat. Mieszkała z nim dwa lata i nigdy nie doszła po tym w pełni do siebie. Oczywiście, że wołałabym, żeby mieszkała razem z nami, ale w Ameryce dzieci nie zawsze słuchają rodziców. Sonia potrzebuje niezależności.

- A czy zarabia dość pieniędzy, żeby być niezależna?

- Praca modelki jest doskonale płatna.

Kiedy przyszli do domu, weszła przed Santim, żeby zajrzeć do pokoju Marka. Nikogo. Przez chwilę bała się, że śpi w jej łóżku, ale i jej pokój był pusty.

Zamknęła drzwi sypialni na klucz. Ziściło się marzenie: miała w łóżku mężczyznę, którego kochała. Czemu musiało to być takim zakazanym luksusem? Powinni byli sypiać tu razem od początku. Jak bardzo Santi musiał czuć się dotknięty, porzucony w hotelu, niczym daleki znajomy składający jej wizytę.

- Na zawsze zaczyna się tej nocy - powiedziała, kładąc się obok niego w pościeli.

Tym razem nie było żadnych barier ani problemów. Kochali się tak, jakby zawsze dzielili łóżko. Spełnienie nie

wymagało wysiłku i okazało się w pełni satysfakcjonujące. Seks w kinie klubu Członkowie był, rzecz jasna, niebezpiecznie podniecający. Ten rodzaj szczęśliwej, bezpiecznej miłości, ten seks „na zawsze” stanowił coś zupełnie innego. Z nawiązką wynagradzał czystym szczęściem to, że okazywał się mniej podniecający. Kiedy Santi pogrążył się we śnie, Marcella przywarła do niego, pozwalając, by ukoił ją rytmem jego serca. Miała nadzieję, że zaśnie, ale zamiast tego zaczęła nasłuchiwać, czy Mark nie wraca. A niech to! Psuć sobie pierwszą noc w domu z przyszłym mężem! Musiała zasnąć, bo zegar wskazywał prawie drugą nad ranem, kiedy usłyszała, jak ktoś usiłuje otworzyć drzwi sypialni.

- Mamo? - rozległ się natarczywy szept Marka. Wyszła z łóżka, spoglądając na Santię, pogrążonego w głębokim śnie. Przekręciła klucz w zamku i wyjrzała. Pod drzwiami kołysał się rozczochrany Mark.

- Jesteś pijany - stwierdziła zaskoczona.

- Dlaczego zamknęłaś drzwi na klucz? - spytał.

- Ja... - Przygryzła wargę. - Och, to śmieszne. Jest u mnie Santi.

- Mamo, chcę z tobą spać - jęknął.

- Nie bądź głuptasem. Idź do łóżka. - Pocałowała syna w czoło.

- Czy on się wprowadza? - spytał.

- Porozmawiamy o tym jutro. Obudziłeś mnie. Idź do siebie!

Przekręciła klucz i wróciła do łóżka.

- Co to było? - spytał Santi, obracając się sennie na bok.

- Nic. - Pocałowała go. - Mark się upił!

W żaden sposób nie mogła zasnąć. Wściekła na siebie i Marka, leżała w pełni rozbudzona. Minęła godzina. Ciało Marcelli było zbyt wyczerpane, żeby się poruszać, ale jej umysł czuwał, miotając się tam i z powrotem. Po szampanie chciało jej się pić. Po kwadransie poddała się, wstała i włożyła szlafrok. W drodze do kuchni po sok jabłkowy zauważyła, że w pokoju Marka jest ciemno i dochodzi stamtąd chrapanie. On nigdy nie chrapie - pomyślała. Kiedy wracała, odgłos się nasilił. Otworzyła drzwi na oścież i usłyszała

w oddechu syna dziwny grzechot. Może złapał letnie przeziębienie? Zapaliła światło i ujrzała, że Mark leży twarzą w dół, całkowicie ubrany. Schyliła się, żeby zdjąć mu buty, zastanawiając się, czy powinna go rozebrać, czy po prostu nakryć kocem.

W szafie w hallu znalazła cienki koc, który zaniiosła do sypialni syna. Kiedy okrywała Marka, ujrzała pustą buteleczkę po proszkach nasennych i kartkę: *Nie mogłem znieść, że nie jestem twoim światłem. Jedynym światłem!*

Szarpnęła Marka, odwracając go na plecy, klepnęła go po poszarzałej, nieprzytomnej twarzy. Serce zamarło jej ze strachu, poczuła, że ogarnia ją chłód; krzyknęła, by obudzić Santiiego. Bełkocząc, wezwała przez telefon pogotowie. Potem zadzwoniła do swego lekarza i zostawiła dla niego pilną wiadomość. Wspólnie z Santim postawili Marka na nogi i, podpierając go, kazali mu chodzić po mieszkaniu aż do przyjazdu karetki.

Sprawni pielęgniarze wynieśli Marka z domu na noszach obchodząc się z nim dość szorstko. W karetce zrobili mu płukanie żołądka. Marcella i Santi pojechali do szpitala taksówką. Zdawało się, że minęło wiele godzin, zanim dotarli na oddział intensywnej terapii.

- Jeśli pozwolisz mi umrzeć, nigdy więcej nie uwierzę w miłość - modliła się Marcella. - Jeśli pozwolisz mi żyć...

- Zmarszczyła brwi, starając się wymyślić największą ofiarę, na jaką ją było stać. Zerknęła na zbolałą twarz Santiiego.

- Zrezygnuję ze swojej miłości. Tylko nie pozwól, żeby Mark umarł! Och, proszę, nie daj mu umrzeć!

Ścisnęła dłoń Santiiego, aż skrzywił się z bólu. Bez względu na to, co się teraz miało stać, musiała go stracić. Jeśli Mark przeżyje, musiała honorować pakt zawarty z Bogiem. W razie śmierci Marka życie dla Marcelli także by się skończyło, ponieważ nie zostałyby w niej nic ani dla Santiiego, ani dla jakiegokolwiek mężczyzny.

Dochodziła piąta, kiedy drogi, zmęczony, stary doktor Greenburg, ich lekarz z Little Italy, któremu Marcella pozostała wierna, wpadł do jasno oświetlonej poczekalni.

- Wyjdzie z tego, Marcello. Pokiwał głową.

Wybuchnęła płaczem, przypadła do jego tweedowej marynarki i przytuliła się. Zażenowany lekarz uśmiechnął się ponad jej ramieniem do Santiago.

- Och. - Oderwała się od niego. - Doktorze Greenburg, to jest Santi Roca - przedstawiła ich sobie, ocierając oczy.

- Teraz zawieziemy cię do domu. - Doktor poklepał Marcellę. - Mark prześpi to popołudnie.

Nalegał, żeby ich odwieźć swym sfatygowanym samochodem. Po drodze powiedział:

- Obawiam się, że trzeba to będzie zgłosić na policję.

- Nie może pan powiedzieć, że to zatrucie pokarmowe? Zalana łzami twarz Marcelli lśniła w blasku latarni ulicznych.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał doktor Greenburg. - Ale nie złamię prawa, kochanie, nawet dla mojej ulubionej pacjentki.

O wpół do szóstej leżała w łóżku u boku Santiago, a zmęczenie wciągało ją w swoją mgłę.

Obudziła się o dziesiątej, wyczerpana, a Santi spał obok głęboko. Ubrała się cicho i zostawiła mu wiadomość, że wróci na lunch. Zadzwoiła do szpitala, gdzie powiedzieli, że stan Marka jest dobry, a potem zeszła na ulicę. Donald czekał w samochodzie. Kazała mu podjechać do kiosku

z gazetami i kupić „Post”. Nie znalazła żadnych nagłówek. Potem pojechali do szpitala. Siedziała przy łóżku Marka. Obudził się z opuchniętymi oczami i wyrazem zagubienia na twarzy.

Patrzyła na syna i wreszcie dotarło do niej to, co się stało. Wymienili spojrzenia, które świadczyły o tym, że oboje wiedzieli, jak doniosłe było to, co się stało, ale też wyrażały ich wzajemną miłość.

- Kim jestem? - spytał, ściskając słabo dłoń Marcelli. Potrząsnęła głową, przerażona, wpatrując się w twarz syna.

- Jak mogłeś mi coś takiego zrobić, Mark?

- Kim jestem? - spytał znowu.

- Rozpieszczonym dzieckiem. Potworem.

Z płaczem rzuciła się na poduszkę twarzą przy jego policzku. Mark przytulił ją. Jak mogłabym żyć, gdyby jemu udało się popełnić samobójstwo? - myślała. Nigdy byś tego nie zrozumiał - mówiła w myślach do Santiago. - Nigdy, jeśli osoba, którą kochasz najbardziej, nie zrodziła się z twego ciała.

Po wyjściu od Marka zatrzymała się na targu, żeby kupić coś na lunch. W domu znalazła wiadomość od Santiago, że poszedł na spacer do Central Parku. Wybiegła na balkon z nadzieją, że pośród drzew dojrzy jego zgrabną sylwetkę. Zadzwoił telefon; Mark oświadczył, że chce się wypisać ze szpitala i wrócić do domu.

- Lekarz właśnie mnie zbadał i powiedział, że wszystko w porządku. Wolałbym dochodzić do siebie we własnym łóżku...

Posłała Donalda, żeby go przywiózł, i poczuła się rozdarta między czekaniem w domu a wyjściem na poszukiwanie Santiago. Nie mogła znieść myśli, że Mark i Santi patrzą na siebie nazwajem ze smutkiem albo oskarżycielsko.

Pośpiesznie spakowała lunch na piknik i zeszła, by poczekać na Santiago w foyer. Kiedy wrócił, wzięła go pod ramię i zaprowadziła z powrotem do parku. Na Owczej Łące rozłożyli na trawie obrus i usiedli po przeciwnych stronach koszyka piknikowego. Zapytawszy o stan Marka, Santi próbował skierować uwagę Marcelli na inne tematy. Był pełen planów

dotyczących ich przyszłości; sugerował nawet możliwość otworzenia galerii w Palmie i zbudowania w Deya dodatkowego domu dla Marka i Soni. Marcella pozwoliła mu mówić, ale praktycznie nie słuchała. Jej myśli wciąż zakłócał obraz twarzy Marka, szarej, podobnej do twarzy zmarłego. Wciąż myślała, jak by się czuła, gdyby udało mu się odebrać sobie życie.

- Marcello? - zauważył Santi. - Ty mnie nie słuchasz. Z Markiem wszystko w porządku, tak?

- Co? - Ocknęła się gwałtownie. - Och, przepraszam kochanie. Chyba ciągle jestem w szoku. Mark wrócił już pewnie do domu i powinnam być przy nim. Myślałam tylko, że może upłynąć sporo czasu, zanim którekolwiek z nas odwiedzi Majorkę.

Santi zmarszczył czoło.

- Ale zeszłej nocy mówiłaś, że pół roku będziemy spędzać w Hiszpanii!

- Mark mnie potrzebuje - odparła, biorąc Santię za rękę. - Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest ode mnie zależny. Musi odzyskać formę na czas letnich egzaminów. Na jesieni ma przesłuchanie kwalifikujące do szkoły Gianniego we Włoszech i... - Uciekła wzrokiem przed jego pytającym spojrzeniem. - Santi, nie mogę go teraz zostawić... - wykrztusiła.

- A więc nie powinienem oczekiwać twojej niepodzielnej uwagi? - Santi uśmiechnął się gorzko. - Te plany, które snuliśmy, to tylko fantazje, tak?

- Daj mi trochę czasu, Santi - poprosiła ściskając jego dłoń. - Mark mnie potrzebuje. Ostatnia noc była dla mnie potwornym szokiem. Nie zdawałam sobie sprawy, jak...

- Ale nie myślisz chyba, że naprawdę zamierzał się zabić? - spytał Santi.

- Połknął zawartość całej fiołki proszków nasennych!

- krzyknęła. - Gdybym nie wstała po coś do picia, mógł...

- W oczach zabłyśły jej łzy.

- Umrzeć? - dokończył za nią Santi. - Nie sądzę. Znajdował się w sąsiednim pokoju i robił dużo hałasu, kiedy wrócił do domu. Dlaczego zapukał do drzwi?

- Nie wiedział, że jesteś ze mną. Był zmartwiony, bo chciał ze mną spać... - Urwała, przykładając dłoń do ust.
- Spać z tobą? - zaśmiał się Santi, a potem nagle spowaźniał. - Czy to normalne?
- No, nie... - Marcella potrząsnęła głową, wzdychając głęboko.

Jak miała to wszystko wytłumaczyć?

- A zatem Mark nie jest normalny? - mówił Santi. -Chce z tobą sypiać. Udaje, że się zabija...
- On nie udawał! - krzyknęła. - Połknął te proszki!
- Wiedząc, że zostanie znaleziony. Że stanie się centralną postacią dramatu.

Wpatrywała się w Santiago, a maleńka część jej istoty zamierała.

- Myślisz, że znasz motywy Marka lepiej niż ja? - spytała. Podniosła się, otrzepała spódnicę i zaniósła papierowe talerze do kosza na śmieci. Kiedy wróciła, zobaczyła, że Santi spakował nie tknięte jedzenie z powrotem do koszyka. Wstał, przyglądając jej się z rezerwą.

Miłość Marcelh mieszała się z irytacją i zwykłym wyczerpaniem. Skierowała się do wyjścia z parku, kiedy Santi chwycił ją za przegub.

- Poczekaj. Chcę ci zadać kilka pytań, Marcello. Musisz mi udzielić szczerych odpowiedzi!

Zaczerpnęła tchu, wytrzymując jego spojrzenie.

- Jestem bardzo zmęczona, Santi. Może to nie jest najlepszy moment na przesłuchanie. Nie spaliśmy zbyt dużo i...
- Chcę wiedzieć jedno - przerwał jej. - Czy sądzisz, że kiedykolwiek spotkasz człowieka, który będzie cię kochał tak jak ja?

Patrzyła na jego napiętą twarz, przygryzając wargę.

- Jeśli mnie kochasz, poczekaś na mnie - powiedziała wreszcie.
- Oczywiście, że cię Kocham! - wybuchnął. - Czekałbym na ciebie przez całe życie, gdyby to miało cokolwiek zmienić. Ale jeśli teraz ustąpisz temu chłopcu, on nigdy nie pozwoli ci odejść, Marcello! Nie jesteśmy dziećmi. Mam czterdzieści dwa lata. Pragnę szczęścia z tobą teraz, podczas

najlepszych lat! Nie możesz pozwalać, żeby dziecko, które, jak sama przyznajesz, nie jest normalne, kierowało naszym życiem!

Wyrwała mu się i ruszyła do wyjścia. Santi szedł za nią.

- Nie powiedziałam, że Mark nie jest normalny. On po prostu potrzebuje mnie bardziej niż większość... - Urwała, patrząc na niego błagalnie. - Posłuchaj, on kończy szkołę w tym miesiącu. Potem spróbuje otrzymać to włoskie stypendium w Bolonii. Pracowaliśmy nad tym całe lata, Santi! Nie mogę się teraz odsunąć i patrzeć, jak Mark traci swoją szansę. Muszę przy nim być. Liczę na to, że w ten sposób oderwie się ode mnie. Wiem, że jest ze mną za bardzo związany, ale to moja wina! Rok jego samodzielnego życia we Włoszech wszystko naprawi...

Podał jej chusteczkę.

- On jest taki utalentowany, taki napięty - mówiła Marcella. - Niektórzy nauczyciele uważają go za geniusza. Geniusz ma własne wymagania... - Otarła łzy.

- Skoro twój syn musi być najważniejszą osobą w twoim życiu, w takim razie... - Santi wzruszył z rezygnacją ramionami. - Może nasze życia za bardzo się różnią?

Wyglądało na to, że chce powiedzieć więcej, ale zamilkł. Wyszli z parku.

Kiedy zbliżali się do hotelu, wręczył jej koszyk.

- Nie wejdiesz do mnie? - spytała.

- Chcę o nas trochę pomyśleć - odparł Santi. - Jeśli istnieje rozwiązanie, muszę je znaleźć. Zadzwoń później.

Znalazła Marka siedzącego w łóżku. Kiedy weszła z koszykiem, uśmiechnął się promiennie.

- Jak się czujesz? - spytała, siadając na brzegu łóżka.

- Znacznie lepiej. Prawie dobrze! - Wziął ją za rękę. - Przebacz mi, mamó. Przepraszam.

Nachyliła się, by dotknąć jego czoła.

- Głodny?

- Jak wilk! - odparł ze śmiechem. - Co tam masz? Czuję się jak zły wilk spotykający Czerwonego Kapturka.

Zajrzał do koszyka.

- Obawiam się, że to tylko resztki z lunchu. Ale żadne

z nas wiele nie jadło. Masz tu sałatkę z kapusty, nóżki kurczaka i bułki. Nie pij wina, Mark. Przyniosę ci sok jabłkowy.

Wróciła ze szklanką i patrzyła, jak je.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak samolubnie się zachowujesz? - spytała.

- Zdaję sobie sprawę ze wszystkiego - odpowiedział, podnosząc wzrok. - Dlatego pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli nie sprawiając kłopotu, usunę się z drogi.

- Zwariowałeś? - spytała, czując, że znowu zbiera jej się na płacz.

- Prawdopodobnie - przyznał. - Poza tym, byłem nieźle pijany.

- Rzeczywiście! Ale nie na tyle pijany, żeby zapomnieć o napisaniu wiadomości, która wpędziłaby mnie w poczucie winy na resztę życia.

Łzy płynęły jej po twarzy, a Mark przyglądał się matce z rodzajem podziwu. Odsunął jedzenie, a Marcella tuliła go przez chwilę, myśląc o Santim, o dwóch mężczyznach stojących naprzeciwko siebie w jej umyśle i sercu. Naprawdę czuła, że kocha ich jednakowo. Co się działo, kiedy siła, której nic nie mogło się oprzeć, napotykała na niewzruszony opór? Jakiś rodzaj eksplozji, w wyniku którego postronny obserwator - ona - odnosił rany?

- Idę do Amy - oświadczyła wstając.

Amy wróciła właśnie z promocji swej nowej powieści *Sztuka romansu na jedną noc*. Siedząc pośród nie rozpakowanych walizek, słuchała relacji Marcelli z przekrzywioną głową, usiłując zachować bezstronność.

- A niech mnie! - krzyknęła, kiedy Marcella skończyła. - Jak bardzo komplikujemy sobie życie, co? Gdzie jest Santi?

- Powiedział, że idzie wymyślić rozwiązanie - odparła Marcella. - Oczekuje, że po prostu porzucę Marka. Sądzę, że gdybym wybrała syna, hiszpańska duma Santiiego kazałaby mu natychmiast wrócić do Barcelony i nigdy więcej bym go nie zobaczyła!

- Nie winię tego faceta - stwierdziła Amy, kręcąc głową. - Nie bądź głupia, Marcello. Wiem, że sama nieźle baluję, ale gdybym spotkała takiego kogoś jak Santi, uczepliłabym się go zębami. Takich mężczyzn już po prostu nie ma. On jest jak jakaś cudowna, niewinna postać z lat pięćdziesiątych!

- I dlatego sądzi, że pozostaje trzydzieści lat w tyle za mną - odparła Marcella.

- A jednak Santi to czyste złoto - entuzjasmowała się Amy. - On ma rację co do Marka. Nie możesz pozwalać, żeby cię szantażował. To egoistyczne, podłe i... niemoralne!

- Twierdzisz, że Mark jest niemoralny? - krzyknęła Marcella.

Amy zmrużyła oczy, ale wytrzymała gniewne spojrzenie.

- Nie zasługuję na to, Marcello. Nie z powodu tej starej bajki „po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam”, ale dlatego, że, bez względu na to, co robię z własnym życiem, nigdy nie ranię cudzych uczuć. Mark ma zamiar zniszczyć twój związek z tym człowiekiem i to właśnie jest niemoralne!

- Przepraszam, Amy. Ale jak mogłabym żyć, gdyby Mark się zabił?

- Zgadza się z Santim - powtórzyła Amy, ściągając usta. - Myślę, że to była próba zwrócenia na siebie uwagi. Nie możesz wyrzekać się pod przysięgą miłości na resztę życia z powodu zaborczego chłopczyka.

Marcella usiadła nagle. Jej twarz była twarzą osoby pokonanej.

- Czy ja na to zasłużyłam, Amy?

- A kto powiedział, że dostajemy takie dzieci, na jakie zasłużyliśmy? Spójrz na Sonię!

- Sonia miała zwariowane dzieciństwo - zauważyła Marcella. - Ale Mark miał mnie całą dla siebie. Zainwestowałam w niego całą swoją miłość i...

- Sprawiaś, że jest od ciebie zależny w tysiącu procentach! - dokończyła Amy. - Wstała i otoczyła przyjaciółkę ramieniem. - Teraz wiem, dlaczego piszę książki, zamiast wychowywać dzieci; to znacznie łatwiejsze. Chodź! - Zaciągnęła Marcellę do salonu, gdzie poszperała w stercie

czasopism. - Scott przysłał mi to dziś rano. - Rozłożyła gazetę i machnęła nią Marcelli przed nosem. - To najnowsza „Niedzielną Listą Książek”. Jestem na trzecim miejscu!

- Gratulacje! - Marcella ucałowała przyjaciółkę. - Cieszę się, Amy. Ale ja oddałabym wszystkie swoje sprzedane książki za godzinę w ramionach Santiiego!

- Dobrze! Sama odpowiedziałas sobie na pytanie! - Amy chwyciła ją za ramię i lekko wstrząsnęła. - Znasz swoją hierarchię wartości. Trzymaj się jej!

Marcella wróciła do swego mieszkania i spojrzała na Marka. Spał. Santi zadzwonił o zmierzchu, kiedy w oknach okolicznych domów zapalały się światła.

- Myślę, że znam rozwiązanie - oznajmił. - Zaraz u ciebie będę.

Poprawiła makijaż i wyjęła butelkę schłodzonego wina. Santi przyszedł po dziesięciu minutach z bukietem czerwonych róż.

- Dziękuję, kochanie!

Przyjęła bukiet, Santi wziął ją w ramiona i pocałował. Poszedł za nią do kuchni, a gdy napełniała wazon wodą i układała kwiaty, objął od tyłu.

W salonie naląła im wina. Santi wzniósł kieliszek. Jego twarz promieniała triumfem.

- Gdzie jest Mark? Chciałbym powiedzieć o tym wam obojgu.

- Jeszcze śpi - odparła, prowadząc Santiiego na sofę. - Powiedz najpierw mnie!

Upił łyk wina.

- Spacerowałem po Manhattanie, prosząc Boga o pomoc.

- I pomógł? - spytała.

- W pewnym sensie tak! Zaszedłem tak daleko. Do dziwnych części miasta, których nie zwiedzaliśmy. Widziałem biedaków leżących na chodniku, zebrzących o pieniądze albo śpiących. Potem wróciłem do centrum i zobaczyłem takich dziwnych, śmiesznie ubranych albo śmiesznie chodzących ludzi. Nie wiem, szalonych ludzi! Wtedy zrozumiałem, że Nowy Jork jest szalony. Jest tu za dużo wszystkiego: za dużo biedoty, za dużo bogactwa. Skoro ja wariuję po tygo

dniu, twoje dzieci muszą czuć się znacznie gorzej, skoro spędziły tu całe życie. Dlatego znalazłem rozwiązanie.

- Jakie? - wykrztusiła.

- Wszyscy musicie przyjechać na Majorkę - oznajmił z jaśniejącymi oczyma. - Ty, Mark i Sonia. Jest dla was miejsce. Dzieci mogłyby zamieszkać w mieście, a ty i ja w Deya. Sama widziałaś, jak spokojna i piękna jest Majorka. W ciągu kilku miesięcy Mark zaakceptuje nową sytuację i wszyscy będziemy szczęśliwi!

Wyglądał na tak zadowolonego, że serce Marcelli zamarło.

- Oczywiście zapytamy ich, ale... - zamyśliła się. - Nie wiem, jak mogłoby się to udać. Sonia pracuje tutaj. Za miesiąc Mark ma przesłuchanie w Bolonii...

- A ty mogłabyś tam pisać - mówił Santi, nie słuchając.

- Sama powiedziałaś, że mogłabyś tam pisać.

- Najpierw muszę spędzić trochę czasu z Markiem - odparła Marcella. - Może znajdę mu dobrego terapeutę. Muszę mu pomóc.

- A moja propozycja to nie pomoc? - spytał Santi, marszcząc brwi.

Marcella zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła go.

- Jesteś taki hojny i dobry, kochany! - mówiła w jego szyję. - Masz rację, że Nowy Jork jest szalony. Ale nam się to podoba. My tym żyjemy! Mark i Sonia nigdy nie zgodziliby się stąd wyjechać. Będzie mi trudno namówić Marka, żeby spędził rok we Włoszech!

Santi spojrzał na Marcellę, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Myślałem, że cię znam, że znam samą twoją esencję. Ale teraz widzę cię tu i nie wiem, co myśleć!

- Nie mów tak! - krzyknęła, chwytając go za rękę.

- Znasz mnie! Pozwoliłam ci się poznać tak, jak nie poznał mnie żaden mężczyzna. Ale ty nie masz dzieci, Santi, nie możesz wiedzieć, jakie to uczucie. One są moją krwią i ciałem! Robisz dla nich wszystko, co w twojej mocy, ale nie możesz mieć pewności, na kogo wyrosną. Przez osiemnaście lat kochałam Marka bardziej niż ktokolwiek zasługuje na miłość. Oczywiście, że teraz czuje się porzucony, kiedy spotkałam ciebie!

Santi wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Różni się bardziej, niż przypuszczałem - oświadczył. - Sądziłem, że podzielasz moje marzenie. Mieszkać na Majorce... o cóż więcej można prosić? Próbowałem pokazać ci proste, piękne życie na wyspie, którą kocham.

- Tak, kochany, pokazałeś mi je! I nigdy tego nie zapomnę. Cudowny dom w Deya! Nacieranie fig oliwą! Kochana, zgarbiona staruszka, która tak cieszyła się naszym szczęściem...

- Czy to wszystko, co ci zostało? Garść wspomnień. Letni romans turystki?

- Wiesz, że to nieprawda - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Po prostu musimy...

- Ty musisz! - krzyknął Santi. - Mark musi! Bardzo dużo rozmawiamy o twoich potrzebach, ale co z moimi? - Odwrócił jej twarz, żeby patrzyła mu w oczy.

- Przepraszam, Santi - powiedziała bezradnie. - Chciałabym bardzo przedstawić cię idealnej rodzinie...

- Nie oczekiwałem tego! Ja nie jestem idealny, ale nie zdążyłaś nawet poznać moich wad. Hiszpanie...

Majorkańczycy... są dumnymi ludźmi. Oddamy ci naszą miłość, serca, życie, ale musimy zachować dumę.

- Nie odebrałam ci twojej dumy, Santi - sprostowała cicho.

- Wobec tego nie traktuj mnie jak głupca. Po prostu powiedz synowi, że wychodzisz za mnie za męż!

Pokiwała tępo głową.

- To nie tylko duma... to fundamentalne kwestie życia, Marcello. Twojego, Marka i mojego - ciągnął Santi. - A jeśli nie przyjmujesz mojej propozycji, jutro wyjeżdżam.

Zerwał się na nogi i poszedł do hallu. Marcella ruszyła za nim.

- Przebacz mi, że jestem taki poważny, Marcello - poprosił. - Moi przyjaciele mówią mi, że czasem jestem bardzo zabawnym człowiekiem, który ich rozśmiesza. Pewnie nigdy nie przyszłoby ci to na myśl? - Uśmiechnął się. - Ale zakochałem się tylko dwa razy w życiu, to wszystko.

Złożył oficjalny ukłon i otworzył drzwi.

- Santi, dokąd idziesz? - spytała cicho. - Czy mogę pójść z tobą?

- Nie. Zostań z synem, póki śpi. I przemyśl to, co ci powiedziałem.

Tej nocy nie myślała o niczym innym. Leżąc w łóżku, nie mogła zasnąć, starała się rozwikłać łamigłówkę, jaką stało się jej życie. Wreszcie zapadła w sen pełen niespokojnych widziadeł. Rano obudziła się bez żadnego rozwiązania, bez żadnej odpowiedzi. Wzięła prysznic, ubrała się i poszła do kuchni, gdzie Mark przygotowywał sobie śniadanie. Nie mogła się zdecydować, by powiedzieć mu o ofercie Santiiego, bo gdyby zaczął szydzić albo śmiać się, poczułaby w stosunku do syna pogardę. Próbowalby przedstawić Santiiego jako naiwniaka albo głupca, a Marcella nie potrafiłaby wytłumaczyć Markowi, że jego propozycja płynęła z głębi serca. Amy powiedziała, że Santi to czyste złoto - może zwariowani nowojorczyki nie potrafią docenić czystego złota?

- Śniadanie? - spytał Mark, podsuwając jajecznicę. Marcella potrząsnęła głową.

- Idę się spotkać z Santim. Podejrzewam, że dzisiaj wyjeżdża.

- O? - Mark podniósł wzrok znad jajecznicy. - Czyżbyśmy go wystraszyli?

- Możliwe, że ci się to udało - odparła, patrząc mu w oczy. - Musisz zrozumieć, że ludziom z zewnątrz trudno jest pojąć naszą... bliskość.

Powodowany poczuciem winy wyciągnął do niej rękę, ale Marcella odwróciła się i wyszła z kuchni.

Santi pił kawę w hotelowej kawiarni przy tym samym stoliku co zawsze. Kiedy weszła, wstał. Objęli się, a on nalał jej kawy.

- Zostań jeszcze tydzień, jak planowałeś, żebyśmy mogli porozmawiać - zaproponowała.

Santi potrząsnął głową. Nie cierpiała, kiedy był taki zawzięty.

- Mamy hiszpańskie powiedzenie, że czyny mówią głośniejszy niż słowa - oświadczył. - Moglibyśmy rozmawiać przez

dziesięć lat i wciąż mówilibyśmy to samo. Dlatego dosyć słów, Marcello. Teraz pora działać! Wzywają mnie obowiązki. Zaofiarowałem ci wszystko, co mam: miłość, życie. Twoim dzieciom ofiarowałem to samo. Wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że cię kocham - powiedziała.

- Wobec tego leć dziś ze mną do Barcelony - naglił. - Nie potrafię grać w te amerykańskie gry, Marcello. W Hiszpanii dzieci nie mają odwagi wtrącać się w życie rodziców.

- Nie mogę zostawić Marka. Nie w tej chwili.

- Czyli Mark jest na pierwszym miejscu? - spytał.

Zapadło milczenie, a Marcella pomyślała, jakie to śmieszne, że potrzebowali wiele godzin rozmyślań i rozmów, żeby sformułować takie proste, ostateczne pytanie. Spojrzała prosto w pytające oczy Santiago: ciemne oczy wyrażające jego miłość dla niej oraz dumny, silny charakter. Wszystko miało zdecydować się w tej chwili.

- W tym momencie, tak - odpowiedziała, widząc, jak płomyk miłości zachwiał się w jego oczach. - Dobro Marka jest na pierwszym miejscu.

To, że Santi wyjeżdżał, dotarło do niej dopiero, kiedy Donald wiózł ich na lotnisko, a żołądek Marcelli skręcał się z lęku. Próbowała myśleć obiektywnie o całej sytuacji, zrozumieć, że była to jedyna rzecz, na jaką pozwalała mu jego duma, a mimo to czuła się porzucona.

- To śmieszne - mruknęła. - Kochamy się! Oboje to przyznajemy. Nie powinniśmy się rozstawać.

Santi nie odpowiedział. Kiedy dojeżdżali do lotniska, nachylił się do Donalda.

- Wsadź mnie przy Iberii. Nie musisz parkować - powiedział Donaldowi, a potem zwrócił się do Marcelli. - Oszczędzimy sobie długich pożegnań. To tylko pogorszy sprawę.

Donald posłusznie nie zgasił silnika, kiedy wysiadł, żeby wyjąć z bagażnika walizkę Santiago. Marcella nie mogła jednak znieść cichego warkotu, który niby licznik odmierzał ich upływający czas. Pochyliła się i przekręciła klucz w stacyjce.

- Dziękuję ci za wszystko, Marcello - powiedział Santi.

Pocałował ją i zobaczyła, że z wielkim wysiłkiem stara się zapanować nad sobą. Wydawało się jej, że Santi prosi o wybaczenie, iż nie potrafi zaakceptować czegoś, co kłóci się z jego przekonaniem.

Siedziała sztywno, a on wysiadł z samochodu, wziął torbę od Donalda, dziękując mu za usługi i gorąco uściął mu dłoń. Nachylił się.

- Kocham cię! - powiedział przez okno.

Następnie odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę budynku lotniska.

Marcella z niedowierzaniem odprowadzała wzrokiem jego postać. Donald wszedł do samochodu, uruchomił silnik, ale Marcella otworzyła drzwiczki, wyskoczyła i pobięła za Santim. Stała na końcu kolejki, patrząc, jak podaje bilet, dziękuje urzędnikowi, bierze kartę przekroczenia granicy. W myślach kazała mu się obejrzeć. Kiedy to zrobił, a ich oczy się spotkały, zobaczyła, jak bardzo cierpi. Podbiegła i chwyciła go za rękę.

- To śmieszne, Santi! Kochamy się! Odnależliśmy się nawzajem... nie możemy tak po prostu pozwolić sobie odejść! Twarz Santięgo pojaśniała.

- Pójdiesz ze mną sprawdzić, czy zostało wolne miejsce na pokładzie?

- Nie. Nie mogę. Ale umówmy się na spotkanie, żebyśmy mogli na nie czekać. Przylecę do Hiszpanii albo ty wrócisz tutaj...

Popatrzył jej w oczy i urwała. Całując ją delikatnie w policzek, mruknął niemal z roztargnieniem:

- Żegnaj.

Przeszedł do kontroli paszportowej. Pochylił głowę, żeby przejść przez wykrywacz metali. Marcella stała pośród grup obejmujących się podróżnych; niektórzy płakali, więc jej łzy nie sprawiały wrażenia czegoś nie na miejscu. Santi doszedł do ostatniej bariery, zsalutował jej śmiesznie i zniknął.

Odwróciła się i ruszyła do samochodu - drzwi automatycznie rozsunęły się z sykiem, kiedy podeszła. Jak to się stało? Taka miłość - tak pewna, z góry im pisana - niemożliwe, żeby miała zaistnieć tylko po to, żeby potoczyć się źle.

Powietrze było pełne smogu, spaliny samochodów i limuzyn zanieczyszczały okolice lotniska. Donald wpuścił ją do Rollsa. Pustym wzrokiem wyglądała przez okno, kiedy jechali w stronę miasta.

- Do domu, pani Winton? - spytał Donald, kiedy przekroczyli most.

Spojrzała na jego pełne troski oczy odbite we wstecznym lusterku. Był naprawdę niezwykle dobrym i dyskretnym człowiekiem, który w pewnym sensie znał ją lepiej niż ktokolwiek. Z tonu jego głosu wiedziała, że próbował ją pocieszyć.

Nie była w stanie zdobyć się na odpowiedź.

- Wobec tego zawiozę panią do domu - zdecydował za nią. Ale Marcella pomyślała: nie, nie do domu. W tej chwili czuła, że nigdy więcej nie chce widzieć domu. Ogarnął ją wstręt do wszystkiego, co wiązało się z jej życiem - do mieszkania, pisarstwa, syna, własnego odbicia w lustrze.

- Zawieź mnie na skrzyżowanie Pięćdziesiątej Siódmej i Ósmej - poleciła lakonicznie.

Sądziła, że nigdy więcej nie wróci do krainy niczyjej ciemności i wstydu, ale nie potrafiłaby przeżyć reszty dnia bez pewnego rodzaju pomocy, a ta żalosna namiastka miłości była jedynym antidotum, jakie znała.

- Możesz jechać do domu - powiedziała Donaldowi, kiedy zatrzymał samochód czterdzieści minut później. - Dziś wieczorem nie będę cię już potrzebować.

Stała z tyłu sali kinowej, nie rozumiejąc, dlaczego przyjechała. Istniał tuzin powodów, a jednocześnie nie było ani jednego. To lepsze niż powrót do domu. Przez chwilę, kiedy przyzwyczajała oczy do ciemności, stare życie kusiło Mar-celle swymi zwodniczymi, fałszywymi wygodami. Z jednym tylko zastrzeżeniem: myśl o seksie wydawała się jej nienawistna. Mimo to ciało Marcelli domagało się czyjegoś dotyku, pocieszenia. Zadrzała na myśl, jak bardzo stała się skomplikowana. Może musiała ukarać się w pewien sposób, sprawdzić, jak nisko może znaleźć się w tej dostępnej ludziom skali szczęścia: spaść z najwyższej radości, jakiej niedawno zaznała, do tego stanu, w jakim teraz była? Rozej-

rzała się po ciemnym kinie. Zabawne, ale jedyną rzeczą, o jakiej mogła myśleć w tym tandetnym, znajomym pomieszczeniu, była miłość! W stanie, w jakim się znajdowała, czuła, że samotni mężczyźni, odwracający głowy w jej stronę, przyszli tu po to, żeby pocieszyć Marcellę po jej stracie. Jakby wiedzieli o wszystkim i czekali, żeby to naprawić. Potykając się, weszła między fotele i znalazła się w ramionach wysokiego siwego mężczyzny, który podszedł do Marcelli, jakby umówili się na randkę. Była tak otepiała, że przez moment miała wrażenie, że to jej ojciec. Objął ją, a Marcella rozluźniła się w pełnym miłości ojcowskim uścisku. Taki dotyk zawsze ją zapewniał, że nie może jej spotkać żadna krzywda. Wdychała czysty zapach wody kolońskiej przepojony odrobiną tytoniowego aromatu, tak bardzo przywodzący na myśl ojca. Dopiero, kiedy mężczyzna zaczął na nią mocno napierać, wyrwała mu się i wybiegła z kina.

Natychmiast przeszła przez ulicę. Było jeszcze jasno, trwał łagodny czerwcowy wieczór. Ale jej życie uległo naglej, całkowitej zmianie. Nie było tym, za co je zawsze brała - serią nieporadnych kroków ku szczęściu. Teraz widziała życie jako serię uników, krycie się przed tym, czego się najbardziej pragnęło. Ponieważ kiedy się to dostaje, cena okazuje się zbyt wysoka. Cena, którą zawsze ona płaciła. W swoich książkach pisała, że miłość to jedyna istotna część życia, część nadająca mu wartość. Teraz zdała sobie sprawę, że miłość jest dla niej ważniejsza, niż przypuszczała. Była tak silna, że zagrażała bezpieczeństwu; Marcella mogła uzależnić się od Santiago tak, jak Mark od niej. Dlatego pewnie odstraszyła Santiago, zrobiła to także z powodu realnego zagrożenia dobra Marka. A więc... teraz, kiedy wiedziała, że miłość okazała się ślepym zaułkiem, może uda jej się poświęcić cały swój czas pisarstwu i synowi? Prawdopodobnie to właśnie było jej przeznaczone. Oto cena. Nikt nie dostaje wszystkiego. To właśnie musi sobie stale powtarzać.

Wciąż powtarzała sobie tę prawdę, kiedy weszła do mieszkania i, nie zapalając światła, skierowała się prosto do barku. Dwie, trzy, cztery szkockie nie uśmierzyły bólu. Jeśli alkohol wywierał jakikolwiek wpływ, to tylko jątrzył ranę.

Santi! Boże, nawet wzywianie w myślach jego imienia wywoływało ból!

Nie, Marcello - powiedziała sobie - nie postąpiłaś właściwie. Postąpiłaś niewłaściwie. Ale nie miałaś wyboru.

Przystojny mężczyzna w ciemnych okularach lecący wieczornym samolotem do Barcelony opierał się zakusom ładnej stewardesy. Poprosił ją za to o papier listowy i kopertę. Zanim zaczął pisać, długo gryzł koniec długopisu.

Moja najdroższa miłości, Marcello.

Piszę ten list w samolocie, po tym, jak myślałem o tobie w każdej sekundzie po naszym pożegnaniu. Musiałem odejść, ponieważ chciałem jak najmocniej zaprotestować przeciwko Twoim stosunkom z synem, przeciwko władzy, jaką ma nad Tobą.

Potrzebuję Cię i pragnę egoistycznie, ale czuję, że mam do Ciebie prawo.

Wierzę, że zostaliśmy dla siebie stworzeni. Nie egoistycznie (czy to w ogóle możliwe?) wierzę, że byłoby lepiej dla Ciebie, gdybyś zostawiła Marka tak, jak to robią zwierzęta - z miłością, ale zdecydowanie.

Zawsze sądziłem, że moja hiszpańsko-majorkańska duma to coś dobrego, ale teraz widzę, że przez nadmiar dumy mogę Cię stracić. Przygotowuję się do tego, by o niej zapomnieć, bo życie bez Ciebie byłoby o tyle gorsze niż życie z Tobą. Aby zachować własne wysokie morale, muszę wierzyć, iż za kilka dni zrozumiesz, że mam rację i postąpisz, jak Ci dyktuje serce, a nie słabość Marka. Musi dorosnąć w prawdziwym świecie, gdzie matka nie przedkłada szczęścia syna nad własne, a w każdym razie nie wtedy, kiedy ta matka jest logiczną, normalną, młodą i piękną kobietą, zdolną wzbudzić w kimś taką miłość, jaką wzbudziłaś we mnie.

Zawsze myślałem, że mężczyzna nie powinien żyć nadzieją, lecz w ciągu tych ostatnich godzin zrozumiałem, że nie mogę żyć bez nadziei. Dlatego czekam na wiadomość od Ciebie. Dopóki znowu nie wezmę Cię w ramiona, dopóki znowu nie przycisnę ust do Twoich, gdzie ich miejsce, czekam, kochana. Na zawsze Twój, Santi.

Przeczytał list uważnie, po czym zakleił kopertę. Nie dokładnie to chciał wyrazić, ale jego angielski był dość słaby, a Santi nigdy w życiu nie czuł takiego smutku. Westchnął i wsunął list do kieszeni. A może - pomyślał nagle - lepiej go w ogóle nie wysyłać? Zdecyduje w Barcelonie.

Pograżała się w pracy, poprawiając ostatnią wersję *Muzyki miłości*, którą Volumes chciało wydać późną jesienią. Tak ułożyła sobie życie, żeby jak najwięcej czasu spędzać samotnie. Skoro nie mogła być z Santim, nie chciała widywać nikogo. Im bardziej doskwierała jej samotność, tym silniejszy stawał się nakaz pisania. Pracowała do późnych godzin nocnych, aż wstawał świt, a na ulicy za oknem znowu ożywał ruch. Czuła, jakby pisała swoją pierwszą historię miłosną, ponieważ pisała o tym, co jej się przydarzyło. Opowieść o dwóch kobietach odwiedzających Majorkę musiała stworzyć, póki doświadczenie wciąż jeszcze żyło w jej umyśle. Musiała ją przelać na papier, dopóki pamiętała sosnowe powietrze Palmy, subtelny kolor drzew oliwkowych w Deya, odgłosy ulicy, przy której mieściło się mieszkanie Santiago, przeżycia związane z uprawianiem miłości. Tym razem postanowiła przedstawić miłość zupełnie inaczej niż w poprzednich książkach - mniej zmysłowo, w sposób bardziej uduchowiony, romantyczny. Za każdym razem, kiedy wystukiwała u góry strony tytuł *Na zawsze zaczyna się tej nocy*, przypominała sobie, jak Santi wymówił te słowa po raz pierwszy i czuła ukłucie miłości pomieszanej z bólem.

Dzielenie się namiętnością z milionami czytelników stanowiło rodzaj oczyszczenia. Pisanie było krzykiem wydobywającym się z serca i duszy. Wiedziała, że jej odbiorcy zrozumieją, co pragnęła powiedzieć. W końcu przekaże im prawdziwe doświadczenia zakochanej kobiety.

Mark był tak dostrojony do jej odczuć, że wyczuwał, że powinien schodzić matce z drogi. Pisała po nocach, więc spała do południa. Zaraz po przebudzeniu przeglądała korespondencję, którą Mark przynosił na biurko. Obiecała sobie, że jeśli nie przyjdzie list od Santiago, ona do niego nie napisze. Jednak w ciągu długiej nocy pracy, zazwyczaj około

trzeciej lub czwartej nad ranem, łamała obietnicę i pozwalała sobie na czystą przyjemność pisania do niego długiego, przepelnionego miłością listu. Zostawiała te listy, oznaczone słowami „przesyłka specjalna”, by Mark wysłał je w drodze do szkoły. Nie lubił tej roli listonosza. Pewnego ranka Marcella wstała wcześniej, tuż zanim Mark wyszedł.

- Dlaczego musisz pisać do tego faceta? - wybuchnął. - Myślałem, że to już skończone?

W tym momencie nienawidziła swego syna, a on musiał to wyczuć po zimnym wyrazie twarzy Marcelli.

- Nie musisz czytać nazwisk na kopertach - odparła chłodno.

- Listy do niego oznaczasz jako „przesyłkę specjalną”. To naturalne, że widzę jego nazwisko.

- Zaoszczędza mi to chodzenia na pocztę, Mark - powiedziała patrząc synowi w oczy. - Naprawdę uważam, że to najmniejsza rzecz, jaką możesz dla mnie zrobić w tych okolicznościach, nie sądzisz?

Podszedł i objął matkę.

- Przepraszam - powiedział. - Oczywiście, że będę wysyłał twoje listy.

Odwzajemniła jego uścisk, nie wkładając w to całego serca. To przeze mnie jest samolubny! - myślała. - A może to dar? Może lepiej być samolubem w samolubnym świecie.

Santi ostrzegł ją przed swoją dumą, ale jego milczenie zabijało Marcellę. Po trzech tygodniach od jego wyjazdu odrzuciła wszelkie postanowienia i wykręciła numer jego barcelońskiej galerii.

- *No esta* - odpowiedział jej kobiecy głos, kiedy spytała o *señora Rocę*.

Unikała teraz Amy, Nancy i wszystkich przyjaciółek, z którymi kiedyś umawiała się na lunch. Chciała bardzo wyraźnie rozdzielić życie na „przed Santim” i „po Santim”, czyniąc to drugie tak różnym od pierwszej części, jak tylko mogła.

Nie musisz jechać ze mną do Bolonii - oświadczył w lipcu Mark apatycznie. - Na przesłuchania do Gianniego

wybiera się cała grupa. To mogłoby wyglądać niezręcznie, gdybyś i ty pojechała.

- Myślałam, że będę twoim moralnym wsparciem, Mark - zaprotestowała. - Zająłabym się organizacją podróży, dopilnowałabym, żebyś wziął nuty, paszport, pieniądze...

- Cole Ferrer jedzie z nami razem z drugim nauczycielem. Oni się nami zajmą - zapewnił ją. - Poza tym, nie jesteśmy dziećmi.

Zabolało, ale wiedziała, że powinna zachęcić go do tej pierwszej próby niezależności.

- Na pewno dasz sobie radę, Mark?

- Nie martw się! Będziemy się świetnie bawić!

- Tym razem zapomnij o zabawie. Po prostu daj najlepszy cholerny koncert w życiu!

Nie było go przez pięć nocy. Kiedy zadzwonił z wiadomością, że *signor* Gianni przyjął go na ucznia, Marcella otworzyła butelkę szampana i wzniosła toast przez telefon.

- Gratuluję, kochanie. Wiedziałam, że ci się uda.

- Ja też - odparł Mark rzeczowo.

Pożegnali się, a Marcella usiadła przed ciemnym oknem w salonie. Minęła północ, a ona powoli sączyła wino.

- Za Marka! - powiedziała głośno, unosząc kieliszek. Uda mu się. Zostanie wspaniałym muzykiem, odniesie sukces. Pianistą koncertowym znanym na całym świecie. To pomaga - pomyślała. - Picie. Naprawdę pomagało.

Koilo dręczące przekonanie, że jej życie nic już nie znaczy. Nigdy nie dostaje się wszystkiego - myślała, czując, jak wino ją rozluźnia. Szczęśliwych dzieci, sukcesów zawodowych i miłości. Ale teraz Mark zostanie wzięty pod opiekę na cały rok...

Telefon przerwał tok jej myśli; niedbale podniosła słuchawkę, myśląc, że to znowu Mark.

- Marcello? - Głos Santiiego, tak bliski, był jak uśmierzenie tępego bólu, zdjęcie ciężaru z duszy i serca.

- Santi? - wykrztusiła. - To naprawdę ty?

- Która jest u ciebie godzina? Obudziłem cię?

- Wpół do pierwszej, kochanie. Jak cudownie cię słyszeć! Nie masz pojęcia, jak tęskniłam! Jak się czujesz?

- Dobrze. A Mark?
- Wszystko dobrze, Santi. Kilka minut temu dzwonił z Bolonii. Został przyjęty przez Gianniego, tego włoskiego *maestro*, o którym ci mówiłam. We wrześniu Mark zacznie u niego roczną naukę.
- Musisz być bardzo szczęśliwa, Marcello.
- Byłabym, kochanie, gdybym za tobą tak strasznie nie tęskniła. Czemu tak długo nie dzwoniłeś?
- Chciałem sprawdzić, czy mogę bez ciebie żyć, Marcello.
- I możesz? - spytała, wstrzymując oddech.
- Chyba nie.
- Och, kochanie, życie bez ciebie to piekło! - wyznała.
- Czy wiesz, Santi, że należymy do siebie?
- Zgadza się. Mam nowy pomysł na wspólne życie.
- Jaki? - Uśmiechnęła się.
- Rozmawiałem o tym problemie z różnymi przyjaciółmi
- powiedział. - Zwłaszcza z jednym, psychologiem. Opowiedział mi o samobójstwie, o tym, jak często jest to rozpaczliwe wołanie o to, by zwrócić na siebie uwagę. Ojciec Marka nigdy nie poświęcał mu uwagi, prawda? Myślałem tak poważnie... - Głos mu się załamał.
- A kiedy robiłeś coś niepoważnie, Santi?
- Nigdy nie chciałem mieć dzieci - ciągnął. - Czułem, że to nie jest świat, na który powinno się sprowadzać nowe życie. To był jeden z powodów mojego rozvodu, bo żona chciała mieć dziecko. Uchyliłem się od tej odpowiedzialności. Może dlatego mniej rozumiem Marka, niż powinienem. Ojciec wprowadziłby równowagę w jego życie. Przestałby być tak bardzo zależny od ciebie. Zasięgnąłem porady prawnej i jestem gotów zaadoptować Marka. Co ty na to?
- Marcella zaczerpnęła tchu; słuchała przemowy Santiiego ze wstrzymanym oddechem.
- Och, Santi, to takie miłe i hojne z twojej strony, ale...
- Jeśli zechce, po pobycie we Włoszech może zamieszkać z nami na Majorce - ciągnął. - Mógłbym otworzyć nową filię galerii. Bylibyśmy rodziną.
- Zamknęła mocno oczy, przygryzła wargę.
- Santi - powiedziała - to taka wspaniała oferta i wiem,

że myślałeś o niej długo, ale brak ojca nie jest problemem Marka. On ma ojca. Jego ojciec siedzi w więzieniu.

- W więzieniu? Za co?

- Odkrył nielegalny sposób zarabiania pieniędzy na giełdzie.

- Rozumiem - odparł Santi, a Marcella słyszała w jego głosie zawód. - Nie powiedziałaś mi o tym.

- Chciałam oszczędzić ci tych przerażających szczegółów. - Westchnęła. - Ostrzegałam cię, że nasza rodzina jest nieco szalona, prawda?

Spróbowała się roześmiać, ale po drugiej stronie panowało milczenie.

- Posłuchaj, kochanie. Pozwól, żebym wspierała Marka podczas tego roku we Włoszech i odwiedzała cię tak często, jak będę mogła. Kiedy skończy naukę we Włoszech...

- Nie - przerwał jej Santi. - Jeśli teraz nie rozwiążemy kwestii Marka, zawsze będzie stawał między nami. Wiem to, Marcello.

- Rozwiążymy problemy wtedy, kiedy się pojawiają, Santi - zaproponowała. - Tymczasem spędzajmy ze sobą tyle czasu, ile się da. Kochamy się na tyle, by dać sobie radę z problemami, prawda, Santi?

Usłyszała jego długie westchnienie, jakby usta Santiiego znajdowały się tuż przy jej uchu. Poczula jego bliskość i zatęskniła za ciepłą dłonią i pieszczotą.

- Marcello, ten rodzaj silnej miłości, jakiej potrzebujesz... i jaką dajesz... niesie ze sobą osobne problemy. Może za dużo problemów?

- Ale co się stało z naszą miłością „na zawsze”? - krzyknęła.

- Nie zapomniałem o niej - zapewnił Santi. - Nigdy nie zapomnę. Ale poprosiłaś mnie, żebym się z tobą ożenił, Marcello. A moje marzenie o miłości jest równie silne i wszechogarniające jak twoje. Musi być równe!

- Ależ jest, Santi!

- Nie, dopóki Mark wciąż staje między nami. Nie, jeśli dostaje od ciebie więcej miłości niż ja!

- To te same stare argumenty, Santi! Jesteś tak samo okropny jak Mark. Każesz mi między wami wybierać! Nie

mogę odciąć sobie ręki, nogi i połowy serca! Mark zawsze będzie częścią mnie. Czeka go wspaniała kariera, a ja chcę przy nim być, zawsze go wspierać. Nie wiesz, co to znaczy, mieć dziecko, bo nigdy go nie miałeś!

- Proponuję się tym z tobą dzielić - przypomniał. - Adoptując Marka.

- Mark nigdy by się na to nie zgodził! - krzyknęła.

- Zapytaj go!

- Nie muszę go pytać - odparła szybko. - Wiem, jak by zareagował. Po prostu by się roześmiał.

- Roześmiał? - powtórzył Santi.

O, Boże - pomyślała Marcella, dlaczego musiałam użyć tego słowa?

- Może mam dość bycia pośmiewiskiem, Marcello. - Głos Santiiego stał się zimny jak lód. - Może powinniśmy się po prostu pożegnać. Teraz.

- Nie! Poczekaj! Nie stawiaj tego tak ostatecznie! - krzyczała. - Wkrótce się spotkamy, prawda? Dostałeś moje listy?

Ale odpowiedzią był ciągły sygnał i Marcella zrozumiała, że Santi odłożył słuchawkę.

Santi szedł Las Ramblas, najruchliwszą ulicą Barcelony. Właściwie nie była to ulica, ale chodnik biegnący środkiem szerokiego bulwaru, pełen straganów, na których sprzedawano kwiaty, czasopisma i ptaki w klatkach. O każdej porze dnia panował tu tłok, ale tego popołudnia Santi nie widział nikogo. Był zły, że tak od ręki odrzucono jego propozycję adopcji. Wiedział jednak, że za kilka minut gniew się ulotni i znowu opadnie na niego upiorna samotność, poczucie, że życie wydostało się spod jego kontroli, chociaż obiecał sobie, że nigdy więcej do tego nie dopuści.

Istniał tylko jeden sposób radzenia sobie z takim uczuciem, jeśli zostało spowodowane wyłącznie przez kobietę - należało ją po męsku wyrwać z serca. Pracą, podróżami, czymkolwiek, co zastępowało to cenne uczucie. Stał na rogu ulic, czekając, aż będzie mógł przejść. Skąd wzięło się to niezachwiane przekonanie, że Marcella była mu przeznaczona, że ze wszystkich kobiet, które spotkał lub miał spotkać,

tylko ona posiadała tę wyjątkową właściwość? Przekonanie to było zupełnie nielogiczne; musiał je zwalczyć, jeśli nie chciał pozostać nieszczęśliwy.

Szedł Las Ramblas w stronę domu rodziców. Udało mu się odkładać te odwiedziny przez trzy tygodnie od powrotu z Nowego Jorku, bo wiedział, że po tej podróży zupełnie przestał być sobą. Jak dotąd nie wspomniał rodzicom o Marcelli; udał, że celem wyjazdu była chęć zanalizowania możliwości wejścia w spółkę z pewną manhattańską galerią. Może matka zorientuje się, że to pretekst, i zacznie zadawać swoje słynne, ostre jak noże pytania? Wiedział, że chciała, żeby się powtórnie ożenił. Co miał jej powiedzieć? Że

o mały włos nie została babcią dwojga neurotycznych amerykańskich nastolatków?

Wzruszył ramionami. Przeszedł ulicę i przyglądał się papużkom i gołębiom w ciasnych klatkach. Z jakiej racji sami zamykamy się w więzieniu? W jaki sposób Marcella i jej syn stworzyli dla siebie tak wyłączny, ograniczony świat? Czy nie lepiej spróbować zapomnieć o całej tej przygodzie? A może spisać uczucia - tak jak pragnął - w długim, szczerym liście do Marcelli, zostawiając w ten sposób otwarte drzwi dla nadziei? Ponieważ teraz nadzieja była mu równie niezbędna jak tlen.

Kiedy Mark wrócił z Włoch, świętowali jego sukces w domu Amy w Southampton, gdzie Amy, ignorując fakt, że Marcella stała się takim odludkiem, odnosiła się do niej czule i z dobrocią. Na swych ekskluzywnych przyjęciach broniła Marcelli przed „wilkami” i żonatymi mężczyznami, szanując jej pragnienie samotności. Pewien słynny pisarz oświadczył, że zakochał się w Marcelli. Spędził dzień na plaży, a podczas kolacji pisarz nie krył swego oczarowania. Ale nawet kiedy Amy wstawiła się za nim u przyjaciółki, nie zainteresował Marcelli jako mężczyzna.

- Spotkałam człowieka, który został dla mnie stworzony, Amy - wyjaśniła. - Łączyło nas coś zbyt dobrego, by Santi mógł o nas zapomnieć. Nasza historia jeszcze się nie skończyła. Wiem, że nie!

Patrzyła, jak Mark gra na fortepianie, by zabawić gości Amy, i zachwycała się czarem, jaki rzucał na słuchaczy. Przedstawiciele firm nagraniowych, którzy słyszeli jego występy w Carlyle, zaproponowali mu podpisanie umowy, jednak jak dotychczas Marcelli udało się to synowi wyperswadować; była pewna, że nie przyniosłoby to korzyści karierze Marka w dziedzinie grania muzyki klasycznej.

Oboje rozumieli, nie wypowiadając tego na głos, że łączy ich teraz jakaś nowa więź. Marcella napisała do Santiago kilka namiętnych listów, w których próbowała się wytłumaczyć i zapewnić go o swej miłości „na zawsze”, bez względu na to, co myślał o niej i jej zwariowanej rodzinie. Musiała się teraz martwić o kolejną osobę; matka nie czuła się ostatnio dobrze, a podczas wizyt w domu opieki Marcella ścisnęła jej dłoń, w duszy nakazując Idzie wydobrzeć. Prawie nie poznawała tej starej, przykutej do łóżka kobiety, która na nią nie patrzyła, ale była to jej matka i Marcella nie chciała jej stracić.

Marcella przyszła na ostatnie sierpniowe przyjęcie u Amy, kiedy jakieś przeczucie kazało jej, po raz drugi tego dnia, zadzwonić do domu opieki.

- Telefonowaliśmy do pani przez całe popołudnie - powiedziała pielęgniarka. - Przykro mi, ale pani matka odeszła. Grabarze wytrzeszczali oczy na Sonię, ostrożnie spuszczać trumnę jej babci do grobu. Grób obok Aldo Balducciego wykupiono dla Idy, kiedy umarł. Na dziedzińcu kościelnym zgromadzili się wszyscy sąsiedzi Balduccich z Little Italy. Patrzyli wyłącznie na Sonię. Ponieważ i tak zawsze ubierała się na czarno, miała całą szafę ubrań do wyboru. Na pogrzebie wystąpiła w spódnicy mini na długich legginsach, czarnym swetrze, czarnym filcowym kapeluszu i ciemnych okularach. Marcella wiedziała, że powinna się czuć zaszczycona, iż Sonia zechciała wziąć pod uwagę to rodzinne wydarzenie. Na co dzień prawie nie widywała córki; śledziła jej karierę modelki w „Vogue” i „Bazaar” lub czytała urywki wiadomości w „New York Post”.

Marcella czuła tępy ból z powodu straty matki. Jej wizyty w domu opieki - co tydzień sprawdzała, czy Ida jest trakto-

wana właściwie - weszły jej w zwyczaj. W chwili śmierci Ida była maleńką nie poznającą nikogo, łupinką kobiety. Mimo to Marcella wiedziała, że będzie jej brakować matki. Patrzyła na zgromadzonych, doznając lekkiego wstrząsu, ilekroć rozpoznała twarz szkolnej koleżanki. Jak bardzo się postarzały. Czy i ona wyglądała staro? A może pieniądze przekupiły wiek? Czy one wszystkie, jak Marcella, znudziły się mężami i w swego rodzaju geście perwersyjnej zemsty zaczęły się przejadać i zaniedbywać? Marcella doskonale wczuwała się w sytuację tych kobiet. Ojciec Carmello powiedział:

- Módlmy się.

Marcella zamknęła oczy, wyobraziła sobie rodziców, ale spostrzegła, że nie modli się za nich. O, Boże - błagała - nie pozwól, żeby Santi o mnie zapomniał! Czuła, że powinien być przy niej w tej chwili, wspierać ją swoją obecnością, miłością.

Ojciec Carmello wygłosił krótkie kazanie, wspominając, że znał rodzinę Balduccich od początku swojej pracy w parafii. Kiedy skończył, zaprosił zgromadzonych, by przyłączyli się do Marcelli i jej rodziny biorąc udział w tradycyjnym poczęstunku winem i ciastkami w przedsionku kościoła. Marcella ruszyła w tamtą stronę z Markiem i Sonią. Sonia milczała, speszona. Choć pozowała do tyłu fotografii jako modelka, nie wiedziała, jak się zachować podczas prawdziwego wydarzenia, a zwłaszcza oficjalnej, poważnej ceremonii. Marcella zawahała się, kiedy jakaś kobieta podsunęła jej książkę z prośbą o autograf.

- Nie jestem pewna, czy to odpowiednie miejsce - mruknęła.

- Och, Marcello, nie pamiętasz mnie?

Pulchna kobieta uśmiechnęła się szeroko, by skłonić Marcellę, by ją poznała.

- Sisi! - krzyknęła Marcella, obejmując dawną przyjaciółkę.

Była jedną z dziewcząt, które słuchały, zafascynowane, jej pierwszych opowieści.

Sisi uścisnęła Marcellę z radością.

- Zawsze mówiłam, że ci się uda, Marcello. Wiedziałam,

że pewnego dnia osiągniesz sukces jako pisarka! Teraz chcę, żebyś napisała mi bardzo osobistą dedykację!

- Kupiłam twoją powieść, kiedy tylko wyszła w miękkiej oprawie, Marcello - powiedziała inna.

- Andrea! - Marcella ucałowała dawną koleżankę. Sonia skubnęła Marcelłę za rękę.

- Umówiłam się na mieście - mruknęła. Pośpiesznie pocałowała Marcelłę w policzek i dotknęła ręki Marka. - Nie smuć się. Babci będzie się lepiej powodzić, teraz, kiedy się stąd wyniosła.

Marcella odprowadziła wzrokiem córkę, która szybko przebiła się przez dum.

- Pomogę jej znaleźć taksówkę - powiedział Mark, ruszając za siostrą.

- Och, twoja córka jest taka piękna! - zachwyciła się jedna z kobiet. - Taka piękna! Kiedyś wieczorem widzieliśmy ją w telewizji i stwierdziłam: „Przysięgam, że to Sonia Winton”, ale mój mąż powiedział...

- Tak, dziękuję. - Marcella zmuszała się do przyjmowania komplementów.

Chciały dobrze. Nie mogły wiedzieć, że widok Soni wzbudza w Marcelli sprzeczne uczucia.

- I twój syn jest taki przystojny. Czy on też zostanie modelem?

- Nie, uczy się gry na fortepianie. Mam nadzieję, że zostanie pianistą koncertowym!

- Och, Marcello, cudownie! Jaka musisz być dumna!

- Tak. Dziękuję - wyjąkała.

Kiedy wrócił Mark, chwyciła go za ramię, chcąc mu powiedzieć, żeby dzielił się swym zmieszaniem z tymi przyzwoitymi ludźmi.

- To pewnie ostatni raz, kiedy czujemy się częścią tej społeczności - szepnęła. - Na dobre i na złe...

Wzięła z przedsiionka kilka białych róż i poszła na świeży grób matki. Rzuciła kwiaty na piach i wreszcie popłynęły łzy.

Ojciec Carmello stanął cicho obok niej, zauważyła zmarszczki na jego otwartej, szczerzej twarzy. Puste spojrzenie było najwyraźniej oznaką wyrzeczenia.

- Dziękuję, ojciec Carmello, za powiedzenie takich miłych rzeczy o moich rodzicach. Naprawdę to doceniam.

- Uważałem ich za dobrych ludzi - odparł prosto. - Little Italy bardzo się zmienia. Brak mi prawdziwych, starych włoskich rodzin jak twoja, Marcello. Przykro mi z powodu twego męża. Czy chodzisz do kościoła? Byłaś ostatnio u spowiedzi?

- Nie - odparła, spuszczać wzrok.

Ksiądz czekał. Pochówek obudził wspomnienia o pogrzebie ojca. Jak źle się wtedy czuła, wierząc, że ponosi winę za jego śmierć. Boże, jak straszne poczucie winy dręczyło ją wtedy! A teraz rozwiodła się, odnalazła, a potem i przypuszczalnie utraciła wielką miłość swego życia, i oto stała w tym samym miejscu, obok tego samego księdza, który udzielił jej ślubu. Zamknęła oczy, zachwiała się lekko. Z wahaniem dotknęła rękawa ojca Carmello, po czym mszyła w stronę pustego kościoła. Ksiądz poszedł za nią. Podeszła do konfesjonału. De byłaby w stanie mu powiedzieć? Czy potrafiłaby wyznać prawdę o wizytach w klubie Członkowie? Głosy ludzi zebranych na poczęstunku rozbrzmiewały echem w starym budynku, kiedy ojciec Carmello zajął tradycyjne miejsce za kratką konfesjonału. Marcellę ogarnął zapach wilgotnego drewna i upadła na kolana. Poczowała, że dławi ją żal, wspomnienia i kurz. Zaczęła się dusić, zachłystując się haustami powietrza.

- Nie mogę. - Rozkaszła się, a ksiądz wyszedł z konfesjonału, podał jej rękę i pomógł wstać. - Nie mogę! - powtórzyła, próbując dobrać się do siebie.

- W porządku, Marcello. - Położył jej dłoń na ramieniu. - To może nie jest odpowiedni dzień. Ale zastaniesz mnie tu zawsze, kiedy uznasz, że jestem ci potrzebny. Nie zapominaj o nas, Marcello. I nie zapominaj o Bogu.

- Nie zapomnę - przyrzekła. - Dziękuję, ojciec. Wiedziała, że nigdy tam nie wróci. To, co miała do wyznania, to było dla Kościoła zbyt wiele. Jej spowiedź, zamaskowana w jakiś sposób, musi przedostać się do powieści. To czytelnicy udzielą Marcelli rozgrzeszenia i wykażą zrozumienie. Nie wyda im się dziwne jej przekonanie, że jest dobrą osobą. Nie dostrzegą nic dziwnego w jej wizytach

w klubie Członkowie, w nieskomplikowanym, niezbędnym seksie, po którym wychodziła niesplamiona, równie czysta jak wtedy, gdy wchodziła do tego przybytku. Nic dziwnego, że czuła się dziwnie dumna ze swego życia.

Kiedy wsiadła z Markiem do Rollsa, przyjaciółki i zgromadzeni goście otoczyli samochód, dotykając jego lśniących powierzchni, machali na pożegnanie. Wielu ludziom proponowała, by ją odwiedzili, lecz wiedziała, że nigdy nie przyjdą, bo uważali, że „dobra dzielnicą” to dla nich inny świat. Samochód wywiózł Marcellę i Marka z Little Italy, pewnie po raz ostatni.

Na początku września Marcella pojechała z Markiem do Włoch. Najpierw spędzili tydzień na zwiedzaniu Rzymu i Florencji, gdzie odkrywanie dziedzictwa napępiało ich dziwną radością. Na rzymskich ulicach widywała mężczyzn tak bardzo przypominających jej ojca, że chciała płakać. W Bolonii pomogła Markowi zadomowić się na najwyższym piętrze skromnego pensjonatu dla studentów, który wybrał. *Maestro* Gianni wydał dla nowych uczniów i ich rodzin powitalny lunch. Marcella ubóstwiała Bolonię i chętnie zostałaby dłużej, ale wkrótce miała się ukazać jej nowa powieść, zaś Mark musiał wreszcie rozpocząć własne życie. Wróciła do Nowego Jorku, by zająć się swoimi sprawami.

W październiku „kultowy” album Marka, zawierający nagrania na żywo, nagle znalazł się we wszystkich sklepach. Marcella słyszała go w radiu i widziała na wystawach sklepów muzycznych na Broadwayu i w Village.

Podejrzała, że Cole Ferrer brał udział w promowaniu płyty, ale pocieszała się myślą, że Mark był we Włoszech, z dala od wpływu Cole'a; rozwijał się w takim kierunku, jakiego pragnęła. Tę rundę wygrała!

Kiedy *Muzyka miłości* ukazała się drukiem na jesieni, Marcella odmówiła brania udziału w tournée reklamowym i udzielania jakichkolwiek wywiadów telewizyjnych.

- Nie jestem artystką estradową - powiedziała Scottowi. - Od teraz rozdaję tylko autografy.

Scott był wściekły, ale Volumes otrzymało tyle zamówień na książkę, że jeszcze przed jej wydaniem stało się jasne, że nowa powieść Marcelli odniosła sukces. Amy została wciągnięta do kampanii jako agentka autorki, lecz zrozumiała, że w żaden sposób nie zdoła nakłonić Marcelli do zmiany decyzji.

- Od teraz moje książki muszą się bronić same - oświadczyła Marcella. - Nie mam zamiaru uczestniczyć w tym cyrku. Scott może się pieklić, ile tylko chce.

Po raz pierwszy zebrała pochlebne recenzje, dostrzegające w jej pisarstwie coś więcej niż literaturę dla kucharek. Krytycy wyrażali się z uznaniem o romansowym rozmachu, dzięki któremu prowadziła czytelnika przez trzy dziesięciolecia europejskich sal koncertowych i muzycznych zmagani. Amy traktowała Marcellę z wielką ostrożnością, nigdy nie zmuszając jej do robienia czegokolwiek wbrew woli. W przeddzień publikacji książki, objechały księgarnie samochodem Amy, oglądając reklamy. Księgarnia Waldenbooks przy Piątej alei poświęciła powieści całą witrynę, a w Doubleday ustawiono ogromne stoisko, które miało witać wchodzących klientów. Większość pozostałych księgarni zamówiła od pięćdziesięciu do stu egzemplarzy każda.

Wraz z publikacją *Muzyki miłości* Marcella osiągnęła ten poziom kariery, iż sam fakt, że jej nazwisko pojawiło się na okładce wypisane dużymi literami, wystarczało, by książka się sprzedawała. Było to świadectwo jej talentu, niezaprzeczalny dowód, że szerokim rzeszom czytelników na tyle podobały się jej pierwsze dwie powieści, że automatycznie chcieli przeczytać trzecią.

Scott zadzwonił do niej trzy tygodnie po ukazaniu się książki, a w jego podnieconym głosie dawała się słyszeć dziwna bojaźń.

- Marcello? - spytał. - Czy siedzisz? Trzymam w ręku najnowszą listę bestsellerów „The New York Times”. Jesteś na pierwszym miejscu!

- Nie wierzę! - wykrztusiła. - Scott... po prostu nie wiem, co powiedzieć! Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś. Delikatnie odłożyła słuchawkę, zdumiona łzami płynący-

mi jej po twarzy. Nie wiedziała, dlaczego płacze. Z powodu sukcesu? Czy dlatego, że spotkał ją w takim momencie jej życia? Wyjrzała przez okno na Central Park. Jaka to niewdzięczność, jaka podłość, że nie skacze z radości! Na świecie istnieli pisarze, którzy posunęliby się do zabójstwa, byle tylko znaleźć się na jej miejscu. A dla niej sukces nie miał żadnego znaczenia. Oddałaby go za to, żeby znaleźć się z Santim w domu w Deya, budzić się w nocy, czując jego usta przyciśnięte do karku, odwracać się rano i widzieć ciemne oczy wpatrzone w siebie z miłością. Gdy patrzyła w przyszłość, widziała tylko pisanie przy biurku, wyskakiwanie do Członków po szybki zastrzyk seksu, chodzenie na koncerty Marka, w miarę jak jego sława będzie rosła, i uczucie tej bolesnej pustki po dotyku rąk Santiago, brzmieniu głosu Santiago, ciepłe ust Santiago. Wiele razy już prawie wykręcała numer telefonu w Barcelonie, pisała liczne listy, które darła następnego ranka, planowała podróż do Hiszpanii, z której rezygnowała po godzinie. Santi pragnął jej równie mocno jak ona jego: uganianie się za nim obniżyłoby wartość ich miłości. Była bardzo surowa wobec siebie i przestrzegała narzuconych sobie reguł - żadnych listów, żadnych telefonów. Ale skąd miała wziąć chęć do dalszego życia? Wiedziała, że odpowiedź wiązała się z radykalną zmianą i jeszcze intensywniejszą pracą. Wiedziała, że odpowiedź wiązała się z myśleniem o wielu ludziach poza sobą samą. Była przygotowana na to nowe rozwiązanie.

Manhattan, wiosna 1990

Najwspanialsze modelki używają makijażu tylko wtedy, kiedy im za to płacą; im większe sukcesy odnosi modelka, tym bardziej nagą twarz obnosi w życiu prywatnym. Dlatego na modnie pełnych wargach Soni można było dostrzec zaledwie cień szminki, kiedy szła aleją Madison swym tradycyjnym szybkim krokiem. Lśniła jak ciemny diament; proste czarne włosy powiewały spod niedbale zawiązanej jedwabnej chustki, a krótka spódniczka odsłaniała nieskazitelne nogi, niemal zbyt długie jak na prawdziwe życie. Był piękny kwietniowy poranek, słońce ostrym światłem zalewało domy, ludzi i samochody. Przechodnie odwracali się za tym olśniewającym, wysokim stworzeniem, zręcznie uskakującym im z drogi, równie obcym, co przybysz z innej planety, planety Piękna. Dla podkreślenia oczu Sonia ubierała się zazwyczaj na liliowo, lawendowo lub czarno. Dziś była to czerń - lekka kaszmirowa pelerynka zarzucona przez ramię. Uroda Soni roztaczała wokół niej aureę, prosząc życie mijanych ludzi czarodziejskim pyłem snu.

Przez kilka minut Sonia zaszczycła obecnością modną włoską kawiarnię, gdzie dużymi łykami wypila doskonałą kawę cappuccino, rzuciła pięć dolarów kelnerowi, który znał jej twarz i zawołał za Sonią „*Ciao, bella!*”, kiedy wybiegła, mrugając do niego zza szyby. Teraz, gdy miała osiemnaście lat, stało się jasne, że posiadała jedną z tych magicznie ukształtowanych twarzy, które stawały się bardziej wyraziste i doskonałe wraz

z upływem czasu. Będzie piękna w wieku lat trzydziestu, pięćdziesięciu, osiemdziesięciu, a ta świadomość dodawała Soni pewności, stanowiącej znię wielkiej urody.

Kiedy doszła do Sześćdziesiątej Czwartej ulicy, kawa zaczęła działać. Sonia nigdy nie była spokojna, lecz po kawie ogarniało ją niemal szaleństwo, umysł huczał w sposób niemożliwy do skontrolowania. Z radością powitała to doznanie, wykorzystując je do zaplanowania nadchodzącego wieczoru, na który czekała od miesięcy, a teraz czuła lekki lęk, ponieważ był tak ważny. Nikogo nie wtajemniczyła w swoje plany na tę noc. Gdyby ktokolwiek o to spytał, odpowiedziałaby niejasno i tajemniczo. Dostanie tych miejsc kosztowało ją cztery miesiące wysiłków, a teraz nie miała zamiaru ryzykować utraty choćby jednej chwili przyjemności. Silny podmuch wiatru przemknął Madison, oślepiając wszystkich, którzy nie mieli okularów. Mała dziewczynka przetarła oczy, wyrwała rękę matce i podbiegła do Soni czekającej na czerwonym świetle.

- Czy jesteś sławna? - spytała.

Sonia potrząsnęła głową i szybko odeszła. Nie lubiła dzieci, bo zawsze umiały ją przejrzeć. Mężczyźni nigdy. Byli zbyt zajęci gapieniem się na jej smukłe ciało lub zagładaniem w liliowe tęczówki.

Kiedy dotarła to studia, wszyscy stłoczyli się wokół niej, całując ją i cmokając. Jakiś asystent poszedł po kawę, ktoś rzucił jej na kolana „New York Post”, a Jason, jej charakteryzator zawiązał Soni na szyi duży śliniak.

- Żadnych ciemnych kół! Żadnych worków! Soniu, kocham cię! - krzyczał, rozkładając przybory.

- Czym się oblałeś? - spytała Sonia, pociągając nosem. Jason popatrzył na siebie.

- Och, Eau Sauvage. - Przypomniał sobie. - Lubię krańcową siłę. Oto cały ja, kochanie, *tres extreme*

- Przypomina mi to mojego brata. - Znowu zamknęła oczy. - To niesamowite, bo wrócił z Włoch i właśnie dziś idę z nim na lunch.

- Czy to ten Mark Winton, który nagrał album? - spytał Jason, przeciągając zgłoski.

Sonia przytaknęła.

- Szcześciara z ciebie - westchnął Jason. - Uwielbiam jego płytę. Taka romantyczna! - Zaczął malować jej powieki. - Zdjęcie na okładce nie mówi wiele. Powiedz, czy to on, czy nie?

Uniósł brwi, kiedy zerknęła na jego odbicie w lustrze.

- Kogo to obchodzi? - jęknęła Sonia, znowu zamykając oczy.

- Mnie! - krzyknął Jason. - Powiedz mi, to sprzedam tę historię do „National Enquirer”! - zachichotał. - A, co powiesz na warstwę „oszronionej fuksji”? Żeby uwydatnić te lśniące małe Liz Taylorki?

- Życie seksualne Mareczka to wielki sekret - oświadczyła Sonia. - Nawet dla niego samego. Mama dostałaby zawału, gdyby kiedykolwiek wyszedł ze swojej muzycznej kryjówki. Oni pewnie oboje wolą myśleć, że po prostu nie spotkał jeszcze właściwej dziewczyny!

- To samo myśli moja matka - przyznał Jason, przyciskając do kącika jej oka koniec małej tubki napełnionej różowym pudrem. - Twoja matka pisze te książki, tak? Romantyczne bestsellery?

- Mhm... - mruknęła Sonia. - Wszyscy w mojej rodzinie to pieprzeni geniusze. Z wyjątkiem taty, który umiera na raka w więziennym szpitalu. - Otworzyła oko, żeby spojrzeć na Jasona. - Ma trzydzieści dziewięć lat!

Jason potrząsnął głową.

- Co za nudne zajęcie! - Cofnął się o krok i przyjrzał się odbiciu Soni, mrużąc oczy. - Oto, co nazywam polerowaniem na wysoki połysk! Nic nie przebije Chanel.

- Wysłała Marka do Włoch - ciągnęła Sonia, kiedy charakteryzator znowu zaczął nad nią pracować. - Przypuszczam, że dlatego, bo we Włoszech jest mniej AIDS niż tu!

- Doprawdy! - jęknął Jason. - Wszędzie jest mniej AIDS!

- Tak czy owak, Mark żyje i ma się dobrze, chociaż ja nie należę do jego fanów!

- Współzawodnictwo między rodzeństwem?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Po prostu tak się składa, że

nie trawię aniołkowatych typów, nie cierpię gości, którzy mają się za bardziej świętych niż reszta.

- Zamknij oczy - polecił Jason. - Dmuchnę ci na powieki.

Tylko ludzie wtajemniczeni w to, „kto jest kim na Manhattanie”, mogliby ich rozpoznać, a jednak pojawienie się Soni i Marka na lunchu we włoskiej restauracji na sześćdziesiątej którejś wschodniej, wywołało szmer. Każde z rodzeństwa stanowiło przedmiot swoistego kultu, a intymna, droga włoska restauracja w tej części miasta stanowiła idealne miejsce na znalezienie wyznawcy jednego kultu lub obu. Ludzie szeptali między sobą. Fakt, że ci dwoje tu przyszli, potwierdzał, że było to ważne miejsce. Siedzący przy sąsiednich stolikach rzucali w stronę rodzeństwa ciekawe spojrzenia, a potem rozluźniali się, uspokojeni, że przynajmniej przez najbliższą godzinę mogli być bezpieczni.

Sonia nie ubrała się elegancko, ale sława jednej z czołowych modelek usprawiedliwiała wszystko. Jej twarz, długie nogi i przewieszona przez ramię torba wielkości walizki kompensowały z nawiązką czarny sweter z golfem i czarną spódniczkę ukrytą pod pelerynką.

Mark zaprowadził siostrę do stolika tak ostrożnie, jakby bał się, że w razie najdrobniejszego uchybienia nagle wybuchnie gniewem. Był nieco wyższy od niej, w tym samym kolorycie, miał oczy o tak samo intensywnym wyrazie, obramowane gęstymi ciemnymi brwiami. Przystojny młody kelner, który wyrecytował *plats du jour*, najwyraźniej nie mógł się zdecydować, które z rodzeństwa wydaje mu się bardziej ekscytujące. Sonia przejrzała menu z miną eksperta, a następnie się skrzywiła.

- Cóż, nie będzie to baranina z łazankami i kozim serem ani fettucine z nerkówkami...

Kelner skinął głową, zawiedziony.

- Obie te potrawy są wyśmienite - zapewnił. - Ale dziś daniem dnia jest łosoś marynowany w sosie vinaigrette z orzechami włoskimi i koprem, garniowany białą pietruszką i jagodami.

Zamówili sałatki collages i cappuccino.

- Dlaczego nie odpisujesz na moje listy? - spytał Mark.
- Czuję się taki oderwany od Nowego Jorku.
- Jestem pewna, że inni dopilnują, żebyś znowu był na bieżąco. - Sonia zdjęła chustkę, przyglądając się bratu, mrużąc oczy. - Powiedziałaś, że moje listy są jak strona z nekrologami, pamiętasz? A ja próbowałam ci tylko donosić o wszystkich pięknych młodych mężczyznach, którzy umarli...
- Nie są to dokładnie te informacje, których potrzebuję
- zauważył Mark. - Chciałem wiedzieć, jaka muzyka się sprzedaje, jakie filmy i przedstawienia są przebojami...
- Sądzę, że jestem wrażliwa na krytykę - odparła. - Odwiodła mnie od pisania.
- Czemu jesteś dziś taka drażliwa?
- Tata ma raka, Mark. - Upiła łyk wody. - Jest bardzo chory.
- Tak mi przykro. - Twarz Marka była napięta. - To okropne. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Czy mama wie?
- Nie. Nie mają ze sobą kontaktu. Jestem jedyną osobą, która go odwiedza.
- Czy on cierpi z bólu?
- Czasami. On... Co cię to właściwie obchodzi? Nie widziałeś go już całe lata.
- Trudno powiedzieć, że byliśmy sobie bliscy - powiedział łagodnie Mark. - By wyrazić to delikatnie, nienawidzieliśmy się z całego serca.
- Dla mnie też nie był najwspanialszym tatą na świecie
- przyznała Sonia. - Mimo to spełniam swój pieprzony obowiązek. Jestem w tym ohydny więzienny szpitalu co niedziela.
- To kwestia twojego sumienia - zauważył Mark. - Moje jest czyste, nawet jeśli go nie odwiedzam.
- Zrób to chociaż raz - poprosiła. - Przywitaj się z nim.
- A co powiesz na odwiedzin u mamy? Moglibyśmy zrobić wymianę.
- Nie mogę się z nią zobaczyć, Mark. Winię ją za to. Mark drgnął.
- O? Chcesz powiedzieć, że „kochająca matka może być szkodliwa dla zdrowia”? Myślisz, że jest rakotwórcza?

- Tak, tak myślę! Kiedy tylko się dowiedziałam, że tata jest chory, zrobiłam badania. Kobieta, która pisze artykuły medyczne dla „Vogue” udostępniła mi swoją bibliotekę. Przeczytałam o najnowszych teoriach i tak zwanych lekach. Wizualizacja siebie jako zdrowego człowieka i tym podobne. Przestudiowałam tuziny historii choroby. Moja własna teoria jest taka, że raka wywołuje tłumione zdenerwowanie! - Spojrzała na brata znacząco. - Nie papierosy ani sacharyna, ale niewyładowane zdenerwowanie. A mama zapewniła mu tego całe mnóstwo!

- Każdy zapewnia innym mnóstwo tego. Takie jest życie, Soniu.

Udała, że się dławi.

- To linijka życiem wzięta z jednej z jej książek! - powiedziała szyderczo.

Nowy, bardzo uważny kelner z szacunkiem postawił przed nimi kolejny dzbanek z zimną wodą. Sonia podziękowała mu promiennie. Oparła się na krzesło, kiedy podano im olbrzymie talerze z sałatkami, które na ich oczach posypano pieprzem mielonym.

- Może słowo „rodzina” nie było dla nas odpowiednie. - Wykrzywiła twarz w grymasie, kiedy kelner odszedł. - Wy dwoje byliście po prostu matką i jej ukochanym synem. Nieszczęście taty i moje polegało na tym, że weszliśmy wam w drogę.

- Być może. - Mark wzruszył ramionami. - Jedno jest pewne: ty masz bardzo niewiele z mamy!

- Na pewno nie dostałam od niej cycków - zauważyła Sonia, patrząc w dół. - Musiałam je kupić! Przypuszczam, że moim największym dziedzictwem po mamie są nadmiernie aktywne gruczoły seksualne!

- Tak sądzisz? - Mark zmarszczył brwi. - Myślisz, że mama daje się związywać czarnym rzemieniem i bić jak ty?

- Nie mam pojęcia Mark. - Sonia otworzyła szeroko oczy, udając niewinność. - Może ona jest pieprzoną Marią Dziewicą? A ty jak myślisz, jak ona załatwia sprawę seksu?

Mark spojrzał na siostrę z niedowierzaniem.

- Nie spędzam czasu na rozmyślaniach o życiu seksualnym innych ludzi, Soniu, zwłaszcza mojej matki.

- Nawet o swoim własnym? - spytała przeciągle. Mark wzruszył ramionami.

- Należę do tych, co późno dojrzewają.

- A twój stosunek z Cole'em Ferrerem jest czysto zawodowy i wciąż jesteś dziewicą? Proszę, Mark! Zejdź na ziemię!

Przyglądał się siostrze z uwagą.

- To naprawdę śmieszne - powiedział. - Myślisz, że wiesz o moim życiu seksualnym więcej niż ja sam?

- Seks to moja specjalność - odparła Sonia. - Seks, makijaż i konie!

Zamówili następną kawę, a Sonia wsypała do swojej słodzik.

- W każdym razie mam nadzieję, że uważasz - powiedział Mark, kiedy piła kawę.

- Och, Mark, jeśli masz na myśli AIDS czy domy publiczne, to wybij to sobie z głowy! - Przewróciła oczami.

- Obciągacze drutów nigdy mnie nie pociągali, braciszku kochany. Podobają mi się prawdziwi mężczyźni; kolejna rzecz, którą odziedziczyłam po mamie. A może wolałbyś nie słyszeć niczego, co ściąga mamusię z piedestału?

Mark poczuł, że się czerwieni. Zapomniał, że Sonia ma talent do gadania świństw.

- Bardzo kocham mamę - powiedział prosto. - Czy to zbrodnia? Ty kochasz tatę, prawda?

- Hm... niezupełnie w ten sam sposób. - Zachichotała.

- Na przykład, spanie z nim nie należy do moich fantazji! Naprawdę powinieneś pójść do psychoanalityka, Mark, jeśli ten stan umysłu będzie się utrzymywał.

- Ty też powinnaś pomyśleć o takiej wizycie - odparł.

- Ludzie mówią, że seks bawi cię tylko wtedy, kiedy jesteś bita!

- Tak... - Powoli pokiwała głową, a jej oczy stały się szkliste. - A czasem nawet wtedy mnie nie bawi. Poszłam raz do psychoanalityka - wyznała. - Nie w związku z problemami, o które mnie podejrzewasz! Niepokoiłam się, że czuję się szczęśliwa tylko wtedy, kiedy jeżdżę konno! Myślałam, że należy się tym niepokoić. Teraz myślę, że to jedyna zdrowa rzecz we mnie: ze zwierzętami mam lepszy kontakt niż z ludźmi! Wkrótce podpiszę dużą umowę z firmą kosme-

tyczną, a to oznacza duże, duże dolce! Będę mogła utrzymać stajnię i własnego konia, naprawdę zacząć żyć. - Uniosła kciuk na szczęście.

- Będiesz wtedy szczęśliwa? - spytał Mark.

- Jeśli nie, znajdę sposoby, żeby się rozweselić. - Zaśmiała się. - Tak się składa, że rozweselę się tej nocy. Dzisiejsza noc jest wyjątkowa. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię, Mark. Widzisz? Musiało we mnie zostać trochę siostrzanego uczucia!

- Chyba nie wpadłaś w narkotyki? - spytał cicho.

- Faceci są bardziej niebezpieczni od narkotyków - odparła chichocząc. - W każdym razie ci, którzy mnie podniecają.

- Uważaj, Soniu - poprosił błagalnie. - Pamiętasz, jak musiałem cię ratować?

- Nigdy nie waż się mi tego wypominać! - krzyknęła. - Nie potrzebuję wysłuchiwać krytyki od obciągacza druta, który ślini się na widok własnej matki!

Jej głos rozbrzmiewał tak głośno, że w całej restauracji zapadła cisza. Mark nie spojrział nawet na sąsiednie stoliki. Wpatrywał się w twarz Soni, czując, że oblewa się gorącym rumieńcem.

- Odwołaj to, Soniu - powiedział cicho.

Otworzyła szeroko oczy, nadając mu wyraz pełnego drwiny zdziwienia i otarła usta serwetką.

- Każdy chłopczyk marzy o pieprzeniu własnej mamusi, nie czytałeś Freuda? - szydziła. - Chcesz mi może powiedzieć, że już nie sypiasz w jej łóżku?

Mark wstał, sięgając po marynarkę przewieszoną na oparciu krzesła. Rzucił na stół pieniądze.

- To powinno wystarczyć na moją część rachunku - powiedział. Odwrócił się do wyjścia, ale coś w spojrzeniu Soni kazało mu zostać. - Jesteś nienormalna, wiesz o tym? - spytał. - Nadajesz się do zakładu. Nie wiem nawet, dlaczego...

- Tak? - Jej liliowe oczy płonęły furia, która, o dziwo, nie była zaadresowana do niego. - Powiedz mamie, żeby przestała mi posyłać pieniądze! - Zaśmiała się. - Nie wzięłam centa od tej rodziny, odkąd skończyłam piętnaście lat! To ty wydajesz pieniądze, które ona zarabia swoimi żaloszny-

mi książkami! Jeśli chcesz znać prawdę, żal mi drzew, które wycinają, żeby je drukować! Wkrótce podpiszę umowę na wiele milionów dolarów, więc co wy możecie teraz dla mnie zrobić?

- Żal mi cię, Soniu.

Potrząsnął głową z litością. Chciał odejść, ale chwyciła go za przegub.

- Poczekaj, Mark! - Podniosła wzrok, piękną długą szyję wygięła w sposób, o który prosiło wielu fotografów. - Pamiętaj, jak tata nazywał mnie swoją księżniczką? - szepnęła. - Wtedy naprawdę mnie kochał, prawda?

- Chyba tak. - Wzruszył ramionami. - Po co pytasz? Po twarzy Soni płynęły łzy.

- Jeżdżę do niego co niedziela - mówiła. - Tak, jak ci powiedziałam. Próbuję się z nim zobaczyć! Ale on nie chce mnie widzieć! - Otarła łzy szybkim ruchem ręki. - Nawet kiedy umiera, nie chce mnie widzieć.

Przełknęła łzy, mnąc serwetkę w dłoniach. Mark patrzył na siostrę, zafascynowany.

- Dlaczego? - spytał.

Spojrzała na swoje dłonie, a potem znowu popatrzyła bratu w oczy. Widział przestraszone, niedojrzałe spojrzenie dziecka.

- Wiesz - mówiła niemal szeptem - jakie numery robię. Jeden z facetów, z którymi byłam związana, trafił do tego samego więzienia co tata. Opowiedział mu wszystko o swojej szalonej dziewczynie, zanim się zorientował, że mówi do mojego ojca! A teraz tata nie chce mnie widzieć. Jestem jedyną osobą na świecie, która go kocha, a on nie chce mnie widzieć!

Późnym popołudniem Sonia otrząsnęła się z podłego nastroju. Jedynym człowiekiem, który się liczy, jest Ray LeVar - zapewniała siebie. To jego głos rozlegał się z głośników, kiedy długo moczyła się w wannie. W tym samym czasie słuchała wiadomości pozostawionych na elektronicznej sekretarce. Jej agencja potwierdziła rezerwację. Fryzjer znalazł diamentowy kolczyk, który Sonia zgubiła. Facet, którego poznała w jakimś dziwnym klubie, proponował spotkanie. Żadna z tych wiadomości nie zakłócała biegu myśli

Soni. Tylko Ray się liczył. Tylko Ray będzie się liczył. Musi bardzo starannie wybrać kreację. Dziś wieczorem nie może wyglądać zbyt elegancko. To mogłoby być niebezpieczne. Niebezpieczne! Już samo to słowo sprawiało, że jej serce biło szybciej.

Po wyjściu z wody powoli nakładała makijaż, siedząc na brzegu wanny. O szóstej zadzwonił telefon, a ona pozwoliła, żeby odpowiedział automat. Dzwonił jej aktualny adorator David LaSalle.

- Soniu? - Jego głos był szorstki, nagły. - Podnieś, kochanie. Wiem, że tam jesteś.

Starannie wsunęła szczoteczkę do tuszu do pochewki, po czym nałożyła na rzęsy drugą czarną warstwę.

- Wiem, że słuchasz - powiedział głos. Sonia zachichotała do siebie.

- Tu głupi kutasie - powiedziała na głos.

- Kiedy cię zobaczę? - pytał głos.

- To zależy wyłącznie od dzisiejszej nocy - odparła ze śmiechem, chociaż nie mógł jej słyszeć. - Może już nigdy!

- Soniu, odbierasz? - Głos Davida stał się bardziej nagły. - Czy mam tam przyjść i wyważyć drzwi?

- Twoimi manikiurowanymi rękami? - szydziła. - A może każesz to zrobić swojemu szoferowi?

- Proszę, malutka. - Zaczął się przymilać. - Czy tamtej nocy nie było miło?

Malowała brew, przygryzłszy zębami koniuszek języka. Dzięki tamtej nocy jej zdjęcia ukazały się w „Post”, „WWD” i „Timesie”.

- Od czasu do czasu muszę zrobić coś przyzwoitego z bogatym playboyem o niezłych koneksjach towarzyskich - powiedziała.

- Myślałem, że mnie lubisz - zauważył sensownie głos.

- Och, żig! - wrzasnęła Sonia na maszynę. - David LaSalle, biedny bogaty chłopczyk. Rzniesz się dobrze! Czego chcesz? Medalu?

Zabawne w tym było to, że przychodzili prosić o więcej. Wyglądało na to, że istnieje nieograniczona liczba masochistów gotowych się do niej zgłaszać. W zeszłym tygodniu,

leżąc obok niej w łóżku, David słuchał wzmocnionych przez automat wydzwaniających do niej mężczyzn, niektórych sławnych, szydząc z nich razem z Sonią. Wierzył, że wpuszczała go do swego świata, pochlebiało mu, że znalazł się po drugiej stronie tej męki. Nie przyszło mu do głowy, że go wrabiała! Teraz mógł sobie wyobrazić, że Sonia robi to samo w towarzystwie innego faceta! David się rozłączył. Zadzwoń znowu - na tym polegał Nowy Jork. Sonia stała się mistrzynią w tej grze nagłej nieosiągalności. Na Manhattanie stanowiło to eliksir miłości.

Rozczesała włosy, nachylając się, by opadły jej na twarz i mogła je rozdmuchać suszarką. Myślała o ojcu i o tym, że wysyłała mu zdjęcia z pierwszych sesji, żeby zobaczył, jak pięknie mogła wyglądać. W końcu przyszła od niego lakoniczna kartka, w której prosił, żeby zaprzestała przysyłania fotosów. Nadal go kochała, ponieważ był to jej obowiązek. Jak można przestać kogoś kochać, jeśli nikt inny na świecie nie darzył go miłością? Och, tato - myślała. - Mógłbyś pokonać raka! Mogłabym cię wyciągnąć z każdej choroby, gdybyś uwierzył w moją miłość!

Znowu zadzwonił telefon: David.

- Przepraszam za to, co mówiłem. Soniu, teraz chcę zostawić prawdziwą wiadomość. Może naprawdę nie ma cię w domu, bo gdzieś zaharowujesz się śmierć, mój piękny tyłeczku. Chciałem ci tylko powiedzieć, że kiedy zostawiam dla ciebie wiadomość, to mi staje. Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz, kochanie. Spotkajmy się albo po prostu mówmy sobie świństwa, dobra? Kocham cię.

Zapadła cisza, a Sonia spojrzała na aparat. Czerwone światełko świadczyło, że David jeszcze się nie rozłączył. Nagle znowu zaczął błagać:

- Podnieś, kochanie. Wiem, że tam jesteś. Bądź miła!

- Na miłość boską!

Cisnęła w elektroniczną sekretarkę lusterkiem, które rozprysło się na kawałki na czarnym plastiku, zasypując nocny stolik odłamkami szkła. Sprzątaczką pozbiera. Stała przed otwartą szafą, całkowicie zapominając o Davidzie. Ray musi na mnie spojrzeć i wiedzieć! Musi to być całkowicie pod-

Świadomy sygnał. Ty - zmysłowy czarny piosenkarz soul; ja - zmysłowa modelka nowojorska. Popatrzą na siebie i będzie to jak wyładowanie elektryczne! Sięgnęła po liliową sukienkę: jej oczy będą lśniły jak różowofiołkowe reflektory! Gładkie pończochy, które wydłużą nogi. Migoczące maleńkie pantofelki od Manolo Blahnika za pięćset dolarów. Dobrze obuta. To wyrażenie zawsze wywoływało uśmiech Soni. Jak jakaś podfruwajka! Boże! Przesunęła dłonią po włosach. Czula się jak egzaltowana nastolatka wybierająca się na koncert swego idola. Nikt by w to nie uwierzył! Ale co z tego, że się ma Nowy Jork u stóp, jeśli czasem nie robi się z tego użytku? Usiadła na łóżku, żeby wygładzić pończochy, po czym wsunęła stopy w drogie pantofle.

O ósmej Sonia siedziała przy przejściu w pierwszym rzędzie audytorium Madison Square Garden, wyciągając przed siebie zabójcze nogi. Miejsce obok było puste, ponieważ to także wykupiła. Leżała tam czerwona róża o długiej łodydze. Wybrała ją przed przyjazdem taksówką na koncert. Łodyga tkwiła w małej fiołce z wodą, a kwiat chroniła przezroczysta folia. Sonia wstanie i rzuci mu różę, a jeśli odległość okaże się zbyt duża, rzuci mu ją pod nogi.

Wyglądała jak strona wyrwana z „Vogue”, paznokcie i biżuteria lśniły doskonale, włosy ściągnięte mocno do tyłu, ukazywały wspaniałą twarz. Przyciemniane okulary, które włożyła, by chronić się przed spojrzzeniami sąsiadów, sprawiały, że przyglądali jej się jeszcze usilniej. Zauważyła, że domyślali się, że ona musi być kimś sławnym.

- Jesteś pewien, że jemu podobają się białe dziewczyny? - spytała wcześniej człowieka, który pomógł jej zdobyć miejsca.

- On lubi dziewczyny wszystkich kolorów! - odparł ze śmiechem.

- I zobaczy mnie?

- Zobaczy cię na bank!

Powachlowała się programem, zerkając na zegarek. Nie ma co, potrafili budować napięcie. Było dwadzieścia po ósmej, a publiczność zaczęła rytmicznie klaskać i skandować: „Chcemy Raya! Chcemy Raya!”. Sonia też zapragnęła

skandować. Przejrzała program. Znajdowało się tam niewiele informacji, których fan LeVara mógł nie znać. Krótka biografia potwierdzała, że Ray opuścił Georgię, gdy miał piętnaście lat z niezłomnym zamiarem zrobienia kariery w przemyśle muzycznym; po śpiewaniu w chórkach u największych gwiazd wreszcie nagrał pierwszy album solowy. Płyta stała się przebojem i przyniosła Rayowi nagrodę Grammy. Drugi album zrobił z niego gwiazdę. Z dnia na dzień fala jego wielbicieli rozlała się na cały kraj. Teraz, w wieku dwudziestu ośmiu lat, LeVar znajdował się u szczytu popularności.

Światła przygasły, a ludzie wrzeszczeli i gwizdali. Serce Soni zamarło, potem zabiło szybciej. Wejście LeVara zorganizowano przepięknie. Reflektor punktowy oświetlił drzwi, które się nagle otworzyły. W białym ręczniku na szyi, w białym szlafroku frotté sięgającym ziemi LeVar wpadł do sali jak bokser, maszerując przez tłum w otoczeniu obstawy i członków zespołu. Silny reflektor odprowadził go na scenę. Tłum oszalał, wył i tupał, a serce Soni wierzgnęło dziko. Gdy eskortowano go na scenę, promieniał, rozsyłając na wszystkie strony swój szczerzy, dziecienny uśmiech. Krzyk tłumu przeszedł w niekontrolowany wrzask. Nadmiernie nagłośniony zespół zaczął grać hipnotyczny, pulsujący rytm, z basem tak niskim i wyeksponowanym, że ton ten zdawał się przenikać fotele i kręgosłupy słuchaczy. Wszyscy rozpoznali natychmiast wstęp do największego przeboju LeVara, *Bitwy miłości*. Kiedy Ray dotarł do sceny, jego goryle pomogli mu na nią wejść, a Ray odrzucił szlafrok i wbiegł na środek wysuniętego owalnego podium sięgającego pierwszych rzędów. Wysadzana cekinami marynarka spowijała muzyka świetlistą aurą. Chórek - dwie seksownie ubrane kobiety i mężczyzna - zaczęła się kołysać za LeVarem w doskonałej harmonii.

Publiczność umilkła. Wstęp się przeciągał; jeden lub dwa kobiece krzyki przeszły powietrze. Ray rozejrzał się po sali, trzymając mikrofon przy ustach i momentalnie nawiązał bliski kontakt z widownią.

W końcu spytał ochrypłym głosem, przeciągając słowa:

- Czy przyłączycie się do mnie w bitwie miłości?

Publiczność odpowiedziała głośnym „tak!”. Sonia obserwowała, jak Ray porusza się tuż nad nią. Gdyby się nachyliła i wyciągnęła rękę, mogłaby prawie dotknąć jego czarnego lakierka. Z jej twarzy zniknął posepny grymas; ożyła, rozpalona oczekiwaniem.

- Pytam, czy przyłączycie się do mnie w bitwie miłości? - zaśmiał się.

- Tak!

Sonia patrzyła na twarz, którą tak dobrze знаła. Zakochała się w nim, kiedy po raz pierwszy go usłyszała. A teraz zaczął śpiewać. Ochryple, niski głos pulsował w ciałach słuchaczy, zdawał się rozpoznawać, rozumieć i koić cały ich ból. Przy trzeciej linijce piosenki Ray zaczął tańczyć. Nikt nie ruszał się tak jak Ray LeVar. Michael Jackson, zgięty w pół, podskakiwał i wirował. James Brown przebierał nogami, ale Ray wtapiał się w rytm dolną połową ciała, wykonując zmysłowe podrygi, jakby ośmieszał sposób, w jaki jego ciało ocierało się o kobietę. Udawał, że to tylko wpływ muzyki, rytmu, ale cała publiczność cholernie dobrze wiedziała, że chodzi o seks.

Śpiewał składankę własnych piosenek, które wszyscy puszczali przez cały miniony rok, wzdychali do nich, kochali się przy nich, i przy nich cierpieli. Ta muzyka była tak emocjonalna, tak naładowana uczuciami, jakby Ray czytał w umysłach słuchaczy i zdawał sobie dokładnie sprawę, przez co każdy z nich przeszedł. Nikt lepiej niż on nie' wiedział, co to znaczy być zakochanym. Nikt lepiej niż on nie potrafił przekazać uczuć, jakich doznaje mężczyzna podczas zalotów, romansu, miłości. I nikt tak jak on nie przekazywał cierpienia, kiedy romans się kończył, a kobieta opuszczała mężczyznę. Gdy o tym śpiewał, każda kobieta zakochiwała się w jego bezbronności i chciała zapewnić Raya, że ona nigdy by go nie zawiodła. Jego interpretacja tekstów, ochryple tony, westchnienia, pomruki, ciche okrzyki wzmacniające efekt partii śpiewanych, sięgały samych serc słuchaczy i świadczyły o niepowtarzalności LeVara.

Sonia wpatrywała się w niego w ciągu dwugodzinnego koncertu, a widownia rozgrzewała się coraz bardziej; całe

rzędy wstawały, by tańczyć, klaskać lub kołysać się w rytm muzyki. Czasami Soni zdawało się, że Ray patrzy prosto na nią, a wtedy wierciła się w fotelu, wpatrując mu się w oczy. Czasami potrząsał głową, a kropla potu migotała w blasku reflektorów jak diament i spadała na Sonię.

Dwie godziny przeszły tak szybko w czarodziejskim pędzie. Pod koniec ostatniej piosenki Ray zeskoczył ze sceny, światło reflektora ujmowało tylko maleńkim kręgiem jego twarz, a dum zawył z rozczarowania. Przez chwilę Ray stał tuż obok Soni. Chwyciła różę, zerwała się z fotela, wcisnęła mu kwiat do ręki i pocałowała go w gładki, wilgotny policzek. Złapał ją nagle drugą ręką i pociągnął za sobą przejściem, przeciskając się przez nacierający dum, który najwyraźniej chciał ich pochłonać. Dotarli do wyjścia w samą porę, uchylając się przed wyciągniętymi dłońmi i ramionami; Sonia wciąż mocno trzymała Raya za rękę.

- Kim ona jest, Ray? - spytał ktoś.

W foyer rozstawiono przenośną garderobę. Ray odwrócił się do Soni, gdy nagle rozbłysło światło, a charakterystyczny zaczęli go rozbierać.

- Kim jesteś, kochanie? - spytał. - Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknej dziewczyny. Obserwowałem cię przez cały koncert.

Nie okazywał zażenowania, kiedy został rozebrany do slipów, ale Sonia była świadoma siły tego brązowego ciała, które trzech pomocników wycierało ręcznikami, a potem nacierało wodą kolońską.

- Sonia Winton - przedstawiła się. - Odkąd cię usłyszałam, szaleję za twoim śpiewaniem.

- Poważnie? - Spojrzał na nią ciekawie, z uśmiechem. Wiwaty, skandowanie i krzyki publiczności nie milkły.

Jeden z pomocników otworzył na oścież drzwi garderoby.

- Dobra, Ray - ponaglił go potężny mężczyzna. - To tylko fanka. Możesz iść, panienko... - Próbował wypchnąć Sonię do sali.

- Hej, czekaj! Nie! Nie! - zaprotestował Ray, znowu łapiąc Sonię za rękę. - Przestań, Lee. Tak się nie traktuje dam! A ona jest damą!

Zwrócił się do Soni.

- Patrzyłem na ciebie, kiedy śpiewałem. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak bardzo koncentrował się na tekście. Śpiewałaś razem ze mną, co? Znasz wszystkie?

- Oczywiście!

Posłała mu najbardziej olśniewające spojrzenie. Ray pozwolił, by zapięto na nim czarny jedwabny kombinezon, podkreślający siłę i rozmiary jego ciała. Charakteryzatorka poklepała go po twarzy kłębkiem waty i przyglądała dłonią włosy LeVara. Na zewnątrz tłum domagał się bisu - do garderoby dochodziło odległe, ochryple skandowanie:

- Ray! Ray! Ray!

Charakteryzatorka podsunęła mu pod nos lustro. Ledwo w nie spojrział.

- Sonia? - Zmarszczył brwi. - Tak powiedziałaś? - Delikatnie ujął ją za rękę, a jeden z pomocników przewiesił mu na szyi ręcznik. - Soniu, czy przyłączysz się do mnie w bitwie o miłość? - spytał.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale po raz pierwszy w życiu nie była w stanie wykrztusić słowa. Patrzyła mu prosto w oczy, chcąc przekazać wszystko, co na niego czekało. Nie zwracając uwagi na liczne dłonie, które go szarpały, nachylił się i bardzo delikatnie położył usta na jej wargach. Była zdumiona ich miękkością; poczuła ciepły, pachnący miętą oddech.

- Poczekasz tu podczas bisu? - spytał. - Nie znikniesz? Jego oczy patrzyły tak otwarcie i naiwnie jak wtedy, kiedy rozmawiał z publicznością ze sceny. Wpatrywały się w Sonię pytająco, oczekiwały odpowiedzi.

- Będę tutaj - skinęła głową.

Scenariusz rozwijał się tak, jak sobie wymarzyła!

- Lee? - przywołał potężnego czarnego mężczyznę. - Zaopiekuj się nią.

Chwycił różę, którą dostał od Soni i wybiegł na scenę, żeby zaśpiewać słynny przebój *Zakochując się w tobie*. Sonia stała pośród jego oczarowanej świty, obserwującej oświetloną sylwetkę Raya przez otwarte drzwi. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie sprawił, żeby tak się czuła! O, Boże, to wszystko miało się spełnić!

Było po drugiej, kiedy dotarli do hotelu Pierre. Jechali windą do apartamentu Raya tylko w towarzystwie dwóch goryli. Ilekroć mijali lustro, Sonia przeglądała się, chcąc się upewnić, że to naprawdę ona, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ray przerastał życie, był wspanialszy od wszystkiego, czego kiedykolwiek doświadczyła.

Po koncercie za kulisami strzelały korki, ocierano ręcznikami pot, rozlegały się okrzyki, błyskały lampy aparatów. Silna obstawa Raya nie zdołała odeprzeć falangi wielbicieli, pragnących wedrzeć się za kulisy, żeby pochwalić Raya, dotknąć go, powiedzieć, że byli na koncercie. Sonię z plastikowym kubkiem szampana w dłoni wepchnięto z powrotem do kąta nagrzonej garderoby. Tym lepiej - pomyślała. - Nie ma co się afiszować miłością, póki nie wydarzy się nic konkretnego. Fotograf pracujący dla magazynów mody, na którego ramieniu wspierała się słynna czarna modelka, rozpoznał Sonię, nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Myślałem, że wędrownie panienki nie chodzą do Harlemu w gronostajach i perłach?

- Odpieprz się! - syknęła Sonia.

Potem potężny facet imieniem Lee wziął ją na bok i wygłosił mowę, z której początkowo nie rozumiała ani słowa.

- Po prostu nie chcę, żebyś się zdziwiła, panienko, no wiesz... później - oświadczył z dziwną mieszanką poufałości i szacunku. - Kiedy Ray zaprasza damę, żeby dotrzymywała mu wieczorem towarzystwa, powinna być, no wiesz, przygotowana. To wielki facet. Jest sławny i... po prostu lepiej, żebyś wiedziała, w co wchodzisz.

- Ale ja jestem dorosłą dziewczyną, Lee. - Spojrzała na niego nad brzegiem kubka. - O co chodzi? Prochy? Bicz? Dam sobie radę.

Lee się nie uśmiechnął. Ten facet mówi poważnie - pomyślała.

- Słuchaj, jak ci na imię? - Nachylił głowę nieco bliżej. - Sonia? Słuchaj, Soniu, wyglądasz na miłą damę i jesteś bystra. Ray miewał w życiu różne kłopoty, kapujesz? Nic zbyt poważnego, rozumiesz, ale... kłopoty to kłopoty, praw-

da? Kiedy się zdarzają, zaczynasz pilnować, żeby się nie powtarzały! Teraz rozumiesz, o czym mówię?

Sonia dotknęła wielkiego złotego krzyża, który wisiał na grubym złotym łańcuchu na szyi Lee.

- Zawsze się zastanawiałam, kto to kupuje.

Nie miała pojęcia, co chciał jej powiedzieć. Może potencjalna groźba procesu o ojcostwo? Albo szybki test na AIDS?

- Może przejdiesz do rzeczy? - mruknęła. Pozwoliła, by kelner napełnił jej kubek; w iustrze mignął Kay. Zamknął oczy z rozmarzeniem, a potem potrząsnął głową w stronę Soni, jak gdyby śnił. Zaśmiała się, a żołądek podskoczył jej z podniecenia.

- Ray... zabił kiedyś dziewczynę - szepnął jej Lee na ucho. - Oczywiście niechcący. Nie miał zamiaru jej zabić, ale, jak można poznać po jego muzyce, jest bardzo namiętym mężczyzną. Daje się ponieść emocjom. Chodzi o to że me zdał sobie sprawę z własnej siły. Zabił dziewczynę. '

- No więc? - Sonia wzruszyła ramionami, choć przeszedł ją dreszcz żądy zmieszanej z lękiem. - Co chcesz, żebym zrobiła? Doniosła na niego?

Lee potrząsnął głową.

- Jesteś w porządku - powiedział. - Ale ja nie skończyłem. Próbuję ci wyjaśnić, że trzeba było przystać na pewne warunki, żeby Ray nie poszedł na wiele lat do pudła, gdzie w żaden sposób nie mógłby nagrywać. Rozumiesz? Nadal może się spotykać z dziewczynami, nie byłby Rayem Ikarem, gdyby nie miał dziewczyn, ale, żeby powiedzieć wprost Soniu, kiedy się kocha z kobietą, musi być w kajdankach

- Kajdankach?

- Tak. Żeby to się nie powtórzyło. Nigdy!

Kiedy weszli do apartamentu Raya, zachowanie jego goryli uległo subtelnej zmianie. Z kumpli gwiazdora zmienili się niemal w unizonych służących. W salonie, gdzie stało kilka wazonów z wielkimi białymi liliami, różami i orchideami, jeden z mężczyzn podszedł do antycznej komody i wyjął z szuflady cienkie kajdanki. Sonia patrzyła, jak Ray stoi

spokojnie, pozwalając, by goryle rozebrali go do slipów. Był muskularny, jakby wykuty z czarnej skały. Jego twarz miała w sobie fascynującą gładkość; na wpół kochanek, na wpół gotowa do skoku pantera. Połączenie szerokiego prostego nosa ze zdumiewająco delikatnymi nozdrzami, pięknie ukształtowanymi, pełnymi ustami, kępką czarnej brody pod dolną wargą kontrastowało niepokojąco z oczami i nieco wysuniętymi łukami brwiowymi. Wyraz tych oczu mógł się zmienić z sekundy na sekundę; mogły być groźne, niemal orientalne, albo mogły patrzeć otwarcie z prawie dziecięcą niewinnością. Pierś Raya podkreślały dwa proste pasy mięśni. Włosy nosił przycięte krótko, starannie, naoliwione. Miał małe uszy, wysokie i krągłe kości policzkowe.

Patrzył na Sonię, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, kiedy goryle rozbierali go cicho i sprawnie.

- Czy ja nie mogłabym tego zrobić? - spytała Sonia. Jeden z mężczyzn spojrzał na nią przepraszająco.

- Przepraszam, panienko, ale lepiej będzie, jeśli my to zrobimy. Potem znikniemy.

- Tak... - Ray uśmiechnął się szeroko. - Wy dwaj, zejdźcie mi z oczu. Chcę zostać sam na sam z Sonią. Piękną Sonią! Mamy sobie tyle do powiedzenia.

Posłusznie splótł do tyłu dłoń, na które nałożyli mu kajdanki jak przestępca oddającemu się w ręce policji. Wydawało się, że poddaje się temu zabiegowi w sposób zupełnie beznamiętny, chociaż obaj mężczyźni nie przestawali go przepraszać za to, że go skuwali.

- Przepraszam, że musimy to zrobić, Ray.

- Przepraszam, Ray.... O, już!

Ray uśmiechał się do Soni ponad ich głowami, a ona czuła, jak przechodzą ją dreszcze. Widziała, że pożądanie zaczyna być zauważalne pod slipami Raya, tak białymi w kontraście z ciemną skórą. Widziała wyraźnie zarys grubego członka, przyciśniętego do brzucha pod ciasną bielizną.

- Dobra. - Odwrócił się do mężczyzn. - Teraz spływajcie!

- Załatwione, Ray - zaśmiał się jeden z goryli. Spojrzeli na Sonię. - Cały należy do pani.

Odprowadziła ich do drzwi.

- Przepraszam, że zepsuliśmy pani okazję - powiedział jeden z nich - ale to dla pani dobra.

Uśmiechnęła się łaskawie.

- Wiem. Dziękuję.

Zamknęła za nimi drzwi, założyła łańcuch i zgasiła światła w apartamencie. Odwróciła się do Raya, wiedząc dokładnie, gdzie stał. Idąc, rozpięła sukienkę, która opadła, a ona wyszła z niej zręcznie. Kiedy zbliżyła się do Raya, zrzuciła pantofle. Przytuliła się mocno do niego. Jego skóra była niewiarygodnie gładka. Pomyślała o delfinie, o wydrze. Czowała bicie jego serca.

- Wiesz, dlaczego mi to robią, Soniu? - spytał cicho. - Wiesz, dlaczego zakładają mi kajdanki?

Musnął ustami jej skroń.

- Lee mi powiedział - odparła, przyciskając usta do jego szyi.

- Tak? - Ray jęknął. - Chyba uważa, że trzeba uprzedzać moje kobiety. Niektóre to odstrasza.

- Nie mnie - szepnęła. Próbowała otoczyć jego ciało rękami i ledwo jej się to udało. Czowała, że trzymała olbrzymia, mit, fantazję. - Niczego się nie boję, Ray. A już na pewno me ciebie!

- Widzisz, jeden jedyny raz mnie poniosło - mówił jakby powtarzał wyuczoną lekcję. - Zabiłem dziewczynę. Tę cudną, niewinną dziewczynę...

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie mów o tym teraz. Nagle Ray wydał stłumiony jęk i osunął się przed nią na kolana.

- Tak mi przykro, Soniu! - krzyknął, tuląc twarz do jej brzucha.

Poczuła, że jej pożądanie Raya urasta do jakiejś szalonej emocji.

- Nie chciałeś jej zabić - zapewniła go. - To był wypadek. Mój Boże - myślała - jak w jakimś filmie gangsterskim!

Czy to naprawdę ona?

- Myślisz, że Bóg to wie? - spytał pokornie Ray. Przewróciła oczami.

- Jestem pewna, że wie - zapewniła go.

- Soniu? - Podniósł na nią wzrok i ujrzała łzy lśniące

w jego oczach. - Każdego ranka i każdej nocy modłę się do Boga, żeby mi wybaczył to, co zrobiłem tej biednej dziewczynie!

Łkał, wtulony w Sonię; jego stwardniały członek przylegał do jej nogi, a kapiące łzy sprawiały, że pragnęła go jeszcze bardziej. Przypomniała sobie, że ten człowiek jest idolem tysięcy kobiet, ale nie to stanowiło źródło podniecenia. Ekscytujące było zagrożenie, skrucha, emocja, dusza.

- Czy myślisz, Soniu, że Bóg mi przebaczył? - zapytał.

- Nie oczekiwałabym niczego od tego kutasa - odparła.

- Co? - Nie wierzył własnym uszom.

- Tak, Ray. - Westchnęła, ciągnąc go delikatnie za uszy. - Tak, myślę, że ci wybaczył. Wybaczył ci całkowicie! Jest tak, jakby to się nigdy nie stało!

- Och, Soniu, kochanie! - wykrztusił. - Gdybym tylko mógł w to uwierzyć! Gdyby się to nigdy nie stało! Nigdy bym nie mógł cię skrzywdzić, maleńka!

- Tak? To czemu wiążą cię jak pieprzonego wściekłego psa? Ray zachichotał.

- Taka jest umowa. Umowa, którą moi ludzie zawarli z policją.

Zaprowadziła go do sypialni.

- Ciebie bym nigdy nie skrzywdził, maleńka - powtórzył. Zarzuciła mu ręce na szyję i zawisła nań całym ciężarem.

- Nie miałabym nic przeciwko temu - powiedziała. -Może nawet chciałabym, żebyś mną trochę pomiatał.

- O, daj spokój, kochanie - zaprotestował Ray. - Nie mów mi takich rzeczy.

Przylgnęła do niego mocno.

- Dlaczego nie? Będę je mówiła! - krzyknęła. - Cokolwiek byś mi zrobił, byłoby cudowne! - Dotknęła jego potężnego członka. - Cokolwiek! Gdybyś mnie pocałował, albo opluł! Gdybyś mnie zdeptał! Dla mnie byłoby to cudowne, Ray!

- Och, kochanie... - Uśmiechnął się szeroko. - Och, teraz mnie podnieciłaś!

Sam fakt mówienia mu tych rzeczy podniecał Sonię. Obniżał nieco jej poczucie wartości.

- Ale ja już z tym skończyłem. - Westchnął, kiedy pieś-

ciła jego potężne ciało. - Nie zajmuję się tym, Soniu. Ray LeVar jest już czysty, słyszysz?

- Słyszę. - Ścisnęła jego członek. - Czego tylko zażadasz, Ray, czego tylko zażadasz. Chcę tylko, żebyś wiedział, że za tobą szaleję. Jak kocham twój talent, głos, muzykę. Chcę, żebyś mnie pieprzył tak, jak śpiewasz piosenki, Ray. Głęboko we mnie. Godzinami!

- Soniu! - wykrztusił. - Nigdy nie słyszałem, żeby kobieta mówiła takie rzeczy! Och, dlatego cię pragnę, kochanie. Tak bardzo cię pragnę!

Schylił się i pocałował szyję Soni, piersi, miejsca pod pachami. Jego długi, twarde język przesuwiał się szybko po jej ciele, rozpalając nowe sekretne miejsca, które nagle pragnęły być dotykane znowu. Żaden mężczyzna nie całował jej pod pachami. Pod wpływem impulsu stanęła za nim, wsunęła głowę między skute ręce Raya, tak że stali złączeni ze sobą. Wtuleni tak, z Sonią uwięzioną w ramionach Raya, pokuśtykali do sypialni i padli na łóżko.

- Pieprz mnie godzinami, Ray - wykrztusiła. - Nie przestawaj mnie pieprzyć!

Nie wierzyła, że można zasnąć w czasie pierwszej nocy z mężczyzną. Czowała, że stawiałoby ją to w niewygodnej sytuacji - mógłby uważać, że stała się jego własnością. Dlatego o czwartej nad ranem oznajmiła, że chce wrócić do domu. Zaspany Ray wezwał goryli i pocałował Sonię na pożegnanie. Widziała, że po koncercie i kochaniu się z nią całkowicie opadł z sił. Zachowywała się zdecydowanie zbyt chłodno, by zapytać, kiedy się znowu zobaczą. Po prostu uznała to za fakt oczywisty, że po tych niewiarygodnych przeżyciach seksualnych Ray się do niej odezwie. Zbierając się do wyjścia słyszała, jak zdejmują mu z rąk kajdanki. Założyła ciemne okulary i wygładziła dłonią zmierzwiłone włosy. Pomyślała, że bez niej przynajmniej wygodniej się wyśpi.

Zaproszono ją do limuzyny, która czekała przed hotelem Pierre przez okrągłą dobę na wypadek takich właśnie pilnych okazji. W samochodzie ochroniarze próbowali z nią żartować, prosząc Sonię o jej adres i numer telefonu.

- Ale to dla Raya, tak? - spytała niepewnie. Siedziała sama na tylnym siedzeniu. Goryl, który nie prowadził, odwrócił się i mrugnął do Soni.

- Chyba żartujesz ze mnie - powiedział. - Ostatnim razem, kiedy jeden z ludzi Raya próbował spotykać się z jego panią, wywieziono go gdzieś i dostał kulkę!

Sonia otworzyła szeroko oczy. Napisała adres i numer telefonu, po czym wręczyła kartkę gorylowi.

- Chryste! - powiedziała. - JJu ludzi ten facet ma na sumieniu?

Goryle zarechotali.

- On go nie zabił! - rzucił kierowca przez ramię. - Kazał go tylko postrzelić w nogę. Kiedy go ostatnio widziałem, ciągle utykał!

Śmiali się z tego podczas całej drogi do domu Soni.

Wstała o wpół do dziesiątej i wzięła lodowaty prysznic, który na zasadzie terapii szokowej przywrócił jej przytomność. O dziewiątej ktoś zadzwonił do drzwi.

- Ja-aa! - zaśpiewał Leonidę, robiąc minę do wideodomofonu.

Wysoki, smukły, ciemnowłosy chłopak z orlim nosem wszedł z trudem na drugie piętro. Miał na sobie obcisłe czarne dżinsy i czerwoną chustkę na głowie. Jeśli Sonia posiadała najlepszego przyjaciela, był nim prawdopodobnie Leonidę. Przed wieloma laty zmienił imię Leonard, ponieważ uznał, że Leonidę jest „bardziej baletowe”, a zatem sugeruje więcej energii. Sonia ubrana w szlafrok, wpuściła go, całując w zarośnięty policzek.

- Dla nas! - Rzucił Soni dwie papierowe torby. Wyjęła z jednej ciepłe croissanty z francuskiej piekarni.

Druga zawierała dwa styropianowe kubki gorącej kawy espresso.

- Dzięki, Leonidę, ale nie powinieneś tego robić - powiedziała, pijąc kawę.

Zaśmiał się, kopnięciem zamknął za sobą drzwi i zdjął z ramienia ciężką torbę z przyborami do makijażu.

- Wiem, jaka z ciebie gospodyni, kochanie, i po prostu

odmawiam picia twojej czarnej kawy. Życie jest zbyt krótkie!

Patrzyła, jak osuwa się na krzesło, wsypuje paczuszkę sacharyny do kawy i miesza plastikową pałeczką. Spojrzał na Sonię otwartymi szeroko oczami.

- Soniu, gdzie, do cholery, byłaś zeszłej nocy? - spytał. - Szukaliśmy cię we wszystkich norach w centrum. Zajrzeliśmy nawet do tej, gdzie wieszają ludzi na ścianach. Myśleliśmy, że może będziesz tam dyndać!

Spojrzała w lustro wiszące za Leonide'em. Na jej twarzy nie było widać ani śladu przeżyć zeszłej nocy.

- Nie byłam w centrum, ale w pomocnej części miasta.

- O? - zdziwił się, unosząc wysoko brwi. - Jak daleko na północ? To znaczy, dalej niż Osiemdziesiąta Pierwsza ulica?

- Czy uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, że w Harlemie, kochanie? - spytała z uśmiechem.

- Och, Soniu, proszę. - Wykrzywił twarz w grymasie, ciskając do kosza na śmieci pusty kubek, pałeczkę. Sięgnął do torby z przyborami, skąd wyjął małe słoiczki, zaczął odkręcać aksamitne szczoteczki i pałeczki z bawełnianymi czubkami. - Nie mów mi, że zdradzasz nas z czarnymi.

Oparła się na wygodnym krześle, a Leonidę przygryzł wargę, usiłując się skupić, kiedy Sonia wysunęła ku niemu bladą, nie umalowaną twarz, jak puste płótno, na którym miał zademonstrować swoje czary. Leonidę, jeden z czołowych nowojorskich charakteryzatorów, podchodził do swego zawodu jak do sztuki. Od czasu, kiedy pracował w Tokio, wyspecjalizował się w białej twarzy teatru kabuki. Teraz nałożył białym pudrem swój znak firmowy, po czym sięgnął po pędzelki i szczoteczki.

- No dobrze, sam miewałem takie okresy - mruknął, kładąc ciemnozłoty puder na powiekach Soni. - Czasami ślubowałem sobie, że koniec z białą skórą. No bo niby dlaczego? Skoro *café au lait* jest taka pyszna? Nie mówię tu o czarnych-czarnych, Soniu: mam na myśli Argentyńczyków, Portorykańczyków, mieszanych...

Włączyła magnetofon, żeby Leonidę się zamknął. Seksualne życie Leonidę'a było ostatnią rzeczą, jaka interesowała ją w ten ważny poranek.

- Byłem taki naiwny, kiedy przyjechałem do tego miasta. - Potrząsnął głową, zadowolony z siebie, nie zwracając najmniejszej uwagi na piosenkę Raya LeVara. - Po raz pierwszy kiedy...

- Uważaj! - krzyknęła, bo pałeczka z bawełnianym czubkiem zadrasnęła ją w oko. - Dzisiaj potrzeba mi tylko czerwonego oka!

- *Excusez-moi* - przeprosił. - A właściwie co takiego ma się dzisiaj wydarzyć? Grasz w filmie czy co? Dlaczego jesteście u ciebie w mieszkaniu?

- Chodzi o lunch, kochanie. - Zachichotała. - Caresse sprawdza mnie po raz ostami. Carmen i ja zostałyśmy zaproszone do samej pani Caresse. Pewnie siedzi na wózku inwalidzkim ze szczerego złota. To najbogatsza kobieta w Ameryce!

- A ty tuż za nią - spytał Leonidę. - Zdaje się, że podpisujesz umowę na pięć milionów, czy coś takiego?

- Osiem! - poprawiła go Sonia. Leonidę gwizdnął.

- Lepiej uważaj na pięcioliterowe słowa, kochanie. Gzy ona nie jest mormonką czy czymś takim?

- Mormonką albo świadkiem Jehowy, zapomniałam. Na jedno wychodzi. Muszę się zachowywać jak dziewczyna. - Złączyła dłonie jak do modlitwy. - Myślisz, że uda mi się ją nabrać, Leonidę?

- Tak - odparł. - Myślę, że ci się uda. Mój Boże, masz ile? Szesnaście lat?

- Osiemnaście - sprostowała - chociaż w tej chwili czuję się na trzydzieści.

- Co dokładnie miało miejsce minionej nocy? - spytał.

- Przestań paplać i skup się na mojej twarzy. Jeśli dostanę ten kontrakt, masz u mnie dwukwartową butelkę Moet et Chandon. Codziennie, kochanie!

Leonidę pracował, a Sonia zamknęła oczy, precypominając sobie sceny z zeszłej nocy, jakby siedziała w prywatnej kabinie filmowej. Próbowwała się nie wiercić; nie mogła się doczekać ponownego spotkania z Rayem.

Była to po prostu najbardziej zmysłowa noc w jej życiu.

Okazałby się głupcem, gdyby nie spotkał się z nią znowu. Leżał na plecach na olbrzymim łóżku, z odrzuconymi prześcieradłami. Siadła na nim okrakiem, zostając w majtkach i staniku, wyczuła, że mu się to spodoba. Skute kajdankami ręce miał ściągnięte do tyłu, ale chyba mu to nie przeszkadzało. Pieściła się sama, wsuwając dłoń do majtek, pod stanik, a Ray obserwował ją, coraz bardziej podniecony - widziała to - perspektywą wzięcia Soni. Zaszło jej w gardle; z trudnością przełykała ślinę. Żądza sprawia, że czujesz pragnienie - pomyślała. Początkowo sądziła, że będzie jej brakować dotyku męskich dłoni. Jednak Ray wynagrodził jej to z nawiązką językiem i ustami, liżąc i ssąc każdą część jej ciała, która ocierała się o jego twarz. Zerwał zębami jedwabny stanik, sutki wyskoczyły, stercząc sztywno pod jego językiem, a Ray ssał je mocno przez słodko dręczącą chwilę, zanim się odsunęła. Potem zaczął błagać Sonię, żeby usiadła mu na piersi, żeby mógł zerwać zębami jej majtki; kazał jej rozsunąć nogi, by móc penetrować jej ciało długim językiem. Liżąc ją, wsunął jej między nogi niewiarygodnie silny język, aż krzyknęła z rozkoszy. Było to tak, jakby miał dwa organy płciowe: jednym ją penetrował, a drugi spoczywał sztywno w ręce Soni, która mówiła sobie podniecona, że ten także wkrótce znajdzie się w niej. Ray raz za razem przesuwał językiem po jej pączku, zmieniał nacisk, dmuchał to zimnym, to ciepłym oddechem, aż poczuła, że jest bliska orgazmu. Przy każdym ruchu jęczał jak w cudownej agonii. Poddawała się tym pieścizdom przez kilka minut, aż stwierdziła, że musi go mieć w sobie. Nachyliła się niżej, kuląc się niemal w kłębek, odpychając potężną klatkę piersiową Raya, nakierowując za sobą członek, tak że znalazł się dokładnie pod właściwym kątem. Balansując na krawędzi ekstazy, usiadła na czubku wyprężonej męskości. Usłyszała, jak Ray się zachłysnął, kiedy wsunęła go całego w siebie. Trzymając go mocno, sprawdzała wytrzymałość członka, poruszała się w przód i w tył, atłasowa kotka, zwilżała go, chwytając, uwalniała, by znowu go złapać sprawnymi mięśniami. Ray zaczął gorliwie poruszać biodrami, żeby dorównać Soni, żeby odpowiedzieć. Boże, jak on wiedział, w jaki

sposób należy pieprzyć. Zwilżyła wargi, nachyliła się i szepnęła mu na ucho:

- Dobrze, a teraz pieprz mnie! Pieprz mnie, Ray. Pieprz mnie, ty duży, cudowny, czarny ogierze!

Słowa! Jak mężczyźni uwielbiają słuchać świństw!

Oceńła Raya właściwie. Dokładnie to pragnął usłyszeć. Oszalał, wierzgając i mrużąc pod nią, tłukąc Sonię tą grubą, mięsistą rurą, wchodząc w nią raz po raz. Jego pomruki rozkoszy, te same gardłowe okrzyki, którymi podkreślał swoje piosenki, otworzyły w Soni jakieś drzwi. Na jedną, nieprawdopodobną chwilę fantazja spotkała się z rzeczywistością, splatając się w burzę erotycznych doznań w jej ciele i umyśle. Zatoczyli na łóżku pełne koło, a Ray runął na nią, wbijając się w Sonię; członek wyprężył się, kiedy zaplotła Rayowi nogi na plecach. Podniecał ją niesłychanie murzyński zapach jego ciała, jego czystość, ogrom. Otworzył szeroko usta, ssąc jej piersi. To ostatnie doznanie, kiedy wgryzł się lekko, niemal boleśnie w sutki, zepchnęło Sonię niemal poza krawędź przytomności. Napływały fale rozkoszy, doprowadzając ją prawie do utraty przytomności. Trzymając się szerokich ramion Raya, zaciskając ręce na jego karku, dysząc i krzycząc osiągnęła orgazm. Kiedy Ray doszedł dwie sekundy później, usłyszała najgłośniejszy męski ryk w swoim życiu. Ray huczał jak niedźwiedź uwięziony w pułapce, zwierzę zdziwione rozkoszą. Całym jego ciałem wstrząsnęły dreszcze, a Sonia pogładziła cudownie miękką fałdę na karku Raya, uspokajając kochanka, jakby uspokajała konia po biegu.

Tak - myślała, tuląc się z zadowoleniem do jego atłasowego ciała - to właśnie przypominał. Jakiegoś mitycznego stwora, półczłowieka, półbestię! Była to najbardziej erotyczna, najbardziej niebezpieczna fantazja, jaką mogła sobie wyobrazić. Czowała, że Ray do niej należy; jego ciało było posłuszne jej woli, kiedy leżał tak, ze spętanymi dłońmi. Zasnął głęboko, a Sonia czuwała, gładząc go z roztargnieniem, wyobrażając go sobie pod postacią konia, lwa, a - kiedy dotykała gładkiej skóry po bokach - jako delfina. Och, gdyby tylko mógł ją pieścić dłońmi! Dotknęła wargi językiem - ssal ją tak mocno, że sprawiała wrażenie opuchniętej.

- Co się stało z twoimi ustami? - spytał Leonidę, zamierzając nałożyć szminkę.

Brutalnie wyrwano ją z zadumy.

- Co to, siniak? O, nie! - jęknął Leonidę. - Soniu, chyba nie wróciłaś znowu do numeru pod tytułem Piękna i Bestia? Czy to kolejny z twoich brutali? Tym razem czarny brutal? Czy nigdy nie podobają ci się delikatni, słodcy mężczyźni?

- Tacy jak ty? - odpaliła. - Cóż ci poradzę, kochanie? Cioty mnie nie rajcuja. Nigdy mnie nie rajcowały!

Leonidę westchnął.

- Istnieje cała gama wrażliwości między ciotą a brutalem. Kto powiedział, że musisz się zadawać z przypadkami ekstremalnymi?

- Brutale potrafią być bardzo delikatni, Leonidę - odparła ze wzruszeniem ramion.

Twarz Soni przybrała wyraz niemal święty, jakby wiedziała coś, o czym on nigdy nie mógł mieć pojęcia.

Kiedy skończył, spojrzała na własne odbicie z aprobatą. Co on zrobił z jej liliowymi oczami i pięknymi kośćmi policzkowymi!

- Tak. - Skinęła głową. - To ja. To właśnie ta druga Sonia...

Leonidę szybko spakował przybory i buteleczki.

- I mów tu o trzech twarzach Ewy! - Potrząsnął głową.

- Teraz wyglądasz jak marzenie...

Zapiął jej czarną sukienkę od Donny Karan i wyszli.

- Nikomu ani słowa o zeszłej nocy - ostrzegła go Sonia.

- Albo każę jednemu z moich brutali udusić cię twoim własnym kucykiem!

- Może się rozchmurzysz? - Otworzył przed nią drzwi. Limuzyna pani Caresse czekała przed domem. - Przysięgam na Boga, Soniu, że cierpisz na paranoję!

Pocałowała go na pożegnanie, kiedy szofer otworzył jej drzwiczki.

- Przepraszam, Leonidę, ale mam nerwy w strzepakach. Bardzo zależy mi na tym kontrakcie, a wiesz, jacy są ludzie w Caresse. W umowie jest nawet ta pieprzona klauzula dotycząca moralności!

- Tak? - Założył duże ciemne okulary. - To po co, do cholery, marnują na ciebie czas?

- Zamknij się! - Odepchnęła go ze śmiechem. - W razie potrzeby mogę z powodzeniem odgrywać wielką damę.

Pamiętaj, że miałam całe lata na uczenie się od mojej matki! Zawsze była panną świętoszką, zarabiając krocie na łagodnej pornografii. Skoro jej może to uchodzić na sucho, to mnie też!

W sali konferencyjnej Caresse Sonia poddała się rytuałowi rozmowy z dyrektorem, obserwując, jak asystenci wyświetlali na ekranie olbrzymie barwne zbliżenia jej ust, oczu i policzków. Przyglądali się badawczo wielkiemu ekranowi, dyskutując na temat włosów Soni, jej układu kostnego, nozdrzy i zębów, jakby oceniali zwierzę, a ona nie siedziała tuż obok. W imieniu Soni mówiła szefowa firmy Idols, Carmen Frantzen, obecnie jej osobista menażerka. Sonia mogłaby to, Sonia mogłaby tamto. Sonia otrzymała wykształcenie aktorki, tancerki, atletki, sportsmenki. Sonia musiała tylko siedzieć, wyglądać pięknie lub enigmatycznie, albo jedno i drugie jednocześnie. Wspomniano o Richardzie Avedonie jako ewentualnym reżyserze nowych reklam, które wylansowałyby kolejną Dziewczynę Caresse. Czy Sonia miałyby coś przeciwko lataniu nad Central Parkiem w ozdobionym kwiatami hamaku, przyczepionym do helikoptera, z siatką zabezpieczającą? To znaczy, gdyby otrzymali zgodę od władz miejskich? Carmen zapewniła ich, że Sonia zupełnie nie ma lęku wysokości.

Sonia przyglądała się wszystkiemu za ledwie półświadomie. Druga połowa jej umysłu zastanawiała się, kiedy Ray się do niej odezwie. Gdyby zadzwonił tego wieczoru, doskonale byłoby wyjść albo pozwolić mu mówić do elektronicznej sekretarki, ale nie była pewna, czy zdobyłaby się na to. Chyba niemożliwe,, żeby się w nim zakochała, prawda? Czy to właśnie takie uczucie? Rodzaj głodu, jak głód papierosów czy alkoholu, z tym, że dotyczący człowieka? Potrzeba jego dotyku, ukrycia się w jego objęciach. Bycia przez niego ranioną. Pragnęła go aż do bólu, a była dopiero dwunasta trzydzieści!

- A co ty o tym myślisz, Soniu?

Wszyscy zebrani wokół stołu konferencyjnego patrzyli na Sonię. Na twarzy dyrektora widniał wyraz oczekiwania - to on zadał jej pytanie.

- Przepraszam? - Sonia zamrugła, po czym spojrzała pytająco na Carmen.

- Pan Bellamy sugerował, żeby rozjaśnić ci nieco włosy

- ponagliła ją Carmen, rzucając Soni znaczące spojrzenie.

- Bardzo ciemny rdzawy i może powinnaś związać do tyłu włosy bardzo prostą wstążką.

- Nie chcemy wystraszyć amerykańskiej klasy średniej zbyt ekskluzywną modą - wyjaśnił łagodnie dyrektor.

Sonia poważnie pokiwała głową, patrząc na dyrektora.

- Podoba mi się to - powiedziała z rozwagą. - Uwielbiam proste rzeczy.

- Proste ale dobre - dodał ktoś.

- Luksus pełnej prostoty? - podsunął pewien pisarz.

- Prostotę uznamy za luksus? - zaproponował dyrektor. Kilka osób robiło notatki podczas krótkiej chwili ciszy, kiedy przeżuwali wysunięte propozycje, patrząc na ekran.

- Czy możemy cofnąć się o jedno przezrocze? - poprosił dyrektor.

Na ekranie ponownie pojawiła się uśmiechnięta Sonia, z rękami we włosach.

Uśmiechnęła się do dyrektora, Jacka R. Bellamy'ego. Siwemu mężczyźnie, zbliżającemu się do siedemdziesiątki, przypisywano zasługę rozbudowania średniej wielkości firmy kosmetycznej w przedsiębiorstwo wartości wielu milionów dolarów. Osiągnął to, posługując się Dziewczętami Caresse, które podobały się szerokim masom odbiorców. Teraz napotkał wzrok Soni i też się uśmiechnął. Jeśli myślał, że będzie ją rznął, będzie musiał przemyśleć to sobie jeszcze raz. A może pracownicy Caresse nie robili skoków w bok? Może - myślała - byłby to jeden z warunków pracy w firmie o tak wysokim morale?

- Lunch? - zaproponowała Carmen, ponieważ najwyraźniej dyskusja na temat koloru włosów Soni utknęła w martwym punkcie. - W La Cirque mamy zarezerwowany stolik na pierwszą. Myślicie, że wciśniemy się wszyscy do limuzy-

ny? Panie Bellamy? Pani Caresse? Pani Caresse, krucha, drobna staruszka, wdowa po założycielu firmy, jak dotąd nie odezwała się ani słowem.

- Może lepiej pójdźmy piechotą - podsunął Jack Bellamy. Pewnie po to - pomyślała Sonia - żeby zademonstrować swoją formę.

- Jest cudowny dzień - dodał.

- To bombowy dzień - zgodził się fryzjer.

Sonia pozwoliła Carmen zająć się panią Caresse. Grube ryby przedsiębiorstwa oraz związanej z nim agencji reklamowej ruszyły gęsiego. Dyrektor oczywiście wybrał Sonię na towarzyszkę spaceru.

Poważna, mała procesja szła wolno Madison Avenue; Carmen troskliwie podtrzymywała panią Caresse pod ramię, rzucając ostre spojrzenia maruderom, kiedy zostawali zbyt daleko w tyle. Klienci krzątający się po Madison odprowadzali grupę zaciekawionym wzrokiem; nienagannie umalowana twarz Soni nikogo nie pozostawiała obojętnym. Carmen mrugnęła porozumiewawczo, dając znać Soni, że kontrakt miała w kieszeni. Sonia zmuszała się do prowadzenia z dyrektorem rozmowy o niczym. Jediną rzeczą, jaka w istocie zaprzętała jej uwagę, były obolałe łędwie. Zeszłej nocy Ray zrobił także sieczkę z jej mięśni! Jeśli taki popis dawał w kajdankach, musiał być niewiarygodny, kiedy...

- Jestem twoim wielbicielem już od pewnego czasu - mówił dyrektor. - Od tamtej okładki „Vogue”... pamiętasz? Ta z zuchwale wysuniętym językiem?

- Podobało ci się to, co? - zaśmiała się Sonia. - Uważałam, że wyglądam bardzo słodko.

- Mam wielką nadzieję, że dojdziemy dziś do porozumienia - powiedział. - Osobiście bardzo bym się cieszył, gdybyś została nową Dziewczyną Caresse.

Posłała mu tajemniczy uśmiech. Ona osobiście też bardzo by się cieszyła.

- Jest jedna rzecz, Soniu, o której chciałbym porozmawiać z tobą prywatnie. - Zmarszczył nieco brwi. - I będzie to chyba nasza najbardziej prywatna rozmowa.

Z wahaniem dotknął jej łokcia. Znajdowali się przy Pięc-

dziesiątej Dziewiątej ulicy, a słońce świeciło jasno. Sonia opuściła okulary słoneczne, osłaniając liliowe oczy, i spojrziała wyczekująco na dyrektora.

- Istnieje... hm, to trochę kłopotliwe. - Ujął ją pod ramię i razem przeszli przez ulicę. - Ale to leży w tradycji... wizerunku Caresse. Nasz kontrakt zawierał zawsze tę... klauzulę moralności. To naprawdę raczej osobista kwestia i przyznaję, że zdaniem niektórych dziewcząt było to naruszenie czegoś, co nazywały prawami człowieka. Mam nadzieję, że ty nie jesteś zaangażowana politycznie, Soniu. W każdym razie na to nie wyglądasz!

Posłała mu jedno ze swych specjalnych spojrzeń, a dyrektor poczuł przez chwilę ukłucie lodowatego ostrza jej pogardy. Jego twarz zmieniła wyraz i zdawało się, że niemal się boi. O co ci chodzi, ty tępy kutasie? - myślała. Uśmiechnęła się słodko.

- Będę musiała nosić pas cnoty, czy coś w tym rodzaju? - spytała.

Zaśmiał się z ulgą, znacznie głośniejszą, niż zasługiwał na to jej dowcip.

- Och, skąd, nic aż tak drastycznego, kochanie. Zgodnie z tą klauzulą, nasza Dziewczyna Caresse zobowiązuje się unikać wszelkich skandali. Oczywiście, to, co robisz we własnym domu, jest twoją prywatną sprawą, ale jeśli masz stać się jedną z naszych twarzy, naszym rzecznikiem, by tak to określić, nie może istnieć choćby cień...

- Ale jak konkretnie definiujecie „skandal”? - spytała, otwierając szeroko oczy, jakby temat szczerze ją interesował. Kusilo ją, by spytać dyrektora, czy miał pojęcie, jak duży i soczysty był zeszłej nocy kutas Raya LeVara i czy zdawał sobie sprawę, jak bosko zagłębiał się w cipę białej dziewczyny? Białej dziewczyny, którą teraz bolała cipa. A ta cipa pod koniec tego popołudnia mogła być warta osiem milionów dolarów. O mały włos nie wybuchnęła śmiechem, ale osiem milionów dolarów zdusiło jej chichot.

Wziął ją poufale za ramię, jakby byli tylko parą skromnych ludzi, przypominających karły, w porównaniu z ogromnymi problemami nowego wizerunku modelki.

- W tym momencie nie zdefiniujemy skandalu, Soniu
- mruknął, prowadząc ją pod baldachim zwieszający się nad wejściem do La Cirque. Pozostali weszli w ślad za nimi.
- To nie jest odpowiednie miejsce ani czas. Odetchnęła głęboko, uśmiechając się do dyrektora.
- Ale sądzę... - Nieco mocniej ścisnął ją za ramię. - że doskonale wiesz, co mam na myśli...
Sonia spojrzała w jego szare, uśmiechnięte, uprzejme oczy, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Czy możliwe, żeby robił aluzję do...

Nachylił się ku niej, wciąż promienny.

- Krażą plotki. Myślę, że za osiem milionów dolarów możemy oczekiwać, że wyczyścisz swoje konto.
W połowie lunchu wezwano Carmen do telefonu. Sonia gmerała w sałatce nicoise i kipiała gniewem. Od chwili, kiedy dyrektor ją ostrzegł, ignorowała go całkowicie, zajęła się natomiast czarowaniem ludzi od promocji i reklamy. Carmen wróciła do stolika ze zmarszczonym czołem. Sonia rozpoznała jej minę jako oznakę złych wiadomości. Po wyjściu z restauracji pożegnali się cmoknięciami w policzki. Dyrektor uściśnął Sonię po ojcowsku. Carmen i Sonia rozstały się z resztą towarzystwa, rezygnując z wszystkich ofert podrzucenia ich na kolejne spotkanie.
- Idziemy prosto do mojego biura, Soniu - powiedziała zdecydowanie Carmen, ujmując Sonię pod ramię, jakby bała się, że jej ucieknie.

Dyrektor wraz ze switą zniknęli w limuzynie. Najwyraźniej spacer do restauracji wyczerpywał jego zapasy energii.

- Myślisz, że mamy ten kontrakt? - spytała Sonia cicho, machając na pożegnanie ludziom z Caresse.
- Powiem ci już za chwilę. - Carmen puściła jej rękę, wyszperała z torebki garść drobnych i zatrzymała się, by kupić „Post”. - Ale tymczasem... - ciągnęła, otwierając gazetę na stronie szóstej - zaczynam myśleć, że jesteś najbardziej zbuntowaną, zbroczoną, po prostu głupią modelką, z jaką kiedykolwiek miałam do czynienia!
Sonia osłupiała.

- Co takiego zrobiłam? Pozwalałam, żeby ten szmaciarz z reklamy macał mnie po kolanach przez cały lunch. Powiedziałam, że lęk wysokości nie przeszkodzi mi wystąpić w tej ich pieprzonej reklamie z helikopterem. Co jeszcze miałam zrobić? Obciągnąć dyrektorowi pod stołem?

Carmen przebiegła wzrokiem akapit na stronie szóstej.

- To może nie byłby wcale taki zły pomysł - mruknęła.

- Proszę! - Rzuciła Soni gazetę. - Jeśli nie wytłumaczysz się z czegoś bardzo szybko, sądzę, że właśnie straciliśmy ten kontrakt.

Sonia nałożyła ciemne okulary i znalazła w gazecie swoją małą fotografię.

- „Sonia Winton, mająca być podobno nową Dziewczyną Caresse - czytała na głos - siedziała wczoraj wieczorem na środku pierwszego rzędu, na koncercie Raya LeVara w Madison Square Garden, kołysząc się w takt muzyki. Panna Winton jest najwyraźniej wielbicielek talentu LeVara. Na koncert przyszła z czerwoną różą, za to bez towarzystwa.”

- Oddała gazetę Carmen. - Pieprzyć to!

- Możesz tak sobie mówić. - Carmen złożyła gazetę z ponurą miną. - Poczekaj, aż jej świątobliwość pani Caresse to przeczyta! A robi to pewnie w tej chwili. Radzę ci przygotować sobie dobre wytłumaczenie!

- Na przykład, że uwielbiam jego piosenki? - Sonia uniosła brwi.

- Powinno to być coś lepszego - poradziła Carmen, kiedy szły Madison w stronę biura agencji.

Sonia zatrzymała się nagle i stanęła przed Carmen.

- Słuchaj. Jeny Hall ma Micka Jaggera, tak? Christie Brinkley ma Billy Joela. Czemu, do cholery, ja nie mogę mieć Raya?

Carmen posłała jej znużone spojrzenie, nie zatrzymując się.

- Ponieważ Mick Jagger i Billy Joel nie są czarni, moja droga.

Sonia potrząsnęła głową.

- Nie, tylko próbują w ten sposób śpiewać! Boże, co za popierdolone społeczeństwo! Co za hipokryzja. Za dwa centy mogłabym im kazać...

- Wypchać się swymi ośmioma milionami dolarów? -dokończyła za nią Carmen. - Ośmioma milionami, Soniu? Nie blefuj, bardzo cię proszę. Tak bardzo ich pragniesz, że już je wydałaś! Apartament na poddaszu w Soho? Czy może raczej Central Park West? A co powiesz na bliźniak z ogrodem na dachu? Daj spokój, Soniu!

- Czemu nie miałabym mieć apartamentu na poddaszu?

- spytała Sonia, wzruszając ramionami. - Wszyscy go mają. Co właściwie mam zrobić, żeby zyskać ich pieprzoną aprobatę? Zostać cholerną zakonnica? Są gorsi niż moi rodzice. Powiedzmy, że weszłam na niewłaściwy koncert. Jeśli nie uwierzą, pieprzyć ich. Nie są jedyną firmą kosmetyczną.

Carmen potrząsnęła ostrzegawczo głową.

- Och, Soniu - warknęła. - Gdybyś nie miała najbardziej fotogenicznej twarzy na świecie, przysięgam, że bym ci ją rozwalila.

W zimnym, czarno-białym biurze Carmen naląła im po dużym koniaku. Sonia wypila swój jednym haustem.

- Dobrze - westchnęła Carmen, sącząc koniak. - Czy naprawdę jeszcze raz muszę ci tłumaczyć, co oznacza umowa z Caresse? W przeciwieństwie do twej uroczej opinii, nie ma innych firm. W każdym razie nie tego kalibru. Estee Lauder jest w pełni zadowolona z Pauliny, a Lancome ubóstwia Isabellę. Na miłość boską, została tylko Caresse, a ja muszę ci przypomnieć, że przygotowuję cię do objęcia tej posady, od kiedy po raz pierwszy przekroczyłaś ten próg. Sonia chwyciła papierosa i zaciągnęła się z wściekłością.

- Co mam zrobić, Carmen, jeśli się teraz rozmyślą?

- wybuchnęła. - Zabić się? Zostanie Dziewczyną Caresse nie jest nadrzędnym celem mego życia.

- Pozwól więc, że cię o coś zapytam. - Carmen usiadła na brzegu biurka, odchylając się w tył. Jej oczy zwięziły się.

- Nigdy nie próbowałam wtrącać się w twoje prywatne życie, ale jakie dokładnie są twoje cele? Jesteś modelką, o której najwięcej się mówi. Caresse nadstawiłaby karku, gdyby cię zaangażowała. Czego naprawdę chcesz od życia, Soniu? Domyślam się, że nie męża i dzieci. Czy wyznaczyłaś sobie jakiegokolwiek cele?

- Zastanówmy się... - Liliowe oczy Soni rozejrzały się po pokoju. - Myślę, że w tym momencie mój najważniejszy cel to to, żebyś zamknęła mordę. Dostajesz pieprzony procent od każdego dolara, który zarabiam. Chcesz jeszcze moich celów? Moje „cele”, jak je nazywasz, sprawiłyby, że nasikałabyś w majtki. Moje cele wystraszyłyby cię na śmierć. Pieprzyć to, Carmen, nawet nie stawiam sobie celów. Czy to cię zadowala?

- Rozejrzała się z furją po pokoju, jakby chciała roznieść go na strzępy. - Po prostu przysyłaj mi czek, odliczaj sobie swój zasrany procent i daj mi, kurwa, święty spokój! - krzyknęła.

Słowa Soni rozbrzmiały echem po pustym, szykownym biurze. Spojrzała ponuro na swe nieskazitelne paznokcie. Carmen westchnęła głęboko, wznosząc oczy.

- Bardzo się cieszę, Soniu, że wiemy, na czym stoimy

- powiedziała. - Przez chwilę myślałam, że jesteśmy na tej samej fali.

Sonia spojrzała na nią i zachichotała.

- Boże broń! - powiedziała.

Carmen odstawiła kieliszek zdecydowanym ruchem, sięgnęła po telefon i nakręciła numer, patrząc na Sonię.

- Chciałabym mówić z panią Caresse - powiedziała. - Carmen Frantzen.

Czekając, nie spuszczała wzroku z Soni, cały czas trzymała słuchawkę przyciśniętą ramieniem do ucha.

- Każę mi czekać - szepnęła, zasłaniając słuchawkę.

- Pani Caresse? - powiedziała w końcu Carmen. - Wiem! My także jesteśmy wściekli z tego powodu. To całkowicie nieuczciwe i nieprawdziwe! No cóż, wie pani, czym żywi się prasa brukowa? Plotkami! I to właśnie jest najzwyczajsza w świecie plotka. Tak, była tam, nie przeczę, ale miała pojechać na zupełnie inny koncert, a jej szofer pomylił miejsca. Ona jest taka piękna, że gdziekolwiek się nie zjawia, wywołuje sensację. To powinno przydać się Caresse!

- O, kurczę - westchnęła Sonia.

- Mam nadzieję, że to nie rzuci cienia na dzisiejsze uroczyste spotkanie. - Carmen mrugnęła do Soni, pokazując „O” kciukiem i palcem wskazującym. - Zgadza się, umawialiśmy się na piątą i będę tam czekać na wiadomość od

państwa. Serce mi mówi, że podejmie pani właściwą decyzję, pani Caresse, i nie będzie pani żałować. Sonia stanie się klejnotem w koronie pani firmy!

Odłożyła słuchawkę i nakręciła kolejny numer.

- Jack? Carmen. Chcę ci tylko powiedzieć, że rozmawiałam z panią Caresse i wyjaśniłam plotki, które ludzie Raya LeVara rozpuszczają na temat Soni. Czy uwierzysz, że jej szofer zawiózł ją na niewłaściwy koncert? Miała być na premierowym występie Michaela Feinsteina! Była umówiona na randkę z... - Zasłoniła słuchawkę i syknęła: - Jak się nazywa ten chłopak z dobrego towarzystwa, z którym się spotykasz?

Sonia wzruszyła ramionami.

Carmen zrobiła wielki krok, chwyciła Sonię za włosy, odciągając jej głowę do tyłu.

- David LaSalle - wycodziła Sonia przez zaciśnięte zęby.

- David LaSalle z bostońskiej rodziny LaSalle'ow, tych od stadniny koni! - powiedziała. - Słuchaj, wyżej już nie można mierzyć! Nie chciałam, żeby to wydarzenie rzuciło cień na dzisiejsze uroczę spotkanie. Jestem na tysiąc procent pewna, że podejmiecie właściwą decyzję, i będę tu o piątej czekać, żeby ją usłyszeć. Widziałeś dzisiaj Sonię. Widziałeś, co ma do zaoferowania. Jack, ona będzie klejnotem w koronie Caresse. Prowadzę Idols od dwudziestu lat i nigdy nie widziałam kogoś tego kalibru.

Odłożyła słuchawkę, zerkając na zegarek.

- Mamy półtorej godziny na kręcenie młynka palcami, Soniu. Ale wydaje mi się, że sprawy mają się dobrze. Trzymaj kciuki. Możliwe, że już nigdy nie będziesz musiała pracować jako modelka prezentująca stroje. Tym lepiej, bo z tego, co o tobie słyszę, masz pewnie ciało pokryte siniakami. Ten bydlak, Ray Le Var, nie sprawia na mnie wrażenia osoby szczególnie delikatniej.

Sonia zachichotała.

- Im chodzi o moje włosy i twarz, prawda?

- Przede wszystkim.

- No to się nie martw. Muszę lecieć, Carmen. Ktoś ma do mnie zadzwonić. Daj znać, kiedy się dowiesz, dobra? Albo nagraj wiadomość. - Pocałowała Carmen w oba policzki.

W drzwiach odwróciła się. - Przepraszam, że jestem taką pieprzoną suką.

Carmen wzruszyła ramionami.

- Słuchaj, Soniu. Twoją fortuną jest twarz, tak? Nikt nie mówił, że masz być także urocza. Czy on jest cudowny, Soniu? Dynamit?

Sonia zamknęła oczy.

- Można się dać dla niego zabić!

Leżała w wannie, sącąc białe wino, kiedy zadzwonił telefon.

- Kochanie, jesteśmy bogate! - krzyknęła Carmen, a potem przez minutę obie wyły i wrzeszczały. - Zadzwoń do pana Bellamy'ego i podziękuj za ten zaszczyt, Soniu - poradziła Carmen. - Teraz.

Jack Bellamy odebrał osobiście.

- Zaraz po lunchu był trudny moment - wyznał. - Ale jesteś taka piękna, Soniu, że postanowiliśmy dać ci szansę. W końcu, jak powtarzałem pani Caresse, zeszłej nocy nie wiedziałaś, że jesteś Dziewczyną Caresse. Ale musisz pamiętać o tym, co ci dziś mówiłem. Naprawdę oczekujemy wizerunku bez skazy. Nie zawieź mnie, kochanie. Mówi do ciebie człowiek w poważnym wieku dziadka. Młode dziewczyny w wieku moich wnuczek kupują kosmetyki Caresse w całej Ameryce. Musimy dać im dobry przykład. Jesteś zbyt piękna, żeby to wszystko wyrzucić na śmietnik, a tak się składa, iż uważamy, że oddasz Caresse wspaniałe usługi.

- Zrobię to, panie Bellamy - szepnęła swym najbardziej wdzięcznym, najbardziej dziewczęcym głosem. - Dziękuję za okazane mi zaufanie.

- Nie, to ja ci dziękuję, kochanie, za danie Caresse nowej pięknej damy.

Odłożyła słuchawkę i natychmiast wzniosła głośny okrzyk rodem z Bronxu. Równiutkie osiem pieprzonych milionów dolarów! Nigdy więcej nie będzie musiała ciężko pracować. Koniec z morderczymi zdjęciami do katalogów. Koniec z czterodniowymi pobytami na jakiejś beznadziejnej wyspie w Indiach Zachodnich, gdzie inne modelki i fryzjerzy roz-

mawiali o swoim nudnym życiu. Teraz mogła zacząć żyć tak, jak chciała! A jeśli cała sprawa z Rayem musiała zostać wyciszona, jeśli Sonia będzie musiała zakradać się do niego w blond peruce czy czymś w tym rodzaju, zabawa będzie jeszcze lepsza!

Otuliła się ręcznikiem frotte i dołała wina do kieliszka. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu czeka na telefon od mężczyzny. Czuła, że zwariuje, jeśli Ray nie zadzwoni tego wieczoru. Rozdzwoniły się telefony; za każdym razem myślała, że to on. Składano Soni gratulacje z okazji jeszcze nie oficjalnej nowiny. Ludzie ze „Strony Szóstej” i „Women's Wear Daily” dzwonili z prośbą o wypowiedzi. Sonia słuchała ich głosów przez elektroniczną sekretarkę. O wpół do ósmej zapaliła skręta. Kiedy brała pierwszego macha, rozległ się dzwonek do drzwi. Na ekranie domofonu ujrzała czarną twarz i podskoczyło jej serce. Potem zobaczyła, że to chłopak z kwaciarni. Przyniósł olbrzymi bukiet białych bzów, lilii, róż i orchidei. Chłopak patrzył ze smutkiem, jak rozdierała małą kopertę: *Soniu - jesteś piękna! Kocham, Ray.*

Wpatrywała się w kartkę, potem spojrzała na chłopca, który odwzajemnił spojrzenie.

- To wszystko? - spytała. - Bukiet za dwieście dolarów i żadnego listu?

Chłopak wzruszył ramionami, patrząc na zegarek.

- Ja tylko doręczam - powiedział.

Dała mu pięć dolarów i odprowadziła do drzwi. Potem rzuciła bukiet na podłogę i podeptała kwiaty. Jeśli myślał, że była warta dwieście dolarów za noc...

Rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Tym razem na ekranie ukazała się twarz Raya! Nie było czasu, żeby się umalować, ubrać ani posprzątać zniszczone kwiaty. Szlag by to! - szepnęła. Pod szlafrokiem była naga. Zobaczyła, że Ray wbiega po schodach, a dwaj goryle za nim. Oczywiście - pomyślała - żeby zapiąć mu kajdanki. Serce zabiło jej gwałtownie, kiedy wyciągała ręce do Raya. Zrozumiała, że ta dziwna mieszanka szczęścia i bólu to miłość - pierwsza w jej życiu.

Manhattan, wrzesień 1990

Cena namiętności - mówiła cicho Marcella do małego magnetofonu. - *Autobiografia Marcelli Balducci Winton.*

Książka, o którą mnie błagałeś, Scott.

Oparła się na tylnym siedzeniu swego granatowego Roll-sa, który przeciskał się przez ruch uliczny Manhattanu w wilgotny wrześniowy wieczór. Klimatyzowane wnętrze samochodu kontrastowało cudownie z upałem panującym na zewnątrz. Nabrzmiące krople deszczu uderzyły nagle w dach i chodnik z sykiem, uwalniając słodko-gorzki zapach mijającego lata. Marcella opuściła okno, by wdychać ciepłe, deszczowe powietrze.

Deszcz padał zaledwie przez jedną wściekłą minutę, po czym ustał równie gwałtownie, jak się pojawił, pozostawiając szosę lśniącą czarną, jak pokrytą oliwą. Donald, jej lojalny, pełen godności szofer, zachowywał dystans od innych samochodów. Samotny, majestatyczny wóz w jednopo-jazdowej karawanie.

- Przejedźmy obok Doubleday przy Piątej alei, dobrze Donald? - zawołała.

Skręcił w Piątą aleję i tam, kiedy utknęli w ruchu ulicznym, ujrzała reklamę swej nowej książki.

„Czwarty z kolei bestseller Marcelli Balducci Winton!” -obwieszczały transparenty. Na podłodze księgami ustawiono wielkie sterty powieści z tytułem zwróconym na zewnątrz, powtarzającym się wielokrotnie, jakby to miało dokonać prania mózgu przechodniów. *Na zawsze zaczyna się tej nocy.*

- To ty dałeś mi ten tytuł, Sand - powiedziała cicho. - Cóż stało się z naszym „na zawsze”?

Minął ponad rok, odkąd widziała go znikającego na lotnisku. Wypełniła ten czas pracą, podróżami i tą powieścią. Historią ich miłości. Oczywiście, nieco zmienioną, bo w książce żyli razem długo i szczęśliwie. Krytycy przyznawali zgodnie, że to „najlepsza Winton z dotychczasowych”. Jakże by inaczej - pomyślała posepnie Marcella. - W tej książce zawarłam całą swoją miłość, duszę, wnętrze.

Minęli sklep muzyczny, na którego wystawie wciąż widniała płyta Marka, która miała się stać albumem kultowym, jak zapewnił Marcellę. To tyle, jeśli chodzi o kulty - pomyślała z goryczą. Czarno-białe zdjęcie na okładce przedstawiało Marka we wspaniałym stroju artysty z lat trzydziestych. Został na kolejny rok we Włoszech - wynik przewlekłej walki między nimi. Marcelli udało się go w jakiś sposób przekonać do zapisania się na kurs włoskiej muzyki renesansowej. Lato spędził w Nowym Jorku, znów co noc występował w Carlyle Lounge w zastępstwie Cole Ferrera. Rozłąka z Markiem na kolejny rok przynosiła przynajmniej taką korzyść, że chłopak pozostanie z dala od wpływu Cole'a. Marcella wierzyła, że jeszcze jeden rok spędzony we Włoszech nareszcie zmieni zdanie Marka o graniu współczesnych utworów. Poza tym kurs z muzyki włoskiego renesansu mógłby pomóc mu w rozpoczęciu kariery nauczyciela.

- Nauczanie to jedna z ostatnich rzeczy, które chcę robić!

- wybuchnął Mark, kiedy zasugerowała mu to po raz pierwszy. - Płyta z nagraniami na żywo miała spore powodzenie. Firma płytowa chce nagrać mój kolejny album koncertowy.

Błagała syna, żeby przed powrotem do Nowego Jorku zaliczył jeszcze jeden rok studiów i zrobił dyplom.

- Wtedy staniesz się wolnym człowiekiem! - obiecała.

- Publiczność koncertowa nie będzie cię traktować poważnie, jeśli wciąż będziesz nagrywał te płyty - powiedziała z obawą.

- Komu zależy na tym, żeby go traktowano poważnie?

- odparł żartobliwie.

W końcu jednak doszli do porozumienia.

- Jeśli zostanę w Bolonii jeszcze na jeden rok, czy zgodzisz się na drugą płytę? - spytał Mark pewnego ranka. Marcella przystała na tę propozycję z rezygnacją, a teraz tego żałowała. Drugi album Marka miał się wkrótce ukazać; jego reklamy można było ujrzeć na wystawach sklepów płytowych w całym mieście. Jej pierwsze dziecko stało się jeszcze bardziej sławne. Sonia występowała w telewizji co wieczór, zwodząc widzów reklamami produktów Caresse. Reklamówki stały się sensacją: Sonia podczepiona do helikoptera nad Central Parkiem, wychylająca się z wieży Eiffla, pływająca z delfinami albo śmiejąca się na grzbiecie galopującego konia, Sonia szepcząca niskim, zmysłowym głosem: „*Caresse me!*” - Pieść mnie!, patrząca prowokacyjnie w zbliżeniu w obiektyw kamery. Wskaźniki sprzedaży firmy Caresse osiągały rekordowo wysoki poziom, a „pieść mnie!” stało się powiedzeniem popularnym w całym kraju. Marcella była teraz niemal w tym samym stopniu znana jako matka Marka i Soni Wintonów, co jako autorka fantastycznie sprzedających się powieści. *Muzyka miłości* znajdowała się na liście bestsellerów przez wiele miesięcy, przewyższając popularnością jej poprzednie książki, a *Na zawsze zaczyna się tej nocy* rozpoczęła swą karierę na liście od pierwszej pozycji, którą obecnie zajmowała. Marcella domyślała się, że dodatkowa sława jej dwojga dzieci podsunęła Scottowi pomysł autobiografii. Wyobraził sobie pewnie coś w rodzaju opowieści „jak wychowałam dwoje cudownych dzieci” - myślała kwaśno - ale spadnie z krzesła, kiedy zobaczy, co napiszę. Zdecydowała, że pisanie o własnym życiu byłoby bez sensu, gdyby nie zdobyła się na zupełną szczerłość. Setki listów, które otrzymywała co tydzień, uderzały szczerością: jej czytelnicy otwierali przed Marcellą serca, jak ona w pierwszym Uście do Amy. Zrozumiała wagę spowiedzi: to będzie jej własna spowiedź. Podjęcie tej decyzji nie przyszło jej łatwo i nawet teraz miała wątpliwości, czy taka książka powinna się ukazać. Ale zawarcie w *Ma zawsze zaczyna się tej nocy* całej miłości, duszy i najgłębszych przeżyć spowodowało nowy problem:

nie miała więcej o czym pisać. Czula się pusta. Kiedy więc Scott zaproponował jej autobiografię, stało się to nowym wyzwaniem.

- Kto chciałby czytać o moim życiu? - zaśmiała się wtedy.

- Czy każdy, kogo spotykasz, nie docieka, czy twoje powieści oparte są na twoich przeżyciach? - spytał Scott.

- Oczywiście.

- Wobec tego zrób to, czego nie zrobiła jeszcze żadna autorka bestsellerów! - krzyknął. - Opisz swoje życie! Pokaż im prawdziwą Marcelłę. Oni to pochłoną!

- Zgadza się, pochłoną - przyznała Amy, kiedy rozmawiały o nowym projekcie. - A potem cię przeżują i wyplują. Utracisz całą tajemniczość, MarceUo. W żadnym razie nie możesz tego zrobić!

Dezaprobatą Amy sprawiła, że MarceUa zaczęła się wahać. A nawet teraz - kiedy zdecydowała się podjąć tego zadania - dyktowała książkę, czując niemal lęk przed ujrzeniem jej w druku. Krępowała się dać ją sekretarce do przepisywania na maszynie. Wiedziała, że jej osoba jest obiektem ciekawości. Dziennikarze z prasy bulwarowej porównywali ją do Garbo, ponieważ rok wcześniej przestała udzielać wywiadów. Teraz, kiedy, aby sprzedać powieść, wystarczyło jej nazwisko, nie musiała przechodzić przez koszmar upokarzających wywiadów z Johnnym Carsonem ani spędzać bezsennych nocy przed występem w programie Oprah Winfrey.

Potrzebowała pracy, by nie myśleć o Santim. Podejmowała się tylu zajęć, ile mogła, żeby tylko zabić czas. Jednak dopóki Mark był we Włoszech, czula się bardzo samotnie.

Początkowo sądziła, że pomagając innym, uda jej się przestać rozmyślać o tym, co w życiu straciła. Dwa wieczory tygodniowo w jednej ze szkół w centrum udzielała korepetycji ośmioletniemu chłopcu z Dominikany, który miał trudności z czytaniem. Potem odprowadzała go do domu przez Hell's Kitchen, a Donald jechał za nimi Rollsem.

Ponadto pracowała regularnie w schronisku dla bezdomnych, wydawała posiłki i rozmawiała z przebywającymi tam ludźmi.

Wykonywała tę pracę społeczną, a poza tym ofiarowywała hojne datki, zawsze anonimowo. Wszystko to pomagało, ale nie dawało takiej satysfakcji, jaką dał jej Santi, gdy zwyczajnie spacerował z Marcellą po wiosce Valldemossa. W miarę jak samochód sunął wolno po Piątej alei, zatłoczonej samochodami i pełnej spalin, myśl o zaczarowanej wioseczce, wysoko w górach Majorki, wydała się jej snem, wizją z innego wieku. Czternaście miesięcy i dwadzieścia trzy dni bez wiadomości od niego! Włożywszy całe serce w miłosne listy do Santiago, przestała pisać, nie nakręcała numeru w Barcelonie, bojąc się, że usłyszy jego głos, brzmiały szorstko i ostatecznie. Był zbyt dumny, by zaakceptować decyzję Marcelli. Nie kochał jej na tyle, by czekać. Nie, to nieuczciwe - besztła się. Właśnie dlatego, że tak bardzo ją kochał, nie pisał. Wybrał dramatyczny, ostry sposób, by pokazać jej, jak błędne było życie, które sobie stworzyła.

Teraz, patrząc na wystawę księgarni reklamującą jej nową powieść, pragnęła przez całą noc jeździć po mieście. Nowy Jork był podzielonym terytorium: ulice, którymi spacerowała z Santim oraz te, których nie widzieli razem. Ceniła, rzecz jasna, tylko „ich ulice”.

Cieszyła się, że nie próbowała do niego więcej dzwonić. W ten sposób mogła wierzyć, że pewnego dnia podniesie wzrok - gdy będzie rozdawać autografy albo podczas lunchu - i ujrzy wpatrzony w siebie oczy Santiago, tak przepełnione miłością, że zapomni się uśmiechnąć.

Jechali dalej, obok Barnes and Noble, Waldenbooks, Rizzoli, a wszystkie księgarnie reklamowały jej książkę; nad wejściem do każdej, na dwóch niewidocznych żyłkach wisiało czarno-białe zdjęcie Marcelli, jak ikona. Autorka prezentowała się korzystnie. Pewna siebie, a przy tym bezbronna; piękna, ale nie onieśmielająca. Ból w spojrzeniu Marcelli przyciągał uwagę widza, tak jak jej pisarstwo przyciągało czytelnika. Wyglądała na kobietę, która ma coś do opowiedzenia, bo zapłaciła życiu daninę. Dzięki Bogu, Donald nie miał nic przeciwko pracy w nocy; w ten sposób rozwiązywała problem tych smutnych godzin zmierzchu, kiedy cały Manhattan przygotowuje się do pójścia na randkę. W tym

czasie nie potrafiła przestać myśleć o Santim: świadomość, że Donald czeka na dole, pomagała Marcelli wziąć się w garść i wyjść.

Podczas tych nocnych przejażdżek po mieście Donald zatrzymywał się w różnych miejscach, by mogła przysiąc tu i ówdzie jak motyl, obejrzeć wystawę z ubraniami lub książkami albo pozostać bezpiecznie zamknięta na tylnym siedzeniu, podczas gdy on przynosił jej kawę w styropianowym kubku albo jutrzejszą gazetę. Kazała mu stawać na rogu Czterdziestej Drugiej ulicy i Ósmej alei, by obejrzeć nowojorskie ruiny oświetlane barwnymi neonami pałaców porno. Mówiło się, że to najlepsza strona Nowego Jorku - fakt, że przykłady luksusu oddziela od skrajnej nędzy kilka minut, kilka metrów. Dzięki tym widokom mogła przestać myśleć o Santim i o tym, co będzie robić pod koniec wieczoru, kiedy Donald wysadzi ją w pobliżu Członków.

Była tchórzem, oszustką, zastanawiała się, czy naprawdę ma dość odwagi, by wyznać magnetofonowi i czytelnikom, jak załatwia sprawy seksu. Czy mogła stać się autorką seksualnej autobiografii, jakiej nie napisała jeszcze żadna kobieta? Czy potrafiła stać się osławioną pisarką, której tęsknoty, nałogi, ofiary, wnętrzości sprzedawały się po dwadzieścia dolarów za egzemplarz w twardej oprawie, a po roku, za pięć dolarów od egzemplarza w miękkiej? Dojechali do Piątej alei.

- Dokąd teraz, pani Winton? - Donald przekrzywił głowę. Zamknęła okno, by w samochodzie ponownie zapanował lodowaty chłód.

- Charivari - krzyknęła. - Chiarivari dla mnie otworzy. Duże zakupy mogły pomóc. Zazwyczaj pomagały, na pięć minut. Potrzebowała kreacji. Bycie samotną i pięknie ubraną doskwierało mniej niż bycie samotną w łachach.

Donald dojechał aleją Madison do Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, zatrzymując się łagodnie pod ulubionym sklepem Marcelh. Był zamknięty, ale dwie sprzedawczynie dekorowały wystawę - Sandy, dziewczyna, która ją zazwyczaj obsługiwała, i jej koleżanka. Dziewczyny niecierpliwie wkładały drogie stroje na manekiny, jak matki ubierając zaspane

dzieci do szkoły. Marcella wysiadła, podeszła do okna i zajrzała. Sandy podniosła wzrok, podbiegła do drzwi, otworzyła i wystawiła głowę.

- Witam, pani Winton! - uśmiechnęła się promiennie.

- Właściwie nie jesteśmy otwarci. Czy to, no, pilne? Marcella skinęła głową.

- Czy dostaliście tę nową dostawę od Yamamoto? Marzyłam, żeby...

- Dobra.

Sandy uchyliła drzwi, a Marcella wślizgnęła się do sklepu. Czuła się śmiesznie uprzywilejowana, wbiegając na schody do sali szczycącej się dwoma cennymi rzędami japońskich kreacji. Marcella zdjęła z wieszaka dużą lnianą koszulę i przyłożyła do ciała.

- Coś ładnego, w czym mogłabym podpisywać książki

- powiedziała do Sandy.

- *Na zawsze zaczyna się tej nocy?* - krzyknęła dziewczyna. - Właśnie teraz ją czytam! Kupiłam wczoraj. Uwielbiam ją! Nie chcę, żeby się skończyła!

- Dziękuję, Sandy. - Uśmiechnęła się. Przeglądała bluzki. - Mój problem polega na tym, że nigdy nie potrafię się zdecydować. Czy mam iść w czarnym, białym, granatowym czy śliwkowym?

- Niech pani weźmie wszystkie! - zaśmiała się Sandy, jakby nie wiedziała, że łączna cena czterech bluzek przewyższa jej dwumiesięczne zarobki.

- Dobrze, wezmę je! - zgodziła się Marcella.

Był to ten rodzaj euforii, jaki mogły zapewnić pieniądze. Na pięć minut. Sandy wypisywała rachunek przy biurku z czarnego licytu, kiedy nagle wetknęła długopis w usta i wpatrzyła się w Marcellę z bojaźnią.

- Pani książki... - Potrząsnęła głową, - Pani zawsze... jakby wie, co ludzie czują. To znaczy, ja dokładnie tak się czuję!

- Dziękuję Sandy. To wspaniała informacja od czytelnika

- odparła Marcella, podpisując czek.

- W zeszłym tygodniu poszłam powróżyc sobie z kart

- mówiła Sandy, podnosząc wysoko wykorzystaną do wypisania rachunku kalkę i drąc ją teatralnym gestem.

Wrzuciła

czarne konfetti do dużej popielniczki. - Do tego niesamowitego człowieczka, który mieszka, no, tuż obok. Ale mnie przeraził! Wyglądało na to, że wie o mnie wszystko. Powiedział, że spotkam kogoś sławnego. Może chodziło o panią.

Bluzki zostały wsunięte do lśniącej czarnej torby, z której płatki białej bibułki powiewały jak białe płomienie.

- Niech pani sprawiają przyjemność! - poleciła Sandy, wręczając Marcelli torbę.

Była niezwykle lekka, biorąc pod uwagę, że kosztowała ponad trzy tysiące dolarów.

- Przepowiedział ci przyszłość? - spytała Marcella. Własnej przyszłości bynajmniej nie widziała wyraźnie. Może ten człowiek mógłby jej pomóc? - Czy zechcesz do niego zadzwonić i spytać, czy mógłby mnie przyjąć natychmiast? - spytała dziewczynę pod wpływem impulsu. - Bardzo bym chciała, żeby powrócono mi z kart!

Sandy przejrzała swój notes z numerami telefonów.

- On jest fajny - powiedziała. - Zajmuje się kryształami, energią i nowymi kanałami. Tego rodzaju duperele.

Patrzyła, jak Sandy nakręca numer.

- Charles? Tu Sandy! Od Chivariego. Cześć! Słuchaj, mam tu klientkę, która potrzebuje poważnej wróżby z kart. Czy mogłaby przyjść, teraz, zaraz? - Spojrzała na Marcellę, otwierając szeroko oczy i skinęła głową. - Świetnie! Nazywa się pani Winton. Bądź dla niej miły. To ktoś wyjątkowy!

Wręczyła Marcelli drukowaną wizytówkę.

- Proszę i powodzenia!

Sandy otworzyła Marcelli drzwi, po czym zamknęła je za nią na klucz. Druga sprzedawczyni dokończyła tymczasem dekorowanie wystawy. Odwrócone plecami do ulicy, stały na niej w rzędzie cztery kobiece manekiny i jeden męski, twarzą do nich. Cała piątka była ubrana na czarno. Donald włożył torbę z zakupami do bagażnika. Kiedy wsiedli, odwrócił nieco głowę, czekając na instrukcje. Serce Marcelli zabiło szybciej. Czy powinna pójść tam teraz? Tam, dokąd pragnęło się udać jej ciało? Tak wczesnym wieczorem? Zerknęła na zegarek, zauważając w tym momencie małą

wizytówkę trzymaną w dłoni. Spojrzała na tłoczony nadruk w stylu Art Deco. Wróżbita!

- Róg Sześćdziesiątej Piątej i Broadway - przeczytała.

Foyer było kiczowate, żyrandol za duży do tak małego hallu, budynek nowy, drogi, a jednak nieco obskurny i sztuczny, jakby stanowił tymczasową dekorację do serialu telewizyjnego. Portorykański portier wywołał jej nazwisko, po czym skinieniem głowy zaprosił Marcellę do windy wyłożonej drewnopodobnym materiałem syntetycznym. Wzniosła się na czternaste piętro, przy akompaniamencie muzyki z taśmy. Wyszła na mroczny korytarz.

- Cześć! - powitał ją nosowy głos. Odwróciła się i ujrzała niskiego mężczyznę, który stał w otwartych drzwiach, uśmiechając się i kiwając głową. - To pani musi być Winton. Moja klientka na dwudziestą pierwszą piętnaście. -

Wyciągnął rękę. - Charles Palozzi. - Zachowywał się bardzo oficjalnie, jakby była to wizyta u sławnego chirurga lub znanego adwokata. - Proszę do środka!

Marcella weszła do mieszkania. Było czyste, schludne, wyłożone nieskazitelnym parkietem. Wszystkie meble miały niewielkie rozmiary i stały tuż przy ścianach, chyba po to, by właściciel wydawał się większy. Miał na sobie czarny garnitur i czarną koszulkę polo zapiętą pod samą szyję. Przypatrywał się Marcelli, kiedy rozglądała się po pokoju.

Najwyraźniej bardzo starannie dobrał wszystkie przedmioty, pragnąc zademonstrować swój dobry gust. Duży telewizor był wyłączony, a małe metalowy stolik do kawy w kolorze czarnym i dwa krzesła do kompletu przypominały wystrój miniaturowego bistra paryskiego. Wzdłuż ściany stała długa, niska sofa z czarnej skóry.

Portret Marleny Dietrich wisiał w ramie w stylu Art Deco. Stolik do kawy był zavalony ..magazynami mody.

- Pracuję w modzie - powiedział. - Siódma aleja. Słyszała pani o Giorgio Romano?

- Obawiam się, że nie - odparła Marcella, kręcąc głową. Charles wzruszył ramionami.

- Niech mu pani da dwa lata - przepowiedział. - Lepszy niż Armani.

- A tym zajmuje się pan wieczorami? - spytała. Zmarszczył brwi.
 - Wróżę z kart? Tak! - krzyknął. - Wszyscy uwielbiają, gdy wróżę im z kart. To zaczyna się dla mnie stawać ważnym zajęciem. Czy mogę o coś spytać? - Wypowiedział to jak jedno słowo, „czymogęocośspytać?” Wskazał na buty Marcelli. - Czy to prawdziwe Chanel? To znaczy, kupiła je pani u Chanel, tak?
 - Ależ tak, kupiłam je tam - odparła Marcella ze śmiechem.
 - Ho, ho! - Potrząsnął z podziwem głową, wypuszczając powietrze. - Musiały kosztować trzysta siedemdziesiąt pięć, czterysta, prawda? Są piękne! Mam książkę o Chanel. To mój idol!
 - To dobra osoba na wzór - powiedziała Marcella z uśmiechem.
 - Zechce pani usiąść? - Podniósł wzrok, jak chłopiec chcący się przypodobać. - Czy mogę zdjąć marynarkę? Wysunął się z niej, po czym przewiesił starannie na oparciu krzesła. Jego silne ciało było nieproporcjonalnie rozbudowane w stosunku do niskiego wzrostu. Wielkie bicepsy napinały krótkie, ażurowe rękawy koszuli Lacoste'a. Miał bardzo grubą szyję. Marcella usiadła. Na sofie obok niej wróżbita położył zawiązaną chustę, rozwiązał węzeł i wyjął wytartą talię kart do tarota.
 - Proszę potrzymać karty przez chwilę. - Wręczył je Marcelli. - Przejmą pani wibracje. Czy napije się pani czegoś w międzyczasie?
 - Perrier, jeśli pan ma. Z przyjemnością.
- Pobiegł do alkowy, w której kryła się kuchnia i zajrzał do lodówki.
- Woda sodowa Club - powiedział. - Może być? Napełnił dużą kryształową szklanę, wrócił i wręczył ją Marcelli.
 - Tak, wróżę wszystkim ludziom od mody - mówił, kładąc pod szklanką Marcelli kwadratową podstawkę. - Calvin Klein, Ralph Lauren, Christian Lacroix. Wróżyłem z kart Andy'emu Warholowi.

- Naprawdę? - sączyła wodę sodową. - Czy przepowiedziały jego śmierć?

Wpatrywał się w nią przez chwilę zamyślonymi oczyma.

- Cóż - wzruszył ramionami - on był zawsze chorą kobietą! - Usiadł gwałtownie obok Marcelli. - Woda w porządku?

- spytał. - Proszę posłuchać, zazwyczaj liczę sobie dwieście dolarów za wróżenie, ale ponieważ jest pani przyjaciółką Sandy, wezmę pięćdziesiąt. Mógłbym bez trudu zarobić tysiąc dolarów dziennie samym wróżeniem z kart, ale za bardzo kocham modę, żeby ją porzucić. Uwielbiam modelki i sposób, w jaki wchodzą i układają włosy...

Zerwał się z sofy i sparodiował modelkę przechadzającą się drobnym, lecz godnym kroczkiem, a Marcella wybuchnęła śmiechem. Przyjął inną pozę, opierając ręce na biodrach, odrzucając do tyłu głowę i ramiona.

- Moda! - oświadczył.

Usiadł, uśmiechając się do niej szeroko, a Marcella pokryła zmieszanie, zapalając papierosa. To było prawdziwe przeżycie. Cieszyła się, że tu przyszła. Może mogłaby go wykorzystać w jednej z książek jako barwną postać drugoplanową? Przynął mały stolik, wlał do szklanki dietetyczną Pepsi i szybko wychylił.

- Proszę przełożyć lewą ręką - wyszeptał. - Trzy razy. Proszę myśleć o swoim życzeniu.

Patrzyła, jak w skupieniu rozkłada karty. Nie uwierzę w nic, co mi powie - pocieszała się. Rozłożywszy karty, wpatrywał się w nie przez chwilę. Kiedy przemówił, jego głos był tak zmieniony, że Marcellę przeszedł dreszcz. Przymilny, pozornie profesjonalny ton zniknął, a jego miejsce zastąpiła beznamiętna monotonia.

- O, pani syn ciężko zachoruje - powiedział rzeczowo, jakby dopiero co rozmawiali o Marku. - Mogłaby go pani uratować. Nie musi umrzeć.

Marcella wyprostowała się nagle.

- Owdowieje pani w ciągu trzech tygodni - mówił. - Czy ktoś imieniem Sheila jest pani bliski?

- Sonia - poprawiła.

Prawie nazwaliśmy ją Sheila - pomyślała. - Harry chciał ją nazwać Sheila.

- Kim ona jest? - Charles zmarszczył brwi.

- Moją córką.

- Jest bardzo nierozsądna! - krzyknął. - Jeśli jej pani nie ostrzeże, grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Może umrzeć! Przyływa do pani wiele pieniędzy, ale nie dają pani radości. Pani intymne życie stanowi duże zagrożenie dla pani zdrowia...

- Moje intymne życie? - powtórzyła.

Nie mówiła o tym nikomu. Wróżbita wpatrywał się w Marcellę szczerymi brązowymi oczami.

- Pani wie, o czym mówię - powiedział po prostu. Spróbowała się roześmiać.

- Usiłuje mnie pan nastraszyć.

W ciepłym pokoju dostała na rękach gęsiej skórki.

- Co mówi pani imię Sandy? - spytał.

- Sandy? Dziewczyna, która mi o panu powiedziała. Potrząsnął niecierpliwie głową.

- To mężczyzna.

- Santi?

- Ktoś, kto panią kocha, a pani nie czuje się go warta. Dlaczego?

Może z powodu mojego intymnego życia - pomyślała.

- To bardzo dobry człowiek - oświadczył Charles. - Pani też. Nie powinna się pani wstydzić. Wszyscy mamy te potrzeby.

Marcella nie potrafiła wykrztusić słowa.

- Pani praca - ciągnął. - Pani pisze, czy coś w tym rodzaju?

- Tak.

- Dla filmu?

- Niezupełnie.

- A co?

- Książki. Powieści.

- Na podstawie jednej z nich nakręca film - zapewnił ją. - Duży sukces. Pojedzie pani do Kalifornii. Czeka panią wiele podróży. Europa. Bardzo kocha pani syna. Stał się dla pani najważniejszą osobą w życiu.

Marcella szperała w torebce, w poszukiwaniu papierosa,

którego bardzo potrzebowała. Wariaci tego świata potrafią czytać w moich myślach - przyszło jej do głowy. Charles podniósł na nią zmęczone brązowe oczy.

- Jakież pytania?

- Tak. - Marcella przełknęła z trudem. - Czy będę szczęśliwa?

Nachylił się nad kartami, poruszył bezgłośnie ustami, marszcząc czoło.

- To dziwne... - Zaśmiał się nerwowo. - Wygląda na to, że... musi pani cierpieć za swoją sztukę.

Przy drzwiach wręczyła mu pięćdziesiąt dolarów.

- Czy zazwyczaj mówi pan klientom, że ich cała rodzina wkrótce umrze?

Spojrzał na nią, lekko zdziwiony.

- Czy to właśnie mówiłem? - spytał.

Donald otworzył drzwiczki Rollsa. A więc, co nowego? Próbowwała śmiechem wybić się z tego nastroju. Ciepła bryza wiała wzdłuż Broadwayu, a ludzie wylewali się z Lincoln Center do kawiarni, restauracji i barów. Marcella drżała pod wpływem przepowiedni wróżbity. Przyprawił ją o lęk. Powiedział jej prawdę tak, jak ją widziała. Z wyjątkiem Marka. Mark nie mógł być chory. Mówił normalnie, kiedy ostatnio rozmawiali. Zaledwie kilka dni temu.

- Dokąd teraz? - spytał Donald.

Kiedy otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, przyszło jej do głowy, że to ona ponosiła odpowiedzialność za niebezpieczeństwo wiszące nad wszystkimi członkami jej rodziny, ale odtrąciła tę myśl. Zdecydowałaś się na taktykę wykluczającą poczucie winy, pamiętasz? - przypomniła sobie.

- Proszę pani? - spytał Donald.

- Zawieź mnie na róg Broadwayu i Pięćdziesiątej Siódmej - poleciła.

Jak gdyby nie wiedziała przez cały czas, że wieczór musi się tam zakończyć. Jeśli miała zasnąć tej nocy, mógł się zakończyć tylko tam. Jej ciało pragnęło, żeby zakończył się właśnie tam. Tuż przed Broadwayem znajdowała się zrujnowana przecznica; nagle spowila ich ciemność. Spojrzała na

zegarek, kiedy Donald parkował na rogu. Dziesiąta trzydzieści. Doskonale.

- Wróć tutaj za godzinę, dobrze, Donald? - poleciła szoferowi.

Wyjęła z torebki kartę członkowską klubu, a torebkę schowała do kieszeni w drzwiczkach samochodu. Kiedy wysiadła, Donald spojrzął na nią strofująco. Oczywiście, samotna kobieta nie powinna tu spacerować nocą, ale w żaden sposób nie mogła się przed nim zdradzić, dokąd się wybierała. Oczekała, aż samochód zniknie z oczu, po czym mszyła na zachód.

W ciągu tych lat bardzo dobrze poznała owe podupadłe sklepy, których smutne wystawy wryły się w jej pamięć jak zły sen. Zwracała uwagę na żalosalne klamki w kształcie hot dogów w przeszklonych drzwiach Nedicka. Nieco dalej zerknęła na hiromantkę, senną Cyganekę, która cerowała coś siedząc w witrynie sklepowej, pod migającym różowym neonem i gipsową Świętą Panią w skali jeden do jednego. W pobliżu zawyła przeraźliwie syrena policyjna, a młody Murzyn w swetrze z kapturem podszedł nagle do Marcelli z ręką wyciągniętą po drobne. Marcella potrząsnęła głową, ściskając kartę klubu. Nędzarka podniosła wzrok ze swego ganku, by oświadczyć bardzo wyraźnie:

- Sama zdecyduję, kiedy zechcę umrzeć!

Marcella szybko szła dalej. Ważne było, by sprawiać wrażenie osoby, która wie, dokąd idzie i bardzo się tam śpieszy. Zbliżywszy się do Członków, czarnego budynku niemal niewidocznego w nocy, ujrzała tradycyjną, czekającą na zewnątrz żalosalną gromadę żebraków liczących na okruchy. Podeszła, a serce zabiło jej szybciej. Trzymała kartę w pogotowiu, by wsunąć ją w szparę, zanim ktokolwiek zdąży spojrzeć na nią z bliska. Fachowym ruchem otworzyła drzwi, po czym zjechała czarną windą jedną kondygnację w dół, do krainy dłoni obcych mężczyzn i cichych przyjemności, dyszenia w mroku oraz tej dziwnej mieszanki upokorzenia i ekstazy, do której zamiłowanie było wadą Marcelli. Zatrzymała się przy atrapie kasy, oparła się na moment z zamkniętymi oczyma o czarną ścianę wyłożoną lustrem. Nigdy nie potrafiła odwiedzać tego miejsca, nie prosząc Santiago o wy-

baczenie. To pułapka - mówiła mu. - Nie uda mi się uciec. Tylko twoja miłość może mnie ocalić.

Nową Dziewczynę Caresse lansowano w środkach przekazu na skalę nieznaną w historii amerykańskich modelek. Najlepsi fotograficy świata zrobili zdjęcia Soni, a dziesięcio-stronicową wkładkę barwną zamieściły wszystkie magazyny mody. Następnie przyszła kolej na dwuminutowe reklamówki filmowane w malowniczych zakątkach Europy i Ameryki. Sposób, w jaki Sonia szeptała chwytliwą kwestię: „Pieść mnie!”, przemienił ją z modelki w gwiazdę. Kiedy ludzie rozmawiali o czołowych modelkach wieku, przypisywali Lauren Hutton latom siedemdziesiątym, Paulinę osiemdziesiątym, a Sonię Winton dziewięćdziesiątym. W każdym razie to właśnie wszyscy przepowiadali, a autorzy plotek towarzyskich powtarzali.

W tym sezonie pozostał Soni jeszcze jeden dzień pracy - sesja, na której wszystkie poprzednie Dziewczyny Caresse miały się spotkać, by stworzyć wspaniały portret grupowy. Przedsięwzięcie to poprzedziły miesiące przygotowań, ponieważ niektóre z poprzednich dziewcząt stały się sławne, bogate albo mieszkały w Europie. Na przykład Ginny Schatzberg została *la comtesse de Rouche*, a dawniejsza dziewczyna, Francine Harding była teraz wziętą królową oper mydlanych. Organizatorzy odchodzili od zmysłów, chcąc wyznaczyć dzień i miejsce, które odpowiadałoby wszystkim.

- Avedon umył ręce - powiedziała Carmen Soni - więc w ostatniej chwili załatwili Alexa Rose. Wydają pięćdziesiąt tysięcy dolarów na przywiezienie hrabiny z Paryża wynajętym samolotem.

Sonia była głucha na liczby i plotki, ponieważ potrafiła myśleć wyłącznie o Rayu. Gdyby ktoś planował stworzenie mężczyzny, któremu nie potrafiłaby się oprzeć, nie mógłby wymyślić nikogo lepszego niż Ray, a następnie sprawić, by rozkłady zajęć Soni i jego były zupełnie nie do pogodzenia. Trzy tygodnie intensywnej pacy nad kręceniem reklamówek dla Caresse spotęgowały jej pragnienie Raya. Kiedy udawało im się spotkać, noce stawały się coraz przyjemniejsze.

Wyspecjalizowała się w prześlizgiwaniu się między jego skutymi rękami, ocieraniu się o plecy Raya, nurkowaniu pod nim i umieszczaniu krągłych piersi w dłoniach kochanka. Doprowadzała ekipę Caresse do szaleństwa faktem, że była gotowa na każde zawołanie LeVara, gotowa rzucić wszystko, zmienić każdy harmonogram zajęć, żeby tylko dostosować się do programu jego tournée po kraju. Leciała do Portland, Denver, Houston, przyłączając się do Raya tylko na jedną noc, wracając następnego ranka, zanim jeszcze Ray się obudził. Stanie w cieniu za sceną, obserwowanie, jak LeVar, skąpany w świetle reflektorów, śpiewał jej wszystkie ulubione piosenki, ostrożność z jaką jego ekipa nazywała ją teraz „panną Sonią”, pełne łez rozstania i spotkania - wszystko to przeniosło jej życie na nowy poziom. Śmiali się nawet z wszawego dziennikarza z „Enquirer”, który zażądał pieniędzy za to, by nie pisać o ich romansie - po piętnaście tysięcy od każdego z kochanków. Kiedy przebierała się do tych podróży, odkładała na bok elegancki wizerunek lansowany w reklamówkach Caresse. Nosła blond peruki i stroje prostytutek, by wywieść ludzi w pole. Kiedy nie mogła zobaczyć się z Rayem, robiła wszystko, by przestać o nim myśleć, nawet jeśli wiązało się to z odwiedzeniem dawnych lokali, chociaż obiecywała sobie dawniej, że jej noga tam więcej nie postanie - wracała do miejsc, gdzie czaili się niebezpieczni ludzie, którzy intrygowali ją, zanim poznała Raya, zanim poznała miłość.

Jak dotąd, podczas każdej spędzanej wspólnie nocy Ray, łkając, składał swoje potworne wyznanie.

- Zabiłem dziewczynę! Soniu, zabiłem dziewczynę!

Płakał, a ona słuchała, zahipnotyzowana, zapewniając go, jak chciał ich rytuał, że Bóg wybaczył mu jego błąd. Jakby przemawiała w imieniu Boga. Po tym akcie przebaczenia mogli przejść do rzeczy, a nikt nigdy nie kochał jej tak jak Ray. Seks stawał się coraz cudowniejszy, aż bezgraniczna adoracja, patetyczna zależność od jej przebaczenia, niewinność i dzikość, dotyk ciężkiego, gładkiego ciała i smak jego ust, odgłos pomruków zwyciężyły Sonię, stały się jej częścią, tak że bez Raya czuła się dziwnie pusta. Nigdy wcześniej nie

potrzebowała mężczyzny. Do tej pory jedynym stworzeniem, od którego czuła się zależna, był koń, teraz jednak znalazła mężczyznę, w stosunku do którego czuła to samo. Przypadkiem natrafiła na dokładnie taką mieszankę seksu i miłości, jakiej potrzebowała. Rayowi także nie była obojętna. Mówił, że ją kocha. Kazała mu obiecać, że nie będzie się spotykał z innymi dziewczynami.

Podobnie jak wszystkie korzystne aspekty jej życia modelki, związek z Rayem powodował uzależnienie. Ciało Soni tęskniło za jego ciężarem, potężnym czarnym członkiem, który doprowadzał ją do miażdżących, bezgranicznych orgazmów. Kochanie się z Rayem przypominało pływanie z rekinem, igranie z oswojonym, ale niebezpiecznym zwierzęciem. Teraz, kiedy z nim żyła, oddychała nim, śniła o nim, teraz, kiedy umowa z Caresse została zapięta na ostatni guzik, nareszcie znalazła cel w życiu! Jak bardzo Carmen by się ucieszyła, słysząc, że Sonia ma cel, nawet jeśli nie był on na razie niczym więcej, jak pomysłem kiełkującym w zakamarkach jej mózgu. Nie wyraziła go w słowach, nawet przed samą sobą, ale jakaś część jej natury wiedziała, jaki on jest; pomysł przyprawiał ją o dreszcze, przerażał, utrzymywał w ustawicznym stanie nerwowego podniecenia.

Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę tego ranka, było pozowanie w towarzystwie dawnych Dziewcząt Caresse, zwłaszcza Francine Harding i hrabiny, ponieważ mówiono o nich, że to primadonny, z którymi pracuje się wyjątkowo trudno. Przez cały tydzień nie mogła się zobaczyć z Rayem, bo właśnie występował w Las Vegas, a rozłąka dawała jej się mocno we znaki. Zeszłej nocy nie wytrzymała i poszła do cieszącego się fatalną reputacją klubu w East Village dla sadomasochistów, wróciła do domu o czwartej, nie pamiętając wiele z tego, co tam zaszło. - Nienawidzę tych spędów eks-Dziewczyn Caresse! - mówiła Francine Harding w garderobie, gdzie siedem byłych czołowych modelek nowojorskich krzątało się przed lustrem. - Nienawidzę też spotkań ze znajomymi ze szkoły średniej! Po raz pierwszy poszłam na taką imprezę dziesięć lat po maturze. Kiedy zobaczyłam, że nie ma nikogo, kto choć

w przybliżeniu może się ze mną równać urodą, klasą czy powodem, zmyłam się stamtąd!

- Czy ona już przyszła? - Francesca, zatrudniona jako stylistka podczas tej sesji zdjęciowej, rozglądała się po garderobie. - Domyślałam się, że nie - powiedziała.

Rozejrzała się po kobietach. Hrabina zachowywała się bardzo miło: plotkowała ze wszystkimi i pomagała uspokoić Francine i skłonić ją do współpracy. Dookoła siedziały, przypatrując się, pozostałe „były”, które osiągnęły rozmaite stopnie sukcesu i szczęścia, od bogatych mężów do kariery aktorek i zatrudnienia w charakterze modelek w nowo powstałych magazynach mody dla kobiet po czterdziestce, jak „Lear's” czy „Mirabelle”.

- Ona chce mieć efektowne wejście - obwieściła Francesca. - A ja mogę powiedzieć tylko: proszę bardzo! Uwierzcie mi, w ciągu lat pracy stylistki, a miałam do czynienia z wieloma spośród was, kiedy pracowałyście dla Caresse, nigdy nie spotkałam osoby równie upartej jak ten dzieciak! Przyznaję, że na zdjęciach i na filmach wychodzi wspaniale. Poza tym wszyscy powtarzają: „Pieść mnie!” jak jakiś nowy modny dowcip, ale mówię wam, że ona jest...

Ktoś ją uciszył, drzwi otworzyły się na oścież i wpadła Sonia. Ubrana na czarno, ciemne okulary zasłaniały jej oczy. Nie odezwała się ani słowem, spojrzała na zagraconą toaletkę, po czym cisnęła torbę na jej koniec i rozejrzała się za krzesłem.

- Dzień dobry, Soniu, kochanie. Piłaś już kawę? - spytała Francesca.

- Nie, przynieś mi, dobrze, Francesco? - poprosiła Sonia i zaczęła szcztokować włosy.

- To twoje eks-koleżanki, wszystkie dawne Dziewczęta Caresse - przedstawiła je Francesca. - A to Sonia Winton, nasza obecna dziewczyna, jakbyście tego nie wiedziały.

- Jak się masz? - przywitała ją hrabina, olśniewająca kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat.

Podeszła, wyciągając rękę, którą Sonia uścisnęła. Pozostałe kobiety ustawiły się w kolejce, by także uścisnąć jej dłoń, jak królowej, która składa wizytę w garderobie.

- Czy naprawdę dostałaś osiem milionów? - spytała hrabina, kiedy Sonia usiadła znowu, czekając na kawę.
- Minus honorarium agentki - odparła Sonia, skinąwszy głową.
- Masz cholerne szczęście - stwierdziła hrabina. - Wiesz, ile mi zapłacili, kiedy byłam Dziewczyną Caresse?
Oczywiście, to się działo dziesięć lat temu, ale nie myślałyśmy wtedy w milionach, kochanie. Wydaje mi się, że dostałam sto pięćdziesiąt tysięcy, plus każdą ilość kosmetyków Caresse, jaką mogłam użyć. Niestety, byłam na nie uczulona.

Kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Nie przeszkadzało mi to jednak wynosić tych kosmetyków pudłami - ciągnęła hrabina. - Do dziś sprzedaję je przyjaciółkom. Kolory, których nie produkują od lat siedemdziesiątych.

Weszła asystentka Franceski z kawą i ciasteczkami dla wszystkich. W sąsiednim pokoju Pablo, charakteryzator, i Christian, fryzjer, pracowali kolejno nad wyglądem modelek. Sonia próbowała drzemać, czekając na swoją kolej.

- Soniu! - Francesca wpadła do garderoby. - Ależ z ciebie szczęściara! Dostałaś Blass! Cudownie!

Pozostałe kobiety wpatrywały się z zazdrością w wąską sukienkę z czarnej jedwabnej krepy, zwisającą tak lekko na ramieniu Franceski, jakby była uszyta z włókna szklanego. Sonia posłała sukience jedno pogardliwe spojrzenie.

- Wybij to sobie z głowy, jest bez pleców.

- Co z tego? - krzyknęła Francesca.

- To z tego, że dzisiaj nie założę sukienki bez pleców - oznajmiła Sonia.

- Soniu, ty nie rozumiesz - tłumaczyła Francesca, kręcąc głową. - Alex mówi, że to jest fason, wokół którego skoncentruje się cała grupa i to ty musisz ją mieć na sobie! Będiesz punktem centralnym, Soniu...

- Nie obchodzi mnie, czy będę pierdolonym punktem centralnym. Nie założę dzisiaj sukienki bez pleców - oświadczyła zdecydowanie Sonia. - Znajdźcie mi coś innego.

W pokoju zapadła cisza; wszyscy śledzili rozwój wypadków.

- Nie mamy nic innego - odparła bezradnie Francesca.

- Tak trudno było dopasować wasze rozkłady zajęć, żebyście wszystkie mogły się tu znaleźć. Myślisz, że miałam jeszcze czas na szukanie sukienek z plecami?

- Niech ona włoży moją sukienkę, a ja wezmę tę bez pleców - zaofiarowała się hrabina.

- Nie o to chodzi, Ginny - tłumaczyła Francesca. - Twoja sukienka to bufiasta Lacroix, zupełnie nie w stylu Soni. Alex chce, żeby była w czerni...

- Powiedz Alexowi, żeby się odpierdolił - oświadczyła Sonia.

Francesca usiadła na krześle obok Soni.

- Soniu, zlituj się nade mną, proszę - błagała. - Mamy zacząć kręcić punktualnie o dziesiątej, a jest już dziewiąta trzydzieści i dopiero połowa z was ma makijaż! Nie zniosę tego stresu! Mieliśmy po drodze tyle komplikacji, proszę, przynajmniej ty nie zaczynaj!

Sonia spojrzała na nią spokojnie.

- Mówię tylko, że nie mogę założyć sukienki bez pleców. Nie że nie chcę, ale nie mogę!

- Co takiego się stało? - Westchnęła Francesca. - Przewróciłaś się na plecy, czy co? Na pewno możemy to zasłonić makijażem.

- Nie tym razem. - Sonia potrząsnęła głową. Francesca obrzuciła fachowym wzrokiem czarną koszulkę i legginsy Soni. Zbliżyła się i nachyliła nad nią.

- Słuchaj - mruknęła. - Jestem pewna, że cokolwiek ci się stało, możemy to... - Wyciągnęła rękę i chwyciła za tył koszulki Soni. - Pokaż mi! - krzyknęła. - Przynajmniej pokaż, czy uda nam się coś z tym zrobić! Jestem pewna, że to nic takiego.

Szybkim ruchem ściągnęła jej bawełnianą koszulkę przez głowę. Nagie plecy Soni ukazały się nagle w świetle żarówek lustra; rozległy się przerażone okrzyki. Sonia także wydała pełen upokorzenia, wściekły okrzyk, kiedy pozostałe modelki zgromadziły się, by spojrzeć na sińce, pręgi, otwarte rany po razach, zadanych, jak się wydawało, skórzanym pasem.

Sonia spokojnie naciągnęła koszulkę i rozejrzała się za butami.

- Cóż wam powiem, dziewczyny? - Spojrzała przez opadające na twarz włosy po przerażonych obliczach. - Mojego faceta czasami ponosi. Francesco? Dopilnuję, żebyś nigdy więcej ze mną nie pracowała.

Wyciągnęła rękę i podrapała twarz Franceski paznokciami. Potem, chwyciwszy czarny płaszcz deszczowy i dużą torbę, opuściła oniemiałą garderobę. Modelki wybuchnęły podnieconą paplaniną.

- Och, Francesco! Dajcie jej wiązu górskiego!

- Nalejcie jej drinka!

- Och, usiądź kochanie. Niech ktoś wezwie lekarza. Może powinno się ją zaszczepić przeciwko wścieklicznie?

Kilka troskliwych dłoni delikatnie ocierało krwawiącą twarz Franceski płynami do zmywania.

- Widziałas jej plecy? Boże, ale ją zbito! Co za dziewczyna pozwoliłaby, żeby facet zrobił jej coś takiego!

- Mówią, że chodzi z Rayem LeYarem. On kiedyś zabił dziewczynę.

- O, mój Boże, biedna Sonia!

- Nie żałuj jej! Dostaje osiem milionów dolarów!

- Tak, biedna bogata dziewczyna!

- To suka. Nikt jej nie lubi. Nie ma przyjaciół w tej branży.

- Nie ma przyjaciół, koniec kropka. Hrabina podeszła do okna i wyjrzała.

- Żal mi jej - powiedziała. - Nawet z tymi ośmioma milionami.

Sonia szła z furią aleją Madison. Było zimno i wietrznie; postawiła kołnierz płaszcza deszczowego i wtuliła się w niego. Jeśli jedna z tych suk sprzeda tę sensację „Stronie Szóstej”, wszyscy się dowiedzą, wszyscy zaczną sobie strzępić języki. Do diabła z tym - pomyślała. Póki co, ma wolny ranek - nie ma graatka w okresie, kiedy musiała się rozliczać praktycznie z każdej godziny. Spotkają ją nieprzyjemności z powodu awantury, ale kogo to obchodzi? Cała atrakcja pracy dla Caresse miała polegać na tym, że nie będzie musiała pracować obok innych suk.

- To wszystko przez ich nieprzejednanie! - krzyczała na Carmen z publicznego telefonu. - Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby nie przygotowano sukienki z plecami?

Carmen westchnęła. - Postaram się to załatwić. Ale nie policzuj więcej stylistek, dobrze, Soniu? To nie wpływa korzystnie na twój wizerunek, a Caresse chce, żeby wszyscy cię uwielbiali.

- Muszę zająć się czymś przyjemnym - oświadczyła Sonia. - Idę kupić trochę ciuchów. Czy mogę obciążyć konto Idols? Możesz mi potrącić z najbliższej wypłaty.

- Zgoda - powiedziała Carmen uspokajająco. - Baw się dobrze.

Podobnie jak większość modelek, Sonia prawie nie zwracała uwagi na własną garderobę. Uwielbiała ubierać się byle jak. Wychodząc gdzieś wieczorem, zakładała cokolwiek, pod warunkiem że było czarne. Rayowi podobały się jednak jaśniejsze barwy, bardziej wyrazisty styl, a Sonia z radością ubierała się dla niego. Podczas tych rzadkich okazji, kiedy mogli pójść gdzieś razem i w jakiejś małej dziurze w pobliżu miasta, gdzie koncertował, mieli dla siebie całą restaurację, Sonia wkładała coś migoczącego i lśniącego, bo Ray to ubóstwiał. Teraz zrobiła kurs po sklepach Givenchy, Soni Rykiel i Valentino. Znalazła sweter z cekinami, bluzkę z błyskotkami, fioletowe spodnie skórzane, puchaty płaszcz koloru fuksji. O drugiej umierała z głodu, więc zatrzymała się, by uzupełnić zapas kalorii w Ambreouse, drogiej włoskiej restauracji. Makaron, kawa i dalej w drogę. Do piątej wydała czterdzieści tysięcy dolarów i zakupy zaczynały jej sprawiać przyjemność.

Jej ostatnim przystankiem był Charivari, gdzie obecność Soni wywołała pewien szmer wśród obsługi śledzącej pilnie modę. Kiedy szperała wśród czarnych spodni, usłyszała znajomy głos.

- Sandy? Pokaż mi lepiej większy rozmiar. Ostatnio pofolgowałam sobie ze słodyczami!

Sonia zmarszczyła brwi, podchodząc do wyłożonej lustrami przebieralni.

- Mamo? - zawołała.

- Soniu? - Marcella uchyliła drzwi i wyjrzała; miała na sobie majtki koloru surowego płótna. - Kochanie! Co za uroczą niespodzianka. - Wysunęła głowę i pocałowały się.

- Czy masz czas na drinka?

Donald zawiózł je do Pierre'a, kilka przecznic od sklepu. Właśnie miały wysiąść, kiedy Sonia potrząsnęła głową.

- Czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli zmienię zdanie? - spytała. - Nagle poczułam, że nie mam ochoty wchodzić do kolejnego baru, gdzie ludzie będą we mnie wlepić gały. Czy możemy pojechać do ciebie?

Marcella spojrzała na córkę.

- Oczywiście!

Wydała Donaldowi nową dyspozycję i po kwadransie siedziały w salonie Marcelli z oknami wychodzącymi na park. Październikowy wieczór ciemniał; Sonia spoglądała na drzewa, zaś Marcella przygotowywała szklanki i miseczki z orzechami i oliwkami.

- Co za okazja. - Marcella postawiła naczynka na stole.

- Moja sławna córka złożyła mi wizytę. Wszyscy wspominają mi o twoich reklamówkach. Pamiętasz moją dawną nauczycielkę, Nancy Warner?

- Nie.

Sonia potrząsnęła głową. Chichocząc, przyjrzała się stercie toreb z zakupami, poszperała w nich, wyciągając to lśniący rękaw, to barwny kawałek materiału.

- Zmieniam image - obwieściła Marcelli. - Właśnie puściłam pięćdziesiąt patoli na te szmaty.

- Myślałam, że modelki dostają je za darmo - powiedziała Marcella.

Sonia wzruszyła ramionami.

- Mnie nikt nigdy nic nie dał. Lepiej nalej mi czystej wódki z lodem, mamo, kochanie. Miałam parszywy dzień.

Wzięła od Marcelli kieliszek, wzniosła go w toaście i wypła trochę wódki. Kopnięciem zdjęła buty i podwinęła pod siebie długie nogi na kanapie.

- Wciąż spotykasz się z tym przystojnym Hiszpanem?

- spytała.

Marcella z trudem przełknęła ślinę.

- Nie - odparła niedbale. - Już się z nim nie spotykam. Popchnęła w stronę Soni miseczkę z orzechami i chrupkami. Sonia sięgnęła po chrupkę, podnosząc wzrok na matkę.

- Chodzisz tam jeszcze? - spytała.

- Dokąd? - Marcella zmarszczyła brwi.

Wiedziała doskonale, o co pytała Sonia, ale jak zwykle nie czuła się gotowa, by odpowiedzieć.

- Wiesz, dokąd... - Sonia zamykając mocno oczy, przełknęła alkohol jak lekarstwo.

- Już tam nie chodzę - powiedziała Marcella.

Poszła do kuchni po następną porcję lodu i naląła sobie wina ze schłodzonej butelki. Kiedy wróciła do salonu, Sonia spała. Marcella delikatnie odstawiła jej kieliszek na stół, patrząc na piękną twarz córki. Posępna mina znikła we śnie z twarzy Soni; córka wyglądała anielsko i słodko. Pomimo wszystkich problemów i bólu, jakich przysparzała Sonia, Marcella czuła swego rodzaju dumę, że wydała na świat to piękne stworzenie. Ułożyła nogi Soni na kanapie, uważając, by nie zakłócić jej głębokiego snu.

Spojrzała na zegarek. Powinna iść do przytułku dla bezdomnych. Zostawiła Soni kartkę, zapraszając córkę, by została do jej powrotu o dziewiątej.

Pojechała taksówką do przytułku, gdzie pomogła wydać obiad. Wróciła także taksówką, spodziewając się, że zastanie puste mieszkanie. Jednak Sonia nadal spała. Kiedy Marcella weszła do salonu, Sonia usiadła, rozglądając się nieprzytomnie.

- Która godzina? - spytała, patrząc na ciemność za oknami.

- Spałaś około dwóch godzin. Musisz być wykończona - powiedziała Marcella.

- Tak... - Sonia przesunęła dłonią po włosach, prostując się na kanapie. - Nie dają ci ośmiu milionów ot tak, za nic.

Pilnują, żebyś zlewała się za nie krwawym potem. A myślałam, że bycie Dziewczyną Caresse to żart! Chcieli kręcić reklamówki na Boże Narodzenie na Islandii, reklamówki narciarskie w Denver, reklamówki rejsów zimowych.

Chryste, ledwo udawało mi się dostawać wolne w niedzielę! Tyle było pieniędzy, nadgodzin, techników i sprzętu!

Kiedy pomyliłam kwestię, musieliśmy zaczynać od nowa...

Marcella patrzyła, jak Sonia sięga po papierosa do wielkiej torby z miękkiej skóry, która leżała na podłodze. Zapaliła i oparła się na sofie.

- Gdzie mieszkasz? - spytała Sonię, siadając na brzegu sofy. - To śmieszne, pytać o to własną córkę.

- Nie... - Sonia wyjęła mały bloczek i napisała adres. - Jestem w tym samym mieszkaniu. Pamiętasz? To ty podpisałaś umowę wynajmu! Ale właśnie kupiłam apartament na poddaszu przy Ósmej alei. Jeśli kiedykolwiek skończą remont, będzie tam niewiarygodnie. Piętro, basen w środku, wszystko... - Ziewnęła.

- Soniu, parę tygodni temu poszłam do jasnowidza - powiedziała Marcella. - Zajmuje się modą. Nie mogłam go traktować zbyt poważnie, bo to taki śmieszny człowieczek...

- Charles Palozzi? - spytała Sonia.

- Tak! Znasz go?

- Widziałam go parę razy.

- Wyglądało na to, że uważa, że wszyscy wokół mnie... ty, Mark, nawet twój ojciec, są w niebezpieczeństwie.

- Cóż, co do taty ma rację - stwierdziła ponuro Sonia.

- Co masz na myśli?

- Nie wiedziałaś? - Sonia zdusiła papierosa. - Mark ci nie mówił? Rozmawiałam z nim o tym podczas ostatniego lunchu. Tata ma raka. Jest ciężko chory.

- Ależ to okropne - zawołała Marcella. - Tak mi przykro, Soniu.

- Nie chciał mnie widzieć od procesu - powiedziała Sonia. - Nie może mi wybaczyć tego, że zmieniłam cycki i nos. I paru innych rzeczy także.

- On zawsze bardzo cię kochał - powiedziała Marcella. Patrzyła, jak łza spływa Soni po policzku. - Oczywiście ty też go kochasz.

Sonia starła łzę palcem.

- Jestem jedyną osobą, która go kocha. Marcella zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Strasznie mi go żal, ale teraz martwię się też o ciebie i Marka. Ten jasnowidz...

Sonia się roześmiała.

- Ostatnim razem, kiedy widziałam Charlesa, mówił, że nie dożyję dwudziestych pierwszych urodzin. - Wzruszyła ramionami. - Ani trochę się tym nie przejmuję.
- Marcella nachyliła się w stronę córki. /- Dlaczego się tym nie przejmujesz? Czego naprawdę chcesz od życia, Soniu?
- Dlaczego wszyscy zadają mi to głupie pytanie? - spytała Sonia, marszcząc nos.
- Ponieważ wygląda na to, że niczym nie jesteś w stanie się zadowolić - powiedziała ostrożnie Marcella. - A skoro masz dopiero osiemnaście lat, co będzie za, powiedzmy, dziesięć?
- Śmierć! - zachichotała Sonia. - Jeśli Charles ma rację. Będę szybować w jakiejś innej galaktyce.
- Czy nigdy nie chcesz się zakochać? - spytała Marcella. Sonia wybuchnęła śmiechem.
- To kwestia prosto z jednej z twoich książek. Tak się składa, że po raz pierwszy w życiu właśnie jestem zakochana!
- Ależ kochanie, to cudownie! - zawołała Marcella. -Kto to jest? Czy mogę go poznać?
- Sonia wykrzywiła twarz.
- Caresse chce, żebym pozostała czysta i dziewicza. Podpisałam klauzulę moralności, dasz wiarę? Cień skandalu i żegnajcie osiem milionów!
- Ale dlaczego miłość miałaby być skandalem? - spytała Marcella.
- Zgadnij! - Sonia uniosła z uśmiechem brwi.
- Jest żonaty?
- Coś w tym rodzaju. - Oczy Soni zamigotały. - Znasz mnie: zawsze chcę czegoś, czego nie mogę dostać.
- Nie, nie znam cię - odparła Marcella. - Nigdy nie dałaś mi siebie poznać. Dlaczego nie opowiesz mi o tym mężczyźnie, skoro jest dla ciebie taki ważny?
- Sonia potrząsnęła głową, falując ciemnymi włosami.
- Jestem pewna, że usłyszysz o tym wcześniej czy później. - Porzuciła temat. - Może odwiedziłabyś tatę? -spytała nieoczekiwanie.
- Sądzisz, że chciałby się ze mną widzieć?

- Czemu nie?
- Musiałabym... nad tym trochę pomyśleć.
- Cóż, nie myśl za długo. Może być za późno! - powiedziała ostro Sonia. - A więc, zastanówmy się, komu jeszcze grozi niebezpieczeństwo? Markowi? Pewnie dlatego wysłałaś go do Włoch, co? Tu faceci padają na AIDS jak muchy.
- Co AIDS ma z tym wspólnego? - spytała Marcella, wpatrując się w córkę. ^ Mark nie bierze narkotyków.
- Hm... są inne sposoby, żeby to złapać. - Sonia uniosła brwi. - Domyśliłam się, że wysłałaś go do Włoch, żeby umknął przed AIDS albo Cole'em Ferrerem, a może przed jednym i drugim?
Marcella poczuła zimny dreszcz strachu.
- Mark jest we Włoszech, ponieważ uzyskał stypendium
- powiedziała ostrożnie. - U Gianniego. Jestem pewna, że wiesz o tym. Został na kolejny rok, żeby zrobić dyplom.
- A więc nie obawiasz się, że rozłąka wzmocni uczucie?
- spytała Sonia, zbierając swoje rzeczy.
Włożyła buty. Jej twarz wypoczęła, a ona przeciągnęła się zamasyście.
- Czy próbujesz sugerować, że Mark i... - Marcella urwała.
- Mark i Cole Ferrer, tak! - Sonia przytaknęła. - Och, dlaczego matka musi zawsze dowiadywać się ostatnia?
Marcella z trudem przełknęła ślinę. Podjęła próbę zbliżenia się do córki, a Sonia, jak nieprzyjazny kot, przypuściła atak.
- Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób? - spytała.
- Pisziesz tyle o seksie, chodzisz do tej seksualnej nory u Członków. Nie możesz pogodzić się z myślą o swoim synu i tej wymuskaney ciocie?
Marcella spojrzała na drinka, którego trzymała w dłoniach. Odczuła prawie nieodpartą ochotę chluśnięcia alkoholem w uśmiechniętą twarz Soni. Wielkim wysiłkiem woli wstała. Twarz miała opanowaną.
- Lepiej będzie, jeśli już pójdziesz, Soniu. Zanim powiemy sobie pewne niewybaczalne rzeczy.
Sonia wzruszyła ramionami i zebrała torby. W drodze do drzwi zatrzymała się.

- Odwiedzisz tatę? - spytała. Marcella przygryzła wargę.

- Nie sądzę. Nie widzę, komu mogłoby się to przydać. Sonia wezwała windę, w której zniknęła, nie odezwawszy się więcej.

Marcella wróciła do mieszkania z zamętem w głowie. Wypiła dużą szkocką i zaczęła chodzić po salonie. Było po dziesiątej, nieco za wcześnie na wizytę u Członków, a Donald miał dziś wolne, więc nie będzie mógł jej odwiedzić. Musiała sama wypuścić się na ulicę.

Mark? - Trzy tygodnie później Marcella podniosła słuchawkę i usłyszała głos Soni. - Mark, on nie żyje!

- Soniu! - krzyknęła Marcella. - To ty?

- On nie żyje, Mark, i nie chciał się ze mną zobaczyć nawet na łożu śmierci! - mówiła niewyraźnie.

- Soniu! - wołała Marcella. - Mark jest we Włoszech. Kto nie żyje? Twój ojciec?

- Kim jesteś? - spytała przeciągle Sonia. Marcella usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

- Soniu, gdzie jesteś? - spytała nagłaco. - W domu? Chcesz, żebym przyszła?

- Tak... - odparła Sonia powoli. - Przyjdź. Chcę się bawić! Nie mogę znaleźć tej pieprzonej łazienki. Wszystko tu porozwalałam! Przyrowadź przyjaciół!

Marcella pobiegła szukać kartki z adresem Soni.

Kiedy wyszła, portier szybko wezwał dla niej taksówkę, która zawiozła ją na East Village. Naciskanie dzwonka Soni przyniosło mniej więcej taki rezultat, jakiego się spodziewała. Pobiegła do gospodarza domu.

- Jestem Marcella Winton, matka Soni - tłumaczyła niskiemu człowiekowi w podkoszulce, który podszedł do drzwi.

- Nie otwiera drzwi, trochę się niepokoję. Czy ma pan zapasowy klucz?

Ruszył przed nią schodami, ze zrezygnowaną miną, jakby robił to często.

- Jest pani pewna, że ona tam jest? - spytał pod drzwiami apartamentu Soni.

- Tak. Dopiero co do mnie dzwoniła.

Przekręcił klucz w zamku, ale kiedy pchnął drzwi, zatrzymały się na łańcuchu.

- Cholera! - zaklął. - Muszę zejść po narzędzia. Jeśli uda mi się przepiłować jedno ogniwo, uniknie się wielu strat. Odszedł, a Marcella zawołała Sonię kilkakrotnie, przyciskając usta do szpary w drzwiach. Właśnie kiedy gospodarz wrócił z małą piłą, za drzwiami mignęła twarz Soni.

- Zdejmij łańcuch - poleciła jej Marcella.

Sonia miała bladą twarz, rozczochrane włosy i nieprzytomny wzrok. Powoli zdjęła łańcuch, przyglądając się Mar-cellii i gospodarzowi.

- Dziękuję bardzo - zwróciła się Marcella do mężczyzny, wręczając mu dziesięć dolarów.

Weszła za Sonią do niemal pustego mieszkania.

Natychmiast uderzył ją silny zapach perfum i alkoholu. W salonie, gdzie jedynymi meblami była długa kanapa i stolik do kawy, ujrzała, że Sonia potłukła wszystkie posiadane butelki; na ścianach i podłodze mieszały się tęczowo plamy olejków, perfum, mocnego alkoholu i wina. Biały kot stapał delikatnie pośród odłamków szkła.

- On nie żyje! - powiedziała bezgłośnie Sonia w sypialni. Marcella poszła tam i zastała córkę siedzącą na brzegu łóżka, wpatrzoną w pustą ścianę. - Nie wiem nawet, po co do ciebie zadzwoniłam. Pomyślałam, że chciałabyś pójść na pogrzeb. Jest cholernie pewne, że Mark nie przyjedzie.

- Oczywiście, że z tobą pójdę.

Marcella otoczyła Sonię ramieniem. Przypomniała sobie nagle szok, jakiego doznała po śmierci swojego ojca, i instynktownie zrobiło jej się żal córki. Potem zdjął ją strach. Jasnowidz przepowiedział, że owdowieje w ciągu trzech tygodni i oto wróżba się spełniła.

Wpatrywała się w Sonię, usiłując sobie przypomnieć wszystko, co powiedział jej ten dziwny człowieczek, kiedy zadzwonił telefon. Rozbrzmiały trzy sygnały, a Sonia się nie poruszyła.

- Chcesz, żebym odebrała? - spytała Marcella, ale telefon przestał dzwonić i włączyła się elektroniczna sekretarka.

Po sygnale usłyszały oddech mężczyzny, który przysunął usta zbyt blisko słuchawki.

- To ja, Soniu - odezwał się niski głos. - Założę się, że dziwi cię, że zdobyłem twój numer, co? Mówiłem ci, że mam kontakty. Wiem, że tam jesteś, bo widzę światło w twoim pokoju. Zemszczę się za to, co zrobiłaś mi zeszłej nocy, Soniu. Nikomu nie uchodzi na sucho robienie ze mnie kretyna. Pamiętaj, jak potraktowałem twoje plecy? Teraz zrobię to z twoją twarzą. Spodoba ci się to, mała panno Pieść Mnie!

Marcella otworzyła szeroko oczy i spojrzała na Sonię, ale ona patrzyła tylko w pustą ścianę.

- Wiem, że tam jesteś, Soniu - drwił głos.

- Na miłość boską, Soniu, wyłącz to! - krzyknęła Marcella.

- Słukę cię tak, jak lubisz, Soniu! - ciągnął głos. - Idę do ciebie. Przygotuj się, nadchodzę!

Odłożył słuchawkę, automat szczęknął, a taśma przewinęła się, gotowa na przyjęcie kolejnego telefonu.

Marcella rozejrzała się z przestachem po zaśmieconym mieszkaniu, po czym zmusiła Sonię do wstania.

- Idziesz ze mną! Weź jakieś ubranie i spakuj torbę na noc! Pójdziemy do mnie.

Jednak Sonia powlokła się do salonu, jakby nie słyszała słów matki. Marcella zajrzała do łazienki, żeby chwycić przynajmniej szczoteczkę do zębów, ale tam też wszystko było porozbijane, w wannie piętrzyła się sterta potłuczonego szkła, a kolorowe płyny ściekały powoli.

W jakiś sposób udało się Marcelli sprowadzić Sonię do taksówki i zawieźć do siebie. Córka pozwalała się przesuwac jak kukła. Marcella zaprowadziła ją do pokoju Marka i położyła do łóżka. Sonia leżała, patrząc w sufit.

Marcella nachyliła się, próbując powąchać oddech córki.

- Wzięłaś coś? - spytała. Sonia spojrzała na nią.

- Po prostu zasnę - powiedziała. - Będę spać.

Tej nocy Marcella spała bardzo niewiele. Budziła się, by sprawdzić, czy Sonia oddycha regularnie.

Rano znalazła córkę w kuchni, gdzie piła czarną kawę. Była blada, rozczochrana, z trudem rozpoznawalna jako olśniewająca Dziewczyna Caresse.

- Chyba powinnam ci podziękować za uratowanie mi życia, czy coś takiego? - wymamrotała. - Tylko nie jestem pewna, czy chciałam, żeby je uratowano...

Marcella objęła córkę.

- Nie mów tak, kochanie. Jeśli nie dla mnie, to dla mężczyzny, którego kochasz, jak mówiłaś, powinnaś żyć.

- Jest w Europie, ale zadzwonię do niego rano, kiedy tylko będzie odpowiednia godzina. Teraz chcę zorganizować pogrzeb.

- Gdzie chcesz, żeby się odbył? - spytała Marcella.

- Myślałam o Franku Campbellu przy Madison, ale wtedy dowiedzieliby się o tym wszyscy ludzie od mody i zamieniliby pogrzeb w bal przebierańców. Więzienie sugerowało jakiś zapomniany prze^ Boga cmentarz w New Jersey. Zróbmy pogrzeb tam.

W dzień pogrzebów lał deszcz. Nad prostym grobem na cmentarzu w New Jersey stały tylko Amy, Sonia i Marcella. Sonia włożyła czarny płaszcz deszczowy do ziemi. Miała bladą twarz bez makijażu i opuchnięte, zaczerwienione oczy. Trzymała bukiet białych róż i parasol; czarny filcowy kapelusz zsunął jej się do tyłu.

Marcella i Amy także ubrały się na czarno; Amy miała płaszcz podszyty futrem, a Marcella trzymała nad nimi wielki czarny parasol. Kiedy spuszczone do grobu trumnę Harry'ego, Sonia załkała głośno. Płakała bezradnie jak człowiek załamany, który nigdy nie zazna ukojenia. Jej płacz był tym żałośniejszy, że jedyny; Marcella miała suche oczy - nie znalazła w sobie żadnego żalu po stracie Harry'ego.

Obie kobiety starały nie przyglądać się zbyt natarczywie dziewczynie oplakującej śmierć ojca, ale twarz Soni przykuwała ich uwagę. Niemal widziały ducha pełnej seksu dziewczyny, szepczącej z ekranu telewizora: „Pieść mnie!”, nałożonego jak na fotomontażu. Marcella stała pogrążona we własnych troskach; jedna trzecia tego, co zobaczył jasno-

widz, już się spełniła. Naprawdę powinna go znowu odwiedzić.

Amy ścisnęła ją lekko za rękę, kiedy krótkie nabożeństwo dobiegło końca. Sonia podeszła do kapelana, żeby mu podziękować, potem stanęła nad otwartym grobem, powoli rzucając jedną białą różę po drugiej, a deszcz bębnił o jej parasol.

Odwróciła się do nich, z zimną twarzą i szklistym wzrokiem. W tym momencie mogła mieć trzynaście albo sześćdziesiąt lat, liliowe oczy przypominały kulki ametystu. Amy wzięła ją w ramiona i pocałowała. Marcella zrobiła to samo. Sonia była sztywna jak drewniana lalka.

- Nie pozwolił mi się odwiedzić, kiedy umierał - powiedziała, śmiejąc się bez radości. - Co za twardy człowiek.

Nigdy mi nie wybaczył tego... że jestem tym, czym jestem!

Odwróciła się i poszła przodem przez smutny dziedziniec do samochodu. Donald wyskoczył, żeby wziąć od niej parasol. Kapelan szedł kilka kroków za nimi. Marcella odwróciła się, by podziękować, uścisnąć mu rękę. Sonia nie wsiadła do samochodu, ale stała, oglądając się za siebie, jakby nie potrafiła uwierzyć, że to koniec, że już nigdy nie zobaczy ojca.

Nagle rozległ się pisk hamulców, a obok ich samochodu zatrzymała się ogromna limuzyna z matowymi szybami.

- Kto to jest? - Amy odwróciła się gwałtownie, kiedy tylna szyba limuzyny zaczęła się uchylać.

Marcella myślała, że to może Mark zrobił im niespodziankę, ale wtedy przez okno wysunęła się duża twarz Raya LeYara.

- Soniu? - zawołał, a ona podniosła wzrok z lekkim uśmiechem. - Och, maleńka, czy się spóźniłem?

- Ray! - krzyknęła Sonia, biegnąc do samochodu. - Myślałam, że jesteś w Europie.

- Odwołałem tournée - oznajmił z dumą. - Odwołałem tournée, kiedy dowiedziałem się o śmierci twojego taty!

Spóźniłem się?

- Już po wszystkim, Ray. - Skinęła głową. - Czy mogę zabrać się z tobą do miasta?

Marcella i Amy stały, patrząc, jak otwierają się tylne drzwiczki limuzyny.

- Mamo, Amy, to jest Ray LeVar - przedstawiła ich Sonia.

Była zbyt wyczerpana, żeby się uśmiechać. Ray wysunął rękę na deszcz, wychylił się z samochodu, stawiając nogę na żwirze. Miał na sobie lśniąca kurtkę z czarnej skóry z przypiętą stójką w stylu rosyjskim. Wyglądał absurdalnie okazale w tej ponurej scenerii. Cała trójka wymieniła grzeczne uściski dłoni.

- Miło mi poznać matkę Soni - powiedział Ray, uśmiechając się do Marcełli. - Przykro mi, że w takich smutnych okolicznościach. Naprawdę mi przykro, pani Winton!

Sonia usiadła obok niego na tylnym siedzeniu.

- Dziękuję, że przyszłyście - powiedziała, machając do Amy i Marcelli.

Wyglądała blado i krucho. Ray pomachał grzecznie, drzwiczki się zatrzasnęły, podciągnięto okno i limuzyna odjechała.

Amy i Marcella wsiadły w milczeniu do Rollsa, po czym przykryły kolana pledem. Donald włączył silnik i ruszyli w pewnej odległości za limuzyną Raya.

No! - wykrztusiła w końcu Amy.

Marcella zamknęła oczy.

- Teraz rozumiem, dlaczego go chowa... - mówiła Amy. - Zaszokowana?

- Tym, że jest czarny? - spytała Marcella. - Nie. Gdyby była szczęśliwa, nie obchodziłoby mnie, nawet jeśli jej kochanek byłby zielony. Szokuje mnie fakt, że ona myśli, iż prowadzi niebezpieczny tryb życia.

- Może naprawdę go kocha? - podsunęła Amy. - Jest w pewnym sensie boski!

- Tak. Sprawiał wrażenie bardzo miłego człowieka. - westchnęła Marcella. - Mam nadzieję, że wie, w co się pakuje z Sonią.

Sonia oparła głowę na ramieniu Raya, zaciągając się głęboko papierosem.

- Nie mogę uwierzyć, że odwołałeś tournee z mojego powodu - powiedziała w zachwycie. - To najpiękniejsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił, Ray.

- Twoja matka sprawiła na mnie wrażenie bardzo miłej damy - odparł. - Naprawdę damy!

- Rzeczywiście dużo o niej wiesz! - prychnęła.

- A ta druga dama, która była z nią? - spytał.

- To jej agentka, Amy Jagger. Też jest pisarką. Jest w porządku. Ale nie daj się nabrać mojej mamie. Przez cały pogrzeb miała na twarzy swoją minę sztucznej damy, sztucznej powagi. Jakby starała się nie narobić w majtki. Wolałaby, żeby tata umarł wiele lat temu...

- Ćśś, Soniu. - Uciszył ją, obejmując ramieniem. - Nie mów tak, maleńka. Nie wiesz, jakie to dziwne, kiedy twoje piękne usta wypowiadają te słowa pełne nienawiści. Musisz nauczyć się kochać bliźniego, Soniu. Czy mama cię tego nie uczyła?

Sonia zachichotała.

- Mój bliźni to jedno. Ale nie prosz mnie, żebym kochała matkę, bo nie mogę! Ona go zabiła!

- Moje biedne dziecko bez ojca. - Otoczył ją ramieniem.

- Takie blade, takie smutne. - Pogłaskał ją po policzku.

- Teraz ja jestem twoją rodziną, co, Soniu? Duży Ray jest twoją rodziną i zaopiekuje się tobą. Chcesz, maleńka? Przytuliła się do niego, zamykając oczy.

- O, tak - szepnęła. - Zaopiekuj się mną, Ray. Zaopiekuj się mną, proszę!

Jechali przez chwilę nie rozmawiając, a Ray nucił jej melodię.

- Posłuchaj, Soniu. - Zaśmiał się swym dudniącym śmiechem, który rozbrzmiał w samym środku jej duszy. Zanucił kilka taktów *Białego Bożego Narodzenia*. - Powiedz, co to za piosenka! - ponagla ją. - Wiesz, o co mi chodzi?

Sonia zmarszczyła brwi, wciąż nie otwierając oczu.

- *Białe Boże Narodzenie*? - spytała sennie.

- Zgadza się! Wiesz, co to znaczy? W tym roku moglibyśmy spędzić razem prawdziwe białe Boże Narodzenie! Ze śniegiem i całą resztą!

- Gdzie? - mruknęła.

- Londyn, Anglia, Europa! - odparł z dumą Ray. - Jadę tam na dwa tygodnie pod koniec grudnia. Pojedziesz ze mną, Soniu, prawda?

- Och, Ray, wiesz, że bym chciała. - Westchnęła. - Mają kręcić ze mną tyle pieprzonych reklamówek, że nie wiem, czy skończą do tego czasu. Harvey Kistler ma reżyserować, Ray. Wiesz, kto to jest? To największy reżyser na świecie!

- Nie uda mu się sprawić, żebyś wyglądała piękniej niż teraz, Soniu.

- Czyżby? Wiesz, pogrzeb ojca nie jest moim najlepszym momentem. Nie mam makijażu ani nic!

- Taka mi się podobasz. - Przytulił ją niedźwiedzim uściskiem. - W ten sposób, tylko ja wiem, że jesteś piękna! Nie mów mi, że ci ludzie nie dadzą ci kilku dni wolnego na Boże Narodzenie. Gwiazdka to święto dla wszystkich, Soniu! Kurczę, powinnaś była widzieć, jak LeVarowie świętowali Gwiazdkę w Georgii! Po prostu powiedz im, że lecisz do Londynu na spotkanie z Rayem!

Wsunęła rękę w jego dużą dłoń.

- Chyba żartujesz. - Westchnęła. - Miałam wystarczające kłopoty z wyrwaniem się do Vegas!

- Chyba nie pozwolisz, żeby Ray spędzał Gwiazdkę samotnie, co, Soniu? - spytał posępnie. - Kiedy te wszystkie śliczne angielskie panienki aż się palą, żeby dotrzymać mi towarzystwa? Sprzedano bilety na wszystkie moje koncerty!

Spojrzała na niego.

- Przyjadę tam - zapewniła. - Jakoś wygospodaruję czas. Powiem, że muszę spędzić święta z rodziną.

- Właśnie! - zaśmiał się Ray. - Teraz ja jestem twoją rodziną, Soniu. Nie zapominaj.

Wkrótce zasnął, a jego potężne ciało przywierało do niej, ilekroć samochód zakrecał. Patrzyła na ponurą autostradę, a jej umysł pracował gorączkowo. Bez względu na wszystko, da Rayowi najwspanialszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostał. Nawet gdyby miał ją zabić.

Chcesz ze mną spędzić Gwiazdkę na Bermudach? - spytała Amy Marcelłę w listopadzie. - Lecę tam z Jo Anne Brindley, inną moją klientką. Byłoby cudnie, gdybyś się przyłączyła... Białe, czyste plaże. Przejrzyste morze. Najlepszy homar, jakiego kiedykolwiek jadłaś, i kilku opalonych milionerów, pływających przy brzegu na swoich białych jachtach. Co ty na to?

Marcella jęknęła cicho. Byłaby to po prostu powtórka z pobytu na Majorce. Bez Santiago.

- Chyba nie, Amy, dziękuję - powiedziała. - Mark przyjeżdża do domu na Boże Narodzenie i spędzimy je razem.

- On też mógłby pojechać. Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

W jaki sposób do tego wszystkiego doszło? - zastanawiała się Marcella, odłożywszy słuchawkę. Dyktując historię swego życia, odkrywała wiele intrygujących pytań i odpowiedzi. Odpowiedzi na pytanie, jak znalazła się w tym punkcie, ciesząc się powodzeniem i cierpiąc z samotności, należało szukać w szczerych wyznaniach, jakie składała małemu magnetofonowi.

Nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co Sonia napomknęła o Marku i Cole'u Ferrerze. Łatwiej było udawać, że Cole Ferrer nie istniał. Lecz pewnego dnia zadzwonił do niej.

- Chciałbym panią zaprosić na lunch - powiedział. - W przyszłym tygodniu, przed przyjazdem Marka.

Marcella próbowała się wymówić.

- To bardzo miłe z pana strony, Cole, ale pracuję nad nową książką i nie chcę rozbijać sobie dnia lunchem na mieście. Może wpadnie pan do nas na drinka, kiedy będzie Mark?

- Tu chodzi o Marka - oświadczył Cole poważnym tonem. - Lepiej będzie, jeśli spotkamy się na neutralnym gruncie. Jego słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie. Na neutralnym gruncie spotykają się wrogowie. Dlaczego Cole uważał, że byli wrogami?

- Dobrze - zgodziła się. - Może w poniedziałek?

Jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak nienagannie ubranego, jak Cole Ferrer, kiedy podjechała po niego Rollsem. Jego strój był bez skazy, aż po szpilkę do krawata z opalem i bukietik świeżych goździków w butonierce.

- Musi być pani równie znudzona La Cirque jak ja - powiedział, kierując Donalda do jeszcze bardziej ekskluzywnej restauracji, ukrytej w domu mieszkalnym przy jednej z lepszych ulic sześćdziesiątych. - Pozwoliłem sobie zarezerwować stolik - oświadczył, kiedy dojechali na miejsce.

Zauważyła, że zachowywał się w jej obecności zupełnie swobodnie, jak człowiek, który trzyma w ręku wszystkie atuty. Praca nad autobiografią sprawiła, że Marcella czuła się słaba i bezradna. Wsiadłszy z samochodu, westchnęła głęboko; naprawdę nie czuła się na siłach, by staczać z tym człowiekiem pojedynek słowny.

Restauracja Aux Traffes była wspaniała niczym średniowieczne widowisko. Na stoliku nie znajdował się ani jeden przedmiot nie owinięty w lniane serwetki albo nie obwiązany kwiatami lub ziołami. Na kafelkowych posadzkach porzrucano niedbale pęki egzotycznych traw, a stoliki posypano garściami płatków.

Wskazano im jeden z najlepszych stolików. Siedząc naprzeciwko Cole'a, przyglądała się badawczo długiej twarzy, oczom o ciężkich powiekach, grubym ustom, zastanawiając się, co spowodowało, że Mark pozostawał tak wiemy Cole'owi.

- Kir Royale? - spytał. Zamówił też butelkę Pouilly Fumé, dokładnie precyzując rok. - Za ich bliny z kawiolem można dać się zabić - powiedział.

Marcella skinęła głową. Ubrała się starannie; Ferrer przyglądał się jej teraz krytycznie, ale stwierdziła, że nie ceni sobie jego wyraźnej aprobaty, z jaką spotkały się jej zam-

szowe pantofle, czarna kaszmirowa sukienka i marynarka obszyta futrem.

- Wygląda pani bajkowo! - skomplementował ją. Nie odpowiedziała. Czekala.

- Kiedy ma się ukazać pani nowa książka? - spytał.

- Już się ukazała.

- O? Muszę ją kupić. - Podano drinki, a Ferrer uniósł kieliszek. - Za bardzo szczęśliwe święta - wznosił toast.

Patrzyła, jak pije, ale nie przyłączyła się do niego.

- Musi być pani dumna z Soni - powiedział. - Widać ją wszędzie. Te reklamy są boskie.

- Nie widuję jej często - wyznała Marcella. - Nie byliśmy ze sobą blisko, odkąd jej ojciec zabrał Sonię, kiedy miała dwanaście lat.

- O, Boże! - Cole uniósł brwi. - Miała pani nietuzinkowe życie!

Podano chleb i oliwki. Czekala. Wreszcie odniosła wrażenie, że Cole jest gotowy do przejścia do rzeczy.

Wyprostował się nieco na krześle.

- W zeszłym tygodniu byłem w Bolonii, pani Winton

- zaczął. Spojrzała na niego.

- Naprawdę? Mark nic mi nie mówił. - Uciszyła w sobie ból. - Jak on się miewa?

- Cóż... - Otarł usta serwetką. - Myślę, że nasłuchał się tyle o włoskim renesansie, że starczyłoby mu na kilka żywotów... Wiem, że rozmawia z panią co kilka dni, ale mnie mówi rzeczy, o których nie odważyłby się pani wspominać.

- Odstawił ostrożnie kieliszek i nachylił się do Marcelli.

- Chciałbym, żeby przestała go pani tak męczyć.

- Co? - przerwała mu. Teraz ona potrzebowała drinka. Zaczerpnęła duży łyk cocktailu. - Mark uczy się u najbardziej poważanego pianisty na świecie. Miliony uczniów dałoby...

- Nie żartujmy sobie, pani Winton - wtrącił Cole, patrząc jej w oczy. - Mark Winton i Gianni, bez względu na to, jak jest poważany, znajdują się, pod względem muzycznym, na dwóch całkowicie odmiennych biegunach.

Najwyraźniej, *maestro* usłyszał pewnego dnia, jak Mark gra Gershwin

i wpadł w szal! Po prostu nie uznaje, że muzyka posunęła się naprzód od roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego!

- Mark wie, jakim Gianni jest purystą - uśmiechnęła się Marcella. - Powinien był zachować większą ostrożność.

- Rzecz w tym, że Mark budzi się do życia tylko grając Gershwin! - powiedział natarczywie Cole i wbił w nią zimny wzrok. - Nigdy nie oczekiwał, że dostanie to stypendium w Bolonii, ale nie obcy jest mu duch walki, więc spróbował. Spędził tam rok, a pani w pewien sposób namówiła go do kolejnego. Teraz ma dość. Odkrył swoją mocną stronę. W istocie odkrywa ją co roku, grając w Carlyle, ale próbował respektować pani życzenia. Teraz wie, że zostanie największym interpretatorem Gershwin, muzycznej synkopy i jazzu, jakiego kiedykolwiek miał ten kraj. Chce porzucić ten kurs, ponieważ otrzymał propozycję tournée po kraju, przyszlą wiosną. Dzięki temu sprzeda dalsze tysiące swoich płyt i...

- Nie! - krzyknęła Marcella, uderzając dłonią w stół, aż podskoczyła zastawa, a elegancyści sąsiedzi podnieśli wzrok.

- Niech pan teraz nie zaczyna mieszać! Mark obiecał skończyć ten kurs. Honor zobowiązuje go do...

- Do wierności wobec własnego talentu i gustu, tak?

- dokończył za nią Cole. - Obawiam się, że sam renesans, bez krzty boogie, robi z Marka nudnego chłopca.

Przyniesiono bliny. Marcella odchyliła się, kiedy kelner je nakładał.

- Mark powie to pani sam, kiedy przyjedzie w przyszłym tygodniu - oświadczył Cole. - Chciałem mu trochę przygotować grunt. On boi się trochę pani... woli.

- Co panu do tego? - odcięła się Marcella. Spojrzała na bliny, niezdolna do wzięcia choćby kęsa. - Jaka jest pana rola w tym wszystkim?

- Zostanę jego menażerem.

- A więc wszystko już zostało ustalone? - spytała. - Między Markiem a panem?

Na moment zmarszczył brwi, jakby zaskoczony. Potem zdecydował wyłożyć karty na stół i twarz mu się rozjaśniła.

- Pani Winton - zaczął. - Jesteśmy dwojgiem inteligentnych dorosłych ludzi, prawda? Mógłbym mówić godzinami

o tym, jak bardzo jestem oddany muzyce, którą gra Mark, jego niewiarygodnemu talentowi i gwiazdorstwu, i mówiłbym prawdę. Ale mamy rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty, tak? Zatem nie ma potrzeby... owijać w pierdoloną bawełnę, jak to się mówi. Szczera prawda brzmi następująco: kocham Marka!

Marcella upuściła widelec na talerz z głośnym brzękiem, patrząc na pewną twarz Ferrera.

- Nie ma pani pojęcia, jaka to ulga, wreszcie pani to powiedzieć - oświadczył z uśmiechem.

Nagle, ku swej wściekłości i zażenowaniu, Marcella wybuchnęła płaczem. Cole podsunął szybko dużą białą chustkę, którą przyjęła, wzdrygając się na jej silny zapach paczuli, i otarła oczy.

- To najokropniejszy moment w moim życiu - powiedziała. Próbowwała walczyć ze łzami, ale nie przestawały płynąć. Całe jej życie zmierzało do tej idiotycznej chwili; siedziała w pretensjonalnej restauracji ze znienawidzonym mężczyzną, który oznajmiał, że kocha jej syna. Błagała ojca o opłacanie lekcji muzyki dla Marka, kupiła mu fortepian, wspierała go podczas wszystkich egzaminów, poświęciła Santiago, doprowadziła do tego, że przyjęli Marka we Włoszech, a teraz ten wysoki, drwiący człowiek stał im na drodze. Oddała Cole'owi chustkę, z trudem przełykając ślinę.

- Zazwyczaj nie płaczę w miejscach publicznych - powiedziała. - Ale sensem całego mojego dotychczasowego życia było... - Urwała. Może nie należało apelować do współczucia Cole'a Ferrera? Przełknęła i zaczęła od nowa. - Czy to jest pański taktowny sposób informowania mnie, że mój syn jest... homoseksualistą?

Pogratulowała sobie w duchu, że w ogóle udało jej się wymówić to słowo.

Cole zareagował zmęczonym wzruszeniem ramion.

- Myślę, że Mark nie jest jeszcze gotowy do zdeklarowania się w jakikolwiek sposób. Ani, czego głęboko żałuję, do kochania kogokolwiek. - Wypił łyk wina i zaśmiał się. -Czyż to nie absurdałne i fantastyczne? Jakie wiktoriańskie! Czuję niemal, jakbym prosił o rękę Marka!

- Nie... - Wmusiła w siebie nieco szampana. - Pan chce wziąć w posiadanie jego życie. Zrujnować mu życie pańską „miłością”. Gdyby naprawdę go pan kochał, pragnąłby pan, żeby Mark prowadził normalne, pełne życie.

- Mark ma dopiero dwadzieścia lat - zauważył Cole. - I mnóstwo czasu na poznanie siebie. Moje pierwsze seksualne doświadczenie przeżyłem dopiero w wieku dwudziestu pięciu lat.

Błysnęła gniewnie oczami.

- Pańskie życie seksualne to ostatnia rzecz, jak mnie interesuje!

- Szkoda... - uśmiechnął się Cole. - Uważam, że jest fascynujące, ale ma pani rację, nie o tym mamy tu rozmawiać. Poza tym, za bardzo szanuję Marka, żeby wpychać go na siłę w jakąkolwiek formę. Gdyby się od pani uwolnił, moglibyśmy wspólnie odkryć, czego dokładnie pragnie od życia.

- A on panu tego nie powiedział?

- Mark ma dziwnie mało do powiedzenia na temat swoich pragnień. Obawiam się, że w pewnym stopniu okradła go pani z wolnej woli. Oczywiście, całkiem nieświadomie. - Spojrzał z troską na jej nie tknięty talerz. - Nie ma pani ochoty na bliny? Wymienią je, jeśli pani zechce.

- Zupełnie straciłam apetyt - odparła Marcella. Cole jadł żarłocznie.

- Mark dusi się w cieplarnianej atmosferze pani domu - mówił. - Jest niezdrowa, brak tam powietrza. Niech mu pani pozwoli odejść, pani Winton. Nawet pisklęta muszą w końcu opuścić gniazdo. Matka zazwyczaj je lekko popycha. Tylko tak mogą nauczyć się latać...

- Sądzi pan, że Mark od pana nauczy się latać? - spytała, starając się zawrzeć w spojrzeniu całą pogardę, jaką czuła do Ferrera.

Musiał ją dostrzec, ponieważ drgnął. Kończył bliny, a Marcella przyglądała mu się i serdecznie życzyła, żeby się nimi udławił.

- Zostanie największym pianistą tej epoki, biorąc pod uwagę zarówno czarnych jak i białych! - obiecał. - Dwie

firmy płytowe aż się rwą, żeby podpisać z nim długoterminowe umowy, są gotowe zapłacić do miliona! Mark osiągnąłby niezależność finansową. To najszybszy sposób dorastania!

- Tak się składa, że się pan myli - zauważyła. - Sonia jest ode mnie niezależna od wielu lat, a nadal jest niezwykle niedojrzała jak na swój wiek.

- Niech i tak będzie. - Rozłożył ręce. - Próbuję tylko ułatwić trochę sprawę pani i Markowi.

- Z dobroci serca? - spytała.

- Także dlatego, że cieszy mnie możliwość ukształtowania wspaniałego artysty: subtelnego interpretatora Gershwi-
na, Portera i Kerna.

- A mnie się podoba sposób, w jaki Mark gra Chopina, Bacha i Debussy'ego! - powiedziała.

- Pani jest zakochana w wizji Marka, wychodzącego w białej muszce i we fraku na scenę Carnegie Hall, witanego
brawami pełnej uwielbienia publiczności. Może osiągnąć to i jeszcze więcej!

Marcella zmusiła się, by usiąść prosto na krześle.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli jeszcze o czym rozmawiać - powiedziała. - Mark musi zdecydować, jak chce żyć, a kiedy
przyjedzie, oczywiście porozmawiam z nim o wszystkim. Jeśli wybierze pańskie... pomysły, chyba będę zmuszona
się z tym pogodzić.

Cole uniósł brwi.

- A zatem jest pani potwornie konserwatywna? Pomimo swoich książek?

- Chyba tak. - Podniosła się. - Nie, proszę nie wstawać. Niech pan skończy lunch. Muszę wyjść na świeże powietrze.
Przepraszam.

Poszła szybko do drzwi, które kelner przed nią otworzył. Cole wstał do połowy, patrząc za Marcellą, a serwetka
zsunęła mu się z kolan jak biały kot.

Kiedy Mark zadzwonił, by podać Marcelli godzinę swego przylotu na lotnisko Kennedy'ego, mówiła opanowanym
głosem, chociaż gniew narastał w niej od lunchu z Cole'em. Najbardziej wściekał ją fakt, że musiała siedzieć
naprzeciw-

ko Cole'a Ferrera, kiedy ten mówił Marcelli o miłości do jej syna. Mark powinien ją być przed tym ochronić.

- Wyjdę po ciebie - powiedziała. - Pomyślnego lotu. Nie potrafiła włożyć serca w udekorowanie mieszkania.

Poukładała tylko w pokoju świeże gałązki jemioli i ostrokrzewu, napełniła szklane misy srebrnymi bombkami, a pod maleńką sosenką położyła prezenty dla Marka, Soni, Donalda i jego rodziny.

Gwiazdka zawsze wywoływała w Marcelli mieszane uczucia - z jednej strony kochała wszystko, co się z nią wiązało, z drugiej tęskniła za rodzicami, żałowała, że nie ma dużej rodziny, z którą mogłaby spędzać święta. W tym roku przeważały negatywne aspekty. Zaprosiła Sonię, zostawiając jej nagraną wiadomość, na którą córka nie odpowiedziała. Mark postanowił przylecieć w Wigilię. Donald zawiózł Marcellę na lotnisko, a tam dowiedziała się, że lot był opóźniony o godzinę. Siedziała w barze, sącząc martini i starała się robić to z uśmiechem.

Mark wyglądał na wykończonego, gdy z dużą torbą przechodził przez kontrolę celną. Rzucił bagaż na ziemię, rozłożył ramiona, a Marcella, wbrew sobie, przytuliła syna.

- Kochanie, jesteś taki blady. Czy to *maestro* tak cię wykończył?

- Myślę, że sam się wykończyłem. - zaśmiał się Mark. - Chyba potrzebna mi przerwa. Jak się czujesz?

- Och, w porządku.

Ruszyła do czekającego na nich samochodu. Kiedy tylko usiedli na tylnym siedzeniu, okrywając kolana pledami, powiedziała:

- W zeszłym tygodniu jadłam lunch z Cole'em Ferrerem. Mark wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a Marcella odczuła nagłą ulgę. Przynajmniej nie był to jego pomysł.

- Jak poszło? - spytał. - Czy skończyły się wam tematy do rozmowy?

- Obawiam się, Mark, że skończyła mi się cierpliwość. Jak mogłeś postawić mnie w takiej sytuacji? - spytała, zamykając szybę oddzielającą ich od Donalda. - Zawsze sądziłam, że potrafimy się porozumiewać bez pośredników.

Poza

tym mogłabym się obejść bez wysłuchiwania od jakiegoś mężczyzny, że kocha się w moim synu! Mark zaśmiał się głośno.

- Czy to właśnie powiedział? Ależ to śmieszne! Cole nie potrafi kochać nikogo poza samym sobą. I może swoją siarczystą matką. To groteska!

- Czy ty go kochasz, Mark? - spytała, patrząc synowi w oczy.

- Nie myślę w tych kategoriach - odparł, spotykając jej wzrok. - To znaczy, Kocham cię jako matkę, ale poza tym nie ma w moim życiu człowieka, którego bym kochał. Ogromnie szanuję Cole'a. Lubię go, jak się lubi bliskiego przyjaciela

- On chce zrobić z ciebie miniaturę samego siebie - powiedziała Marcella. - To właśnie mnie przeraża i brzydzi.

- Rozumiem... - Mark podparł dłoń podbródek i wyglądał przez okno. - A więc on cię przeraża i brzydzi?

- Tego nie powiedziałam! - krzyknęła Marcella. - Ale co ty znajdujesz w nim tak pociągającego i godnego podziwu?

- Cole wierzy w mój talent - odparł cicho Mark. - Pomaga mi stać się bardziej... sobą. Pokazuje mi, że na świecie istnieją inne rzeczy poza tobą i mną...

- Och, dziękuję ci! - zawołała sarkastycznie Marcella.

- Kiedy byłam z Santim, czy nie mówiłam ci, że świat nie kręci się wokół ciebie?! To ty nie mogłeś beze mnie żyć!

- Wiem. - Mark zamknął oczy. - Wiem... ale teraz dorastam, mam nadzieję, że staję się w pewien sposób dojrzały...

- Miałam w stosunku do ciebie takie plany, Kochanie - powiedziała - Masz przed sobą wielką karierę klasycznego pianisty. Dlaczego bez przerwy ze mną walczysz? Czy wiesz, jaki to zaszczyt być przyjętym przez Gianniego? Ilu studentów....

- Gershwin znaczy dla mnie znacznie więcej niż Chopin

- oświadczył Mark, szukając jej wzroku. - Co mogę na to poradzić?

Oparła się na siedzeniu, zapalając papierosa. Przed nimi zamigotała w mroku linia zabudowań Manhattanu.

- Ty i ja zamknęliśmy się przed światem, mam. Tylko my dwoje, zawsze tylko my dwoje...

- To słowa Cole'a, nie twoje. - Marcella odwróciła się do syna. - Mark, jakiego znałam, kochał nasze wspólne życie! Nie potrzebujesz Cole'a Ferrera, Mark! Pracowałeś tak ciężko, by dojść tu, gdzie jesteś, jak możesz to odrzucić? Parę płyt ze starymi piosenkami, parę tras koncertowych, a potem zapomną o tobie jak o zeszłorocznym śniegu! Kariera klasyczna trwa całe życie...

- Ale nikt mnie nie pytał, czego ja chcę - powiedział cicho Mark. Wpatrywał się w matkę intensywnie niebieskimi oczyma. - Robiłem tylko to, czego ty chciałaś. Teraz odkrywam własny gust i widzę, że wolę jazz. To znacznie bardziej podniecające niż odbębniać w kółko te same stare utwory klasyczne. W jazzie muzyka jest przygodą. Muszę mieć możliwość improwizacji.

- Skończ ten rok - powiedziała. - Jeśli w przyszłym będziesz czuł to samo...

- Nie! - krzyknął Mark. Popatrzyła w jego niebieskie oczy i zobaczyła, jak coś w nich pęka. - Nigdy ci się nie sprzeciwiałem. Byłem twoim dzieckiem przez dwadzieścia lat. Teraz muszę dorosnąć. Nie lubię grać Chopina, mamo. Rozumiesz? Lubię grać Gershwina i innych kompozytorów piosenek...

Wzdrygnęła się, dotknięta jego słowami, kuląc się, jakby uderzył ją w żołądek.

Mark spojrział bezradnie na matkę.

- Mamo, życie nie zawsze układa się tak, jak je sobie wyobrażasz. Boże, ty pierwsza powinnaś zdać sobie z tego sprawę. Spójrz na nas: co z nas wyrosło? Sonia to świruska. Mam w Bogu nadzieję, że ja taki nie jestem, ale jeśli tak, to twoja wina. Od dnia, kiedy nauczyłem się mówić, zawsze byłaś przy mnie, dawałaś mi tyle miłości, sprawiałaś, że tak bardzo cię potrzebowałem. Teraz jestem uczuciowo sparaliżowany! Nie wiem, czego naprawdę chcę. W Bolonii jest piękna dziewczyna, która się we mnie zakochała. Ja też chciałbym ją kochać, ale nie potrafię dawać nic w zamian! Czy wiesz, jakie to uczucie?

Spojrzał na nią z rozpaczą, a Marcelli ścisnęło się serce.

- Wciąż cię potrzebuję - powiedział cicho. - Może nie

uda mi się przeprowadzić mojego planu, ale muszę spróbować. Donald! - Otworzył szklaną przegrodę, a Donald odwrócił głowę. - Zatrzymaj ta, proszę!

Dojechali do Piątej alei przy ulicach siedemdziesiątych. Mark otworzył drzwiczki.

- Mark, poczekaj! - Złapała go za rękaw. - Sprawiasz, że mówię jak potwór, a chciałam tylko twojego dobra!

- Wiem - krzyknął. - Dlatego to takie trudne! - Chwycił swoją torbę, rozpiął ją na chodniku i wyjął zapakowany prezent.

- Proszę... - Rzucił go Marcelli. - To dla ciebie. Wesołych Świąt.

Zatrzasnął drzwiczki i klepnął w samochód, dając znak Donaldowi, żeby ruszał.

Marcella opuściła okno; jechali Piątą aleją, zrównując się z Markiem idącym długim, zdecydowanym krokiem.

- Dokąd idziesz? - krzyknęła. - Przygotowałam dla nas w domu Gwiazdkę. Nie pojechałam z Amy na Bermudy, żebyśmy mogli spędzić...

- W tym roku spędzam święta z Cole'em, zgoda? - Spojrzał na nią z ukosa. - W porządku? Mam na to pozwolenie?

Marcella cofnęła się, jakby ją uderzył. Zamknęła okno, a łzy popłynęły jej po twarzy. Samochód nabrał prędkości, zostawiając Marka w tłumie przechodniów na Piątej alei.

Po taktownej pauzie Donald zapytał:

- Czy chce pani wracać do domu, pani Winton?

- Nie - szepnęła, ocierając oczy. - Nie. - Spojrzała na zegarek. Była piąta. Nie mogła wrócić do domu. Wzięła głęboki wdech, próbując myśleć. - Zawieź mnie na róg Siódmej alei i Pięćdziesiątej siódmej ulicy i wróć tam po godzinie.

Poszła szybko do Członków. W ciemnościach wyciągnęła rękę do młodego mężczyzny, niemal tak młodego jak Mark. Zdawało się, że kino wyczuwa jej pragnienie: blask ekranu oświetlił równo ostrzyżonego młodzieńca w typie ucznia szkoły przygotowawczej do college'u. Usiadł obok Marcelli, rozglądając się po rzędzie, w którym wybrała miejsce. Oparła się wygodnie, dostępna. Nowością było trzymać w dłoniach miękką głowę, pieścić młody kark.

Wahające się

dłonie, dotykające jej tak ostrożnie, podniecały ją tego dnia bardziej niż pewny uścisk doświadczonego mężczyzny. Jego dłoń poruszała się delikatnie między nogami Marcelli, kiedy szepnął jej na ucho:

- Co robisz w święta?

Marcella uśmiechnęła się ponuro do siebie.

- Nic specjalnego - odparła.

Czasami, podczas tych spotkań w mroku, mężczyźni lubili rozmawiać. Może w celu stworzenia iluzji, że to prawdziwy związek, a nie dwoje obcych dotykających się w ciemności.

- Chciałabyś spędzić ze mną Boże Narodzenie? - szepnął, delikatnie pieszcząc kark Marcelli.

- Co byśmy robili? - odparła, podejmując grę.

Ujął jej dłoń i położył sobie między udami. Ku jej zdziwieniu, był wiotki.

- Pieprzyłbym cię przez cały dzień - powiedział. - Uwielbiałabyś to, co?

Marcella nie odpowiedziała. Zsunęła dłoń z jego kolan, po czym rozejrzała się na boki, w poszukiwaniu fotela, na który mogłaby się przesiąść.

- Czy to by ci się nie podobało? - ponaglił, zaciskając dłoń na jej szyi. - Przyprowadziłbym kilku przyjaciół i razem byśmy cię grzmocili.

Kiedy obcy zacisnął dłoń na jej karku, poczuła ukłucie strachu. Zawsze sobie obiecywała, że jeśli kiedykolwiek spotka ją w tym miejscu coś podejrzanego, nigdy więcej to nie wróci. Chyba nie miało się to stać akurat tego dnia?

Wzięła płaszcz z sąsiedniego fotela i spróbowała wstać.

- Muszę iść - szepnęła.

- Poczekaj! - Chwycił ją za włosy. - Nie chcesz, żebyśmy cię grzmocili grupowo w Boże Narodzenie?

- Puść mnie.

Spróbowała odsunąć głowę, ale obcy szarpnął ją mocno za włosy, przyciągając głowę Marcelli z powrotem do oparcia fotela.

- Powiedz mi, ty pruderyjna dziwko! - syknął. - Powiedz, jak bardzo byś chciała, żeby cię grupowo wygrzmocić!

Usiłowała zachować spokój, zobaczyć, ile osób znajduje

się w kinie. Niewiele. Czy gdyby zaczęła krzyczeć, wezwano by policję, czy dostało by się to do gazet? Nie mogła dopuścić do takiego rozgłosu.

- Powiedz mi! - ponaglił napastnik.

- Dobrze. - Próbowwała mówić spokojnie. - Bardzo bym chciała zostać grupowo wygrzmocona przez ciebie i twoich przyjaciół, a teraz puść mnie, bo jestem umówiona.

- O, jesteś umówiona? - szydził.

Znowu odciągnął jej głowę do tyłu; miała tak napiętą szyję, że z trudem przełykała. Zachłysnęła się, wodząc gorączkowo oczami dookoła. Ponownie gwałtownie szarpnął jej głowę, a po twarzy Marcelli popłynęły łzy bólu; czuła, że wrywał jej włosy z cebulkami. Wyciągnęła rękę i położyła między jego udami.

- Właśnie, zrób tak, żeby stanął! - polecił, odchylając się na fotelu i zamykając oczy.

- Może go wyjmiesz? - szepnęła. - Poczujesz się znacznie przyjemniej, kiedy wezmę go do ręki...

Rozpiął spodnie, puszczając Marcellę na chwilę, a ona okręciła się i z całej siły uderzyła go pięścią w krocze. Napastnik zwinął się z bólu, a Marcella rzuciła się do wyjścia. Pobiegła krętym korytarzem pełnym luster do foyer, do windy, wielokrotnie nacisnęła guzik, przerażona, że obcy może być tuż za nią. Drzwi windy zamknęły się, a Marcella podziękowała Bogu. Na ulicy otuliła się płaszczem przed lodowatym wiatrem; jej twarz wciąż płonęła lękiem. Idąc, dotknęła ostrożnie bolącej głowy, wyciągnęła garść włosów. Zatrzymała się przy pojemniku na śmieci, chwyciła się zimnej metalowej krawędzi, żeby się uspokoić, wyrzuciła włosy, nachyliła się, walcząc z mdłościami. No, nareszcie się to stało - myślała. Koniec pewnej ery w jej życiu, znak, że skończyło się jej szczęście w tym kinie. Czas odciąć tę niezdrową część życia i zacząć żyć jak przyzwoita kobieta. Gdy się wyprostowała, poczuła go nagle za sobą, usłyszała jego głos, kiedy chwycił ją mocno za ramię.

- Walenie w jaja, to nieładna sztuczka. Dopilnujemy, żebyś pożałowała!

- Proszę! - załkała, potknęła się o krawężnik, prawie przewracając ich oboje.

Brutalnie szarpnął ją w górę. Minęła ich jakaś kobieta, lecz nie zwracała na nic uwagi, a Marcella krzyknęła:

- Przepraszam!

Napastnik odciągnął ją szybko. Niemożliwie, żeby ją to spotkało - chyba nie w biały dzień!? Na oczach tych wszystkich ludzi? Obcy ciągnął ją za sobą, a Marcella ostrzegła go drżącym głosem:

- Jeśli mnie nie puścisz, zacznę krzyczeć. Mężczyzna zaśmiał się.

- Myślę, że straciłabyś więcej, gdyby się dowiedzieli, na co mi pozwalałaś w tamtym kinie. Pozwalałaś mi dotykać swojej cipy i uwielbiałaś to. Chciałaś tego i, kurczę, nie zawiodę cię!

Chwiejnie dotarli do Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, mijając bezdomnego nędzarza, dziecko i staruszkę. Nikogo, kto mógłby jej pomóc.

- Mam trochę pieniędzy - zaproponowała. - Zapłacę ci, żebyś tylko zostawił mnie w spokoju!

Wyrwała rękę i na moment się uwolniła, ale zanim zdążyła uciec, złapał ją znowu za ramię.

- O, będziesz błagać - powiedział. - Będzie mi się podobało, kiedy zaczniesz błagać. Będziemy się zmieniać z kolegami, posłuchamy, jak błagasz o więcej!

- Ty mała gnido! - Nie mogła się powstrzymać, żeby go nie zelżyć. - To właśnie cię rajcuje? Znęcanie się nad kobietami?

- Zobaczysz, co mnie rajcuje. - Zaśmiał się. - Dziś w nocy, z chłopcami i z tobą. Teraz chodź szybciej... - Kopnął Marcellę kolanem. - Możesz iść znacznie szybciej, ty pruderyjna kurwo!

Skręciła kostkę, przewróciła się, chwyciła się tego mężczyzny, prawie klękając na chodniku.

- Nie mogę! - zatkała.

- Pani Winton! - Głos Donalda zabrzmiał jak wołanie anioła z nieba.

Granatowy Rolls stał na rogu, a Donald wyglądał przez otwarte okno.

- Donald! - zwołała, przekrzykując zgiełk uliczny, czuła, że chłopak ściska ją mocniej. - Pomóż mi!

Donald wysiadł z samochodu. Sto dziewięćdziesiąt centy-

metrów imponującego ciała. Nigdy nie była tak wdzięczna sobie, że go zatrudniła. Chłopak puścił Marcellę, ale uderzył ją mocno. Upadła na chodnik, a on uciekł ulicą. Donald przebiegł przez jezdnię, kiedy pozwoliły mu na to samochody, i nachylił się nad Marcellą.

- Nic pani nie jest, pani Winton? Chce pani, żebym go złapał?

- Nie, daj mu spokój. Po prostu zawieź mnie do domu

- wykrztusiła.

Prawie zaniósł Marcellę do samochodu, gdzie ułożył jej nogi na tylnym siedzeniu.

- Chce pani, żebyśmy zawiadomili policję, pani Winton? Ujrzała nachyloną nad sobą jego zatroskaną twarz, pełną współczucia i oburzenia.

- Nie. Nie, zawieź mnie tylko do domu... Usiadł za kierownicą i ruszył.

- Co on zrobił? - spytał. - Napadł na panią na ulicy?

- Tak...

- Zabrał coś pani?

- Nie. Nie, Donaldzie. Dzięki Bogu, że tam byłeś...

- Wydało mi się to dziwne, ten facet i pani. Miałem wrażenie, że już go gdzieś widziałem. Co on zrobił? - spytał znowu. - Po prostu panią złapał?

- Tak - odparła zmęczonym głosem. - Chyba chciał mnie okraść.

- Nie powinna pani chodzić sama, pani Winton. Nie taka dama jak pani.

- Wiem. Byłam głupia. Już nigdy nie wypuszczę się tak daleko na zachód - obiecała.

Zanim dojechali do domu, doszła do siebie.

- Wejdz na górę, Donald, proszę. Chciałabym dać ci prezenty dla rodziny.

- To bardzo miłe z pani strony. Jest pani pewna, że wszystko w porządku?

- Po prostu potrzebuję drinka. - Zmusiła się do śmiechu.

- Nie napadają na mnie każdego dnia!

- O, rany. - Puścił ją przodem do windy. - To na pewno nie był pani dobry dzień, pani Winton.

Potem, zdając sobie sprawę, że powiedział trochę za dużo, że wyszedł z roli dyskretnego szofera, potrząsnął przepraszająco głową. Ale jego twarz wyrażała współczucie.

Weszli do pustego mieszkania, które udekorowała tak niestarannie, jakby wiedząc, że Mark nie spędzi z nią świąt. Spojrzała na prezenty, które dla niego przygotowała.

Drżącą ręką naląła sobie dużą szkocką. Odwróciła się do Donalda, który czekał w pobliżu drzwi.

- Czy napijesz się ze mną z okazji świąt, Donaldzie? Donald miał czapkę w dłoniach.

- To bardzo miłe z pani strony, pani Winton, ale ja nie piję. Wie pani, Stevie Wonder śpiewał taką piosenkę: *Nie pij, kiedy prowadzisz*.

- Zupełnie słusznie. - Naląła mu wody sodowej. - Ale wznieśmy przynajmniej toast za Nowy Rok!

Wręczyła szklanke, a Donald z zakłopotaniem trącił się nią z Marcellą.

- Zdrowie twojej rodziny! - wzniosła toast. Donald wypił, po czym zaproponował:

- Zdrowie pani rodziny, pani Winton. Wypili znowu.

Donald chrząknął.

- Jeśli spędza pani święta sama, z radością będziemy gościć panią u siebie.

Dotknęła jego ręki, wręczając mu dwie torby Blooming-dale'a, pełne podarunków dla żony i dzieci.

- To bardzo miłe z twojej strony, Donaldzie, ale lepiej zostanę tutaj. Mark może jednak przyjść, a wtedy chciałabym być w domu.

Donald rzucił jej spojrzenie tak pełne wątpliwości, że poczuła się w obowiązku coś dodać.

- Przechodzi przez okres buntu - usiłowała wyjaśnić. - Jestem pewna, że nie myślał tego, co mówił.

Donald wzruszył nieznacznie ramionami, jakby nie słyszał wcale ich sprzeczeki.

- Życzę pani jak najmielszych świąt, pani Winton. A gdyby zmieniła pani zdanie, zna pani mój numer telefonu.

Przyjechałbym po panią. Moja żona bardzo by się ucieszyła.

Uścisnęła mu gorąco dłoń.

- Bardzo ci dziękuję, Donaldzie. Za wszystko. Nie zapomnij swojej kartki!

Wręczyła mu kartkę świąteczną, w którą włożyła pięćset dolarów.

- Do widzenia - powiedział cicho, zamykając za sobą drzwi.

Wysłuchiwała wiadomości nagranych na automatycznej sekretarce. Jedna pochodziła od Soni, która zawiadamiała, że leci do Londynu na Boże Narodzenie i nie będzie mogła spędzić świąt z rodziną.

Poszła do salonu. Padła na sofę. Czuła zbyt wielki smutek, by płakać. Santi - myślała. - Jest Wigilia, a ja siedzę zupełnie sama. Sama w domu, kiedy wszyscy świętują. Kochałeś mnie, wiem, że mnie kochałeś. Co się stało?

Upiła się, aż osiągnęła stan zupełnego odrętwienia; napięcia i przemoc minionego dnia powoli poszły w niepamięć.

Skuliła się na podłodze salonu jak śpiąca, bezwładna szmaciana lalka.

Telefon zbudził ją o dziesiątej rano w dzień Bożego Narodzenia. Głos Amy, która dzwoniła z Bermudów, brzmiał donośnie; życzyła jej wesołych świąt. Plotkowały przez kilka minut, potem Marcella odłożyła słuchawkę i położyła się na plecach, zeszywniała po nocy spędzonej na podłodze. Jest poranek Bożego Narodzenia - powiedziała sobie. - Jeden z najcichszych dni w roku. Mam dziesięć milionów dolarów i jestem sama. To ja jestem obiektem żartu.

Zadzwoiła do swych dwóch dawnych nauczycielek, Nancy Warner i panny Woolfe, życząc im wesołych świąt; potem do Scotta MacEnvoya, składając życzenia jemu i jego rodzinie. Następnie przyszła kolej na dwie przyjaciółki z Litde Italy; wysłuchiwała ich nowin, po czym zapewniła, że u niej wszystko w porządku. Po odłożeniu słuchawki mieszkanie wydało jej się bardzo ciche, poczuła się bardzo samotna. Zawsze wierzyła, że samotność jest ważna dla pisarza, toteż nie nawiązywała nowych przyjaźni. Mężczyźni byli zbyt podstępni, a lunche w kobiecym towarzystwie nie pociągały

Marcelli. Gorsze niż samotność było to, że nie potrafiła przestać myśleć o Santim. Zastanawiała się, co robi tego dnia, i gdzie go spędza, czy w Deya czy w Barcelonie. W jej umyśle przesuwały się wspomnienia pobytu w domu w Deya: nacieranie fig oliwą, obserwowanie, jak Santi rozpała ognisko, zapach i dotyk Santiago. Czy mógł spacerować po ogrodzie, albo odwiedzać Valldemossa, nie myśląc o niej?

Dzień Bożego Narodzenia zapowiadał się pusto, ale postanowiła się nad sobą nie użalać. Nadal miała swój dar - dar komunikacji. Otrzymała przedterminowy egzemplarz niedzielnego przeglądu książek „New York Timesa”: *Na zawsze zaczyna się tej nocy* znajdowała się na pierwszym miejscu dwunasty tydzień z rzędu. Tysiące kobiet dostawały tę książkę jako prezent pod choinkę i sama ta myśl rozpogodziła Marcelle, ponieważ była takim komplementem. Powodowana impulsem, wzięła egzemplarz i napisała miłosną dedykację dla Santiago. Opakowała książkę w najpiękniejszy papier, jaki miała - ręcznie robiony papier japoński z drobinkami barwnej tkaniny - całość obwiązała szeroką atlasową wstążką. Włożyła pakunek do koperty, na której napisała adres jego barcelońskiej galerii. Może kiedy przeczyta szczęśliwe zakończenie, jakie dodała do ich historii miłosnej, zapragnie się z nią skontaktować?

Następnie rozpakowała prezent od Marka. Była to cudowna, stara kosmetyczka z koronek robionych igłą; musiał jej szukać w Bolonii godzinami. Uśmiechnęła się ironicznie na widok załączonej kartki z napisem „Kocham, Mark”. Najwyraźniej jego miłość nie przewidywała telefonu w Boże Narodzenie.

W południe, po ciepłym prysznicu i śniadaniu, nie pozostało jej nic poza pisaniem. Posłuży się swym darem komunikacji na porozumienie się z samą sobą!

Usiadła za biurkiem i znalazła swój pamiętnik, który czasem prowadziła. Pisała to, co przychodziło jej do głowy. Przelala wszystko na papier, tytułując pierwszą stronę *Czas na ocenę sytuacji*. Pisała o tym, co myśli trzydziestoosmioletnia kobieta, która osiągnęła sukces i spędza samotnie Boże Narodzenie. Pisała o swym żalu z powodu nie-

wdzięczności syna, dla którego poświęciła ukochanego mężczyznę. O nienawiści do Cole'a Ferrera; o strachu o córkę; o uczuciach związanych ze śmiercią człowieka, który kiedyś był jej mężem. Pisała o seksie w sali kinowej klubu Członkowie i o wczorajszym niepokojącym incydencie. Pisała o uczuciach do Santiago i o tym, że czuła, że ich historia jeszcze się nie skończyła, że pewnego dnia spotka go znowu. Dzielenie życia z mężczyzną znajdowało się na końcu listy jej celów, teraz, kiedy jej książki odnosiły takie sukcesy, ale Santi nauczył Marcelłę hiszpańskiego powiedzenia: „Nie możesz szukać miłości, to miłość cię znajduje”. Miłość znalazła ją, a potem zgubiła. Co miała teraz robić? Czekać cierpliwie, aż znowu ją znajdzie? Gdyby tylko mogła wprawić się w ten filozoficzny nastrój, ten stan łaski, w którym po raz pierwszy ujrzała Santiago w katedrze w Palmie. Ale nie możesz narzucić sobie tego stanu umysłu - mówiła sobie - on musi cię ogarnąć. Własnymi prostymi słowami starała się wypracować system przetrwania, sposób, w jaki kobieta taka jak ona mogła oczekiwać kolejnego dnia, nie będąc zależna od syna, mężczyzny czy nałogu - alkoholowego, farmakologicznego czy seksualnego. Tak bardzo pochłonęło ją pisanie, że zapomniała o użalaniu się nad sobą. I tak właśnie powinno być. Tak właśnie została pisarką. Zrozumiała, że praca to jedyna odpowiedź; praca i pomaganie innym na miarę swoich sił. Nade wszystko pragnęła, żeby jej książki inspirowały czytelników do jak najpełniejszego życia, tak jak MarceUę inspirowały sagi Amy. Chciała też dodać do nich nowy aspekt, który potrafiła określić tylko jako duchowy.

Nie była najmądrzejszą kobietą w Nowym Jorku ani najlepszą pisarką. Wszystko, co miała do zaoferowania czytelnikom, to pewien sposób widzenia życia, unikalną świadomość, przez którą filtrowała własne doświadczenia, skalę emocji, którą dziś zgłębiła do samego dna. Teraz pragnęła tylko spożytkować to doświadczenie, wydobyć na powierzchnię te uczucia, doradzić innym kobietom, by chwyciły szczęście, kiedy się nadarzało. Żadnych ofiar. O wpół do czwartej przerwała pisanie, by pokroić indyka,

którego upiekła. I tak wolę kanapki niż prawdziwy posiłek - przekonywała samą siebie. W lodówce leżała w celofanie nie tknięta świeża żurawina od Zanbara. Marcella siedziała w schludnej kuchni z oknami wychodzącymi na Central Park, jedząc świąteczną kanapkę i, o dziwo, czuła się prawie szczęśliwa. Otworzyła butelkę szampana, po czym naląła sobie kieliszek. Być może powinna się wstydzić swego życia, ale czuła dziwną dumę. Nikogo nie skrzywdziłam - pomyślała. - To już jest dokonanie. Potem jednak przypomniała sobie twarz Santiago, kiedy rozstawali się przed osiemnastoma miesiącami. Nieprawda, kogoś skrzywdziła. Skrzywdziła go tak, że ani razu do niej nie napisał.

Dolała sobie szampana. Jeśli naprawdę miała rozpocząć życie od nowa, musiała się z kimś spotkać: z tym dziwnym niskim wróżbitą z Broadwayu, który, przed kilkoma miesiącami, w gorący wrześniowy wieczór, ostrzegł ją przed niebezpieczeństwami grożącymi jej rodzinie.

Zrozumiała, że to szalony pomysł, ale właściwie odpowiednio błazeński jak na to bożonarodzeniowe popołudnie, po zjedzeniu świątecznej kanapki! Postanowiła odszukać dom wróżbity, zadzwonić i sprawdzić, czy jest w domu. Jeśli okaże się, że wyszedł albo jest zajęty, po prostu zawróci. Jeśli będzie miał wolny czas, przydadzą jej się aktualne informacje o przyszłości. Była już na lekkim rauszu, kiedy założyła futro z norek i wyszła.

Boże Narodzenie rozpostarło nad Manhattanem swą dziwną ciszę. Nie było sensu udawać, że to taki sam dzień jak inne. Ludzie wyglądali inaczej, ruch był niewielki, wydawało się, że ulice pokrywa zimna, metaliczna szarość.

Wtulila się w norki, przechodząc przez Columbus Circle. Kilku bezdomnych skupiło się wokół ognia rozpalonego w pojemniku na śmieci.

- Wesołych Świąt! - krzyknęli do niej, a zmartwiona twarz Marcelli rozjaśniła się w uśmiechu.

Wydawało się jej, że ci ludzie cieszą się tym dniem znacznie bardziej niż ona. Podeszła i wręczyła każdemu z bezdomnych po pięć dolarów.

- Niech cię Bóg błogosławi! - powiedział jeden z nich, co zabrzmiało dziwnie w ten smutny dla niej dzień. Czy pozna ten kiczowaty budynek? Pamiętała ogromny żyrandol, zbyt duży jak na rozmiary hallu. Szła w górę Broadwayu, minęła Lincoln Center, przeszła obok jedynej otwartej kawiarni pełnej ludzi. Znalazła ten dom, pretensjonalnie nazwany Siedzibą Lincolna. Zwróciła się do portiera, opisując mu niskiego człowieka o rozwiniętych mięśniach i falujących, czarnych włosach, który mieszkał na jednym z górnych pięter i przepowiadał przyszłość. Czują się komicznie.

- Nie pamięta pani jego nazwiska? - Zmarszczył brwi.

- Coś bardzo włoskiego, jak Balducci, Ricconi, Grissini. Zaśmiała się.

- Palozzi? Charles Palozzi?

- To on! - krzyknęła Marcella, czując się jak detektyw.

- Piętnaście-A - poinformował ją portier. - Czy mam panią zaanonsować?

- Chyba tak będzie lepiej.

- Kogo mam zapowiedzieć? - spytał, kręcąc numer.

- Panią Winton.

Spojrzała na zegarek. Była piąta trzydzieści i zaczynało się ściemniać.

- Cześć, Charles? Pani Winton do ciebie. - Zmarszczył brwi, oddając Marcelli słuchawkę. - Chce z tobą mówić.

- Charles? Przepraszam, że zawracam panu dziś głowę. Pewnie mnie pan nie pamięta, ale wróżył mi pan z kart kilka tygodni temu. Miałam buty od Chanel.

- O, dobrze wiem, kim pani jest! - Rozległ się nosowy głos, cudownie znajomy, jakby był to jej ostatni przyjaciel w Nowym Jorku. - Właśnie pieczemy indyka. Chce pani wpaść?

- Jest pan pewien, że w niczym nie przeszkadzam?

- Nie, w Boże Narodzenie wszyscy są mile widziani! Piętnaście-A. Zapraszam!

W windzie zastanawiała się, kto mógł u niego być. Pewnie inny, przesadnie umięśniony mężczyzna - pomyślała. To będzie jej najdziwniejsze Boże Narodzenie, ale lepsze to niż samotne siedzenie w domu. Poza tym, chciała, żeby powróżył jej z kart.

Charles miał na sobie obcisły, czarny smoking i czarną muszkę. Pomagały mu jego dwie siostry, olbrzymie kobiety po trzydziestce, które przedstawił z powagą. Rosella i Andrea. Wiązali indyka, przegryzając serem, orzechami i oliwkami, a mężowie sióstr siedzieli w salonie, cicho rozmawiając.

- Jestem pewien, że obaj dopiero co wyszli z więzienia!

- szepnął Charles, zapraszając Marcelłę do przedpokoju i wieszając jej futro. Bez przerwy wybuchał konwulsyjnym śmiechem, zatykając usta dłonią. - Moje siostry odpisały na ich ogłoszenia towarzyskie w „The Village Voice”!

Proszę wejść i przyjrzeć im się dobrze. - Zachichotał. - Po prostu można umrzeć!

Marcella została przedstawiona w salonie dwóm Kubańczykom. Sprawiali wrażenie niegroźnych; przywitali się z Marcellą i uścisnęli jej rękę. Mimo że Charles miał na sobie smoking, a siostry zwiewne, szyfonowe suknie przypominające namioty, mężczyźni wystąpili w dzinsach i swetrach, jakby nie zdawali sobie sprawy, że jest Boże Narodzenie.

Charles otworzył lodówkę i machnął przed Marcellą blisko dwulitrową butelką Mögt et Chandon.

- Widzisz to? - spytał Marcelłę. - Sto dwadzieścia dolców za butelkę! Dla mojej rodziny tylko to, co najlepsze!

- Podeszedł bliżej i szepnął. - Będziesz się dobrze bawić!

- Jakie piękne futro - odezwała się Rosella z hallu, gładząc norki Marcelli. - Usiądź z nami, jedzenia starczy dla wszystkich!

- Tak, a jeśli nie starczy, nie zaszkodzi, jeśli zjesz trochę mniej! - odkrzyknął Charles.

Rosella, ponad sto kilo żywej wagi, warknęła:

- Niewyparzona gęba! - i popchnęła brata z uczuciem.

- Rosella prowadzi taksówkę - oznajmił z dumą Charles.

- Tylko w nocy! - uzupełniła z kuchni Rosella. - W dzień pracuję dla Urzędu Miejskiego.

Z jakiegoś powodu Marcella czuła, jakby oczekiwano tu na jej przyjście. Charles otworzył piekarnik, by sprawdzić indyka.

- Gotowy? - spytał, po czym powiedział przez ramię:

- W święta to mieszkanie zamienia się w dom otwarty. Ralph i Ricky Lauren, Calvin i Kelly, Christian Lacroix

z żoną... wszyscy zapowiedzieli, że mogą wpaść, więc mam pełno jedzenia!

Były to ostatnie wypowiedziane słowa, po których zaczęli nakładać potrawy i ucztować, podając sobie papierowe talerze pełne indyka, sałatki z kapusty, słodkich ziemniaków, żurawiny i sosu. Mężowie milczeli; wszyscy jedli z powagą, żując indyka, sięgając po sól i pieprz. Charles idealnie pełnił rolę gospodarza: otwierał szampana, nieustannie dolewał gościom, opowiadał ploteczki ze świata mody, które najwyraźniej nie bawiły sióstr ani ich mężów.

Natychmiast kiedy pochłonięto dokładki, zaczął się niezmierny harmider: obie grube kobiety wcisnęły się do ciasnej kuchni, by zmywać naczynia i odstawić je do nowiutkich szafek Charlesa. Mężowie oglądali w telewizji mecz piłkarski, bekając i dłubiąc w zębach. Obiad trwał może kwadrans.

- To pierwsze rodzinne święta, które urządzam w domu

- oznajmił z dumą Charles, kiedy siostry pracowały w kuchni.

Spojrzał na mężów, którzy wyglądali, jakby mieli zasnąć, i przewrócił oczami.

- Charles, głupio mi, że proszę cię o to w taki dzień, ale czy mógłbyś powrócić mi znowu z kart? - spytała Marcellą.

- Ostatnim razem tak niesamowicie trafiłeś w dziesiątkę. Bardzo chciałabym wiedzieć, co zobaczysz dzisiaj.

- Chcesz, żeby ci powróżyć? - Twarz Charlesa pojaśniała. - Jasne. Ale musimy to zrobić w sypialni. - Rzucił spojrzenie siostrom. - Byli więźniowie psują wibracje.

Poszła za nim do dużego pustego pokoju, gdzie nie było nic poza stertą magazynów mody i czarnym łóżkiem.

Charles wyjął talię kart do tarota, dał ją Marcelli do potrzymania i usiadł na łóżku.

- Moja stawka poszła w górę. - Spojrzał na nią z niepokojem. - Będę musiał wziąć od ciebie, no, ze dwieście. Święta i w ogóle. Gotówką.

- W porządku. - Skinęła głową.

Przyglądał się Marcelli, wodząc językiem po szparze między przednimi zębami.

- Podoba ci się ten smoking? - spytał. Wstał i okręcił się przed nią. - Założę się, że tamci dwaj nigdy w życiu nie

widzieli smokingu od Giorgio Romano. Tysiąc dwieście w detalu.

- Pasuje jak ulał - pochwaliła, starając się patrzeć z podziwem.

Wzruszył ramionami i znów usiadł.

- Musieli go dla mnie przerobić. Przyzwyczajają się do tego, prawda?

- Oczywiście - przyznała.

Wziął od niej karty, a Marcella patrzyła, jak rozkłada je ostrożnie na czarnym łóżku.

- Jakie masz dzieci? - spytał.

Znowu zmienił głos, nadając mu bezbarwny ton. To zbyt autentyczne jak na sztuczkę - pomyślała. Albo miała do czynienia z największym aktorem świata, albo Charles rozaczał swego rodzaju aurę psychiczną. Spojrzała na niego, czując, jak zdejmuje ją chłód.

- One... ja... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Widzę je w tak dziwnych okolicznościach - powiedział - Kto to jest Sheila?

- Sonia - poprawiła go.

- No tak, Sonia. Czemu zawsze nazywam ją Sheilą? Ponieważ takie imię chciał jej nadać Harry.

- Naprawdę napyta sobie sporej biedy - mówił. - Gra w swego rodzaju rosyjską ruletkę, ale nie dokładnie w nią. Nie chodzi o rewolwer, ale coś metalowego, stalowego, równie groźnego.

- Co z moim synem? - krzyknęła Marcella.

- On też ma kłopoty. - Charles zmarszczył brwi, ale jego oczy nie patrzyły ani na karty, ani na nią. Wpatrywał się w pustą ścianę obok łóżka, jakby oglądał film. - Nie musi umrzeć. Możesz go uratować!

- Nie! - Marcella nachyliła się, kładąc dłonie na potężnych ramionach wróżbity o wiele za szerokich jak na jego wzrost Potrząsnęła Charlesem. - Dlaczego to mówisz? Powiedziałeś to już wtedy! Przestań mnie straszyć! Co naprawdę widzisz?

Opuścił głowę, przyglądając się kartom. Kiedy znowu podniósł na nią wzrok, miał swą zwykłą, beztroską minę, przesuwając językiem między przednimi zębami.

- Coś nie w porządku? - spytał. - Nie powinnaś mnie dotykać, kiedy wróżę. Zapomniałem ci o tym powiedzieć.

- Te rzeczy, które mi mówisz! - wykrztusiła Marcella. - Jesteś ich pewien?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale lepiej w nie uwierz, bo zawsze mam rację. Ludzie do mnie wracają. Ty też wróciłaś!

- Co jeszcze widzisz? - spytała zmęczonym głosem. Spojrzał na nią ostro.

- Słuchaj, mogę ci wróżyć, ale mnie nie dotykaj, dobrze?

- Przepraszam.

Przez kilka minut studiował karty, a jego głos znowu się zmienił.

- Tam, gdzie jest twój syn, jest bardzo gorąco - wymamrotał. - Boże, ale gorąco! On nie czuje się dobrze!

Marcella skinęła głową. Mark sprawiał wczoraj wrażenie chorego. Postanowiła schować dumę do kieszeni i zadzwonić do Cole'a, żeby porozmawiać z synem. Po prostu sprawdzić, jak się miewa.

Charles zebrał karty, jakby jego praca dobiegła końca.

- Wygląda na to, że według ciebie obojgu moim dzieciom zagraża niebezpieczeństwo - powiedziała.

- Ach tak? - Uniósł brwi i usiłował nadać twarzy wyraz troski. - Cóż, karty zmieniają się codziennie. Niemal co godzinę. Gdybyś przyszła jutro, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Wzdrygnęła się, wyjmując z torebki dwieście dolarów. Przeprosił ją, przyjmując banknoty.

- Przykro mi, że biorę tak dużo, ale jest Boże Narodzenie i w ogóle, musiałem opuścić gości...

- W porządku - odparła wstając.

Kiedy wracali wąskim przedpokojem do salonu, zachichotał i szepnął:

- Co sądzisz o moich siostrach? Myślisz, że wybrały właściwych mężczyzn? Stale błagałem Rosellę, żeby poszła na dietę, dzięki czemu mogłaby poznać mężczyzn wyższej klasy. Mam rację?

Marcella zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad taktowną odpowiedzią.

- Wyglądają bardzo miło - powiedziała. - Muszę już iść. Nie powinnam była tak do ciebie wpadać.

- Rosello! - krzyknął Charles. - Przynieś futro pani Win-ton!

- Moja córka mówiła mi, że czasem cię odwiedza - przypomniała sobie nagle Marcella.

- Ach tak? A kto jest twoją córką? - spytał, kiedy Rosella wyszła z małego hallu, gładząc futro.

- Sonia - powiedziała Marcella. - Sonia Winton.

- Sonia to twoja córka? - Charles otworzył szeroko oczy. - Dziewczyna Caresse? Uwielbiam ją. - Podskoczył z radości. - Mówiła, że tu była. Nie pamiętam. Musiała inaczej wyglądać. Czasem ludzie nie podają mi prawdziwych nazwisk... jakby mnie sprawdzali, rozumiesz?

Skinęła głową.

- Marcello! Gdzie znalazłaś takie futro? - spytała Rosella, pomagając jej założyć norki. - Musiało kosztować majątek, co?

- Kupię ci takie na przyszłą Gwiazdkę - obiecał Charles.

- Dziękuję bardzo za cudowny obiad. - Marcella ruszyła do drzwi, a Rosella tuż obok, wciąż gładząc norki. - Pożegnajcie ode mnie wszystkich, dobrze?

Charles otworzył drzwi, Rosella uściskała Marcellę jak starą przyjaciółkę.

- Szczęśliwych Świąt - życzyła Marcelli. - Jeśli kiedykolwiek znudzisz się tym futrem, powiedz Charlesowi, żeby dał mi znać, dobrze?

Charles musiał wspiąć się na palce, żeby pocałować Marcellę w policzek. Czula absurdalne pragnienie, by przytulić się do niego i błagać, żeby wycofał swoje przepowiednie.

Było ciemno, kiedy szła przez Columbus Circus. Ludzie, którym dała pieniądze, zniknęli, zostawiwszy pojemnik na śmieci pełen dymiących popiołów. Na elektronicznej sekretarce znalazła tylko jedną wiadomość: Cole Ferrer prosił Marka o telefon. Marcellę zdjął niepokój. Spisała z nagrania numer Cole'a. Czy Marka nie było u niego? Jeśli nie tam, to gdzie był? Szybko nakręciła numer.

- „Marzę o Białym Bożym Narodzeniu...” - zaśpiewał

nagrany głos Cole'a. Marcella skrzywiła się. - „Przyozdabiam ściany gałązkami ostrokrzewu - ciągnął głos. - Jeśli złożysz mi życzenia, oddzwonię do ciebie”.

- Cole, tu Marcella Winton. Trochę się niepokoję o Marka, ponieważ go tu nie ma, a z pana telefonu wynika, że nie poszedł do pana. Proszę zadzwonić najszybciej jak się da.

Odłożyła słuchawkę i nalala sobie dużą szkocką. Pozostało jej tylko czekanie.

Sonia leżała na trzech fotelach Concorda, które miała tylko dla siebie. Udało jej się wyrwać, twierdząc, że czuje się wyczerpana, co nie było dalekie od prawdy! Leonidę nadał jej wygląd osoby chorej, posługując się swą słynną twarzą Kabuki, tym razem z domieszką zieleni. Teraz, bez makijażu, otulona liliową chustą i w ciemnych okularach, sączyła szampana, kartkowała magazyny i słuchała sygnałnego egzemplarza taśmy z nowymi nagraniami Raya.

Znała już na pamięć słowa wszystkich piosenek. Płyta, mająca się ukazać na Nowy Rok, odkrywała nowe możliwości głosowe LeVara. Nagrano ją z wielką troską i smakiem - lekko bluesowy album, który bez wątpienia sprzeda się w większym nakładzie niż jego dwie poprzednie płyty razem wzięte. Słuchając zmysłowego głosu Raya zawodzącego w słuchawkach, Sonia skręcała się z rozkoszy na myśl, że za pięć godzin znajdzie się w Londynie i w ramionach kochanka.

Samolot był pełen, ale Sonia wyciągała się komfortowo na trzech fotelach. Jaki sens mają pieniądze, jeśli się ich nie przepuszcza? Poklepała torebkę, pełną studolarówek, za które zamierzała kupić Rayowi najwspanialszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostał.

Na lotnisku Heathrow powitał ją szofer Raya.

- Gdzie Ray? - spytała, kiedy ładował jej bagaż do Bentleya.

- Jeszcze śpi, panno Soniu. - Roześmiał się. - Tutaj jest ósma rano.

Oparła się na siedzeniu, kiedy jechali przez uśpione, szare tereny podmiejskie. Zmusiła się do przypomnienia sobie, jak bardzo musiał być wykończony po koncertach. Szkoda, bo

w samolocie opłukała zimną wodą twarz i oczy, po czym nałożyła staranny makijaż, na wypadek, gdyby Ray nie spał przez całą noc, żeby po nią wyjść.

- Jak idzie tournée? - spytała, kiedy samochód zbliżał się gładko ku centrum Londynu.

- Co wieczór sprzedają wszystkie bilety, panno Soniu' - odparł szofer. - Jeszcze nigdy nie widziała pani takich scen jakie się dzieją na Wembley. Ci mali Anglicy mają być jakoby tacy łagodni i flegmatyczni? Wpadają w szal, kiedy Ray zaczyna śpiewać!

O wpół do dziesiątej zarejestrowała się jako Susan Winsor żeby zgadzało się z inicjałami na bagażu, w Montcalm' luksusowym hotelu w pobliżu Marble Arch, gdzie gwiazdy rockowe mogły liczyć na dyskrecję i wygodę. Pokazano jej apartament. Rozpakowała kilka sukieniek, po czym po-szła^korytarzem do apartamentu Raya i cicho zapukała do

- Cześć, panno Soniu! - przywitał ją cicho Elmer, otwierając drzwi. - Lot upłynął spokojnie?

Elmer i George, ulubieni współpracownicy Raya, grali w karty w małym przedpokoju. George podniósł wzrok i pomachał jej ręką. Soma wskazała na pokój Raya ruchem głowy.

- Mogę wejść? Elmer potrząsnął głową.

- On jeszcze śpi, panno Soniu. Może coś pani przynieść? Pokręciła niecierpliwie głową.

- Słuchajcie, chłopcy, może dacie mi spokój? Pozwólcie mi się wślizgnąć, żebym go mogła obudzić...

Elmer wymienił poważne spojrzenie z George'em

- Nie widzę możliwości, byśmy mogli to zrobić, panno Somu - oświadczył grzecznie George. - Ray śpi twardo, bez kajdanków. Ray me lubi, żeby go budzić, zanim się nie wyśpi. Wczoraj położył się bardzo późno.

- Czy raz nie możemy zapomnieć o pierdolonych kajdankach?! - krzyknęła Sonia. - Przyleciałam aż z pierdolonego Nowego Jorku i nie mogę nawet...

- Cśś! - uciszył ją Elmer, podsuwając Soni krzesło.

- Obudzi się za godzinę czy dwie - zapewnił, poklepując krzesło. - Bardzo się ucieszy pani widokiem. Czeka na panią od tygodnia, panno Soniu. Może zamówię dla pani śniadanie? Na co ma pani ochotę? Sok pomarańczowy? Jajka na boczku?

- Nie chcę nic do jedzenia ani do picia - odparła zdecydowanie. - Chcę tylko być z Rayem!

- W porządku, panno Soniu - uspokajał ją Elmer. - Proszę się położyć i chwilę odpocząć. Kiedy tylko Ray się obudzi, powiem mu, że pani przyjechała.

- Odpoczywałam w samolocie! - krzyknęła i wyszła z zaciśniętymi ustami.

Elmer biegł obok niej, próbując ją uspokoić. Kiedy znaleźli się na korytarzu, chwyciła go za ramię.

- Na chwilę do mojego pokoju - powiedziała nagle. Elmer obejrzał się z troską na apartament Raya, idąc za Sanią, która otworzyła drzwi.

- Usiądź - rozkazała, kiedy wszedł. Zamknęła drzwi.

- Dobra. - Stała przed nim w rozkroku. - Ile? - spytała.

- O co pani pyta, panno Soniu? - spytał cicho Elmer, a oczy mu zamigotały.

- O klucz! - krzyknęła. - O klucz do pierdolonych kajdanków! Ile chcesz za niego?

Zaśmiała się nerwowo, kręcąc głową.

- O, nie, moi państwo! Nie, moi państwo! To więcej, niż warta jest moja praca!

- Dobra. Ile warta jest twoja pieprzona praca? - spytała. Elmer wykrzywił twarz, unosząc brwi.

- Pomyślmy... czterdzieści? Pięćdziesiąt tysięcy rocznie? Coś koło tego. Ray jest bardzo hojny dla swoich ludzi, on...

- Dam ci pięćdziesiąt tysięcy - powiedziała po prostu, otwierając torebkę. - Mam je tu, w gotówce. Nikt nie musi wiedzieć. Pięćdziesiąt tysięcy dolców za pieprzony klucz, Elmer!

- Ho-hooo! - wrzasnął nagle Elmer, klepiąc się po kolanie, a jego twarz wykrzywiła się w szerokim uśmiechu.

- Wiedziałem, że Ray coś w sobie ma, ale pięćdziesiąt patoli tylko za to, żeby wziął panią w ramiona? Ho-hooo!

- No więc, co ty na to? - spytała niecierpliwie. - Chcesz, żebym tam weszła i pogadała z George'em?

- Mm! - Zaśmiał się Elmer. - George ma większego Stocha niż ja! Nie mógłbym tego pani zrobić, panno Soniu Cholera, za bardzo panią lubię!

- To bardzo miłe, ale co z tego? - spytała. Elmer potrząsnął głową.

- Przyjaźnimy się z Rayem od dawna. Znałem go jeszcze w Georgu, rozumie pani? Kocham Raya, ale ten facet potrzebuje jakiegoś ograniczenia, nazwijmy to w ten sposób. Widzi pani, byłem z nim tamtej nocy, kiedy zabił dziewczynę. Nie chciałem jej zabić, przysięgam. Przysięgam na Boga.

- Dobrze, ale mnie nigdy by nie skrzywdził - zapewniła

- Potrafię sobie z nim radzić.

Oczy Elmera wyrażały wątpliwość.

- Cholera, my się kochamy! - wrzasnęła Sonia - Te kajdanki uwierają! Spójrz! - Uniosła czarny sweter i pokazała mu posiniaczone zębra. - To sprzed dwóch tygodni!

Elmer odwrócił wzrok.

- Jakby mu pani zdjęła kajdanki, zrobiłby pani coś więcej

- mruknął. - Mówię pani, ten człowiek daje się ponieść miłości! Dlatego panienki tak za nim szaleją, bo wiedzą że daje się ponieść!

- Dobra, posłuchaj, Elmer... - Dotknęła błagalnie jego ręki. - Czy nigdy nie pragnąłeś czegoś bardzo mocno? O co ja cię takiego proszę, o gwiazdkę z nieba? Proszę o jedną normalną noc z Rayem. Jak dwoje zakochanych... czy to zbyt wiele?

Elmer zastanawiał się, błędząc oczyma po pokoju.

- Oni tak nam mówią, panno Soniu - powiedział wreszcie, wzruszając ramionami. - Mnie i George'owi.

Mówią-, „Nigdy nie zostawiajcie go samego z dziewczyną, bez tych kajdanków. Od tego zależy wasza praca”. A może i coś więcej, panno Soniu. Ci faceci są jak mafia! Złamiesz ich polecenie, a oni cię zabijają! Nie żartuję! Zdaje sobie pani sprawę, ile forsy zarabia Ray? Ile płyt sprzedaje? W samych Stanach, może dziesięć milionów. To na czysto siedemdziesiąt, osiemdziesiąt milionów dolców. Na całym świecie: sto

pięćdziesiąt, dwieście milionów. Ludzie robią dużo dziwnych rzeczy za dwieście milionów dolców, panno Soniu. Sonia oparła się o ścianę z rezygnacją.

- W takim razie, może pożyczysz mi klucz, Elmer? W ten sposób, zostawisz Raya w kajdankach, a jeśli cokolwiek wyjdzie na jaw, nikt nie będzie cię winić. Pożycz mi klucz na godzinę, a ja dorobię kopię. No, Elmer, chyba warto to zrobić za dziesięć tysięcy, co? Mógłbyś sobie kupić furę koki.

- O, nie używam tego towaru, panno Soniu. - Zaśmiał się, zażenowany. - Cenię sobie zdrowe życie.

- Spójrz... - Wyjęła z torby plik studolarówek. - Przeliczę je. Świeże, nowe pieniądze. Tu masz tysiąc. Dwa, trzy, cztery... Dalej, Elmer, przelicz to ze mną!

- O, kurczę! - Elmer klepnął się w kolano, odwracając wzrok i trzęsąc ze smutkiem głową, jakby to wszystko nie działało się naprawdę.

Cole oddzwonił o północy.

- Pani Winton? Wygląda na to, że nasz chłopiec jest nieobecny, nie usprawiedliwiony?

Marcella była zbyt zdenerwowana, by przejąć się obrzydzeniem, jakie odczuła, słysząc określenie „nasz chłopiec”.

- Pokłóciliśmy się w drodze z lotniska - powiedziała. - Wysiadł z samochodu, zanim dotarliśmy do domu. Powiedział, że spędzi z panem Boże Narodzenie.

Cole odchrząknął.

- Tak. Cóż, obawiam się, że nasze wspólne święta trwały zaledwie dwie godziny. Nie sprawiał na mnie wrażenia zdrowego, więc zasugerowałem, żeby się położył do łóżka. Był zdecydowany, żeby oznajmić mi o jakiejś dziewczynie z Bolonii, z którą, jak sobie wyobraża, łączą go bliskie stosunki. Mark potrafi być czasem trudny. Powiedziałem mu, że dość okrutnie wybrał moment na powiadomienie mnie o tym. Wie, co do niego czuję, i...

- Nie chcę słuchać o waszej głupiej kłótni! - krzyknęła Marcella. - Gdzie on jest?

Cole milczał przez chwilę, po czym powiedział ostrożnie:

- Zmierzałem do tego. - Zaczerpnął tchu. - Myślę, że

Mark me chce się dać wodzić za nos. Ani mnie, ani pani Wreszcie odkrył, że ma własną wolę. Tak czy inaczej po prostu wyszedł, zostawiając mi uroczy prezent, ale... cóż od tamtej pory się nie odzywał. Zadzwoiłem, żeby życzyć wam obojgu szczęśliwych...

- Czy ma pan jakikolwiek pomysł, gdzie mógłby być¹? - przerwała mu Marcella.

- Oczywiście zakładałem, że jest z panią. Przypuszczam że mógł się poczuć dotknięty i, pokłóciwszy się z nami obojgiem, wrócić do Włoch.

Marcellę zdjął paniczny strach.

- Słuchaj, Cole. - Musiała się komuś zwierzyć. - Może pomyśli pan, że jestem szalona, ale dopiero co widziałam się z jasnowidzem, który twierdzi, że obojgu moim dzieciom zagraża niebezpieczeństwo. Sonia leci do Londynu więc nic me mogę zrobić. Dzwoniłam do Pan Am i zapewnili mnie że samolot wystartował zgodnie z planem. Boję się, że jest w nim bomba: jasnowidz mówił, że niebezpieczeństwo jest związane ze stałą! Powiedział też, że Mark jest w jakimś bardzo gorącym miejscu. Powiedział, że mogłabym go uratować!

- Wcale nie uważam, że jest pani szalona - odparł spokojnie Cole. - Sam wierzę głęboko we wróżbitów, proroków i jasnowidzów. Radzę, żeby zadzwoniła pani do pensjonatu Marka w Bolonn. I proszę mnie powiadomić o tym co powiedzieli.

Stadion Wembley to brzydki, ogromny betonowy obiekt sportowy pośrodku anonimowej dzielnicy podmiejskiej kilka kilometrów od centrum Londynu. Publiczność, złożona głównie z rozentuzjasmowanych młodych fanów, przede wszystkim białych, oraz grupka ludzi z Indii Zachodnich zachowywała się dość spokojnie, póki Ray nie wyszedł przez arenę na podium, nie odrzucił białego szlafroka frotte, ukazując migoczącą marynarkę wysadzaną diamentami Wskoczył na okrągłą scenę i zawirował obok czteroosobowego chóru. Wtedy tłum zaczął wyć i gwizdać, nie ciszej niż publiczność amerykańska.

Był to najlepszy z dotychczasowych koncertów LeYara

a na pewno największy. Po występie Sonia przytuliła się do Raya na tylnym siedzeniu ogromnej limuzyny, przeciskającej się wolno przez tłumy widzów, kupujących pamiątkowe koszulki i programy.

- Boże, co za noc! - Trzymała silne ramię, kiedy Ray wyglądał przez przyciemnione okna, uśmiechając się promiennie.

- Soniu, oni mnie tu po prostu kochają! - krzyknął.

- Oczywiście, Ray! Wszędzie cię kochają! - Pocałowała go.

- Podobał ci się koncert? Naprawdę podobał ci się koncert? - Oparł się na siedzeniu. - Ci Anglicy także potrzebują miłości i emocji. Wydają się opanowani i chłodni, ale w głębi duszy potrzebują tego tak samo jak wszyscy.

Kiedy dotarli do jego apartamentu, dochodziła pierwsza w nocy.

- Mówili, że koncert gwiazdkowy się nie uda. - Uśmiechnął się Ray, zrzucając płaszcz i marynarkę. - Mówili, że wszyscy zostaną w domu. Ale ja wiedziałem! Wiedziałem, Soniu! Są tysiące ludzi, którzy nie spędzają Świąt z rodzinami: wiedziałem, że przyjdą zobaczyć Raya!

Podniosła słuchawkę i zamówiła lekką kolację z szampanem. Elmer i George usiedli w kącie pokoju, grając w karty i udawali, że ich nie ma. Kiedy przyniesiono szampana, Sonia zaniósła im dwa kieliszki.

- Wesółych Świąt, chłopcy - powiedziała, wręczając im naczynia. Mrugnęła do Elmera. - Mamy kanapki i hamburgery. Weźcie, na co macie ochotę...

Nałożyła Rayowi jedzenie na talerz, z którego skubała dla siebie kąski, podczas gdy muzyk się posilał; sączyła szampana i dolewała Rayowi.

- Jak poszły reklamówki? - spytał.

- Mniej więcej w porządku... - Zsunęła kaszmirowy sweter z jednego ramienia i odegrała przed nim jedną ze scenek.

- „Nie całuj mnie! Pieść mnie!” To nowa kwestia, którą mam powtarzać w nadchodzącym roku. Musiałam ją powtórzyć jakieś cztery tysiące razy, zanim im się spodobało.

- Ha! - Zaśmiał się Ray. - Nie całuj mnie! Pieść mnie! Dobrze! A czy ja mogę cię pocałować?

Nachylił się i położył jej na ustach miękkie wargi. Odsunęła się, kiedy zabrakło jej tchu.

- Zawsze możesz mnie całować i robić wszystko, co zechcesz, kochanie - szepnęła mu na ucho.

Spojrzała na goryli, siedzących w cieniu. Udawali, że nic nie słyszeli. W takich intymnych momentach nienawidziła ich obecności.

- O rany... - Ray wsunął rękę pod sweter Soni, gładząc jej pierś. - Mogę pieścić Dziewczyne Caresse! Mogę robić wszystko, co zechcę!

- Lepiej w to uwierz, kochanku - szepnęła.

Zaczął całować jej ucho. Miał na sobie ocieplany kombinezon z weluru, a Sonia dostrzegła wyprężony członek rysujący się pod luźnymi spodniami.

- Dziękuję, że przyleciałaś taki kawał drogi, żeby spędzić ze mną Gwiazdkę, Soniu - szepnął. - To dla mnie dużo znaczy, kochanie. Czuję, że jestem z rodziną.

- A co z twoją rodziną, Ray? Czy nie spędzasz zazwyczaj z nimi świąt?

Spojrzał na nią smutno, odstawiając kieliszek z szampanem.

- Czy w tym hotelu mają tę kawę? - spytał goryli. - Taką, jak lubię, z bitą śmietaną i whisky?

- Kawa po irlandzku - powiedział cicho Elmer. - To się nazywa kawa po irlandzku.

- Chcesz, kochanie? - spytał Sonię. - Będziesz po niej dobrze spać.

- Nie, dzięki, nie potrzebuję środków nasennych. Ciągłe czuję efekt różnicy czasu.

- Dobrze, zamówcie dla mnie! - zawołał Ray. - I po jednej dla siebie. Cóż... - Westchnął, obejmując Sonię.

-Rozmawialiśmy o mojej rodzinie. LeVarowie. Soniu, nigdy nie widziałaś takiego Bożego Narodzenia, jakie obchodzono u LeYarów! Tata, mama, babcia i my, czterej bracia: Marion, DeWitt, Grover i ja. Tak, mieliśmy wspaniałe święta...

- Gdzie oni teraz są? - spytała Sonia, przyglądając się Rayowi. - Mówisz o nich tak, jakby nie żyli!

Ray wzruszył ramionami.

- Jeśli o mnie chodzi, mogliby nie żyć, Soniu. Widzisz, po tym... wypadku, z tą dziewczyną, rozumiesz? Moja rodzina nie chciała mnie... jak mam to powiedzieć? Przyjąć! Rozumiesz? Nie byłem tam już mile widziany.

- Biedne dziecko. - Poklepała go po policzku.

- Dlatego - westchnął - w te święta ty jesteś moją jedyną rodziną, Soniu. Piękna Soniu!

Obserwowała, jak dwaj goryle otwierają drzwi kelnerowi. Ceremonialnie nalał kawę, dodał whisky i cukru, potem nałożył gęstą śmietanę tak, że tworzyła grubą warstwę na powierzchni. Sonia widziała, jak Elmer wręcza kelnerowi dziesięć dolarów napiwku i odprowadza go do wyjścia. Wszyscy trzej pili kawę z głośnym mlaskaniem, a Ray stwierdził, iż smakuje nawet lepiej niż kawa po irlandzku, którą pili w Vegas, a może w Denver.

Poszedł do sypialni, żeby przebrać się w czarną jedwabną piżamę. Było po trzeciej, kiedy wrócił, wyciągając do tyłu ręce, żeby założyli mu kajdanki. Sonia patrzyła, jak goryle skuwają mu dłonie, życzą jej i Rayowi dobrej nocy, po czym w końcu wychodzą.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, przylgnęła do niego, wyślizgnąwszy się z sukienki. Przycisnęła usta do ucha Raya. Potem sprawdziła, czy był podniecony. Był twardy jak skała.

- Och, Soniu - westchnął, odwracając głowę i całując ją po całym ciele. - Och, kochanie!

- Nie mogę tego znieść. - Westchnęła. - Pragnę cię stale dotykać, a ci dwaj się przypatrują, słuchają...

- Dobrze... - Przycisnął uspokajająco usta do jej skroni. - Teraz mamy całą noc dla siebie. Jutrzejszy ranek też. Tylko my dwoje. Ale dla mnie to też za mało, maleńka.

- Co masz na myśli? - Odsunęła się od niego.

- Chcę się z tobą ożenić.

Popatrzył na nią smutno, wkładając w spojrzenie całą duszę.

- Hurr! - wrzasnęła. Śmiała się, szczypiąc Raya po całym ciele. - Żegnaj, mój kontrakcie z Caresse!

- Mmm! - Odsunął się od niej, z bardzo poważną miną, patrząc na Sonię wielkimi, ciemnymi oczami. - Taka duża

firma, jak Caresse, musi być bardzo ostrożna, rozumiesz? \ Nie mogą zerwać kontraktu, dlatego, że poślubiłaś czarnucha!

- Nie używaj tego słowa, Ray! - krzyknęła, tuląc się do jego ramienia. - Nienawidzę go!

- A jednak, to prawda, co? - spytał. - Dyskryminacja rasowa jest sprzeczna z prawem.

Wyglądał na zadowolonego z siebie, że tak wszystko rozgryzł, a Sonia poczuła nagły przyływ miłości i litości.

- Moja klauzula obyczajowa - tłumaczyła, tuląc się do Raya. - Podpisałam umowę, zgodnie z którą choćby cień skandalu...

- Właśnie o tym mówię, Soniu - odparł cierpliwie. - Nie ma nic skandalicznego w tym, że dziewczyna wychodzi za mąż za mężczyznę, którego kocha, prawda? Nie mogliby cię zwolnić tylko dlatego, że poślubiłaś Murzyna, co?

- Nie wiem... - Uniosła brwi. - Będziemy musieli to sprawdzić. Rano zadzwonię do Carmen...

- Chyba chcesz za mnie wyjść, Soniu? - Zmarszczył czoło. - Chyba kochasz mnie tak mocno jak ja ciebie?

- Bardziej! Znacznie bardziej!

Pocałowała go w ucho, przez jedną, szaloną chwilę wyobrażając sobie siebie jako panią Sonię LeVar z Las Vegas, mieszkającą w lśniącym zamku na skraju pustyni, opalającą się nad otoczonym palmami turkusowym basenem, wydającą wystawne kolacje dla legendarnych postaci przemysłu rozrywkowego. Wniesienie odrobiny mody w wulgarny świat rozrywki mogłoby być fascynującym wyzwaniem. Wyjąła z kieszeni małą paczuszkę i pokazała Rayowi.

- Wesółych Świąt, Ray, kochanie. - Pocałowała go. -Chciałabym myśleć, że to najwspanialszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dano.

Wziął paczuszkę, marszcząc brwi.

- Och, maleńka! Nie miałem czasu, żeby coś dla ciebie znaleźć. Co sobie o mnie pomyślisz?

- Nieważne. - Położyła mu dłoń na karku. - Mam ciebie! Niczego więcej nie pragnę.

Pogłaskała go po szyi, ścisnęła silne ramię i pozwoliła, by

ocierał się nosem o jej twarz. Wrzuciła prezent w jego skute dłonie.

- Ho! - Zaśmiał się. - Mówią, że najlepsze podarunki są zawsze małymi paczuszkami.

Obracał prezent na wszystkie strony, ważąc go w dłoni. Ujęła jego fiuta i ścisnęła znacząco.

- Nie wierz temu, Ray. Jesteś zaprzeczeniem tej reguły!

- zaśmiała się.

- Tak ładnie to zapakowałaś - mówił, odwijając papier dużymi palcami. - Nie chciałbym podrzeć. Oczywiście, umieszczę go w swoim dzienniku! Razem z datą i wszystkim!

- Ty romantyczny głupku! - zachichotała.

- Co to? Klucz? - Zmarszczył czoło, ważąc przedmiot w dłoni. - Do czego? Nie mów, że kupiałaś mi angielski samochód, Soniu. Wiesz, ile mam wozów?

- Och, Ray... - Wydęła usta. - Zapomnij o jakimś głupim samochodzie. To coś znacznie bardziej podniecającego. Możesz trzy razy zgadywać, żeby zgadnąć, a potem go użyję!

Podniósł wzrok, nagle poważniejąc. Otworzył szeroko oczy. W intymnym świetle apartamentu sprawiali wrażenie zakapturzonych, niemal orientalnych kochanków.

- Chyba nie do kajdanków! - jęknął. Skinęła głową, podniecona.

- Możemy spędzić razem noc, jak dwoje normalnych ludzi. Możesz się ze mną kochać, jak tylko zechcesz!

- Nie... - Potrząsnął głową, z wyrazem bólu na twarzy.

- Nie, Soniu. Wiesz, co się stało ostatnim razem, kiedy kochałem się tak, jak chciałem. To nie w porządku! Powie-
dzieli, że od tamtej pory mam zakładać kajdanki, kiedy zostaję sam na sam z kobietą. Zawsze!

- Pieprzyć ich - odparła po prostu Sonia. - Przepisy są po to, żeby je łamać, prawda?

Stała za jego plecami i wsunęła klucz do zamka. Kajdanki odskoczyły gładko. Ray spojrzał na dłonie, rozcierając przeguby.

- Nie powinnaś była tego robić, Soniu - powiedział, patrząc jej w oczy. - To nie w porządku.

- Nie bądź głupi. - Usiadła mu na kolanach. - Nie *bądź takim wielkim mięczakiem. Przytul mnie, Ray. Przytul!
Ostrożnie otoczył ją ramionami.

- To nie w porządku - mruknął znowu.

- Och, kochany, ja czuję, że to jak najbardziej w porządku! A teraz zacznijmy powoli i ostrożnie, Ray, kochanie.
Chcę, żeby to była najlepsza noc naszego życia...

Pociągnęła go, żeby wstał. Ruszył za nią do sypialni.

Marcella przez całą noc dzwoniła do pensjonatu w Bolonii. Rozmawiała z różnymi ludźmi. W końcu nocny portier powiedział jej, że widział, jak Mark wrócił, ale zaraz poszedł do swego pokoju i nie odpowiadał na jego telefony.

- Czy mógłby pan tam pójść i sprawdzić, czy nic mu nie jest? - poprosiła. - Obawiam się, że jest chory. Proszę z nim porozmawiać. Oddzwonię za piętnaście minut.

- On mieszka na ostatnim piętrze, *signora* - jęknął portier. - Winda nie działa...

- Jestem jego matką! - krzyknęła Marcella. - Niepokoję się. Proszę!

Przez kwadrans wpatrywała się w zegar. Gdyby niski jasnowidz nic nie powiedział, wyobrażałaby sobie, że Mark po nowojorskim napadzie złego humoru leży posepny w pokoju, nie chcąc z nikim rozmawiać. Ale w uszach dźwięczały jej słowa: „Nie musi umrzeć. Może go pani uratować!”

Zadzwoniła znowu.

- Widział go pan? - spytała portiera. - Rozmawiał z panem?

- Nie, myślę, że śpi.

- Dobrze. Dziękuję. Zadzwonię jutro - powiedziała.

- Tak, *signora* - odparł tamten zmęczonym głosem. Zadzwoniła do Cole'a, by zdać mu sprawozdanie.

- Najważniejsze, że jest w bezpiecznym miejscu - stwierdził Ferrer.

- Ale co z jasnowidzem? - spytała Marcella. - Mark nie wyglądał dobrze. Czułam, że jest na coś chory, a pan nie?

- Nie wiem, co myśleć! - westchnął Cole. - Może po prostu odsypia lot samolotem albo potężnego kaca.

- Tak. Może - zgodziła się Marcella z powątpiewaniem.
- Jutro znowu tam zadzwonię. Jeśli nadal nie odpowie, polecę do Bolonii. To kawał drogi, jak na wyjaśnienie nieporozumienia, ale po słowach tego jasnowidza nie mogę być spokojna.
- Poleciałbym z panią, ale jutro zaczynam występy w Carlyle - powiedział Cole. - Są święta, nie odważę się ich zawieść...

Pożegnała się, wdzięczna losowi, że Cole nie może z nią polecieć. Siedzenie obok Cole'a podczas długiego lotu przez Atlantyk byłoby ponad jej siły.

Przez wiele godzin nie mogła zasnąć, aż w końcu zażyła proszek. Co za Boże Narodzenie! - pomyślała. „Nie musi umrzeć. Może go pani uratować!” Drobny jasnowidz z Broadway. Dwie ogromne siostry - jedna, kierowca taksówki. Mężowie recydywiści. Marcella powoli straciła przytomność, a obrazy minionego dnia nabrały kształtów sennych marzeń, tylko odrobinę dziwniejszych niż samo życie.

Odnalazłem Pana, kiedy miałem piętnaście lat, Soniu

- powiedział Ray.

Leżeli w łóżku nadzy, a on trzymał Sonię w ramionach. Jak dwoje normalnych ludzi - myślała szczęśliwa.

- Tak jest, proszę pani. - Ray skinął głową w ciemności.

- Odnalazłem Pana! Amen!

Sonia otworzyła szeroko oczy. Nigdy nie miała pewności, jak ma na to reagować. Religia nigdy nie była jej domeną. W istocie, wszystko, co miało związek z religią, kojarzyło się jej nieprzyjemnie z ojcem, który zapewnił Sonię, że Bóg nigdy jej nie zaaprobuje, odkąd zaczęła zmieniać ciało, które On jej dał.

Ray był bardzo czułym kochankiem, ale sprawił Soni lekki zawód. Jego nowa wolność bez kajdanków zamiast podnieść temperaturę ich seksu, przyniosła wręcz odwrotny skutek. Nie dał się ponieść. Chociaż namiętność wzrosła, a Sonia uwielbiała wszystko, co jej robił swymi dwiema nie skrępowanymi, doskonałymi dłońmi, Ray nie tracił samokontroli.

- Za każdym razem, kiedy się z tobą Kocham, jest mi lepiej - wyznał, gdy rozluźniła się w jego ramionach.

Igranie z rekinami, dosiadanie czarnego konia, moje własne, oswojone stworzenie - lubiła myśleć.

- Religia jest dla Ciebie bardzo ważna, tak? - spytała, opuszczając rękę delikatnie między jego uda, dotykając członka, wciąż na wpół twardego, jakby Ray wspominał rozkosz, jakiej doświadczali przed kwadransem.

Spojrzała na zegar. Wpół do piątej rano. Jak zwykle po przeżyciach miłosnych z Rayem pragnęła więcej.

- A ty nie wierzysz w naszego Pana, Soniu? - spytał. - Czy On Cię nie prowadzi i nie koi?

- Cóż... - Przygryzła wargę. - Niezupełnie.

Zapaliła małą nocną lampkę. Brzoskwiniowy abażur sprawił, że ciało Raya wyglądało jak wyrzeźbione z ciemnego złota. Nachyliła się, patrząc mu w oczy. Zdała sobie sprawę, że był zupełnie poważny; spokojny, zmęczony, z twarzą naiwną i ufną jak twarz dziecka. Sięgnęła po kieliszek i wypila łyk szampana.

- Powiedz, Ray - powiedziała, odstawiając kieliszek. - Czy wierzyłeś w Pana, kiedy zabijałeś tamtą dziewczynę?

Dziwiła się trochę sama sobie, ale nigdy nie potrafiła w porę ugryźć się w język.

Ray drgnął, jakby go uderzyła. Potem zmusił się do uśmiechu.

- Ile razy Ci mówiłem, maleńka? - spytał pokornie. - Od tamtej pory stale proszę Boga o wybaczenie. Każdej nocy z Nim rozmawiam, prosząc o wybaczenie.

- Tak. - Serce Soni zaczęło trzepotać ze strachu i pożądania; jej ulubionej mieszanki uczuć. - I co On mówi?

Chciała nadać pytaniu ton sarkastyczny, ale Ray zastanowił się nad nim z powagą. Na kilka sekund zamknął oczy, potem otworzył je i spojrzał prosto w źrenice Soni. Ujął jej dłoń i położył sobie na sercu.

- On mówi: „Ray, nie chciałeś zabić tej dziewczyny. To był wypadek.” To właśnie mówi. Mówi: „Nie chciałeś jej zabić, ty ją kochałeś”.

- Tak, kochałeś ją na śmierć! - zaśmiała się Sonia.

Ray chwycił nagle jej głowę i brutalnie szarpnął do tyłu.

- Dosyć! - krzyknął jej do ucha, niemal ją ogłuszając. W ciszy, która nagle zapadła, jego głos rozbrzmiewał w głowie Soni bolesnym echem. Ukłucie strachu, jakie poczuła, było lepsze niż jakikolwiek narkotyk, jakikolwiek drink. Oczy wyszły jej na wierzch, kiedy ścisnął jej szyję jak w imadle, dając jej przedsmak swej siły. Puścił Sonię i ukrył twarz w dłoniach.

- Och, Soniu, przepraszam - jęknął. - Przepraszam, że krzyknąłem, maleńka. - Pogładził jej ramię, przytuliwszy na chwilę czoło do jej czoła. - Wybaczysz mi, maleńka? Tak bardzo cię kocham. Ale nie próbuj doprowadzić mnie do szaleństwa. Wiem, że próbujesz to zrobić. Nie możesz tego zrozumieć, Soniu. Widzisz, do tamtej biednej dziewczyny czułem... coś bardzo podobnego, co czuję do ciebie. Seks i cała reszta. Ona też lubiła podniecenie. Jak ty. Jest tak dobrze, że czasami cię ponosi. To właśnie się stało. To tak, jak bokser, który zabija przeciwnika, wiesz? Tak się czasem zdarza, kiedy nie znają własnej siły. Chyba cię nie skrzywdziłem, co, maleńka?

Potrząsnęła głową.

- Nie, ty delikatny olbrzymie. Nie skrzywdziłeś mnie. Uniosła się do półsiedzącej pozycji, żeby pocałować Raya w usta. Jęknął, kiedy ssła jego grubą, miękką dolną wargę, tak poruszając ciałem, że członek Raya ocierał się o nią, znowu wyprężony.

- Ale to interesujące - powiedziała, odsuwając się. - Nie widzisz sprzeczności między tym, co zrobiłeś a wiarą w Boga. Dopóki wierzysz w Boga, wszystko jest w porządku, tak?

- Tak, Soniu.

Znowu zaczął się z nią kochać; jego duże dłonie cieszyły się nową swobodą, z jaką mogły błędzić po jej ciele bez świadków, bez żadnych więzów. Pieścił jej klatkę piersiową, piersi, dotykał ją między nogami.

- Czy wierzyłeś w Boga w momencie, kiedy ją zabijałeś, ty pieprzony hipokryto?

Słowa wydostały się znowu z ust Soni wbrew jej woli.

Zdziwiła się i przestraszyła tego, co powiedziała. Ciało Raya stężało i nagle zrozumiała, co planowała w ciągu ostatnich tygodni, dlaczego klucz miał dla niej tak wielkie znaczenie.

- Powiedziałem ci, Soniu - odezwał się powoli, z twarzą tuż nad jej twarzą. - Od tamtej pory bez przerwy prosiłem Boga o wybaczenie. Nie masz prawa nazywać mnie hipokrytą, maleńka. Nie rób tego, proszę!

- Jesteś mordercą, Ray - powiedziała, sięgając po jego fiuta. Nigdy jeszcze nie był tak twardy. - Dlatego mnie podniecasz.

Tulił ją mocno w ramionach, marszcząc brwi, jakby zafascynowany jej słowami. Potem zbliżył usta do głowy Soni.

- Nigdy więcej nie wspomnisz o tej dziewczynie, słyszysz? - szepnął natarczywie. - Nigdy!

Jego uścisk był jak z żelaza; nie potrafiła stawić najmniejszego oporu imadłu ramion Raya.

- Spłaciłem swoje długi - mówił. - Dałem dużo pieniędzy rodzinie tej biednej dziewczyny, a zawsze, kiedy jesteśmy w Georgii, odwiedzamy jej grób. Spłaciłem swoje długi, Soniu!

Siedział na niej okrakiem z wyprężonym członkiem.

- Dlaczego to cię tak podnieca, Ray? - spytała. - Czy docieram tam, gdzie naprawdę żyjesz? Gdzie naprawdę budzisz się do życia?

Spojrzał na siebie, zawstydzony.

- Wiesz, dlaczego cię pragnę, maleńka. Wiesz to, prawda? Ale dlaczego musisz tak mówić do Raya, co? Wiesz, że Ray cię kocha, maleńka...

Rozsunęła nogi, wyginając ciało.

- Wejdz we mnie znowu - ponagliła go. - Chcę cię tam mieć. Czuję się pełna, tylko kiedy we mnie jesteś...

Odrzuciła głowę w tył, kiedy w nią wszedł. Uczucie to było niewiarygodnie cudowne.

- Jeszcze nigdy nie było nam tak dobrze! - wyszeptała.

- Wiem - mruknął, sięgając głębiej.

- Zawrzyjmy umowę, Ray - zaproponowała. - Nigdy więcej nie wspomnę o tej dziewczynie, jeśli ty nie będziesz mi mówił o tym skurwysynu, Bogu, zgoda? Ponieważ jeśli

On istnieje, w co ja i kilka milionów podobnych do mnie ludzi szczerze wątpi, musi być popierdolonym, zboczonym skurwysynem, który nie zechciałby do mnie przyjść, nigdy!

Ray spojrzał na Sonię z podziwem, niemal z bojaźnią, zaczynając poruszać kroczem.

- Kurczę... Bóg mógłby cię zabić za to, co powiedziałaś, Soniu. - Jęknął ze zdumieniem, kręcąc głową. - Podziwiam twoją odwagę, że to mówisz!

- To nie wymaga żadnej odwagi - odparła. - Jeśli w coś nie wierzysz, to nie może cię skrzywdzić... - Zaczęła odpowiadać jego ciału własnymi pchnięciami. - Wiesz, że to będzie nasza najwspanialsza noc, prawda, Ray?

Zamknął oczy, obracając powoli kroczem.

- Ooo, tak - jęknął. - Wiem...

Był w niej tak głęboko, że czuła się nim wypełniona. Ocierali się o siebie, Sonia unosiła pośladki z materaca, żeby nie odrywać się od Raya.

- Pieprz religię! - powiedziała. - Pieprz Boga! Pieprz mnie, Ray!

Wyczuwała drżącą w nim siłę, dostrzegła, że stara się postępować delikatnie, próbując ją oszczędzić; jego twardość tkwiła przyjemnie głęboko w niej.

- Och, kochany, jestem teraz tak blisko Boga jak nigdy! - westchnęła.

Ray padł na nią, obejmując Sonię ramionami. Teraz, kiedy mógł ją trzymać w objęciach, kontrast między delikatnymi, szczupłymi kończynami Soni a jego muskularnym, potężnym ciałem stał się jeszcze bardziej wyraźny. Jej kruchość podniecała Raya; z podziwem przesuwał dłońmi po jej przegubach, kostkach, szyi, poruszał się w niej coraz szybciej, już zaczynał dyszeć. Łóżko gwałtownie zaskrzypiało, kiedy przyśpieszył. Sonia otworzyła oczy i ujrzała twarz Raya wykrzywioną w grymasie na wpół bólu, na wpół pożądania, dwóch uczuć, których najbardziej pragnęła! Ścisnął jej pierś silnymi rękami, tuląc ją mocno, mocno. Słyszała, jak zgrzyta zębami, jego oddech staje się coraz gwałtowniejszy, widziała, jak prężą się jego mięśnie skroni i policzków. Nagle zabrakło jej tchu. Brak tchu, brak tchu! Zachłysnęła się, oczy wyszły

jej na wierzch, ale ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nie czuła strachu.

- Nie mogę się teraz zatrzymać - stęknął nad nią. - Jesteś pewna, że Ray cię nie krzywdzi, Soniu?

Odpowiedziała mu ciałem, przylegając do niego, kiedy się cofał i zagłębiał na nowo.

- Och, Soniu - jęknął, opierając czoło na jej czole, zraszając ją swoim potem. - Może lepiej będzie, jeśli założysz mi kajdanki, co? Teraz mogę cię kochać za mocno...

Energicznie potrząsnęła głową, co najwyraźniej wprawiło Raya w szal; wierzgał i ocierał się o nią, aż łóżko zaczęło podskakiwać w ich rytmie, a na Sonię spadał deszcz jego potu i śliny. Ścisnął ją mocniej, a ona straciła na chwilę przytomność. Nagle nie leżała w łóżku w Londynie, pod ciężkim ciałem Raya... jechała na Red! Galopowała wzdłuż autostrady w La Jolla, czując na twarzy pot Red i wodny pył znad morza. Była czternastoletnią Sonią, galopującą z tą uwznioślającą mieszanką lęku i szczęścia, ku wolności, ku wolności! Rytm galopu stał się teraz ich rytmem miłosnym, byli identyczni! Przypomniła sobie wyraz swej dziecięcej twarzy, tę czystą radość - zanim spotkało ją cokolwiek złego. Ray wyciskał z niej teraz ostatni oddech. Zanim stała się, tak wcześnie, tak szybko, kobietą. Jechała na tym pięknym zwierzęciu, na jego potężnym ciele, którego mięśnie i kończyny poruszały się w idealnej harmonii z ciałem Soni. „Mężczyzna może być tak piękny jak koń” - mówiła Laurie, a tata Soni nazywał ją swoją księżniczką. Jego księżniczką! Była szczęśliwa tylko, gdy jechała na koniu. Wciąż słyszała stękanie Raya, który poruszał się coraz szybciej, tracił panowanie nad sobą, ścisnął Sonię mocno, mocniej niż sobie to uświadamiał. Poczowała dziwną satysfakcję; osiągnęła wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła.

Ray wyciskał teraz z Soni ostatnie drobiny życia; jego twarz przybrała groteskowy wyraz, przewracał oczami, wykrzywił usta w grymasie. Zrozumiała, że on nie wie już, co robi i wybaczyła mu. Wzięła na siebie całą winę. Tuż przed śmiercią w umyśle Soni rozbrzmiały słowa: „Oże, wybac mi”, które wyszeptala bezgłośnie. Potem usłyszała trzask

i wiedziała, że to pęka jej kręgosłup. Nie czuła bólu; Ray ją znieczulił. Leżała martwa, chociaż Ray nadal poruszał się w niej, bez pamięci, nie przerywając, zanim nie osiągnął najdzikszej z dotychczasowych rozkoszy; przeciągłym okrzykiem dał wyraz spełnieniu, wciąż tuląc Sonię mocno, mocno, nie wiedząc, co zrobił. Zasnął natychmiast, rozluźniając stopniowo uchwyt, aż martwe ciało wysunęło się w końcu z jego ramion.

Przenikliwy dzwonek telefonu wdarł się w chaotyczny sen Marcelli. Pograżona we śnie, wyciągnęła rękę po słuchawkę, żeby przerwać ten potworny hałas. Kiedy się obudziła, zdjęło ją przecucie, że dzwonią w sprawie Soni.

Słuchała wiadomości, przekazywanych jej przez nieznanego głos.

- Nie! - krzyknęła. - Nie!

Wtedy wyłączyła zdolność odczuwania. To, co usłyszała, było zbyt ogromne, zbyt potworne, by można to było natychmiast pojąć. Przystwojenie tej nowiny musiało jej zająć lata. Zmusiła się do przyjmowania wiadomości tak, jakby dotyczyły kogoś obcego. Sonia nie żyła.

- Tak, rozumiem. Zamordowana. Tak, rozumiem - odpowiadała spokojnie.

Przez Raya LeVara, czarnego piosenkarza pop.

- Tak, poznałam go. Na pogrzebie Harry'ego.

Dziś rano oddał się w ręce poUcji, przyznając się do dawnego morderstwa. Od wielu godzin próbowali znaleźć jej numer, bo, oczywiście, jako matka Soni, powinna zostać powiadomiona jako jedna z pierwszych.

- Doceniam to - podziękowała automatycznie głosowi.

„Ona po prostu próbuje wszystkich zaszokować” - powiedziała kiedyś Marcella Amy. Wiadomość pojawi się w dzisiejszych gazetach. MODELKA ZAMORDOWANA PRZEZ GWIAZDĘ POP. CZARNY IDOL MUZYKI POP ZABIJA DZIEWCZYNĘ CARESSE. MORDERSTWO MODELKI! Dostaną wymarzony materiał na najbardziej pikantne nagłówki. Takie, na widok których stajesz jak wryty, mijając stoisko z prasą. MarcelU wirowało w głowie. Widuje się te

nagłówki w „News” albo w „Post”, ZNALEZIONO CIAŁO BEZ GŁOWY. SZALENIEC ZABIJA ŻONĘ, SYNA I SIEBIE. Czasem ich wulgarność wywołuje niemal uśmiech. Nigdy, przenigdy nie przypuszczałaś, że mogą dotyczyć kogoś, kogo znałaś. Rodziny. Córki. Córki, której nigdy tak naprawdę nie znałaś, ale która zdawała się zawsze mieć w sobie gorzką furję. Wymierzoną przeciwko sobie samej!

Odłożywszy słuchawkę, Marcella ukryła się pod kocami. Potem, poprzez odrętwienie, w którym jej umysł pragnął schować się przed żalem, aby zachować zdrowie, rozbrzmiał nowy dźwięk, jak nowa nuta muzycznego refrenu, zielony pęd przebijający się przez kurz. Ten jasnowidz miał rację co do Harry'ego i Soni. A co z Markiem?

Dwukrotnie powiedział Marcelli, że Mark nie musi umrzeć. „Możesz go uratować” - zapewnił. Na co czekała?

Poruszając się jak lunatyczka, wstała z łóżka, ubrała się i spakowała walizkę. Była piąta trzydzieści rano, w dzień po Bożym Narodzeniu. Zejdzie na ulicę i każe portierowi wezwać taksówkę. Pojedzie prosto na lotnisko Kennedy'ego. Poczekają na pierwszy samolot do Włoch. Może do Pizy. Potem długa jazda taksówką do Bolonii. Leć do Włoch - mówiła sobie, wciągając walizkę do windy. Zamknęła drzwi mieszkania. Nie mijaj pola „Start”. Nie inkasuj dwustu dolarów. Straciła jedno dziecko. Zdecydowała, że będzie przeklęta, jeśli straci oboje.

KSIEGA PIATA

Marcella napierała na przeszklone drzwi bolońskiego pensjonatu Marka, gotowa je wywarzyć gołymi rękami. Dochodziła druga nad ranem, a ona łkała z wyczerpania po koszmarnej podróży. Lot do Pizy zdawał się nie mieć końca; bez przerwy prześladowały ją groteskowe obrazy mordowanej Soni, Soni umierającej, martwej w jakimś pokoju hotelowym w Londynie. Fakt, że mordercą był ten delikatny olbrzym, którego poznała na cmentarzu, pogarszał całą sprawę, czynił ją bardziej tajemniczą. Marcella nie miała pojęcia, co się wydarzyło, chociaż w pewien sposób wiedziała, że to wina Soni. Jednak fakt, że nie chciała sobie tego wyobrazić - w istocie, wypierała tragedię z umysłu - nie powstrzymał jej podświadomości od wyświetlania ponurych obrazów, kiedy spała głęboko w samolocie. Strata dziecka w tych okolicznościach przypominała utratę części ciała. Czuła się chora z żalu, niezdolna do jedzenia ani czytania, ponaglała samolot, by szybciej, szybciej doleciał do celu! Droga taksówką z Pizy do Bolonii zajęła kolejne dziewięćdziesiąt minut; mknęli po surrealistycznie pustych autostradach, oświetlonych oślepiającymi modernistycznymi latarniami. Kiedy taksówka zatrzymała się przed małym, skromnym pensjonatem, Marcella wyobrażała sobie, jak wywarza drzwi do pokoju Marka i widzi każdą możliwą scenę - od Marka na łóżku przesiąkniętym krwią, po Marka wiszącego bezwładnie na pętli. Nadziei dodawały jej tylko słowa jasnowidza: „Możesz go uratować, on nie musi umrzeć”.

Walila bez tchu w drzwi pensjonatu, zaglądając do środka. Z wściekłością ujrzała portiera śpiącego głęboko nad gazetą w fotelu. Obejrzała się bezradnie na taksówkarza, który

przeliczał garść lirów, jaką mu cisnęła, gdy wyciągał walizkę na chodnik; wskazała na zamknięte drzwi. Taksówkarz schował pieniądze do kieszeni i wspomógł Marcellę silnym waleniem, które w końcu obudziło portiera.

Dopiero wysoki napiwek przekonał go, że Marcella jest matką Marka i pragnie pójść do jego pokoju. Nawet wtedy zażądał paszportu Marcelli, porównał nazwiska, kazał jej podpisać formularz policyjny, zanim wreszcie stękając podniósł jej ciężką walizkę. Kołysząc się i sapiąc, rozsiewając opary czosnku i wina, zaprowadził Marcellę do maleńkiej windy.

- Presto! - nagliła- - *Pronto! Per favore!* Czy zna pan mojego syna? Boję się, że jest chory...

Wzruszył ramionami, gmerając w dużym pęku kluczy podczas gdy stara winda jechała skrzypiąc na najwyższe piętro. Kiedy stanęła, o kilka centymetrów od podłogi Marcella znajdowała się na skraju omdlenia.

Czekała, oparta o ścianę przed drzwiami Marka, a portier wyprobowywał klucze. W końcu drzwi ustąpiły.

Zachłysnęła się zaduchem, jaki ich powitał. Okna były szczelnie zamknięte, a mały pokój wypełniał odór oddechu i ciała. Jedyne źródło światła stanowiła lampka nocna, której abażur spowijał wszystko zielonkawym blaskiem.

Mark leżał nago na łóżku jak świeżo wykopany posąg grecki; jego ciało miało taki właśnie kolor brązu i sprawiało wrażenie równie nieżywego. Marcella zamarła w progu patrząc na syna. Czy przybyła za późno? Weszła do pokoju' upuszczając torebkę. Stary portier wniósł za nią walizkę' mamrocząc coś do siebie. Stwierdziła, że Mark oddycha' Pospieszne poszukiwania strzykawki czy proszków nie przyniosły rezultatu. - *Il grippe...* - wymamrotał portier. Stęknąwszy postawił walizkę i zerknął przez ramię na Marka. - Przez Włochy przechodzi fala grypy. Kilka osób umarło, *signora*

Przeżegnał się, położył dłoń na ustach i wyszedł. Marcella zamknęła za nim drzwi.

Najpierw okryła Marka kocem i otworzyła na oścież okna Na zewnątrz było zimno, ale musiała przewietrzyć pokój Pot spływał z mej stróżkami. Zdjęła kostium, położyła go na krześle, po czym usiadła w majtkach na brzegu łóżka przy-

glądając się synowi. „Możesz go uratować” - powiedział niski jasnowidz. Zamknęła okna, naląła wody do miski, zmoczyła ręcznik. Wylała na materiał pół butelki wody kolońskiej i położyła go na czole Marka. Wymamrotał coś nieprzytomnie, otworzył oczy i spojrzął na Marcelłę przez sen.

- Jestem tutaj, kochanie - powiedziała cicho. - Wszystko w porządku. Jestem tutaj.

Zdjęła buty i pas do pończoch, położyła się do wąskiego łóżka, biorąc syna w ramiona. Miał kwaśny oddech; odwróciła głowę.

Ciało Marka w jej objęciach raz było rozpalone gorączką, to znów lodowato zimne. Czasami rzeził i jęczał delirycznie. Kiedy stawał się zimny, wsuwała się pod koc i obejmowała syna; puszczała go, kiedy gorączka skakała w górę. Co godzinę ocierała jego ciało gąbką, namaczała czystą ściereczkę i skraplała mu usta zimną wodą.

Zepchnąwszy go na brzeg materaca, udało jej się zmienić brudne prześcieradło i przesiąkniętą potem poszewkę na czystą pościel z szafy. Obmywając ciało syna, szukała jakichś śladów. Nie znalazła żadnych. Rozpuściła w wodzie dwie aspiryny i zmusiła Marka do wypicia. Szeptła mu na ucho słowa pociechy z nadzieją, że syn wyczuwa jej obecność.

Wykluczała możliwość zaśnięcia, choć była bliska wyczerpania. Całą energię skupiła na wyciągnięciu Marka z choroby. Usiłowała przejąć na siebie jego gorączkę, ocierała mu brwi, obracając chłodny ręcznik tak, by świeżą stroną dotykał czoła, nacierała wodą kolońską pierś, plecy, ramiona. Mark jęczał i rzucał się, mamrocząc niezrozumiałe słowa. W końcu jego oddech zaczął się wyrównywać.

Teraz, tuląc ocalałe dziecko, mogła sobie pozwolić na odczucie bólu po starcie córki. Leżąc obok Marka, wyczerpana, powtórnie przeżywała poród każdego z dzieci, przypominając sobie całą nadzieję i miłość, jakie czuła, kiedy byli mali. Trzymała Marka w ramionach, na nowo dając mu życie. Przez umysł przelatywały jej miliony wrażeń i myśli, wyobrażenia o seksie i macierzyństwie krystalizowały się, aż jedynym tematem, jaki zachował ważność, był ten syn, którego trzymała w ramionach i jego powrót do zdrowia.

Kiedy odzyska zdrowie, będzie musiała pozwolić mu odejść, ponieważ nie mogła go dłużej prowadzić ani kontrolować czy pozwalać, żeby on ją kontrolował. Widziała teraz to wszystko z taką jasnością. Jej błędy nie były w istocie błędami, ale po prostu częścią życia, życia, które przeszło bez zbytecznego zastanawiania się, co jest dobre a co złe. Życie ludzkie jest i tak tylko trochę bardziej cywilizowane niż życie zwierząt w dżungli - o przetrwaniu decyduje jedynie dobór naturalny. Tuliła syna w tych ostatnich momentach, zanim jej i jego życie miało ulec nieodwracalnej zmianie. W końcu nie była w stanie dłużej walczyć z sennością; matka i dziecko spali w pierwotnej bliskości. Spała do dziesiątej, wtedy obudziło ją gwałtownie zimowe światło słońca wlewające się do pokoju. Mark spał spokojniej, z odprężoną twarzą, oddychał bardziej regularnie. Czuli, że minął punkt krytyczny. Umyła się w jego małej misce, ubrała się, poprawiła pościel na łóżku i poszła do pobliskiej kafejki na cappuccino z grzanką. W dzień w biurze pensjonatu urzędowała konsjerżka. Marcella swym niepewnym włoskim opowiedziała jej o Marku, prosząc, by jak najszybciej wezwano lekarza. Zarejestrowała się jako gość pensjonatu, oświadczając, że pozostanie w pokoju syna.

Lekarz przyszedł po godzinie - siwobrody, poważny mężczyzna, który delikatnie obudził Marka, żeby go zbadać. Mark przywitał ich niedbale, jakby nie dziwiło go, że matka zmaterializowała się w jego małym pokoju, ale Marcella widziała po szklistym spojrzeniu syna, że nie był całkiem przytomny. Lekarz mówił słabo po angielsku; przepisał Markowi antybiotyki i zalecił sen, nakazując Marcelli, by podawała choremu jak najwięcej płynów.

Mark zasnął natychmiast po wyjściu lekarza, a Marcella zeszła na dół po wodę mineralną, soki, antybiotyki i gazety. Po powrocie do pokoju uchyliła trochę okno, zapaliła papierosa, usiadła na krześle z prostym oparciem i zabrała się do czytania gazet. W angielskiej prasie nie znalazła wzmianki o Soni, ale „International Herald-Tribune” zamieściła na pierwszej stronie krótką notatkę o aresztowaniu Raya LeVara. Przeczytała ją niechętnie, nie chcąc dopuszczać do

siebie znowu spazmu bólu, od którego odcięła się na czas opieki nad Markiem. Artykuł wspominał, że policja zatrzymała ciało Soni, by wykonać sekcję. Marcella wypuściła gazetę i wyjrzała na kolorowe dachy Bolonii i srebrne niebo. Gdzie miała znaleźć siły na organizowanie pogrzebu? Czy powinna przewieźć ciało Soni do Ameryki, czy polecieć do Londynu i, skoro Sonia była stosunkowo mało znana w Anglii, dokonać tam cichej kremacji, możliwie z dala od wścib-skiej prasy? W tym momencie zupełnie nie potrafiła odpowiedzieć na podobne pytania. Poczekaj z tym do powrotu do Nowego Jorku, gdzie zwróci się do swego adwokata i do Amy, po jakże potrzebną radę. Tymczasem ten mały pokoik na górze studenckiego pensjonatu mógł służyć jako schronienie przed światem, przed telefonami i ciekawskimi twarzami.

Co dwie godziny budziła Marka, żeby wypił trochę wody, pomagała mu pójść do łazienki, odprowadzała do łóżka, pilnując, żeby brał antybiotyki. Nie był jeszcze w stanie mówić. Natychmiast po powrocie do łóżka zapadał w sen. O czwartej wzięła długą ciepłą kąpiel i, upewniwszy się, że Markowi nic nie brakuje, wyszła pospacerować po krętych uliczkach i wspaniałym głównym placu. Bolonia była miastem pełnym majestatu, które w innych okolicznościach zwiedzałyby z radością.

Wieczorem zaczęła sprzątać zaniedbany pokój, zbierając części garderoby, skarpetki i buty, chowając je do ciężkiej starej szafy i mahoniowej komody z szufladami. Ciekawiło ją życie, jakie Mark tu prowadził. Nie znalazła ani śladu dziewczyny, o której mówił, że go kochała; obok łóżka nie stało ani jej zdjęcie, ani żadne zdjęcie Marcelli czy Cole'a. Pokój był ascetyczny, pozbawiony dekoracji, z wyjątkiem tych, które sama tu wniosła, pomagając się Markowi wprowadzić. Sterta nut na podłodze stanowiła jedyny znak, że w pokoju mieszka muzyk.

Zbierała gazety i nuty, zerkając na twarz Marka, widząc go teraz jako odrębną osobę, nie jako przedłużenie jej samej, jej nadziei. Bolesna świadomość, że oddalił się od niej, że miał cele i gusta odmienne od tych, jakie kształtowali wspólnie, przestał jej tak bardzo doskwierać. To było jego życie; wiedziała już, że nie leżało w jej mocy kontrolowanie go,

wiedziała, że w niczyjej mocy nie leżało kontrolowanie czyjegokolwiek życia w celu uzyskania spokojnej koegzystencji. Kiedy Mark się zbudzi, stworzą nową relację. Mark przestanie być uczuciowym ośrodkiem, wokół którego skupiało się jej życie. Była wolna, ale dziwnie pusta i smutna, jakby nie mogła się już przydać żadnej ludzkiej istocie. Uczucia Marcelli słabły powoli, jak drgania po trzęsieniu ziemi. Lecz ilekroć pozwalała sobie na myślenie o śmierci Soni, wstrząs przesywaj całą jej istotę.

Starannie poskładała swetry Marka i próbowała je włożyć do szuflady, ta jednak nie chciała się zamknąć. Zaczęła wyciągać skłębione ubrania, pod którymi znalazła kilka pakietów kopert, pochodzących z jej jasnoniebieskiej papeterii. Mark musiał starannie zbierać listy ode mnie - pomyślała z uśmiechem. Przeczytała jednak adres na jednej z kopert i ujrzała, że nie została zaadresowana do Marka. Serce Marcelli zamarło, kiedy zobaczyła nazwisko Santiago Roca i jego barceloński adres. Na kopertę nie naklejono znaczków: nigdy nie została wysłana. Stała jak wryta na wytartym dywanie, szybko rozwiązując pakiet, próbując uwierzyć w to, co zobaczyła. Przejrzała Usty. Na żadnej kopercie nie było znaczka, żadna nie została nadana. Wszystkie natomiast zostały starannie rozcięte, Usty przeczytane i włożone z powrotem.

- O, mój Boże! - krzyknęła, odwracając się do Marka, który spał spokojnie.

Czy naprawdę wychowałam takiego potwora? Patrzyła na wyciągnięte na łóżku ciało syna. Czy naprawdę mogłeś mi to robić? Każdego dnia, kiedy zostawiałam ci list do Santiago, żebyś wysłał go w drodze do szkoły? Każdego dnia, kiedy biegłam z nadzieją przejrzeć korespondencję, którą mi przynosiłeś?

Tknięta nagłym przeczuciem, z furją wyrzuciła pozostałe ubrania z szuflady. Starannie przejrzała papiery, schowane pod skarpetkami Marka, niemal wiedząc, co znajdzie. Oczywiście, leżała tam gruba koperta z niesamowicie poważnymi hiszpańskimi znaczkami naklejonymi wzdłuż krawędzi, zaadresowana do niej przez Santiago.

Krzyknęła, przyciskając kopertę do serca. Czyżbyś naprawdę kochał mnie tak

zaborczo? - spytała śpiącego Marka. - Czy twoje uczucie zasługiwało w ogóle na słowo „miłość”?

Przyjrzała się kopercie. Została wysłana w pierwszym tygodniu września, kiedy Mark był jeszcze w Nowym Jorku i mógł ją przechwycić. Uśmiechnęła się do siebie z goryczą. Ileż razy kusiło ją, by posłużyć się w powieści tematem nie doręczonych listów? Odrzucała ten pomysł jako staroświecki, w dzisiejszym świecie ludzie nie czekali na Usty - myślała. - Podnieśliby słuchawkę i zadzwoniłoby. Chyba, że chodziło o dumnego pół-Hiszpana, pół-Majorkańczyka jak Santi! Przypomniła sobie, jak Amy mówiła, że Santi jest typem z lat pięćdziesiątych naszego wieku. Oczywiście! Z okresu, kiedy wyznania miłosne składano na piśmie! Po to, by mogły być hołubione, przechowywane, wielokrotnie czytane. O ile trzymała w ręku wyznanie miłosne! Otworzyła kopertę drżącymi dłońmi. Podbiegła do okna, by na list padło przefiltrowane bolońskie światło.

Moja droga Marcello,

A więc to ja mam pisać, chociaż Ty jesteś pisarką? Ani słowa od Ciebie! Napiszę tylko ten jeden list, z głębi serca. Jeśli nie odpowiesz, zrozumieć i nie będę się starał wejść siłą w Twoje życie. Wiem, że uważasz mnie za człowieka starej daty, ale nie jestem ze szkoły, według której mężczyzna powinien uganiać się i uganiać za kobietą, aż zmęczy ją swoim uporem. Dla mnie zaangażowanie w romans dzieli się po połowie i myślałem, że w naszym przypadku tak jest. Właściwie wiem, że tak było - przed Nowym Jorkiem.

Nadałaś memu życiu znaczenie, Marcello. Znaczenie, którego szukałem u Boga tamtego dnia w katedrze. Idealny człowiek ma być samowystarczalny. Przed Tobą wiodłem życie pełne pracy i odnosiłem sukcesy, miałem rodzinę, przyjaciół, grupę artystów, których prace sprzedawałem, galerię, dom w Deya, a jednak to była pustka, ponieważ nie miałem kogoś, kogo bym kochał i kto kochałby mnie. Tak, jak nadałaś memu życiu znaczenie, kiedy byliśmy razem, tak znowu straciłem sens, odkąd straciłem Ciebie. Ale czy naprawdę Cię straciłem, po tym, jak w tak piękny sposób odnalazłem Cię na mojej magicznej wyspie?

W ostatnim roku, po wyjeździe z Nowego Jorku, przestałem się interesować pracą. Moja galeria i kieszenie kilku artystów ucierpią, jeśli się nie pozbieram. Problem w tym, że nie chcę się pozbierać - po co? Żeby wrócić do tej samej mieszanki co dawniej? Potrzebowałem Cię, Marcello! Potrzebowałem bratniej duszy, kochanki, przyjaciółki i partnera. Byłaś dla mnie tym wszystkim, kochanie - tu na Majorce i w Nowym Jorku - zanim zobaczyłem Cię z Twoim synem i jak na niego patrzysz. Jak gdyby - wybaczone - to on, nie ja, był najważniejszą mężczyzną Twego życia. To pozbawione krytycyzmu spojrzenie nieskrywanej adoracji, jakiego żadna matka nigdy nie powinna posyłać synowi, odkąd skończył osiem lat! Jego próba samobójcza zmusiła do postawienia tego problemu bardzo szybko. Ale może lepiej było zająć się tym problemem od razu, zanim nasz związek się pogłębił?

Powiedziałaś, że Mark śmiały się z mojej propozycji zaadoptowania go, co stało się dodatkowym powodem mego gniewu. Kim jest Mark, żeby wyśmiewać się z kogoś, kto jest gotów przyjąć na siebie taką odpowiedzialność? W Ameryce macie psychologów i lekarzy, a my tutaj każemy chłopcom zarabiać na swoje utrzymanie. Cóż, może dzięki pobytowi we Włoszech Mark osiągnie niezależność, jak miałaś nadzieję.

A zatem. Jeśli nie chcę wracać do dawnego życia, co mam zrobić? Muszę nabrać dystansu do własnych problemów. Chcę myśleć o innych rzeczach niż ja sam, takich jak ludzkie postępowanie, które mnie zadziwia. O ważnych rzeczach. Może o niebie, o ewolucji, morzach, wulkanach. Nie twierdzą, że znam życie. Nie mogłem być nikogo bardziej pewny niż Ciebie, a spójrz na nas dzisiaj! A jednak, pamiętaj

0 dniach i nocach spędzonych wspólnie z Tobą na Majorce

I w Nowym Jorku, nie mogę uwierzyć, że jesteśmy przeznaczeni do tego, by się stać sobie obcy. Czyżbym tak mało rozumiał, co znaczy być rodzicem, Marcello? Zdaję sobie sprawę, że dzieci są ważne, ale czy są ważniejsze od Ciebie? Tak ważne, byś poświęcała szczęście, jakie mogło się stać naszym udziałem?

Wybaczone, że ten list jest tak długi, i napisany z takimi żalosnymi przeskokami. Pisanie go zajęło mi ponad tydzień! Krótko mówiąc: postanowiłem na pewien czas odejść z ga-

lerii w Barcelonie. Powierzę ją bardzo zdolnemu asystentowi, który ucieszy się bardzo, gdy będzie mógł prowadzić ją na swój własny sposób. Nie może narobić większego bałaganu niż ja po powrocie z Nowego Jorku!

Pojadę do swego domu w Deya i stamtąd będę planował nowe życie. Majoroka zawsze była dla mnie dobra w chwilach nieszczęścia czy zagubienia. (Spójrz, co się stało ostatnim razem!)

Tym razem jestem nie tyle zagubiony co zmęczony, i bardzo za Tobą tęsknię. Moja dusza bardzo się do Ciebie przyzwyczaiła, w tym krótkim czasie, jaki spędziliśmy razem. Teraz jest samotna.

Zawsze będę Cię kochał, Marcello. Wbrew własnej woli widzę, że jednak na Ciebie czekam. Faktycznie, muszę na Ciebie czekać, bez względu na to, jak bardzo się to wydaje beznadziejne. Potrzebna mi wiara, że pewnego dnia znowu się odnajdziemy, a Ty będziesz wolna, by zostać moją. Piszę tu mój adres w Deya, na wypadek, gdybyś postanowiła napisać.

Mówiłem, że mężczyźni nie wolno żyć nadzieją, pamiętasz? Teraz jednak wiem, że ilekroć zobaczę listonosza, podjeżdżającego na rowerze moją drogą, będę miał głupią nadzieję, że wiezie list od Ciebie.

Na zawsze, kochanie. Santi.

Siedziała z listem w dłoni, aż zapadł zmrok. Nie zapalała światła, by Mark spał, nieświadomy jej gniewu i łez płynących jej po policzkach. Pomyślała, żeby go obudzić i zażądać wyjaśnień; potem zapragnęła uciec gdzieś i ukryć się na resztę życia jak Santi. Widziała jednak wszystko zbyt jasno, by złość trwała długo. Wszystko, co robi ci twoje dziecko, to twoja wina - czy zawsze tego nie powtarzała? Kiedy Mark był bardzo młody, zalała go swoją miłością i uwagą w ilościach większych, niż mogłoby znieść jakiegokolwiek dziecko. Wiedziała zawsze, że robi coś niewłaściwego i że rezultaty dowiodą tego. Niechący uczyniła Marka takim, jaki był. Wciąż ta sama stara historia o „grzechach ojców”, tyle tylko, że tym razem chodziło o grzechy matki.

- Czy mogę napić się wody? - spytał nagle Mark.

Marcella aż podskoczyła.

Podniosła wzrok i zobaczyła wpatrzone w siebie oczy syna. Wstała, nalała mu szklanek, usiadła na łóżku, podtrzymała naczynie, kiedy pił łąpczywie.

- Jak długo spałem? - spytał, oddając jej szklanek. Jego oczy wciąż miały ten wyraz oszołomienia.

- Dzień czy dwa - odparła, układając go z powrotem. - Byłeś chory, ale wracasz do zdrowia. Jak się czujesz?

- Zmęczony - powiedział, opadając na poduszkę. - Bardzo zmęczony. Tuż przed zaśnięciem wymamrotał: - Kiedy tu przyjechałaś?

Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, już chrapał.

Poczuła ulgę, widząc, że dobrze jest. Zebrała listy, które napisała do Santiago i schowała do walizki. Już miała zanurzyć się w trzęsawisku bólu i żalu, zacząć rozpamiętywać własne nieszczęście i cierpienie, kiedy w głowie zaświtała jej nowa myśl. Nagle zaczęła starannie składać i pakować swoje rzeczy. Kto powiedział, że było za późno? - naglił nowy głos. - Kto powiedział, że wszystko się skończyło? Spojrzała na datę listu Santiago. Piąty września. Był dopiero grudzień. Wciąż pewnie siedział w swoim idyllicznym domu w Deya, medytując nad wulkanami, czy co tam wymyślił sobie, że będzie robił. Musiała go odnaleźć, pokazać mu te wszystkie listy miłosne i powiedzieć, że miał absolutną rację, że dzieci nie mają prawa kraść twego szczęścia!

Teraz, kiedy była wolna, jej miłość nie należała już do Marka, skierowała ją na Santiago ze wznowioną siłą. Markowi nie groziło już niebezpieczeństwo. Powie konsjerżce, żeby wezwała nazajutrz lekarza. Ona sama zrobiła tyle, ile matka mogła czy powinna zrobić dla syna. Teraz Mark był zdany na siebie, a miał talent i siłę, żeby sobie poradzić.

Ubrała się szybko, zrobiła makijaż, napisała ostrożny, długi list do Marka, zawiadamiając go o Soni, jego chorobie i o tym, że znalazła listy do Santiago. Napisała, że dostarczy je Santiemu osobiście. Obok łóżka zostawiła lekarstwo z informacją, jak często miał je zażywać.

Rozejrzała się po pokoju, upewniając się, że zabrała paszport, pieniądze, torebkę. Teraz nadszedł czas na moje życie - pomyślała, patrząc na syna. - Modlę się do Boga, byś

nie zdążył zniszczyć życia mojego albo Santiago! Santi musi ciągle tam czekać - och, proszę, niech czeka, bo teraz mogła przyjąć i odwzajemnić jego miłość. Teraz mogła go kochać, jak żadna kobieta nie kochała jeszcze mężczyzny. Teraz mogła pokazać mu sens tytułu *Na zawsze zaczyna się tej nocy*, może jeszcze tej właśnie nocy!

Nachyliła się nad Markiem i musnęła jego czoło ustami. Jego twarz była tak przystojna jak zawsze, chociaż blada. - Do widzenia, mój samolubny synu - powiedziała. - Do widzenia, światło mego życia! Światło, które tak wyraźnie pokazało mi, jak musi wyglądać moje nowe życie!

Wyszła z walizką w rękę, cicho zamkawszy za sobą drzwi.

Spała podczas lotu do Madrytu. W Madrycie przesiadła się do samolotu do Palmy. Chciała zadzwonić do Santiago, ale nie знаła jego numeru w Deya, a brakowało jej energii i słownictwa, by zapytać o numer w hiszpańskiej informacji. Ponownie przeczytała pełen miłości list. Gdyby odnalazła Santiago, może poleciałby z nią do Nowego Jorku i zajął się organizowaniem pogrzebu Soni. Wszystko to mogliby omówić po odnowieniu ślubów wzajemnej miłości.

Dwugodzinną przerwę w Madrycie Marcella wykorzystała, by zadzwonić do Nowego Jorku do Amy, ale odpowiedziała jej elektroniczna sekretarka.

- Amy, jestem w Hiszpanii - wyjąkała. - Pewnie słyszałaś potworne wiadomości o Soni. Mark zachorował i...

-Zmarszczyła brwi, szukając słów. - Porozumiem się z tobą... w sprawie pogrzebu Soni. Londyńska policja zatrzymała ciało do sekcji. To takie okropne, że... - Znowu przerwała, usiłując zapanować nad głosem. - Jestem w Madrycie, w drodze na Majorkę. Odszukam Santiago.

Samolot wylądował w Palmie o dziesiątej w nocy; Marcella pojechała taksówką prosto do Son Vida. Mimo że bardzo pragnęła ujrzeć Santiago, czuła się zbyt zmęczona, by się z nim spotkać. Potrzebowała snu, porządnej kąpieli i czystych ubrań.

Po zarejestrowaniu się w hotelu próbowała, wraz z telefonistą, odszukać numer Santiago w Deya, ale nie znaleźli nikogo

o takim nazwisku. Skoro tak bardzo pragnął uciec przed światem zewnętrznym, może nie posiadał nawet telefonu? Usiłowała sobie wyobrazić Santiago - jej pięknego, pełnego życia Santiago - jako odludka. Potem wyobraziła sobie, jak uśmiecha się z rozkoszy na jej widok, jego twarz się rozjaśnia, otacza ją ramionami, żeby nigdy jej z nich nie wypuścić.

i na zawsze zacznie się jutrzejszej nocy, trochę późno, ale dokładnie tak, jak przepowiedział. Najpierw jednak ona musi się przespać! Padła na łóżko w pokoju hotelowym i spała przez dwanaście godzin. Obudziła się w południe, wzięła gorący prysznic i zamówiła do pokoju kawę z kanapką.

Po śniadaniu zdobyła się na odwagę, żeby zadzwonić do Londynu. W końcu dodzwoniła się do detektywa zajmującego się sprawą Soni. Oświadczył, że musieli zatrzymać ciało Soni jeszcze przez tydzień.

- Och, dzięki Bogu! - krzyknęła.

- Słucham, proszę pani? - spytał detektyw, a Marcella wyobraziła sobie jego uprzejmą angielską twarz, pełną niesmaku z powodu stukniętej Amerykanki, której najwyraźniej nie obchodzi zamordowana córka.

- Nie, wiem, że to brzmi potwornie, ale jestem w takim szoku, że nie wiem, jak mogłabym teraz zajmować się pogrzebem - wyjaśniła. - Może za tydzień będę w stanie... - Urwała.

- W pełni rozumiem, pani Winton. I jest mi bardzo przykro. Odłożyła słuchawkę, zaczerpnęła powietrza, połykając histerię, która groziła wybuchem. Stała przy oknie, wyglądając na góry Majorki, zmuszając się do głębokiego oddychania czystym, łagodnym powietrzem. Dla Soni nic już nie możesz zrobić - powiedziała sobie. - Nie żyje, a ciało to tylko skorupa. Jej duch jest wolny, unosi się gdzieś tam. Może nawet mnie obserwuje. Mam nadzieję, że mnie aprobeje. Teraz pierwszeństwo ma Santi.

Poleciała chłopcu hotelowemu wyprasować na mokro jej kostium. Była gotowa dopiero o trzeciej po południu.

Wyszła z hotelu i podeszła do taksówkarza siedzącego w samochodzie na przodzie rzędu taksówek czekających na żwirowym podjeździe.

- Deya? - spytała, unosząc brwi.

Kiwnął głową, pomarszczony człowieczek w czarnym berecie, z gazetą na kolanach. Usiadła na tylnym siedzeniu i ruszyli w dół z bocznej drogi, którą jeździli z Santim na wycieczki. Serce biło Marcelli szybciej. Prezentowała się korzystnie w czerwonym kostiumie od Chanel, a wsuwane pantofle na wysokich obcasach wydłużały jej nogi. Chciała wyglądać jak najpiękniej dla jedynej mężczyzny, jakiego kiedykolwiek kochała. Wszystkie jej Usty miłosne spoczywały w pikowanej torebce; chciała mu je wręczyć od razu jako dowód miłości, tłumacząc zdradę, która rozdzieliła ich na tak długo.

Taksówka zjeżdżała wolno, zsuwała się po obrzeżach Palmy przez lasy sosnowe, wspinała się na tarasy, gdzie rosły sady. Wyszło słońce i wyspa wyglądała w zimowym świetle równie pięknie jak wtedy, wczesną wiosną. Mimo że nie było zbyt ciepło, słońce świecące przez okno oślepiało Marcellę. Dopiero prawie po czterdziestu minutach dojechali do Deya. Zaczęli się wspinać drogą od restauracji, w której jadła z Santim, idąc starą stromą drogą w górę za wioską do jego domu otoczonego ogrodem.

Taksówka rzęziła i charczała na pierwszym biegu, a kierowca narzekał na drogę. Nie spodziewaj się, że opala się w grudniu na tarasie - przestrzegła się Marcella. - Może go nawet nie być w domu. Mimo to czuła obecność Santiago; nie wyobrażała sobie, by mogło go nie być gdzieś w pobliżu.

Kiedy podjechali, ujrzała, że dom sprawia wrażenie opuszczonego, okiennice szczelnie pozamykano, ale ktoś pochylał się nad roślinami w ogrodzie, przycinając drzewka i krzewy. Kiedy osoba ta podniosła się na dźwięk motoru taksówki, Marcella zobaczyła zgarbioną staruszkę, sąsiadkę Santiago.

- *Señora!* - krzyknęła Marcella, opuszczając okno. - Dzień dobry!

Kobieta zerknęła na nią podejrzliwie, podchodząc do samochodu. Jej twarz rozjaśniła się nagle w bezzębnym uśmiechu i staruszka zagdakała.

- Amerykanka! - zawołała. - Jak ładnie pani wygląda! Co pani ta robi?

Marcella z trudem rozumiała jej szybki potok hiszpańskiego.

- Przyjechałam zobaczyć się z Santim! - powiedziała.

- Santiago Roca! - Serce biło jej tak szybko, że ledwo była w stanie wymówić jego imię. - Czy on tu jest? Staruszka zmarszczyła czoło, dodając zmarszczek już i tak pobrużdżonej twarzy. Rozglądała się na boki. Marcella powstrzymała się od krzyku. Kto by się spodziewał, że jej los będzie spoczywał na wąskich barkach tej dobrej małej czarownicy? - myślała. A jednak tak było!

- Ksiądz jest w klasztorze - powiedziała po prostu staruszka, jakby recytowała dziecinny wierszyk.

- Nie, nie... - zaśmiała się Marcella. - Nie ksiądz, *señora*. *Senor Roca*! Santiago Roca! Santi! Człowiek, który tu mieszka, w tym domu! Gdzie on jest?

- W klasztorze. - Kobieta skinęła głową, wskazując ręką.

- W pustelni. Tam!

Wskazywała powykrećanym palcem na góry, nieco zamglone w oddali.

Marcella potrząsnęła głową, patrząc na taksówkarza z irytacją. Staruszka podeszła do samochodu, kładąc dłoń na krawędzi szyby.

- Może go pani odwiedzić. - Skinęła głową. - Wolno im przyjmować gości!

Marcella westchnęła. To niemożliwe. Wszyscy na tej wyspie mieli lekkiego fioła, byli nieco ekscentryczni, jeśli nie całkowicie szaleni. Jednak pomarszczona twarz kobiety nie była głupia; wpatrywała się w Marcellę świdrującymi oczami.

- Santi? Tak? - spytała i skinęła głową. - Santi Roca. Tam! - Skinęła ręką. - W pustelni!

Marcella przypomniała sobie nagle list. „Dystans od problemów - napisał. - Od ludzkiego postępowania, które mnie zdumiewa!” Miał na myśli mnie - pomyślała. Ale czy to możliwe, że został mnichem? Księdzem? „Tu mnie znajdziesz, jeśli postanowisz mnie porzucić” - powiedział jej kiedyś, kiedy mijali klasztor, ten sam, który wskazywała teraz zgarbiona staruszka. Spotkała go w katedrze. Czy możliwe, żeby religia miała dla niego większe znaczenie, niż dał jej do zrozumienia?

- Santi tam jest? - spytała w staruszkę. - W pustelni?

- Tak. Od października.

- Ile zajęłoby droga do klasztoru? - spytała taksówkarza. Staruszka wymieniła z nim kilka szybkich zdań.

- Piętnaście minut.

Pokazał Marcelli swój zegarek.

- Jedziemy! - zdecydowała.

Pomachała staruszce na pożegnanie, pragnąc jej coś dać, ale wiedziała, że pieniądze byłyby obrazą.

Szybciej! - ponaglała taksówkarza, nie wypowiadając ani słowa. Szybciej! Co, do diabła, Santi robił w klasztorze?

Mieszkał tam jako gość? Karmił biedaków? Poczowała, że żołądek kurczy się jej ze strachu. A jeśli cały ten pościg był na marne? Czy mogła sobie wyobrazić powrót samolotem na Manhattan bez niego? Nie - odpowiedziała sobie - nie!

Opuściła okno, kiedy wjeżdżali na wzgórze. Powietrze było tu chłodne, ale chciała poczuć zapach sosen i ziemi, słyszeć brzęk dzwonek owiec. Odgłosy te płynęły z odległości kilkuset metrów, dolinami i polami, filtrowane przez drzewa. Światło stanowiło mieszankę złota i srebra. Karłowate drzewa oliwkowe o poskręcanych szarych pniach, bezlistne migdałowce - wszystko sprawiało w zimie wrażenie czegoś martwego, ale wysokie cyprysy zdawały się wytyczać drogę do Santiago.

- To tam.

Taksówkarz wskazał na niedostępne miejsce wysoko w górach. Wyrzała przez okno i ujrzała stary budynek bez śladów życia. Co, na Boga, mógł tam robić jej ukochany? Modlić się, pościć, składać śluby milczenia? Ta staruszka na pewno wszystko pokreśliła; Marcella znajdzie Santiago w galerii w Barcelonie i razem będą się śmiać z pomysłu jego wstąpienia do klasztoru.

Wejście do pustelni znajdowało się na końcu wąskiej drogi, obramowanej z obu stron czterometrowym murem.

Ściany wznosiły się nad odwiedzającymi, jakby chciały ich pomniejszyć. Tylko prosty żelazny krzyż na narożniku świadczył o tym, że to miejsce religijnego odosobnienia.

Kiedy taksówka wjechała na żwirowy podjazd, Marcellę zdjął chłód. Potem nagły gniew. Czy było to miejsce, gdzie inteligentni ludzie poświęcali życie Bogu, czy miejsce, gdzie rozczarowani kryli się przed światem? Bez względu na to, jak mocno próbowała, nie potrafiła wyobrazić sobie tutaj Santiago. Człowiek, który ciągnął ją nowojorskimi ulicami w po-

szukiwaniu przygody, nie mógł żyć zamknięty z dala od fascynującego go świata.

Kazała taksówkarzowi poczekać, nie mając pojęcia, jak długo zabawi. Przechodząc przez kamienne patio, pozbawione ozdób i posępne, zastanawiała się, gdzie jest radość. Życie poświęcone Bogu musi być przecież radosne - myślała. Jeśli Santi jest tu zamknięty, musi go wyciągnąć i uszczęśliwić na nowo, Wyciągnęła rękę i zaczerpnąwszy tchu, uderzyła w stary, zardzewiały dzwonek.

Nie było łatwo zobaczyć się z Santim, kiedy już ustaliła, że rzeczywiście się tu znajdował. Oznajmiono jej, że będzie musiała porozmawiać z ojcem, który kierował tą małą oazą Wszystko w salce, gdzie kazano jej czekać, było zrobione z zimnego, nieprzyjaznego kamienia. Nieskazitelne, ale dla mej nieludzkie. Wąskie okno ukazywało, jak grube były mury starego budynku; z okna rozciągał się piękny widok na morze. Mury sprawiały wrażenie tak grubych i twardych, że prawdziwe życie zdawało się odległe o wiele stuleci. Marcella pojęła pokusę ukrycia się tutaj. Santi nie mógł wybrać bardziej stosownego miejsca, by uciec przed tym wszystkim, przed chaosem ludzkich emocji. Na jej szczęście ojciec przełożony mówił trochę po angielsku, a niezwykła wizyta pięknej, eleganckiej kobiety najwyraźniej wywarła na nim wrażenie. Miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat, siwe, kręcone włosy, brodę i pełne rozbawienia czarne oczy. Jego twarz kryła w sobie coś ascetycznego - dokładne przeciwieństwo zmysłowości - co przypominało Marcelli o ojcu Carmello. Nosił brązowy habit.

Czuła, że powinna sprawić wrażenie osoby przybywającej w celach duchowych i przeklęła się za kostium od Chanel. Powinna była ubrać się prościej, ale skąd miała wiedzieć, że jej wyprawa zakończy się w klasztorze? Wysłuchawszy Marcelli, ojciec powiedział: - Santiago przybył tu na ochotnika. Nie mogę go zmusić do zobaczenia się z kimkolwiek, jeśli tego nie zechce. Zapytam go. Proszę tu poczekać.

Czekała w niewygodnej salce, gdzie powietrze było znacznie zimniejsze i wilgotniejsze niż na zewnątrz. Pragnęła papierosa, ale wiedziała, że w ten sposób okazałaby brak

szacunku. Jej wargi rozpaczliwie domagały się szminki, ale nie ruszyła się, żeby ją wyjąć. Dlaczego to trwało tak długo? Czy możliwe, że Santi nie zechciał się z nią zobaczyć? Gdyby to zrobił, chyba wybuchnęłyby śmiechem. Uwięzienie się w tym cichym miejscu wymagało zdumiewającej dyscypliny albo nieuleczalnej rany. Kiedy Sami stanął w drzwiach, zrozumiała, że to ona zadała mu tę nieuleczalną ranę.

Stał, patrząc na Marcellę; spoglądali sobie w oczy, wstrząśnięci, jakby nawet chwila nie dzieliła ich od rozstania na lotnisku Kennedy'ego. Trochę schudł, a blask jego oczu został czymś przyćmiony. Kiedy jednak odpowiedział na jej spojrzenie, ujrzała, jak ciemne oczy się zaświeciły, zobaczyła iskrę, którą mogła na nowo rozpłomienić. Był bledszy, miał na sobie džinsy i granatowy sweter, lecz nawet ten nijaki strój potrafił nosić z niedbałą elegancją.

Otworzyła usta, żeby przemówić i poczuła, że wybucha płaczem.

- Santi, Sonia nie żyje!

Podbiegła, żeby paść mu w ramiona, ale Santi powstrzymał ją ze zboląłą twarzą. Ujął Marcellę za łokcie.

- To okropne! Co się stało?

- Została zamordowana! - krzyczała Marcella. - W Londynie. Ktoś ją zabił. Och, Santi, ja...

Zamilkła, a on wręczył jej dużą białą chustkę, wciąż trzymając ją mocną dłonią, jakby czekał, aż odzyska panowanie nad sobą.

- Czy po to przyjechałaś? - spytał łagodnie. - Zeby mi ó tym powiedzieć?

- Nie. - Wyjęła z torby pakiet listów i położyła na ciemnym drewnianym stole. - Moje listy, nigdy do ciebie nie wysłane! - krzyknęła. - Napisałam do ciebie ponad dwadzieścia listów, żeby ci powiedzieć... - Urwała. W tym surowym miejscu słowa „jak bardzo cię kocham” brzmiałyby zbyt świecko. Pokazała Santiemu jego list. - A ten przeczytałam dopiero wczoraj!

- Dlaczego?

- Mark wszystkie schował - odparła. - Myślałeś, że nie odpisałam, a ja myślałam, że nigdy do mnie nie napisałeś i przez cały czas...

Urwała, bo Santi nie postępował zgodnie ze scenariuszem, jaki dla nich stworzyła. W tej scenie, kiedy Santi dowiadywał się, że Mark chował listy, powinien objąć Marcellę i powiedzieć: „A więc teraz, kochanie, możemy zacząć wszystko od nowa!”. Jednak w tym momencie, w prawdziwym życiu, Santi rzekł:

- Czy to naprawdę cokolwiek zmienia? Jakies listy? Tej miłości nie było pisane szczęście.

- Jak to: Jakies listy"? - krzyknęła, podnosząc niebieskie koperty i wymachując nimi przed nosem Santiiego. - Spójrz! Możesz je przeczytać! Przeczytamy je wspólnie! Ponieważ teraz podpisuję się pod każdym słowem, jakie wtedy napisałam!

Potrząsnął głową.

- Nie mógłbym znowu przez to przechodzić, Marcello. Jestem zbyt silny, żeby się teraz temu poddać.

- Silny? - Zaśmiała się, a głos uwiązł jej w gardle. - Kryjąc się w tym zapomnianym przez Boga miejscu? Nie mów mi, że w to wszystko wierzysz!

Posłał jej najdelikatniejszy ze swoich uśmiechów.

- Teraz nie wierzę już w nic.

- Nawet w naszą miłość „na zawsze”?! - krzyknęła. - Czyżbyś o niej zapomniał?

- Mój problem polega na tym, że nigdy nie potrafię zapomnieć - odparł, kręcąc głową. - Ale istnieją inne cele w życiu: oni tu wykonują wspaniałą pracę. Zajmują się biedakami, cygańskimi dziećmi, młodymi narkomanami, starymi ludźmi. To pożyteczne zajęcie, a ja udaję, że jestem im bardziej oddany, niż jest w rzeczywistości, więc pozwalają mi tu mieszkać. To mnie uspokaja.

- Ale to nie jest życie, Santi - powiedziała. - To chowanie się przed życiem. Nie siedzisz tu dlatego, że naprawdę chcesz, ale z mojego powodu!

- Tak - powiedział cicho, podnosząc wzrok, a Marcella ujrzała w jego oczach nie skrywaną miłość. Spojrzała na jego brązową, szczupłą dłoń, sięgnęła po nią, czując jej ciepło, ścisnęła długie palce.

- Proszę, przeczytaj moje listy - błagała. - Popełniłam straszne błędy w wychowaniu dzieci, ale zostałam ukarana.

Chyba możesz pokochać mnie znowu?

Delikatnie odsunął dłoń.

- Nigdy nie przestałem cię kochać, Marcello - powiedział niskim głosem i popatrzył jej w oczy jak dawny Santi. - To straszne, co się stało z Sonią. Straszne. Będę się za nią modlił...

- Ale przecież ty w nic nie wierzysz! - krzyknęła.

- Modlitwa może być po prostu silnym stwierdzeniem faktu

- odparł. - Myślą zwróconą przeciwko złu tego świata.

- Zostaliśmy stworzeni do tego, żeby być razem, Santi

- łkała. - To nie jest miejsce dla ciebie. Należysz do mnie. Jedźmy do Deya. Teraz! Dziś rano odwiedziłam twój dom, widziałam staruszkę...

Santi spojrział na nią z takim żalem, że Marcella zapomniała niemal o godności. Pragnęła pokryć jego twarz pocałunkami.

- Mieszkałem w Deya wiele miesięcy, zanim postanowiłem przybyć tutaj - powiedział. - Kiedy się nie odzywałaś, coś we mnie umarło. Wszystko mnie brzydziło. To jedyny sposób, w jaki mogę nadać mojemu życiu jakiś sens.

Może straciłem tę część duszy, którą kochałaś?

Marcella słuchała go, a łzy płynęły jej po twarzy. To było zbyt okrutne, stać tak blisko, a jednak nie być w jego objęciach. Nie chciała przerywać czaru przez podniesienie chusteczki do twarzy. Dopóki byli razem, coś mogło się wydarzyć, coś mogło zostać ocalone.

- Bez ciebie nigdy nie czułam się pełna - wyznała.

- Próbowałam przelać swoją miłość w książki. Próbowałam seksu z mężczyznami, których imion nawet nie znałam! Robiłam najohydniejsze, poniżające...

- Teraz mówisz bez sensu, Marcello. - Przerwał jej.

- Usiłujesz mną wstrząsnąć i...

Machnął lekceważąco ręką. Maskę obojętności skryła mu twarz, a Marcella zrozumiała, że raniłaby się jeszcze bardziej, gdyby dalej otwierała przed nim serce. Jeśli chciała ocalić choć trochę samej siebie i własnej osobowości, musiała zamilknąć. Nic z tego, co mówiła, nie docierało do tego człowieka, który równie dobrze mógłby siedzieć skamieniały albo za dźwiękochłonną, szklaną ścianą, człowieka, którego kochała bardziej, niż kiedykolwiek mogła kogoś pokochać.

- A więc naprawdę cię utraciłam? - spytała. - Poświęciłam nas na próżno, Santi? Zrujnowałam nasze życie?

- Zrujnowałaś? - powtórzył. - Nie. Ale po to, żebyśmy mogli kontynuować życie we względnej godności, musisz teraz odejść, Marcello.

Po raz pierwszy wymówił jej imię. Otarła twarz chusteczką i potykając się oddaliła się od Santiago.

- Czy tego właśnie chcesz, Santi? - szepnęła.

Skinął głową. Tik na policzku wskazywał, jak wiele go to kosztowało wysiłku.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Ty tego nie chcesz! Nie możesz!

Patrzył na nią błagalnie.

- Proszę, Marcello.

Podniosła list, który do niej napisał, zostawiając swoje listy do niego. Santi patrzył na nią niemal z aprobatą. Wzięła najgłębszy oddech w życiu, aż coś w piersi ją zabolalo, i odwróciła od niego twarz. Niech ją przynajmniej podziwia za to, że nie padła błagalnie na kolana, nie poniżyła się całkowicie. Santi odszedł na bok. Patrzyła długo na jego pociągłą twarz, oczy, usiłując wydobyć z jego widoku jak najwięcej mocy. Potem, resztką sił, zmusiła się do opuszczenia kamiennego pokoju, wyjścia z budynku, przejścia przez długie patio i wyjścia z pustelni bez oglądania się za siebie.

Jej ciało, posłuszne woli, nie przestawało iść, chociaż nie miała pojęcia, dokąd zmierza. Wyszła z budynku nie zauważona. Uczucia jeszcze do niej nie dotarły; miała nadzieję, że odsunie je na jak najdłużej.

Nie widziała taksówki czekającej na nią na końcu otoczonego murami podjazdu ani kierowcy śpiącego nad gazetą. Nawet gdyby go zauważyła, nie wsiadłaby do samochodu. Chciała po prostu iść, poruszać się na oślep, dopóki coś nie zagrozi jej drogi albo jej nie zniszczy. Przeszła przez niski kamienny murek, zbudowany z wygładzonych wiatrem kamieni, połączonych bez cementu. Ruszyła, potykając się, przez ogród klasztorny, zeszła zboczem, gdzie drzewa rodziły figi, migdały i pomarańcze. Nogi niosły ją w dół, zbocze stawało się coraz bardziej strome; potykała się o wybrzuszone korzenie i szorstkie poszycie. Nie myślała, po prostu istniała w zamazanym krajobrazie bólu, gdzie drzewa o poskręcanych, ostrych gałęziach drapały jej ubranie i ciało.

Potknęła się, upadła, wstała i schodziła dalej. Drzewa oliwkowe zdawały się wiedzieć coś, czego ona nie wiedziała; może znały tajemnicę życia? Jak inaczej mogłyby stać się tak brzydkie? Sękate, poczerniałe, poskręcane trwały na tej wyspie od setek lat, a teraz zdawały się drwić z Marcelli! swymi bajkowymi kształtami, jakby były świadkami znacznie większego bólu, niż mogła sobie wyobrazić. Jak gdyby ból jednego nędznego człowieka się nie liczył. Tylu ludzi musiało przechodzić obok nich, pielęgnować je, zbierać owoce, kopiać korę tych drzew z niecierpliwością, sikać na nie, oddawać się pod nimi zakazanej miłości. Marcella była tylko kolejną w długim rzędzie kobiet skazanych na zawód w miłości i życiu, a drzewa wiedziały to i śmiały się z tego. Wzgórze stało się tak strome, że straciła kontrolę nad własną prędkością. Potykała się dalej, żeby zgubić but, żeby upaść.

Po raz pierwszy w życiu nienawidziła siebie. Za to, że przegrała, że wychowała córkę, która musiała zostać zamordowana, i syna, który samolubnie wtrącał się w jej życie i w życie człowieka, którego kochała. Za to, że nie potrafiła przyjąć - pochwyć - miłości i szczęścia, które ofiarował Santi. Za to, że w mroku oddawała się ulotnym seksualnym dreszczom, wahającym się dotykem całej armii anonimowych kochanków. Za zdegradowanie miłości.

Kiedy wreszcie straciła równowagę na krawędzi rozpadliny i runęła głową w dół, padając na gałęzie na dnie, niemal z radością powitała karę, którą znalazła sama, albo która została zesłana przez Boga. Leżała dysząc, obolała po upadku. Już miała zalać się łzami, kiedy nagle wybuchła histerycznym śmiechem. To było po prostu zbyt komiczne, by szalona odyseja minionego tygodnia, która zaprowadziła ją z Manhattanu do Bolonii, a potem na Majorkę, miała się zakończyć tutaj, w tym opuszczonym przez Boga dole. Śmiała się i śmiała, aż osłabła z wyczerpania. Potem zaczęła wzywać pomocy. Pokonała w życiu zbyt wiele przeszkód, by miała się teraz poddać. Nie powstrzyma jej jakiś głupi dół! Musiała przestać się nad sobą użalać, odzyskać kontrolę nad własnym życiem, nawet jeśli miało to być życie bez Santiago.

- Na pomoc! - krzyczała. - Pomóżcie mi!

Santi stał w nagim pokoju, wsłuchany w deszcz, bawiąc się pakietem niebieskich kopert. Kiedy podnosił je do twarzy, czuł zapach perfum Marcelli. Ten zapach wniósł do jego pokoju cały świat, który pragnął wygnać razem z potrzebami, pragnieniami, uczuciem przynależności do tamtego życia. Wszystkie tęsknoty, o których sądził, że zostały pogrzebane, obudziły się w jego sercu, a Santi je przeklął. Wpatrywał się w koperty, wiedząc, że nie wolno mu przeczytać tych listów, lecz wiedział jednocześnie, że to zrobi. Jak mógłby się oprzeć? Odpowiedź była prosta. Znajdzie w bibliotece dużą, brązową kopertę i odeśle listy Marcelli.

Deszcz bębnił gwałtownie o małą szybę jego salki, a Santi wiedział, że musi przeczytać listy, choćby tylko po to, by położyć kres temu nowemu uczuciu niezadowolenia. Będzie w nich szukał fałszywych sformułowań, kłamstw, gratulując sobie, że nie stał się ponownie ofiarą przekleństwa miłości. Sięgnął po pierwszą kopertę i zaśmiał się z siebie. Dlaczego nie spojrzysz prawdzie w oczy? - spytał siebie. - Jesteś w niej zakochany tak bardzo jak zawsze. Nawet bardziej. Przeklął własną upartą dumę, nie pozwalającą mu na szybsze zmiany, na reagowanie zgodnie ze swymi prawdziwymi impulsami. Zawsze potrzebował tyle czasu, by wszystko przemyśleć, by przeanalizować okoliczności.

Usiadł na wąskim łóżku i przeczytał chciwie listy, jeden po drugim, pochłaniając słowa miłości i namiętności, które napisała tak prosto, by mógł je zrozumieć, na papierze zmoczonej jej łzami, a teraz jego.

Kiedy skończył, splukał twarz lodowatą wodą z glinianego dzbana i wytarł się do sucha szorstkim ręcznikiem. Zapadła noc, a Santi starał się znaleźć właściwe rozwiązanie. Miał do wyboru dwa: pozostać tu, w zamknięciu, albo biec za Marcellą, odnaleźć ją i spędzić z nią resztę życia, do czego nagliły go listy. Które rozwiązanie byłoby szczere, właściwe? Wiedział, które chciał wybrać, ale czy potrafił cofnąć żarliwą obietnicę, że o niej zapomni?

Tok jego myśli przerwało natarczywe pukanie do drzwi, niezwykle w surowym życiu pustelni.

Otworzył drzwi.

- Tak? - spytał.

- Jakiś taksówkarz pyta o twojego gościa - powiedział mnich. - Mówiłem mu, że ta pani wyszła już dawno temu, ale mi nie wierzy. Może z nim porozmawiasz?

Santi zmarszczył brwi, schował niebieskie listy do szuflady, po czym ruszył za mnichem kamiennym korytarzem ku wyjściu.

Kierowca zapewniał żarliwie, że nie widział wychodzącej Amerykanki. Przyznał, że zdrzemnął się w samochodzie, ale nie rozumiał, dlaczego nie zbudziła go przed długą drogą powrotną do miasta. Poszukiwania wokół klasztoru nie przyniosły rezultatu. Santi pojechał z taksówkarzem do sąsiedniej wioski, zadzwonił do hotelu Son Vida i zapytał, czy pani Winton była tam zameldowana. Owszem, zameldowała się, ale nie było jej w pokoju. Szukano jej w pomieszczeniach publicznych, ale również bez skutku.

- Co możemy zrobić? - spytał ojciec przełożony Santiago, kiedy ten wrócił do klasztoru.

- Poczekam do północy - odparł Santi. - Jeśli do tego czasu nie wróci do hotelu, musimy zawiadomić policję. Wyszła stąd bardzo wzburzona. Mogła gdzieś odejść albo zabłądzić...

Ojciec poklepał go po ramieniu.

- Wszyscy możemy pomóc w poszukiwaniach - zapewnił. - Mamy pochodnie i jesteśmy bardzo mocni. To bardzo piękna kobieta.

Santi spojrzał w oczy ojca pełne zrozumienia i skinął głową na znak zgody.

Jej nastrój zadziornej odwagi trwał tylko dwie godziny.

W nocy przemoczyła ją ulewa, której towarzyszyła burza. Próby wydostania się z dołu spelzły na niczym; była pewna, że złamała nogę. O świcie zbudził ją deszcz, lejący się jej do uszu. Miała opuchnięte, obolałe kończyny; noga rwała potwornie. Czerwona ziemia zamieniła się w błoto, oblepiając jej włosy i ubranie. Nagle zdała sobie sprawę, że może nie przeżyć, i poczuła pierwszy zimny dreszcz strachu. Zamknęła oczy, próbując odpocząć. Deszcz powoli ustał. Świt złocił szare niebo, a nad jej głową latały ptaki. Dzień mijał powoli, a Marcella na przemian traciła i odzyskiwała przytomność.

Co o niej pomyślą? Wezmą ją za głupią? Odważną? Ofiarę? Może nigdy jej nie odnajdą? - Dół wypełni się błotem i gałęziami, które skryją jej ciało. Zostanie pochowana naturalnie, organicznie - to przynajmniej było pociechą. Zapadła następna noc, a ból w nodze się nasilił. Przespała kolejny świt, budząc się po południu. Resztki sił zniknęły. Szukaj mnie - modliła się. - Szukaj mnie, Santi! Przeczytaj moje listy, zadzwoń do hotelu i dowiedz się, że zniknęłam! Jeśli mnie kochasz, będziesz wiedział, gdzie mnie szukać! Powiedziałaś, że nigdy nie przestałeś mnie kochać! Poczowała w nodze elektryczne spazmy bólu i krzyknęła. Zmoczyła majtki, wypłakała resztki łez, przestała udawać dzielną. Czuła się tak wyczerpana, że nie chciała przeżyć. Wiedziała, że mogłaby przeżyć, gdyby zdobyła się na jeden ze swych gigantycznych wysiłków woli, ale brakowało jej energii. Przeszła więcej, niż może przeżyć człowiek. Teraz jej karą nie byłaby śmierć ale dalsze życie. Nie potrafiła zdobyć się na życie bez Santiago. Wybaczyła Markowi, co napełniło jej serce radością, ale bała się śmiertelnie, bo mrok nieznanego zdawał się nieskończony i przerażający. Mogła mieć tylko nadzieję, że z pomocą Boga... Stłumiła tę myśl. Jakie miała prawo, by tego oczekiwać? Myśli odpłynęły. Nie miała już nawet sił, żeby myśleć. Po prostu leżała cicho, nie rejestrując nic poza odległym odgłosem dzwonek owiec, dzwonienia i brzęczenia, które nasilało się coraz bardziej, aż stało się metalowym łomotem zagłuszającym wszystko pozostałe. W uszach dzwoniły jej dzwonki, rozlegały się głośne, oszałamiające gwizdy, wysokie wycie. Czy tak się właśnie umiera? - myślała. O, Boże, czy tak miała opuścić tę ziemię? Tak samotnie, nie trzymając nawet dłoni Santiago? Wtedy ujrzała w dole, obok siebie, duchy ojca i matki i uśmiechnęła się.

Manhattan, luty 1991

Masz więc zamiar tak siedzieć i się martwić? - spytał Cole Ferrer.

Stał w drzwiach, zaglądając do ciemnego pokoju Marka. Była jedenasta w dzień, zwykła godzina codziennych odwiedzin Cole'a.

- Mark! - zawołał. - Słyszałeś, co powiedziałem? Mark poruszył się i podniósł wzrok. Leżał zwinięty na starannie zasłanym łóżku, w dżinsach i koszulce.

- Mark - mówił łagodnie Cole. - Niczego nie osiągniesz, leżąc tygodniami w ciemnym pokoju.

Mark spojrział znowu na zasłonięte okno.

- Czy nie czas, żebyś przestał grać Judy Garland w *Narodzinach gwiazdy*? - uśmiechnął się Cole.

- Cole! - Krzyk Marka go zdumiał. - Rozumiem, że kiedy ty tracisz całą rodzinę w ciągu kilku miesięcy, kiedy ty musisz pochować zamordowaną siostrę, bo twoja matka zginęła, i pewnie nie żyje, wtedy idziesz prosto do Carlyle Lounge, siadasz do fortepianu i grasz *Swonderfull*

- Może tak bym zrobił, kochany - odparł Cole, siadając w nogach łóżka. - Praca to czasami najlepsza ucieczka.

- Ja nie jestem jeszcze gotowy, by uciec.

- Nie wierzę też w tę historię o stracie całej rodziny - ciągnął Cole. - Nigdy nie odwiedziłeś ojca. Sam mówiłeś, że Sonia to wariatka, a kto powiedział, że straciłeś matkę? Założę się, że siedzi teraz na słońcu i pisze kolejną powieść.

- Nie. - Mark oparł się o wezłowie łóżka. - Nigdy by mi tego nie zrobiła. Nawet jeśli chciała mnie ukarać.

- Ukarać? - Cole rzucił się na to słowo. - Za co? Za zostawienie jej samej w Boże Narodzenie?
 - Tak. - Mark spojrział na Cole'a. - Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego przyleciała aż do Bolonii. Skąd wiedziała, że zachorowałem?
 - Wyglądałeś na chorego. Nie odbierałeś telefonów. W Boże Narodzenie odwiedziła tego jasnowidza czy medium. Powiedział, że obojgu jej dzieciom grozi niebezpieczeństwo. Wtedy do mnie zadzwoniła. Oczywiście, kiedy tylko usłyszała te okropne nowiny o twojej siostrze, złapała najbliższy samolot do Włoch!
 - A ty nie masz pojęcia, co to był za jasnowidz? - spytał Mark.,- Może coś by mi o niej powiedział. Tacy ludzie czasami pomagają policji rozwiązywać zagadki kryminalne.
 - Nie wymieniła jego nazwiska - odparł Cole. - Albo jej nazwiska. Nawet nie wiem, jakiej płci jest ten wróżbita.
 - Moglibyśmy dać ogłoszenie w „Village Voice” - zaproponował Mark.
 - I wysłuchiwać wszystkich świrów z całego stanu, którzy stwierdzą, że mają coś do powiedzenia? - spytał Cole zmęczonym głosem.
 - Ale czegoś moglibyśmy się dowiedzieć! - nalegał Mark.
 - Zachowaj to na moment prawdziwej desperacji - doradził Cole.
- Mark usiadł na łóżku, krzyżując ręce na piersi.
- Czy nie sądzisz, że jestem dostatecznie zdesperowany?
 - Jeśli tak, to czemu nie polecisz na Majorkę jej szukać? Mark spojrział na Cole'a z udęconą miną.
 - Wiem, że powinienem tam być, ale nie mogę się na to zdobyć. Jestem... sparaliżowany! Myśl, że przeszukuję wzgórza i góry, szukam w liściach czy trawie śladów butów matki, nagle znajduję jej rękę czy nogę wystającą z krzaka, po prostu... - Przerwał. - Po prostu, nie mógłbym tego robić, Cole! Nie mógłbym!
 - Dlatego leżysz w łóżku i czekasz na cud? - spytał szyderczo Cole.
 - Właśnie! - krzyknął Mark. - To wszystko, na co mnie stać, Cole! Jakież obiekcje?

Cole westchnął przeciągle, kręcąc ze smutkiem głową. Odwrócił się ostrożnie do Marka.

- Czy mógłbym coś zrobić, Mark? - spytał łagodnie. Mark potrząsnął głową.

- Dwadzieścia razy dziennie dzwonię na policję, do amerykańskich konsulów w Barcelonie i Palmie, do wszystkich, którzy mogliby pomóc. Nie mogę się dodzwonić do Santiago, faceta, do którego pojechała, a może po prostu nie odpowiada na moje telefony. Zostawiłem mu ze sto wiadomości. Powiedzieli mi, że pomaga policji przeszukiwać teren. Jest pewnie na mnie wściekły, bo uważa, że powinienem być tam razem z nim. Ma rację, Cole! Wiem, że powinienem! Po prostu nie mogę...

Urwał, schował twarz w dłoniach i zapłakał. Cole wstał, nachylił się, żeby dotknąć ramienia Marka, ale rozmyślił się i wsunął dłoń do kieszeni.

- A gdybym ja pojechał tam z tobą? - zaproponował.

- Moglibyśmy szukać razem.

Mark potrząsnął głową, ocierając oczy wierzchem dłoni.

- Po prostu nie mogę tego zrobić, Cole. Nie jestem teraz mężczyzną, jestem roztrzęsioną galaretą. Zamordowanie Soni, a teraz to... - Znowu potrząsnął głową. - Mogę tylko siedzieć tu i czekać. Codziennie rano idę na krótki spacer, potem wracam i czekam. Nie jestem w stanie robić nic innego.

- Dobra. - Cole poklepał go po ramieniu. - Wrócę jutro o zwykłej porze, to samo miejsce, ta sama częstotliwość

- powiedział. - Jeśli tej nocy będziesz mnie potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać. Ale, proszę, Mark, zrób wysiłek.

Nie ześlizguj się w nicość. Postaraj się zostać w świecie żywych, dobrze?

- Tak. - Mark kiwnął z roztargnieniem głową. - Dzięki, Cole. Na razie.

Patrzył, jak Cole wbija się z trudem w gruby czarny płaszcz.

- *Ciao!* - Cole mrugnął, a Mark usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

Wstał z łóżka i poszedł do pokoju Marcelli. W powietrzu unosił się dręczący zapach jej perfum, jakby dopiero wyszła. Pootwierał szafy i delikatnie dotykał bluzek i sukienek, wiszących tam cicho. Czy mogły mu coś powiedzieć? Odbywał

Marotd Cartton

ten rytuał codziennie przed wyjściem z domu. Patrzył na jej buty, swetry i bieliznę, wszystko starannie poukładane na półkach. Jego pokój w Bolonii też zostawiła starannie posprzątany, tak starannie jak tylko matka mogła posprzątać pokój syna. Poza porządkiem i listem, jaki mu zostawiła, nie pamiętał nic z jej wizyty. To było najbardziej niepokojące - obudził się następnego ranka, wyszedł z grypy, tak mocno czuł jej obecność, a jednak nie pamiętał, że go odwiedziła. Dowiedział się, że spędziła u niego dwa dni, wezwała lekarza i kazała konsjerżkom pilnować go po jej wyjeździe. Nawet dowiedziawszy się, że ją zdradził, troszczyła się o jego zdrowie i to rozdzierało mu serce.

Kiedy tylko wyzdrowiał, poleciał do Londynu, upomniał się o ciało Soni, przewiózł je do Nowego Jorku i zorganizował pogrzeb. Uroczystość w domu pogrzebowym w centrum miasta zamieniła się w cyrk; modelki, świry i fanki ze świata mody, prasa i fotografowie, z których nikt nie był bliskim znajomym Soni, odarli krótkie życie jego siostry z resztek szacunku czy czci. Dziwnym zbiegiem okoliczności Ray Le Var został wydalony do Stanów Zjednoczonych dokładnie w dniu pogrzebu, co podwoiło entuzjazm prasy. W rezultacie tego koszmarnego dnia i zniknięcia matki Mark popadł w stupor.

Niemal gorsza niż zniknięcie Marcelli była wiedza, że znalazła listy, które ukrył. Tej wstydlivej rzeczy nie potrafił wyznać nikomu-. Gdyby o tym powiedział, stałby się, w pewien sposób, częściowo odpowiedzialny za jej zniknięcie. Odebrałoby mu to prawo do współczucia ze strony Cole'a czy Amy, a także ze strony czytelników Marcelli, którzy przysyłali do Volumes modlitwy o jej bezpieczny powrót. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o jego manipulacji życiem matki, Mark zostałby potępiony jako wścibski robak, bo tak właśnie teraz siebie widział. Ze złotego chłopca, który miał świat u stóp, stał się wścibskim robakiem. Jedynym sposobem na przeżycie tego obsunięcia się własnej wartości, było życie lunatyka, przynajmniej do czasu, kiedy jakakolwiek zmiana położyłaby kres tej upiornej niewiedzy.

Zamknął drzwi szafy i wyszedł z sypialni, jak zwykle pełen poczucia winy i niezadowolenia. Włączył elektroniczną sekretarkę, by wysłuchać nieuniknionych pobożnych ży-

czeń, telefonów od wariatów i innych wiadomości, które napływały każdego dnia.

Zjechał windą, zmuszając się do myślenia o praktycznych kwestiach, jak pójście do banku, zatelefonowanie do garażu, gdzie obsługiwano Rolls, zamówienie sprzątaczkę do mieszkania. Miał zostać bardzo bogatym młodym człowiekiem, ponieważ dziedziczył co do centa honoraria matki, chociaż ta myśl przyprawiała go dosłownie o mdłości. Pojawił się też nowy problem: firma Caresse Cosmetics wytoczyła proces w sprawie majątku Soni, domagając się zwrotu swej pierwszej wypłaty wysokości trzech milionów dolarów. Było to wstrętne żniwo złej sławy, jaką Sonia cieszyła się w świecie mody, a Caresse groziła długim procesem.

Scott zadzwonił do Marka, by oznajmić tonem niemal przepraszającym, że w odpowiedzi na nagły popyt Volumes postanowiło wznowić wydanie pierwszych trzech powieści Marcelli. Z powodu nowych sensacji ilość sprzedawanych książek wzrosła groteskowo, dzięki czemu powieść *Na zawsze zaczyna się tej nocy* ponownie znalazła się na Uście bestsellerów. Tajemnicze zniknięcie autorki, matki zamordowanej modelki, zaostriżyło apetyty czytelników, sprawiając, że książki Marceli sprzedawały się wszędzie. Wznawianie było nieuchronne: interes musiał kręcić się dalej. Mark wyszedł z domu i skręcił w prawo. Minął dwukółki na Central Park South, zauważając, że przy niskiej temperaturze woń koni nie unosi się daleko. Później doleciał go gorzki zapach przypalonych precli sprzedawanych tradycyjnie na rogu Piątej alei i Pięćdziesiątej Siódmej uUcy. Minął Tiffany'ego, zwracając uwagę na japońskie dziewczęta fotografujące się przed wejściem do sklepu, pijące kawę z kartonowych kubków, naśladujące Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany'ego*.

Przez kilka sekund przyglądał się kalece, który pracowicie wypisywał zebraczą tabUczkę. Inny nędzarz, chudy i brudny, właśnie powiesił sobie na szyi napis: „Umieram na AIDS. To miasto odrzuciło moją prośbę o wsparcie. Pomóż mi umrzeć godnie”. Mark wręczył mu dziesięć dolarów, za które nie usłyszał podziękowań. Podczas swego krótkiego spaceru dał już dwa żetony do metra i nieco drobnych; pewien roześmiany mężczyzna, wychodząc z założenia, że humor jest najlep-

szą metodą, poprosił go o „dwa miliony dolarów na apartament na poddaszu”. Mark odziedziczył po matce talent obserwacji, jej wrażliwość na ludzi; momentalnie potrafił wyobrazić sobie siebie na ich miejscu. W tym tkwił problem. Ilekroć stawał się na miejscu matki znajdującej ukryte przez niego listy, zalewała go fala wstydu. Uczucie to stale powracało, nie potrafił wyprzeć bolesnego wspomnienia. Wciąż wyobrażał sobie, jak musiała się czuć, jak musiała mu się przyglądać, kiedy spał chory na gripę. Widział ten wyraz jej twarzy.

Zawrócił gwałtownie i ruszył z powrotem do domu.

Kiedy wszedł z korespondencją w ręce, mieszkanie jak zwykle zdawało się dziwnie ciche. Bez znajomego stukota maszyny do pisania Marcelli Mark miał wrażenie, że w mieszkaniu zapanował miesiąc złożony z samych niedziel. Nigdy nie pracowała w niedzielę, z czego śmiali się, mówiąc, że umysł Marcelli odmawia funkcjonowania w dniu wypoczynku. Mark włączył automatyczną sekretarkę.

- Wszystko w porządku, Mark? Potrzeba ci czegoś? - zabrzączał z maszyny chrapliwy głos Amy. - Przez cały dzień jestem w domu. Zadzwoń.

- Mark? - brzmiała druga wiadomość. - Tu Scott. Zadzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz mógł.

Natychmiast nakręcił numer Volumes.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytał Scotta, kiedy tylko uzyskał połączenie.

Według jednej z teorii Scotta Marcella została porwana; uprzedzał wszystkich, że mogą się spodziewać żądania okupu.

- Nie, niczego - odparł Scott. - A jak ty sobie radzisz? W porządku? Mamy kolejny worek pełen listów do Marcelli. Chcesz, żebym ci je wysłał, czy mam zachować je przez pewien czas?

- Zachowaj - odparł apatycznie Mark - Za parę dni je przejrzę. Czy w tej sprawie dzwoniłeś?

- Nie, chciałem cię zapytać, czy wiesz coś o autobiografii, nad którą pracowała twoja matka. Teraz powinna być niemal kompletna, Marcella zaczęła pracę nad nią wiele miesięcy temu. Może jest w jej gabinecie, albo miała ją ze sobą, kiedy odwiedziła cię we Włoszech.

- Czy to ma znaczenie? - Mark wzruszył ramionami. - W jej gabinecie jest taka masa papierów. Myślę, że je przejrzę, kiedy... jeżeli... - Urwał.

- Dobrze! Świetnie! - W głosie Scotta pobrzmiwał wstyd, a Mark zdał sobie nagle sprawę, że redaktor węszył za kolejną książką Marcelli Balducci Winton, chcąc ją wydać na fali zainteresowania. - Pomyślałem tylko, że powinienem ci o tym powiedzieć - mówił Scott. - Naturalnie duża część autobiografii dotyczy pewnie ciebie i twojej siostry. Zasugerowałem Marcelli, żeby opisała, jakie to uczucie być matką dwojgą sławnych dzieci.

- Rozumiem - powiedział Mark.

- Ona to dyktowała - dodał Scott. - Nagrywała na magnetofon.

- Aha. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Do widzenia, Scott.

- Mark? Jeśli mogę coś zrobić... - zaczął Scott.

- Jasne. Dzięki. Na razie. - Mark szybko odłożył słuchawkę.

Znalazł kasety, ułożone równo po jednej stronie biurka, bez tytułów ale ponumerowane. Wystarczyło, że przesłucha je na walkmanie albo korzystając z magnetofonu w sypialni. Wybrał walkmana, dzięki któremu w niesamowity sposób słyszał głos zaginionej matki, jakby rozbrzmiewający w jego głowie.

- *Cena namiętności* - zaczęła. - *Autobiografia Marcelli Balducci Winton*. Książka, o którą mnie błagałeś, Scott.

Do drugiej nad ranem następnego dnia przesłuchał wszystkie taśmy. Później przeczytał to, co napisała w dzień Bożego Narodzenia, relacjonując dokładnie swój stan umysłu. Teraz wiedział wszystko, co tylko mógł, o kobiecie będącej jego matką - o własnym dzieciństwie, o ojcu, o sposobie, w jaki on sam został wychowany. A także znacznie więcej o życiu seksualnym swojej matki, niż chciał wiedzieć.

Poszedł do kuchni nalać sobie kieliszek wina; jego umysł stał się nagle całkowicie przejrzysty. Czuł, jakby spędził cały dzień z matką, słuchając, jak wyznawała mu swoje wątpliwości, nadzieje, lęki, cele. Seksualne rewelacje były szokujące, ale nie czuł się na siłach, żeby je osądzać, ustosunkować

się do nich, ponieważ sam nigdy nie był rozdarty pragnieniami, które tak plastycznie opisywała. Przeżył dwadzieścia lat bez uprawiania seksu! Późne dojrzewanie.

Zamyślony wszedł do salonu. Czy rzeczywiście zamierzała opublikować te wyznania? Został w nich nazwany nadmiernie kochanym synem kobiety uzależnionej od obcych dłoni macających jej ciało, jak gdyby należała do każdego nędzarza na ulicy, do każdego, kto zechciałby dostarczyć jej taniego dreszczu rozkoszy. Mark wiedział, że powinien być wściekły i zawiedziony, a jednak w pewien sposób podziwiał matkę. Przynajmniej miała w sobie dość żaru i ikry, żeby sięgnąć po to, czego potrzebowała. Tak dobrze ją teraz rozumiał, rozumiał, w jaki sposób stał się dla niej taki ważny, tak bardzo od niej zależny. Ponieważ to ona była zależna od niego! Dzięki temu nowemu zrozumieniu losów matki i własnych odnalazł nieco współczucia dla samego siebie; czuł mniejszy wstyd, rozumiał lepiej, dlaczego ukrył jej listy. Była to ohydna zdrada, ale popełniona po to, by mógł przeżyć. Jak tonący chwycił się brzytwy.

Usiadł do fortepianu. Jego dłonie zawisły nad klawiszami. Nie grał od powrotu z Bolonii. Miał uczucie, że jego palce są sztywne i pozbawione muzyki. Granie było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, a mimo to zmusił się do odegrania całej *Suite Bergamesque* Debussy'ego, ulubionego utworu matki. Przypomniawszy sobie, jak bardzo czuł się zaszczycony, kiedy po kąpieli prosiła go o granie; jak zerkał na jej uroczy profil, gdy siedziała z zamkniętymi oczami, zasłuchana. Żal chwycił go za gardło.

- Proszę... - szepnął, a łzy płynęły mu po twarzy, kiedy grał ostatnią nutę. - Proszę...

Kogo błagam? - myślał. - Jakąś moc? Bogów, wielu? Jeśli pragniesz czegoś dostatecznie mocno, możesz sprawić, że się to stanie - mówiła mu matka. - Koncentrujesz się, myślisz, i staje się to nieodpartą siłą". Jak w tej głupiej piosence Astaire'a, *Something's Gotta Give*, którą Cole grywał na bis w Carlyle.

Sprawiała, że zaczął wierzyć, że sam posiada tę wyjątkową moc. Korzystał z niej podczas przesłuchań, koncertów, występów w Carlyle. Teraz musiał zavezwać wszystkie swoje

czarodziejskie moce, by nakłonić bogów do współpracy; niech zmuszą coś lub kogoś do „dania”!

Gdyby stał się ten cud, gdyby się odnalazła, uwolniłby ją z własnych egoistycznych potrzeb i wreszcie przekształcił się z dziecka w mężczyznę, mężczyznę, z którego byłaby dumna.

Uklęknął przy stołku fortepianowym, próbując się modlić. Początkowo czuł się komicznie, jednak powoli zebrał siły i włożył w modlitwę całe serce. Klęczał przez pół godziny, nogi mu zdrętwiały, wydało mu się, że słyszy dzwoniący telefon. Potem pojął, że naprawdę dzwonił. Stanął na zeszywniałych nogach, kuśtykając podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę. Była trzecia nad ranem.

- Tak? - powiedział.

W słuchawce rozległy się trzaski, a potem usłyszał męski głos.

- Słuchaj uważnie, Mark. Tu Santi. Nie mów nic przyjacielom, policji, nikomu, rozumiesz? Twoja matka żyje.

Tego popołudnia Mark siedział sztywno w samolocie lecącym do Madrytu, wpatrując się nie widzącym wzrokiem w czasopismo, przypominając sobie rozmowę telefoniczną.

- Czy mogę z nią mówić? - spytał Santiago.

- Obawiam się, że to niemożliwe - brzmiała odpowiedź. - Ona nie czuje się dobrze. Potrzebujemy cię tutaj. Ukryłem ją, strzegłem jej prywatności. Zrozumiesz to, kiedy tu przylecisz.

Żołądek skręcał mu się z podniecenia i niepokoju. Nikomu nie powiedział, dokąd się udawał; zostawił wiadomości dla Cole'a i Amy, że wyjeżdża z miasta na kilka dni.

W Madrycie przesiadł się do innego samolotu, zadzwoniwszy przedtem pod numer w Palmie, który podał mu Santi. Lot nigdy mu się tak nie dłużył. Kiedy samolot zatrzymał się wreszcie na lotnisku w Palmie, Mark wysiadł jako pierwszy. Przebiegł przez kontrolę paszportową i celną, ściskając w dłoni tylko jedną dużą torbę. Omiód wzrokiem dum zgromadzony za barierką i natychmiast rozpoznał Santięgo. Pobiegnął do niego, oczekując, że Santi go uściśnie, ale ten trzasnął go pięścią w szczękę i Mark upadł na ziemię.

Mark zawiąnął w serwetkę kilka kostek lodu, po czym przyłożył do obolałego podbródka. Dwaj mężczyźni siedzieli podczas lunchu w małej katalońskiej restauracji, mierząc się wzrokiem.

- Jestem ci winien jeszcze jeden cios - oświadczył surowo Santi. - Tamten był za niewysyłanie listów twojej matki do mnie. Drugi będzie za niewysłanie mojego do niej!

- A więc prawdziwy z ciebie mężczyzna, tak? - spytał szyderczo Mark.

- Nie - odparł cicho Santi, kręcąc głową. - Ale marzyłem, żeby cię trzasnąć, od chwili, kiedy cię poznałem, Mark. Twoja twarz była tak wyzbyta poczucia rzeczywistości, doświadczenia życiowego. Teraz możesz zacząć dorastać, ale częścią dorastania jest uzmysłowienie sobie potwornej krzywdy, jaką wyrządziłeś dwojgu ludziom. Czy ty to rozumiesz?

- Tak - odpowiedział Mark, spuszczać wzrok. Pomacał podbródek. - W ciągu ostatnich miesięcy zdałem sobie sprawę z wielu rzeczy. Ale proszę cię, powiedz, jak się czuje moja matka. Czy ona wie, że tu jestem?

Santi posłał mu surowe spojrzenie.

- O niczym nie wie. A ty się dowiesz wszystkiego we właściwym czasie. Przez ciebie czekałem cały rok na porozumienie się z Marcellą, więc chyba ty możesz poczekać jeszcze godzinę, nie sądzisz?

- To nieuczciwe! - wybuchnął Mark, rozdrażniony sposobem, w jaki traktował go Santi. - Sprowadziłeś mnie tutaj, a teraz...

- Kazałem ci tu przyjechać, bo cię potrzebuję - odparł zdecydowanym tonem Santi. - Nie dlatego, że brakowało mi twego towarzystwa. Gdybym cię nie potrzebował, pewnie nigdy więcej bym cię nie widział, Mark. Dlatego masz szczęście, że w ogóle pozwolę ci zobaczyć się z matką! Gdyby nie znalazła listów, ty nigdy więcej nie pozwoliłbyś mi jej zobaczyć, prawda?

Mark nie odpowiedział. Westchnął ciężko i włożył świeże kostki lodu do serwetki.

- Nie jestem głodny - oświadczył, kiedy kelner wręczył im menu. - W Nowym Jorku jest teraz ósma rano, a w samolocie podano trzy posiłki. Dlaczego od razu do niej nie pójdziemy?

Santi uśmiechnął się smutno.

- Marcella leży w szpitalu, gdzie odwiedziny są o czwartej. Zjedz coś. Będziesz potrzebował sił.

Zamówił dla nich zupę i wino.

- Czy ktokolwiek wie, że została odnaleziona? - spytał Mark.

- Oczywiście. Zawiadomiono policję. Ale nie dopuściłem do niej żadnych dziennikarzy. Strzeżenie jej prywatności było pełnoetatowym zajęciem, ale zrozumiesz, po co to robiłem, kiedy ją odwiedzimy.

- Ale co jej się stało, na miłość boską? - krzyknął Mark. - Czy miała wypadek?

- Tak, wypadek. - Santi skinął głową. - Przez ostatnie osiem tygodni byłem za nią całkowicie odpowiedzialny.

Chciałem sam przywrócić jej zdrowie, Mark.

- Ale dlaczego nie powiedziano mi przynajmniej, że ona żyje? - spytał Mark.

Santi wpatrywał się w niego żarliwie.

- Ponieważ wyrządziłeś już dość szkód, jej i mnie! Chciałem cię zabić, Mark. Dlatego pomyślałem, że lepiej będzie cię zignorować!

Santi upił łyk wina i oparł się na krzesło, kiedy kelner przyniósł zupę.

- Słuchaj, Santi - zaczął Mark. - Masz pełne prawo, żeby mnie nienawidzić, ale w ciągu kilku tygodni straciłem całą rodzinę. Ojca, siostrę, matkę! Czy wiedziałeś, że Sonia została zamordowana?

Santi przytaknął.

- To była ostatnia rzecz, jaką twoja matka powiedziała mi przed... wypadkiem. Bardzo mi przykro, Mark.

- Dobrze, ale ja żyłem z tym przez osiem tygodni! - krzyknął Mark. - Nie było chwili, żebym nie żałował tego, co zrobiłem.

Santi zjadł kilka łyżek zupy, gestem nakazując Markowi zrobić to samo.

- Na miłość boską, powiedz mi, co jej jest! - zawołał Mark. Santi skinął głową i odłożył łyżkę.

- Zacznę od początku. Przez ponad rok próbowałem zapomnieć o twojej matce. Nakazałem sobie wyrzucić tę

kobietę z pamięci. Niełatwo to zrobić, kiedy tak bardzo się kogoś kocha. Czy kiedyś tak kogoś kochałeś? Mark potrzęsął głową.

- Tak myślałem - odparł Santi.

Znowu zaczął jeść zupę, a Mark nie odważył się go więcej ponaglać.

- Zrezygnowałem z galerii - podjął Santi - a w końcu udałem się na odosobnienie do pustelni. To rodzaj klasztoru, prowadzonego przez mnichów, którzy pozwalają ludziom mieszkać z nimi i pracować, jeśli mają ochotę. Nie jestem bardzo religijny, ale przez pewien czas chciałem wykonywać jakąś pożyteczną pracę i wycofać się ze świata. Twoja matka przerwała w gaidniu to odosobnienie, zjawiając się nagle w pustelni ze wszystkimi listami w dłoni. To było jak widzenie! Ale ja nie byłem na to przygotowany. Tak mocno próbowałem jej nie kochać. Jestem zbyt uparty, żeby zmienić się w jednej chwili. Mimo że wręczyła mi listy, których nie wysłałeś, i opowiedziała całą historię, byłem zbyt dumny. Rozumiesz?

Mark skinął głową, wpatrując się w umęczoną twarz Santiago. Santi wypił łyk wina.

- Powiedziałem jej, że lepiej będzie, jeśli odejdzie. Że nie sposób zaczynać wszystkiego od nowa. Twoja matka także ma swoją dumę. Była zmartwiona bardziej, niż sobie zdawałem sprawę. Wybiegła z pustelni, która leży w górach, na odludziu. Musiała być zbyt zrozpaczona, by wiedzieć, co robiła, ponieważ po prostu zbiegła w dół ścieżkami, po których chodzą tylko zwierzęta. Przebiegła tak długą drogę, że miejsce, gdzie się znalazła, zaczęliśmy przeszukiwać dopiero po dwóch dniach. Przez ten czas padał silny deszcz. Znaleźliśmy ją w dole. Miała złamaną nogę i zapalenie płuc. Rany i wiele siniaków. Ale to wszystko jest niczym w porównaniu z jej stanem psychicznym. Mark... - W oczach Santiago błysnęły łzy; położył dłoń na ramieniu Marka. - Ona nie wie, kim jest! Nie powiedziała ani słowa, odkąd ją znaleźliśmy!

Mark patrzył, jak łzy płyną Santiemu po policzkach, zbierają się na długich, czarnych rzęsach. Nigdy wcześniej nie widział, żeby mężczyzna płakał tak nieświadomie, bez wstydu. Nachylił się i dotknął ramienia Santiago. Nienawi-

dził go podczas całego lunchu, ale teraz, widząc, jak dręczy się stanem matki, poczuł przypływ współczucia.

Wreszcie Santi otarł twarz i spojrział na Marka wzrokiem pełnym cierpienia.

- Nigdy sobie nie wybaczę! - powiedział. Mark potrząsnął głową.

- Nie - szepnął. - To ja jestem winny. Gdybym wysłał te listy, nigdy by do tego nie doszło.

Santi pokręcił głową, po czym wytarł nos w dużą, białą chustkę. Otarł oczy, rozglądając się po sąsiednich stolikach.

- Nie będziemy się spierać, kto ponosi większą winę - powiedział, chowając chustkę. - Przez osiem tygodni znajdowała się pod dobrą opieką. Jej noga się zrosła. Fizyczny stan jest zadowalający. Myślałem, że mówiąc do niej stale, uda mi się przywołać Marcellę z powrotem do życia. Ale teraz potrzebuję ciebie! Tak bardzo cię kocha, że moja ostatnia nadzieja leży w tym, że twój widok pobudzi może jakoś jej pamięć. Może tobie uda się obudzić ją z tego snu.

Mark zerwał się na równe nogi, zrzucając serwetę z kolan.

- Oczywiście, że mnie pozna! Przysięgam. Chodźmy do niej natychmiast!

Santi wiozł ich swym małym, pomarańczowym samochodem w góry, mijając Deya i Yalldemosa. Był początek marca i migdałowce właśnie zaczynały kwitnąć, ale Mark był ślepy na ich piękno. Podobnie nie docierał do niego urok ciemnozielonych cyprysów, powykręcanych drzew oliwkowych, beczenie młodych, białych owieczek, zapach morza i sosnowy aromat powietrza. Widział, że ten krajobraz jest jak ze snu, ale był to sen, który łatwo mógł się zmienić w koszmar, jeśli jego twarz i głos nie wywrą pożądanego efektu na matce.

Przełożona pielęgniarek w szpitalu doskonale mówiła po angielsku i paplała do Marka, pragnąc się popisać. Zaprowadziła jego i Santię do dużej sali pełnej starych kobiet z rozdziawionymi ustami, pustymi twarzami i bezrozumnymi spojrzeniami. Wszystkie siedziały lub leżały w starych, wyblakłych sukienkach i szarych szlafrokach.

- Co to za miejsce? - spytał Mark, rozglądając się dookoła

- To miejsce dla kobiet, którym fizycznie nic nie dolega - odparła wesoło pielęgniarka - ale które mają tu trochę nie po kolei. - Wskazała głowę. - Staramy się zorganizować dla nich prawdziwy dom, bo niektóre nie wiedzą, gdzie się znajdują. Gdzież jest Marcella? Czasami się przechadza...

Duża sala prowadziła do słonecznego przedsionka, wychodzącego na małe podwórko pełne roślin w doniczkach. Na wysokim krześle, plecami do nich siedziała wyprostowana kobieta.

- Dzisiaj wydaje się spokojna - powiedziała do niego pielęgniarka, wprowadzając Marka na podwórko. - Zawsze ją ładnie ubieramy. Ma takie wspaniałe stroje, chcemy, żeby je nosiła i czuła się jak najnormalniej. Czy ma pan dla niej jakieś słodycze? Ona je uwielbia! Marcello, popatrz, kto przyszedł! Marcello, twój syn przyszedł cię odwiedzić.

Mark nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła pielęgniarka. Wpatrywał się w siedzącą kobietę w jedwabnej, liliowej sukience. Czekał, aż się do nich odwróci. Zrobił kilka kroków w jej stronę, wpatrując się w jej profil, w myślach nakazując matce się odwrócić. Poczul na ramieniu powstrzymującą dłoń Santiiego.

- Bardzo powoli, Mark - ostrzegł Santi. - To będzie dla ciebie szok. Może dla niej też.

Mark odsunął się i podszedł do matki.

- Mamo?

Kilka zaciekawionych kobiet, które wyszły za mężczyznami do sieni, teraz bacznie przyglądało się twarzy Marka, czekając na jego reakcję. Stał przed kobietą, która była jego matką, tak, by musiała go zobaczyć. Jej makijaż nałożono starannie, ale włosy były niedbale zmierzwione. Mimo że ubraniu nic nie można było zarzucić, w ułożeniu ciała było coś niewłaściwego. Sprawiała wrażenie, jakby została usadzona w tej pozycji i posłusznie ją utrzymywała, pozując jakiemś niewidzialnemu artyście. Co pewien czas zginała ręce w łokciach, a dłonie wędrowały w górę w geście irytacji lub zniecierpliwienia. Kiedy wreszcie spojrzała mu w oczy, spostrzegł, co się stało z jej twarzą.

Wyglądała tak, jakby pewien zdolny karykaturzysta nałożył rysy Marcelli na jakąś nieziemską istotę czy lalkę. Jej oczy go nie rozpoznały;

nie miały żadnego wyrazu. Twarz, na którą patrzył, była tak znajoma, a jednocześnie tak zmieniona, że nie potrafił określić, gdzie tkwi błąd.

- Cześć, mamó! - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Marcella nie unikała jego wzroku. Jej nie pojmujące niczego spojrzenie nie było ani przyjazne, ani wrogie. Nie wyrażało nic.

- O, mój Boże! - krzyknął Mark.

Odwrócił się z łkaniem, pobiegł do drzwi, prowadzących na wewnętrzne patio. Szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz.

- Wypuście mnie stąd! - krzyknął, zwracając się do Santiago. - Muszę wyjść!

Santi dał znak pielęgniarce, która przekreśliła klucz w zamku. Mark wypadł na podwórze, podbiegł do studni.

Nachylił się, patrząc w lustro wody błyskającej sześć metrów w dół. Tam, z dala od światła, rosły paprocie. Łzy Marka kapąły na ich liście.

Po chwili podszedł do niego Santi, oparł się o studnię obok niego i otoczył go ramieniem. W oczach Santiago także lśniły łzy. Mark odwrócił się do niego i dwaj mężczyźni się objęli.

- Próbowałem przekonać sam siebie, że jej stan się poprawia - szepnął Santi. - Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak źle, dopóki nie zobaczyłem, jak na nią patrzysz. Mark, obawiam się, że ją straciliśmy...

Obaj tak bardzo ją kochali; jeden rozumiał ból, jaki odczuwał drugi.

- Byłeś moją ostatnią nadzieją, Mark.

Mark odsunął się od Santiago, zmusił się do wejścia na nasłonecznioną werandę i do ponownej konfrontacji z matką. Opadł przy niej na kolana.

- Mamó? To Mark! Znasz mnie, prawda?

Marcella spojrzała na młodego mężczyznę nawet z pewnym zainteresowaniem. Mark położył jej głowę na kolanach i wybuchnął płaczem.

Santi pociągnął go za ramiona.

- Chodź, Mark. Mężczyzna musi mieć swoją dumę. To nie jest wobec niej ucziwe.

- Pieprzyć twoją dumę! - krzyknął Mark, podnosząc na niego zaczerwienione, udręczone oczy. - To moja matka. Ona jest dla mnie wszystkim!

- Dla mnie też jest wszystkim, ale co to pomoże? - odparł Sand.

- Ale ona musi mnie znać, Santi! Musi! Kim jestem?

- spytał Marcelłę. - Kim jestem, mamó? - Spojrzał na San-tiego. - Zawsze mówiła, że jestem światłem jej życia!

Sięgnął po jej dłoń, a ona pozwoliła mu ją trzymać, posyłając synowi chytry uśmiech, jakby oczekiwała, że ma dla niej jakąś niespodziankę. Spojrzenie to widywał dawniej u psów i żebraków; było zupełnie niepodobne do Marcelli. Otworzył dłoń, żeby pokazać jej, że nic tam nie ma, a ona wyrwała palce z jego uścisku.

- Niech pan przynosi jej słodycze - doradziła przechodząca pielęgniarka. - Następnym razem proszę mieć w kieszeni kawałek cukru. Ona to lubi!

Mark zwrócił ku niej zboląłą twarz.

- Ona nie jest zwierzęciem. Nie mogę karmić własnej matki kostkami cukru. Kim jestem, mamó? Kim jestem?!

- krzyknął w jej pustą twarz, a Marcella się zdrygnęła. Santi odciągnął go na bok.

- Nie rób tego, Mark! Proszę! Mark wykrzywił usta.

- Będę o to pytał tak długo, aż odpowie - oświadczył uparcie. - Jakaś część jej umysłu musi mnie znać. Będę pracował z nią dzień i noc, aż do niej dotrę. Uda mi się, Santi. Wstawimy ta fortepian i będę grał jej ulubione utwory. Zobaczysz, jaki to wywrze efekt! Jeśli tylko uda mi się zmusić jej umysł do skoncentrowania się na tym, co jej się przydarzyło, zacznie walczyć. Taką właśnie kobietą była moja matka!

- Wiem doskonale, jaką była kobietą - powiedział cicho Santi, odwracając się.

Nie mógł dłużej patrzeć na nią i Marka. Ból i rozczarowanie stały się nie do zniesienia. Tak bardzo pragnął wierzyć, że Mark jest czarodziejskim kluczem do zdrowia Marcelli, teraz jednak obawiał się, że odeszła od nich bardzo daleko.

Obejrzał się na Marcelłę i zobaczył, że przygląda się

Markowi zmęczonym wzrokiem, jakby starając się pojąć sens jego słów. Santi oparł się o ścianę.

- Kim jestem? Kim jestem?

Słowa rozbrzmiewały echem w pokoju, aż straciły jakiekolwiek znaczenie.

Nie chcę, żeby podawano jej środki uspokajające - poinstruował Mark pielęgniarkę.

- Tak, bardzo łatwo powiedzieć, ale bez środków uspokajających trudno z nią sobie dać radę - odparła. - Ona czasem się nam przeciwstawia, bo wie, że coś jest nie w porządku.

- Proszę ją umieścić w jednoosobowym pokoju. Cena nie gra roli - polecił Mark. - Jej umysł powinien być jasny i otwarty. Potrzebuje jasnego myślenia i energii, żeby się przebić. Wynajmę fortepian. Czytałem, że czasami muzyka może obudzić człowieka ze śpiączki, muzyka, którą kocha!

- Ale pańska matka nie znajduje się w stanie śpiączki - zaprotestowała pielęgniarka. - Dlaczego uważa się pan za mądrzejszego od lekarza? On zrobił jej prześwietlenie mózgu i...

- Proszę! - Mark położył jej dłoń na ramieniu i błysnął jednym ze swych rozbijających uśmiechów. - Jestem jej synem. Czuję, czego jej potrzeba! Chcecie, żeby wyzdrowiała, prawda? Zakocha się w niej pani, kiedy wróci do zdrowia. To najcudowniejsza osoba, jaką może sobie pani wyobrazić!

Pielęgniarka ustąpiła.

- Zrobię, co w mojej mocy, Oczywiście, że chcę, żeby pańska matka wyzdrowiała!

Mark uściskał ją i pocałował szybko w policzek.

- A zatem jest to celem nas wszystkich!

Instrument przywieziono po kilku dniach. Do pokoju MarcelU wniosło go na plecach dwóch niepokojąco starych ludzi. Spojrzała na niego tak, jak patrzyła na Marka i na jedzenie, które przed nią stawiano. Fortepian był po prostu kolejnym przedmiotem, chociaż przewyższającym większość rozmiarami.

Kiedy Mark zaczął grać, Santi przyznał, że MarceUa sprawiała wrażenie spokojniejszej, zaciekawionej; z oczu

ustąpiła nieco pustka, a ręce zapomniały wykonywać gwałtowne ruchy. Mimo to fantazja Marka, że matka pozna go na dźwięk pierwszych nut jej ulubionej suity Debussy'ego, pozostała tylko fantazją. Siedziała godzinami, słuchając muzyki, nie okazując żadnej reakcji. Zawiadomiono ich jednak, że muzyka grana przez Marka, rozbrzmiewająca w całym budynku, uspokoiła wielu niespokojnych pacjentów. Mark codziennie przychodził grać matce.

Codziennie, z zapadnięciem zmierzchu był wyczerpany. Santi oprowadzał go trochę po wyspie, zaprosił do domu w Deya i mieszkania w Palmie, ale Mark nie potrafił rozstawać się na dłużej z Marcellą. Zaraz zaczynał myśleć o jakimś utworze, który chciał jej zagrać, albo o słowie-kluczu, które, powtarzane, mogło pobudzić jej pamięć.

Zamieszkał w małym hotelu w pobliżu szpitala. Santi woził go do restauracji w Deya i Palmie, gdzie jedli proste, katalońskie potrawy. Czasami Mark prosił o chińskie jedzenie. Z międzynarodowych automatów telefonicznych dzwonił do Amy i Cole'a, informując ich o postępach. Pozwolił Amy podać do publicznej wiadomości tylko to, że Marcella Balducci Winton została odnaleziona, że jest chora i wraca do zdrowia w szpitalu na Majorce.

Wydawnictwo Volumes przesłało sterty kartek z życzeniami powrotu do zdrowia, a Scott donosił o zdumiewającym, nieprzerwanym powodzeniu, jakim cieszyły się jej książki.

- Jak długo zamierzasz tam zostać? - pytał płacząco Cole, ilekroć Mark do niego dzwonił.

- Dotąd, aż wyzdrowieje - odpowiadał Mark zdecydowanym tonem.

Czasami żałował, że przyjął na siebie tak ciężką odpowiedzialność. Czasami nienawidził istoty, która dawniej była jego matką; chciał na siłę wtłoczyć w nią na powrót jej osobowość, zmusić, by znowu stała się matką, jaką znał.

Z nadejściem cieplejszych dni majowych Mark zaczął czuć, że jedyną rzeczą, jaka powoduje jakikolwiek postęp, jest gra na fortepianie. Ale w zachowaniu Marcelli nie zachodziły wyraźne zmiany, bez względu na to, jak bardzo ich pragnęli. Inną sferą, w jakiej zaszła poprawa, była wzajemna relacja dwóch męż-

czyż; Mark zaczął powoli darzyć Santiago zazdrosnym podziwem. Ponieważ poza Santim nie znał na Majorce nikogo, ponieważ wieczory po kolacji spędzali razem, rozmawiając o sztuce, muzyce i podróżach, zostali niemal zmuszeni do tego, żeby polubić się nawzajem. Mark posiadał tyle cech charakteru Marcelli, że Santi zdołał przezwyciężyć dawny żal, ale przede wszystkim obaj zaangażowali się całkowicie sercem w przywrócenie zdrowia chorej.

- Czy kiedykolwiek naprawdę rozważałeś możliwość wstąpienia do zakonu? - spytał Mark pewnego wieczoru po kolacji w miejskim mieszkaniu Santiago.

Santi uśmiechnął się, popijając Pało, majorkański aperitif, który Mark także polubił.

- Nie sądzę, Mark. Za bardzo lubię pokusy życia...

- Wiem, co masz na myśli - skłamał Mark.

Santi odwoził go zazwyczaj wcześniej do hotelu albo Mark brał taksówkę i spędzał potem długie godziny nocne na pisaniu rozwlekłych listów do przyjaciół we Włoszech i w Nowym Jorku. Nie rozumiał pokus życia, mimo że skrywał się za maską światowca. Związki z innymi ludźmi były dla niego niewiadomą, tajemnicą. Jego pragnienia, tak głęboko skryte, wciąż czekały, aż dorośnie i da im rację bym.

Kiedy rozpoczął próby przywrócenia matce pamięci, przewidywał niejasno, że zajmie to kilka tygodni, może kilka miesięcy. Pod koniec maja, po trzech miesiącach niemal codziennej pracy z Marcellą, on i Santi spotkali się z ordynatorem szpitala. Przyznali niechętnie, że stan Marcelli nie wskazywał na widoczną poprawę. Muzyka ją uspokajała, ale to samo można było osiągnąć przy pomocy sprzętu stereofonicznego. Jeszcze tego popołudnia Mark pojechał do Palmy, żeby go kupić, wraz z taśmami nagrań jej ulubionych kompozytorów.

Wrócił do szpitala taksówką, trzymając na kolanach sprzęt i kasety. Santi siedział przy Marcelli, mówił do niej, a jej twarz jak zwykle nie wyrażała nic.

- Poddaję się - oświadczył Mark, stawiając na łóżku pękaty pakunek. - Kiedy to kupowałem, zdałem sobie sprawę, że ona mnie ta wcale nie potrzebuje. Taśmy odniosą ten sam skutek.

Santi spojrział na niego smutno, lecz ze zrozumieniem.

- To głupota udawać, że zachodzi w niej jakaś zmiana!

- mówił z uporem Mark, jakby chciał sam siebie przekonać.

- Lekarz twierdzi, że ona może żyć w tym stanie, zupełnie zdrowa fizycznie przez wiele lat. Skoro tak, to nie mogę grać jej codziennie na fortepianie.

Santi skierował uwagę z powrotem na Marcellę.

- Musisz zrobić to, co uważasz za właściwe - powiedział cicho.

Mark rozstawił głośniki i wsunął kasetę. W pokoju rozległy się delikatne dźwięki *Daphnis i Chloe* Ravela. Marcella uśmiechnęła się nieznacznie.

- Widzisz? - krzyknął Santi. - Widzisz, jak uśmiecha się, słysząc muzykę?

- Właśnie o tym mówię - odparł Mark. - Taśma jest równie dobra jak ja!

Tej nocy jedli kolację w małej, katalońskiej restauracji w Deya, gdzie dwa lata temu Santi po raz pierwszy był na kolacji z Marcellą.

- Chcesz ją ta po prostu zostawić? - spytał Santi, kiedy podano zupę. - Nie myślałeś o zabraniu jej do Nowego Jorku, do miejsc, które zna?

- Tak - westchnął Mark. - Myślałem o tym. Pewnego dnia to zrobię. Może na jesieni. Tymczasem ma tu dobrą opiekę i...

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Ona nie jest już moją matką! - wybuchnął Mark, jakby się bronił. - Duch, osobowość, dusza, wszystko uleciało z jej ciała. Oszukujemy się, Santi. Ona jest tylko skorupą.

- Nie. - Santi mówił cicho, w zamyślniu. - Jej oczy się zmieniają, kiedy grasz na fortepianie, mogę przysiąc!

- Co z tego? - spytał Mark. - Psy nastawiają uszy na dźwięki, których my nawet nie słyszymy, i czego to dowodzi? To nic nie znaczy!

Po kolacji spacerowali wolno główną ulicą Deya. Santi był bardzo milczący.

- Santi, ty nie rozumiesz. - Mark pociągnął go za ramię i obrócił twarzą do siebie. - Kocham ją tak bardzo, że to

mnie zabija! Zaczynam jej nienawidzić za ten tępy wyraz twarzy. Nie chcę w ten sposób pamiętać mojej matki!

- Myślisz, że ja chcę ją tak pamiętać? - spytał gwałtownie Santi. - Ale nadal będę się nią opiekował. Traktuję to jako przywilej. Była najcudowniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. Dzięki niej dowiedziałem się tyle o... och, o życiu i miłości, o wielu rzeczach...

Mark usiadł na kamiennej ławeczce, podpierając dłońmi podbródek.

- Muszę odpocząć od wykrzykiwania: „kim jestem?” po tysiąc razy w ciągu dnia, Santi - jęknął. - Obiecuję, że wrócę. Nie porzucam jej.

- Kiedy wyjeżdżasz, Mark?

- Pewnie za kilka dni. Wrócę, obiecuję. Santi, uśmiechając się, powoli pokręcił głową.

- Nie musisz mi nic obiecywać, Mark. Nie potrafię znieść myśli o klęsce, więc zostaję. Obok domu mam trochę ziemi, którą mogę sprzedać. Może zacznę pracować razem z przyjacielem, który prowadzi galerię w Palmie. W ten sposób będę blisko twojej matki i będę mógł ją odwiedzać codziennie albo prawie codziennie.

- Może po prostu musimy się z tym pogodzić - zasugerował Mark. - Może powinniśmy się cieszyć, że nie odczuwa bólu, że nie jest świadoma tego, co się dzieje?

Pożegnali się niepewnie, jakby nie przekonani swymi własnymi argumentami.

Następnego dnia Mark poczynił przygotowania do podróży, próbując nie czuć podniecenia na myśl o powrocie na Manhattan; dobry, stary Manhattan z klaksonami samochodów, żebrakami i wariatami - z życiem!

Przez dzień czy dwa rozważali możliwość przeniesienia MarcelU do mieszkania z prywatną pielęgniarką, ale zdecydowaU, że lepiej będzie, jeśU zostanie wśród ludzi, mniej izolowana.

Na dzień przed wyjazdem Mark usiadł przy matce, wziął ją za rękę i spojrzał w jej obce oczy.

- Jutro cię opuszczę, mamó. Wyjeżdżam. Może nigdy nie wrócę, bo nie mogę znieść patrzenia się na ciebie w tym stanie! Myślałem, że zdołam ci pomóc, ale to mnie wykań-

cza. Proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć. Gdybym wiedział, że to ci w czymś pomaga, grałbym dla ciebie na fortepianie aż do sądnego dnia!

Usiadł do fortepianu i po raz pierwszy zagrał Gershwin. Kiedy skończył, odwrócił się i ujrzał, że Marcella obraca gwałtownie oczami, porusza bezgłośnie ustami, jakby zirytowana, że nie gra Chopina.

Celowo zagrał najbardziej spelunkowaty rodzaj jazzu, na jaki mógł się zdobyć. Marcella pokręciła głową.

- Kim jestem, mam? - krzyknął. - Kim jestem? Wyszedł na lunch z Santim do pobliskiego bistro, po czym wrócił do matki o trzeciej.

- Jutro wyjeżdżam - powtórzył, a ona patrzyła na niego pustym spojrzeniem. - Nie wrócę więcej, jeśli nie powiesz mi, kim jestem. Kim jestem?

Wpatrywała się w niego. Czy mu się wydawało, czy walczyła z jakąś myślą? Czyżby tak bardzo przywykł do jej stanu, że najmniejszy błysk w jej oczach wywierał na nim takie wrażenie? Usiadł u stóp matki, ujmując jej dłonie.

- Jutro cię opuszczę i nigdy nie wrócę.

Tego popołudnia grał jej wyłącznie Gershwin i utwory z knajpy, odwracając się w przerwach, by sprawdzić, czy pojawia się jakakolwiek nowa reakcja.

Santi przyszedł po niego o siódmej, kiedy nad wyspą zaczął zapadać zmierzch. Mark siedział, trzymając Marcellę za rękę, pragnąc poczuć jej uścisk.

- A więc naprawdę się żegnasz? - spytał Santi. Mark skinął głową, podnosząc na niego wzrok.

- Tym razem po to, żeby nie odejść od zmysłów. Może po powrocie do Nowego Jorku odnajdę energię, żeby tu wrócić i dalej z nią pracować. Nie wiem... - Wstał.

- Spróbuj jeszcze raz - szepnął nagle Santi, dotykając go. - Po raz ostatni spróbuj ze wszystkich sił. Ja nie straciłem wiary.

Mark nachylił się i ujął dłonie Marcelli.

- Opuszczam cię teraz - krzyknął. - Nigdy nie wrócę! Jutro odlamję do Nowego Jorku, jeśli nie powiesz mi, kim jestem. Kim jestem?

Santi odwrócił wzrok od twarzy Marcelli. Strzelała oca-

mi po pokoju. Miała na wpeł otwarte usta, jakby szukała słowa. Zdawało się, że próbuje zrozumieć.

Mark puścił jej dłonie i podszedł do fortepianu.

- Pomóżcie mi to stąd wynieść! - zaproponował. - Może zmartwi się, kiedy zobaczy, że zabieram instrument. Jestem pewien, że uwielbiała muzykę.

Otworzył drzwi i dwaj mężczyźni zaczęli z pokoju wysuwać postawiony na sztorc fortepian, dysząc pod jego ciężarem.

Nagle Marcella wstała, wpatrując się w mężczyzn, marszcząc brwi, jakby w proteście.

Santi otworzył szeroko oczy.

- Ona chce zatrzymać fortepian! - krzyknął. - Och, Mark, ona rozumie!

- Nie zatrzymujcie się! - zawołał Mark. - Pchajcie dalej. . Opuszczamy cię, mamó! Nigdy nie wrócimy! Nie będzie więcej muzyki. Odchodzę na zawsze, jeśli nie powiesz mi, kim jestem! Kim jestem? Kim jestem?!

Powoli czuła, jak uświadamia sobie, że stoi. Potem miała wrażenie, jakby oddalała się od dręczącego koszmaru, koszmaru tak długiego, że wiele miesięcy jej życia zatopił w mroku. Patrzyła na dwóch mężczyzn wynoszących ciężki przedmiot przez otwór w ścianie. Przez wiele dni spała z otwartymi oczami. Spała też w ciągu ostatnich godzin, ale w jakiś sposób czynność mężczyzn napawała ją żalem. Dźwięki dochodzące z tej czarnej skrzyni były kojące. Zdawało jej się teraz, że słyszy, wiele godzin po tym, kiedy te słowa zostały wypowiedziane, groźby powtarzane przez jednego z tych mężczyzn przez całe popołudnie. Wyjeżdżam. Nigdy nie wrócę. Czemu miałoby ją to obchodzić? Będzie tęskniła za dźwiękami dochodzącymi z czarnej skrzyni, kiedy ten człowiek kładł dłonie na czarnych i białych płytkach. Dźwięki jak... zmarszczyła brwi... muzyka! Fortepianu! To miało nazwę. Wszystko posiadało nazwę, słowo! Zapomniała, jak się mówi! Oduczyła się używać swego głosu. Młodszy mężczyzna był uderzająco podobny do kogoś, kogo kochała - do jej syna! Na drugiego także nie mogła patrzeć, nie odczuwając echa wspomnień, jakby był kimś bardzo ważnym w jej życiu.

Teraz ją opuszczali, pozbawiali ją obecności, do której się przyzwyczaiła. Poczwała, jak rodzaj gniewu, pomieszanego z podnieceniem rośnie, aż głos, atrybut, o którego posiadaniu całkowicie zapomniała, zagulgotał jej w gardle i zapragnęła krzyknąć, żeby ją usłyszeli i przestali robić to, co robili. To był jej syn i nagle pojęła, co krzyczał. Opuści ją na zawsze, jeśli nie odpowie na jego pytanie. Pytał: „Kim jestem?”

Zdjęła ją chwilowa panika; potrzęsła zamroczoną głową. Jak brzmiała odpowiedź? Gdzie ona się znajdowała? Rozejrzała się bezradnie po nagim pokoju, zupełnie go nie poznając. Może gdyby po prostu stanęła nieruchomo, te wirujące myśli by się ułożyły, a słowa dotarłyby do jej mózgu. Czekwała. Oczywiście! On często zadawał jej to pytanie; teraz musiała odpowiedzieć: „Światłem mego życia!”. Gdyby potrafiła wypowiedzieć te słowa, gdyby przypomniała sobie, jak się je mówi, mogłaby go zatrzymać.

Mark i Santi stali na korytarzu, oparci o fortepian, kiedy usłyszeli dźwięki, które Marceiii udało się wypowiedzieć. Stojąc w drzwiach, patrząc za nimi, wymówiła te sześć sylab, które tylko dla jej syna i kochanka miały jakiegokolwiek znaczenie i w których tylko Mark rozpoznał słowa: „Światłem mego życia”. Pobiegli z powrotem do jej pokoju.

Nagle ogarnęło ją niezmiernie podniecenie, kiedy wszystkie zablokowane dotąd zmysły zaczęły ponownie funkcjonować. Tarła dłonie, chodziła tam i z powrotem po pokoju. Kiedy przenosiła wzrok z Marka na Santię i znowu na Marka, ujrzeli, że wyraz jej twarzy się zmienił. Chociaż przestraszona, skryta pod warstwami pomieszania, wreszcie była człowiekiem, Marcellą! Zamknęła mocno oczy, potrzęsła głową, zaciskając dłonie w pięści. Kiedy otworzyła oczy, patrzyła prosto na nich, wyciągając ręce. Z łkaniem i krzykiem obaj mężczyźni podbiegli do niej i przytulili się. Jęczała, próbując mówić. Słyszeli jej zduszony oddech, kiedy łkała po części z żalu, a po części z ulgi. Nadszedł czas - pomyślał Mark, wyswobadzając się z objęć matki. Podbiegł do drzwi, a tamci nie zauważyli jego odejścia. Obejrzał się i zobaczył, że Santi mocno tuli matkę, a łzy płyną mu spod zaciśniętych powiek. Zamknął za sobą

drzwi i ruszył korytarzem. Wyszedł na patio i podszedł do studni. Chwycił się chłodnej, kamiennej cembrowiny, spojrział w dół na wodę, gryząc kostki dłoni, by powstrzymać się od płaczu, dygocąc z przejęcia. Te jasnozielone liście paproci rosnące głęboko w ciemności zawsze go w pewien sposób koiły, wskazując, że nadzieja nigdy nie ginie, że nawet w ciemnym, wilgotnym miejscu zawsze może rosnąć coś pięknego.

Spojrzał przed siebie na długie miesiące ciężkiej pracy i siły woli, jakiej będą potrzebować, by odzyskać MarceUę, którą kochali. Tym razem nie będzie przeszkadzać miłości, na którą zasługiwała i którą teraz lepiej rozumiał. Nagle zobaczył własne życie, jakie miał przed sobą, jako przygodę, w której odgrywał centralną rolę. Dorastał późno, ale dorastał. Możliwości było wiele, wiedział, że będzie musiał odnaleźć własną drogę, ale teraz nie napawało go takim przerażeniem. W końcu, z bólem, stał się dorosłym mężczyzną.

Mark odetchnął głęboko i otarł oczy. Spojrział na ciemniejące niebo. Olbrzymie stado szpaków nurkowało i krążyło na de purpurowego nieba Majorki. Tysiące punkcików formowało coraz to nowe kształty: rękawiczkę, profil ludzki, butelkę. Precyzja ptaków była zdumiewająca, jakby poprzedziły popis długimi ćwiczeniami. Był to jeden z licznych cudów, jakie można zobaczyć, jeśli się tylko rozejrzeć, świadczących o tym, że niewątpliwie istnieje coś lub ktoś odpowiedzialny za każde stworzenie na tej Ziemi. Włącznie z jego matką. Włącznie z nim. Nie potrafił jeszcze uwierzyć w pojedynczego Boga, ale szepnął: „dziękuję” do szpaków, do duchów Chopina czy Gershwiną, do wszystkich, którzy mogU usłyszeć.

Marcella przytuliła się mocno do Santiago, żeby zachować równowagę ciała i ducha. Było to najdziwniejsze, najbardziej oszałamiające doznanie: czuła, jak zmysły poruszają się, budzą, jak jej osobowość ponownie zamieszkuje w ciele.

Czuła znajomy zapach Santiago, wyczuwała siłę jego uścisku, który zapewniał ją, że cała miłość, jaka w nim płynie, należy do niej.

- Na zawsze - szepnął jej do ucha, a Marcella uśmiechnęła się na dźwięk pięknego słowa i spróbowała je powtórzyć. Odsunęła się i spojrzała w jego lśniące oczy, zagładające na samo dno jej duszy, zapewniające, że ich miłość jest równie silna, co tamtej pierwszej nocy, w chwili tego pierwszego spojrzenia.

- Na zawsze - powtórzył, kiedy się objęli.

Dokładnie wiedziała, co oznacza to słowo, ale nie potrafiła go wyraźnie wymówić. Słowa były dawniej jej narzędziami, a teraz będzie musiała znowu nauczyć się nimi posługiwać. Wymawiać je. Pisać. Kazać im wyrażać wszystko, co chciała wyrazić. Słowa napęłniały strachem, były cudowne, a najlepsze było ich słowo: na zawsze!
KONIEC